

Erica Spindler

W milczeniu

(In Silence)

Tłumaczyła Klaryssa Słowiczanka

PROLOG

Cypress Springs, Luizjana

Czwartek 17 października 2002

3.30

Młot na Czarownice, tak go nazywano, zdrobniale Młotek, czekał cierpliwie. Kobieta niedługo powinna się pojawić. Był pewien, że się pojawi. Obserwował ją. Dobrze poznał jej rozkład dnia, jej zwyczaje. Poznał też zwyczaje sąsiadów.

Wiedział wszystko.

Wiedział, że jest zła, zepsuta do szpiku kości.

Dzisiaj zapłaci za swoje zepsucie.

Omiótł szybkim spojrzeniem tonącą w mroku sypialnię. Ubrania rozrzucone na pokrytej wytartą wykładziną podłodze. Na komodzie buteleczki, flakoniki, słoiczki z różnymi kosmetykami, puszki po coli light i fancie, papierki po gumie do żucia, po cukierkach, pełna petów popielniczka.

Dziwka, w dodatku fleja.

Ogarnęła go rezygnacja, coś na kształt zniechęcenia, niesmak.

Czego innego mógł się spodziewać po takiej jak ona? Nocny ptak, co noc inny facet.

Nie, nie był święty, nie był też świętoszkiem, nic z tych rzeczy. I nie był naiwny. Znał świat.

Takie czasy. Dzisiaj ludzie nie czekają do ślubu, żeby pójść ze sobą do łóżka. Był to w stanie zrozumieć. Nie pochwałał, ale rozumiał.

Ona jednak nie знаła umiaru, a Cypress Springs nie zamierzało tolerować jej rozwiązłości. Siedmiu jednogłośnie wyraziło swoją opinię, zaś on był ich przywódcą i on uświadomi jawnogrzesznicy, jak bardzo pobiła. To jego obowiązek.

Młotek spojrzał na budzik stojący koło łóżka. Czekał już prawie godzinę. Wkrótce powinna nadejść. Poszła dzisiaj do CJ, baru w zachodniej części miasta, gdzie spotykali się tacy, co lubią ostrą zabawę. Poszła tam z facetem, który nazywał się, nawet to Młotek wiedział, DuBroc. Potem wylądowała u niego, zawsze tak robiła.

A DuBroc? Cóż, dopuścił się występku. Młotek będzie musiał przyjrzeć się uważniej temu człowiekowi. Jeśli zajdzie konieczność, pan DuBroc zostanie ostrzeżony.

W nocnej ciszy rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Drzwi się otworzyły, zamknęły. Młotka przeszedł dreszcz. Dreszcz obrzydzenia do tego, co nieuniknione. Nie był żadnym krwi drapieżnikiem, choć ktoś mógłby tak o nim powiedzieć. Drapieżnik poluje na stworzenia od siebie słabsze, mniejsze. Zabija, by żyć, albo z czystej potrzeby zabijania.

On nie jest ani potworem, ani sadystą.

On jest człowiekiem honoru. Człowiekiem z gruntu prawym, żyjącym w bojaźni bożej. Patriotą.

Nie z własnej woli sięgał po środki ostateczne, nie dla przyjemności to robił. Tak zdecydowało Siedmiu. Jednomyślnie uznali, że nie ma innego wyjścia: Młotek musi bronić dróg sobie, drogich całej społeczności wartości.

Kobiety takie jak ona siały zgorszenie, przez nie szerzyło się zepsucie, upadała moralność.

Nie one jedne, ma się rozumieć. Opoje, oszuści, złodzieje i kłamcy, oni wszyscy wykraczali przeciwko prawom ludzkim, a co gorsza i boskim.

Celem Siedmiu była walka ze złymi obyczajami. Młotek i jego sześciu generałów postawili sobie szczytny cel: karać grzeszników, zachęcać do godziwego życia, do życia w czystości, w zgodzie z boskimi przykazaniami. Takiego życia, jakie poczciwi mieszkańcy Cypress Springs wiedli przez minionych sto lat z okładem. Mogli nocą bezpiecznie chodzić po ulicach, nie obawiając się napaści. Tu każdy spieszył z pomocą w potrzebie bliźniemu swemu, tu wartości rodzinne nie były tylko czczym hasłem wyborczym nadużywanym przez sprytnych polityków, tu naprawdę je wyznawano i respektowano.

Uczciwość. Siła charakteru. Obyczajność. Pomiarkowanie we wszystkim. Oto zasady drogie każdemu dobremu obywatelowi i dobrej obywatelce Cypress Springs. Siedmiu niezłomnie stało na ich straży.

Dla Młotka rozwiązłość była niczym bakteria atakująca zdrowy organizm. Porównanie samo się nasuwało, zważywszy, ile uwagi media poświęcały higienie oraz zdrowemu życiu. Taka złośliwa bakteria, raz przeniknąwszy do ciała, niszczy je niczym trąd, zamienia człowieka w nieszczęsną karykaturę samego siebie, wreszcie sprowadza nań śmierć. Podobnie zaraźliwa i niszcząca jest rozwiązłość: zagraża zdrowiu całej, żyjącej po bożemu społeczności. Młotek poprzysiągł sobie i Siedmiu tępić wszelkie zło, wypalać je niczym zarazę.

Nadstawił uszu.

Niczego nieświadoma kobieta, nucąc coś pod nosem, szła do sypialni, gdzie czekał. Dobrze ją słyszał. Aż za dobrze.

To pełne zadowolenia, radosne podśpiewywanie... Wstrętne, po prostu wstrętne.

Podniósł się, podszedł do drzwi. Kobieta przekroczyła próg. Chwycił ją od tyłu, przyciągnął do siebie, by zaś nie krzyczała, zasłonił jej usta dłonią w rękawiczce.

Czuł bijący od grzesznicy zapach papierosów, alkoholu, tanich perfum i seksu.

– Elaine St. Claire – zaczął cichym głosem, tłumionym dodatkowo przez maseczkę narciarską, którą miał na twarzy – zostałaś osądzona i uznana winną szerszenia nieobyczajności. Nie przestrzegasz zasad, które wyznaje nasza społeczność. Musisz zapłacić za swoje grzechy.

Pociągnął ją w stronę łóżka. Próbowwała się opierać, walczyć, ale żalodne to były próby, jakby mysz stawiała przeciw lwu.

Myślała na pewno, że on chce ją zgwałcić. Pierwej sam by się wytrzebił, niżby miał się sparzyć z taką jak ona. Poza wszystkim, cóż by to była za kara? Co za ostrzeżenie?

Nie, on zamyślił dla niej coś zgoła innego, inną nauczkę jej zgotuje.

Zatrzymał się tuż koło łóżka i odwrócił jej głowę tak, by spojrzała w dół, na materac. Żeby zobaczyła prezent, który na nią czekał.

Narzędzie uczynione z kija baseballowego, jednego z tych miniaturowych kijów, które kibice kupują w otaczających stadion sklepikach z pamiątkami. Bardzo przemyślnie to było narzędzie: owinięte metalową folią z puszek po coli light, ulubionym napoju Elaine St. Claire. Poodginał folię tak, że tworzyły się ostre blaszane języki. W zaokrąglony czubek kija wprawił podwójne ostrze noża. Tak, Młotek napracował się, a do tego włożył w swoje dzieło wiele inwencji.

Poczuł, jak grzesznica, już przecież ogarnięta strachem, sztywnieje z przerażenia wobec tego, co niepojęte, niewyobrażalne. Dotąd, jak Młotek mógł się domyślać, lękała się czegoś, co choć straszne, to jednak wyobrażalne.

– To dla ciebie, Elaine – złowieszczym głosem szepnął jej do ucha. – Lubisz się pieprzyć i będziesz miała to, co lubisz.

Szarpnęła się, wywołując pobłażliwy uśmiech na twarzy Młotka.

Nic jej nie wybawi. Nic jej nie pomoże. Sama zgotowała sobie ten los.

Niemal jej współczuł. Tylko niemal. Tak, sama zgotowała sobie ten los, powtórzył w myślach. Sama jest sobie winna.

– Rozpruję cię od dołu do góry – poinformował spokojnym, cichym głosem. – Od krocza do gardła. Od wewnątrz – dodał z naciskiem. – Bolesna, bardzo bolesna, powolna śmierć. Porozrywam ci wnętrzności. Nastąpi krwotok, potem przyjdzie szok, tracenie przytomności. Wreszcie agonia. I śmierć. Resztkami świadomości będziesz się modliłaby przyszła jak najszybciej.

Wydała z siebie ni to krzyk, ni pisk, niczym śmiertelnie wystraszone, pochwycone w pułapkę zwierzę.

– Myślisz, że można zajebać się na śmierć, Elaine? – zapytał obcesowo, rzucając słowo, które nigdy chyba, w żadnych innych okolicznościach, nie przeszłoby mu przez gardło.

Szarpnęła się ponownie, daremnie próbując się uwolnić z morderczego chwytu. Dysproporcja sił była porażająca.

– Wyobraź sobie – szepnął – co poczujesz, kiedy wepchnę ci ten przedmiot. Tam. Kiedy blacha zacznie ci rozrywać wnętrzności. Wyobraź sobie swój ból, swoją bezradność. Będziesz wiedziała, że za chwilę umrzesz, i będziesz błagała, żeby stało się to już, natychmiast. Będziesz pragnęła tylko jednego: wyzwolić się od cierpienia, od bólu. – Jeszcze bardziej ściszył głos. – Nie tak szybko. O nie. Może będziesz miała szczęście i stracisz świadomość. A może nie, tego nie potrafisz przewidzieć. Wiem, co zrobić, żebyś była jak najdłużej przytomna, znam sposoby.

Będiesz skamlała o litość, ale cud się nie zdarzy. Nie pojawi się wybawiciel, nie licz na to. Nie, nikt cię nie uratuje. Nikt nie usłyszy twoich krzyków.

– Był pewien, że mimo przerażenia rozumiała każde jego słowo. Drżała tak gwałtownie, że musiał ją mocno trzymać, by nie osunęła się na podłogę. Łzy spływały jej po policzkach niepowstrzymanym strumieniem. – To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Masz natychmiast wyjechać z Cypress Springs. Wynieś się po cichu, nikomu nie mówiąc słowa: znajomym, szefowi w pracy, właścicielowi mieszkania. Nikomu, rozumiesz? Jak puścisz parę z ust, to jakbyś popełniła samobójstwo. Policja ci nie pomoże, nie masz po co się do nich zgłaszać. Jeśli to zrobisz, będzie to twój koniec. Straszny koniec, wierz mi. Nie chcesz chyba umierać w męczarniach? – Kiedy wreszcie ją puścił, osunęła się bezwładnie na ziemię. Spojrzał z pogardą na to trzęsące się „coś”, co leżało u jego stóp. – Jest nas wielu. Wszystko wiemy, wszystko widzimy. Przed nami nie uciekniesz. Rozumiesz, Elaine St. Claire? – Gdy nie odpowiedziała, nachylił się i szarpnął ją za włosy.

– Rozumiesz?

– Tak – szepnęła. – Zro... zrobię... wszystko. Uśmiechnął się nieznacznie. Jego generałowie będą zadowoleni.

– Mądra dziewczyna z ciebie, Elaine. Zapamiętaj sobie, co ci powiedziałem. To było ostrzeżenie. Pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Reszta zależy od ciebie. Masz do wyboru: życie z dala od naszego miasta albo śmierć w męczarniach.

Młotek wziął narzędzie, które tak pieczołowicie przygotowywał przez wiele wieczorów, i wyszedł cicho z mieszkania, odprowadzany kobiecym łkaniem.

Rozdział 1

Cypress Springs, Luizjana

Środa 5 marca 2003 roku

14.30

Avery Chauvin znalazła wolne miejsce do parkowania, wysiadła z samochodu i ruszyła ku wejściu do sklepu Raucha, rozglądając się po ulicy.

Nic się nie zmieniło. Sklep starego Raucha na rogu Pierwszej i Głównej w tym samym miejscu co przed laty. Ta sama odrapana fasada kawiarni Azalia. Bank Parafialny też się ostał, nie wchłonął go żaden wielki konglomerat finansowy, co nie byłoby niczym dziwnym. Nawet skwer przy Głównej, samo serce miasteczka, nie zmienił się ani na jotę, jak zawsze uroczy, wabiący cieniem i soczystą zielenią, pośród której, jak dawniej, bielila się niewielka muszla koncertowa.

Tak, Cypress Springs nie zmieniło się nic a nic w czasie jej nieobecności. Czy to w ogóle możliwe? Jakby tych dwanaście lat, dzielących dzień jej wyjazdu na uniwersytet stanowy w Baton Rouge od dnia powrotu, było mgnieniem tylko, jedną chwilką, snem jeno. W jej życiu przez ten czas tak wiele się wydarzyło: skończyła studia, zamieszkała w Waszyngtonie, tymczasem jej rodzinne miasteczko pozostało takie jak zawsze.

Nie, nie takie jak zawsze. Nie miała już domu, tego domu, jakim go zostawiła, wyjeżdżając w szeroki świat. Matka zmarła nieoczekiwanie na wylew, a ojciec...

Przeszył ją ból na myśl o ojcu. W uszach brzmiał jeszcze jego głos, lekko zniekształcony przez automatyczną sekretarkę:

– Avery... kochanie... Mówi tata. Myślałem, że... Muszę z tobą porozmawiać. Miałem nadzieję, że... – Pauza. – Jest coś... Zadzwoń później. Do usłyszenia, córeczko.

Gdyby odebrała wtedy jego telefon... Gdyby podniosła słuchawkę, zamieniła kilka słów z ojcem... Materiał mógł poczekać. Kongresman, który w końcu zgodził się na rozmowę, mógł poczekać. Wystarczyła jedna minuta, dwie minuty. Tylko dwie minuty i wszystko być może potoczyłoby się inaczej.

A następnego ranka...

Następnego dnia rano zadzwonił Buddy Stevens, przyjaciel rodziny. Przede wszystkim przyjaciel jej ojca, i to od niepamiętnych czasów. Przyjaciel i szef lokalnej policji.

– Avery, mówi Buddy. Mam... złe wieści, maleńka. Twój tata... on...

Nie żyje. Ojciec zmarł. Popęłił samobójstwo. Zdążył jeszcze zadzwonić do niej, po czym odebrał sobie życie. W nocy poszedł do garażu, oblał się ropą, zapalił zapałkę...

Jak mogłeś to zrobić, tato? Dlaczego to zrobiłeś? Nie powiedziałeś nawet...

Z mrocznego zamyślenia wyrwał ją krótki sygnał syreny policyjnej. Odwróciła głowę. Opodal jej terenówki zaparkował wóz z biura szeryfa z West Feliciana. Zastępca szeryfa wysiadł i podszedł do niej.

Wszędzie rozpoznalaby tę smukłą sylwetkę, ten chód, sposób trzymania się, charakterystyczny styl. Matt Stevens, kolega z czasów dzieciństwa, szkolna sympatia. Rozstała się z nim, bo marzenia o dziennikarstwie okazały się silniejsze niż uczucia. Widziała go potem raptem kilka razy, ostatnio na pogrzebie matki, przed rokiem. Widać Buddy musiał mu powiedzieć, że przyjeżdża.

Podniosła dłoń na powitanie. Ciągłe tak samo przystojny, pomyślała. Ciągłe wolny. A może nie? Może zdążył związać się z kimś, może nawet ożenił w ostatnich miesiącach?

– Dobrze cię widzieć, Avery – powiedział bez zwykłego uśmiechu. Zobaczyła swoje odbicie w jego okularach: drobna, prawie filigranowa postać, niesfórne, krótko obcięte włosy, wielkie, brązowe oczy, zbyt wielkie przy drobnej twarzy. Dorosła kobieta? Raczej psotny leśny duszek.

– To ja się cieszę, że cię widzę, Matt.

– Współczuję ci. To okropne, co się stało. Naprawdę okropne. Bardzo mi przykro.

– Dzięki. Dziękuję, że zajęliście się, ty i Buddy, jego... – Słowa uwięzły jej w gardle. Nie, musi być silna. Nie może się rozkleić. – Szczątkami – dokończyła z trudem.

– Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić. – Matt na moment odwrócił wzrok, potem znów na nią spojrzął, ciągle poważny, zasepiony.

– Trapił cię bólem? Tak, chyba tak, pomyślała.

– Jeszcze raz dzięki.

– Avery, udało ci się skontaktować z rodziną w Denver?

– Tak... – Kuzyni w Denver, jedyni jej krewni. Jedyna rodzina. Daleka, ale jedyna. Teraz, kiedy oboje rodzice odeszli, nie miała nikogo poza nimi.

– Kochałem go, Avery. Widziałem, że po śmierci twojej mamy nie bardzo radził sobie z sobą, ale ciągle nie mogę uwierzyć, że to zrobił. Był przybity, ale nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jest załamany. Powinienem był to zauważyć. Wszyscy powinniśmy.

– Łzy popłynęły jej po policzkach. Była jego córką. Jest jego córką. To ona przede wszystkim powinna była zauważyć, co się dzieje z ojcem. Ona jest winna temu, co się stało.

– Matt wyciągnął dłoń.

– Płacz, Avery. Wypłacz się, to pomaga.

– Nie... ja już... – Odchrząknęła, usiłując się opanować. – Muszę zająć się... pogrzebem. Czy Gallagherowie nadal prowadzą...?

– Tak. Danny przejął interesy po ojcu. Czeka na telefon od ciebie. Buddy wspomniał mu, że przyjeżdżasz dzisiaj.

– Avery wskazała na wóz Matta.

– Jesteś poza swoją jurysdykcją.

Biuru szeryfa podlegały parafie wokół Cypress Springs, samo miasteczko natomiast lokalnemu departamentowi policji.

Matt uśmiechnął się po raz pierwszy w czasie tej rozmowy.

– Dopuściłem się wykroczenia. Kręcę się tutaj, bo miałem nadzieję, że cię wypatrzę, zanim dotrzesz do domu.

– Jechałam do domu. Zatrzymałam się, bo... – Zamilkła. Prawdę powiedziawszy, nie miała żadnego powodu, żeby się zatrzymywać. Po prostu... Impuls, kaprys, potrzeba przywitania starych kątów, można to nazwać jak się chce.

Matt chyba zrozumiał.

– Pojadę z tobą.

– Kochany jesteś, ale nie ma potrzeby.

– Nie zgadzam się. – Nie dał jej dojść do słowa, mimo że próbowała protestować. – Nie powinnaś jechać tam sama. Ponury widok. Chcesz czy nie, jadę za tobą – oznajmił szorstkim, nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Avery chwilę zwlekała, wreszcie skinęła głową. Bez słowa wsiadła do wynajętej terenówki i wyjechała na Główną.

Zbliżając się do domu, w którym się wychowała, wstrzymała oddech.

Ojciec starannie wybrał porę: środek nocy, kiedy wszyscy śpią. Wiedział, że minie sporo czasu, zanim ktoś poczuje dym, zobaczy płomień zaalarmuje kogo trzeba. Musiał użyć ropy, tak orzekli eksperci. Ropa, inaczej niż benzyna, zaczyna się palić, dopiero gdy ma bezpośredni kontakt z ogniem. W przypadku dużo lżejszej benzyny zapalają się opary.

Dopalający się ogień pierwszy zobaczył sąsiad, który wybiegł na poranną przebieżkę. Uznawszy, że ojciec śpi, próbował go obudzić. Kiedy nikt nie odpowiadał na dobijanie się do drzwi, wezwał straż pożarną. Ze strażakami przyjechał biegły. Zaraz potem wezwano coronera, który powiadomił departament policji w Cypress Springs. Szczątki ojca zidentyfikowano na podstawie uzębienia.

Ani autopsja, ani dochodzenie nie nasuwały żadnych podejrzeń co do okoliczności śmierci. Nikt też nie potrafił wskazać ewentualnego motywu zbrodni. Morderstwo, nawet jako jedna z hipotez, nie wchodziło rachubę. Doktor Phillip Chauvin był powszechnie szanowanym człowiekiem, cenionym i lubianym lekarzem.

Przyczyna zgonu: samobójstwo. Tak brzmiało oficjalne orzeczenie departamentu policji.

Żadnego listu. Słowa pożegnania.

Jak mogłeś to zrobić, tato? Dlaczego?

Avery skrzyła na podjazd domu rodziców.

Pierwsze, co rzuciło się jej w oczy, to od dawna niestrzyżony trawnik, wybujałe chwasty,

nadto rozrośnięte krzewy, których nikt od wielu miesięcy nie przycinał.

Azalie, trochę za wcześnie, już w pąkach, powinny niedługo obsypać się kwiatami. Wtedy wokół domu rozjaśni się wszystkimi odcieniami różu, od zimnego, prawie białego, po ciepły, intensywny, prawie czerwony.

Ojciec kochał swój ogród. Spędzał tu całe weekendy, pielęgnował go i upiększał, chuchał i dmuchał na każdą roślinę. Teraz ten ukochany ogród sprawiał wrażenie, jakby od dawna nikt się nim nie zajmował.

Ojciec zmarł raptem przed dwoma dniami, a zatem... Avery zasepiła się.

Jeszcze jeden dowód, w jak głębokiej musiał być depresji. A ona, ukochana i troskliwa córeczka, nic nie wiedziała, nic nie dostrzegła, nie czuła, nie domyślała się nawet.

Dlaczego? Przecież prawie codziennie rozmawiali przez telefon.

Matt podjechał pod dom i zatrzymał się tuż za jej terenówką. Wtedy Avery, wzięwszy głęboki oddech, wysiadła z samochodu.

– Na pewno jesteś gotowa? – upewnił się jeszcze, kiedy stanął koło niej.

– A mam jakiś wybór?

Oboje doskonale wiedzieli, że nie ma.

Ruszyli zakolem podjazdu w stronę wolnostojącego garażu na tyłach domu.

Już z daleka czuło się wyraźną woń pogorzelniska, swąd zwęglonego drewna... ale też, tak się przynajmniej wydawało Avery, mdlący zapach spalonych kości, spalonego ciała.

Skręcili za węgiel i wtedy zobaczyła osmalone drzwi garażu: wielką, ciemną, nieregularną plamę na gładkiej powierzchni.

– W środku wygląda znacznie gorzej – powiedział Matt. – Wnętrze jest prawie zupełnie wypalone. Dziw, że garaż się nie zawalił.

W pewnym momencie swojej dziennikarskiej kariery Avery, a mieszkała wtedy w Chicago i pracowała dla „Chicago Tribune”, miała przygotować materiał o serii pożarów, które przeszły przez miasto i jego okolice. Właściwie nie były to pożary w zwykłym tego słowa znaczeniu, lecz umyślne podpalenia. Sprawca, syn strażaka, chciał się w ten sposób zemścić na ojcu, że ten wyrzucił go z domu. Porachunki między napędzanym poczuciem krzywdy psychopata a wyposażonym w twardy charakter tatusiem kosztowały życie sześciu niewinnych ludzi, w tym dziecko. Tyle Bogu ducha winnych osób poniosło śmierć, zanim policja ujęła podpalacza.

Tamta sprawa dała Avery pewne wyobrażenie, jak straszna jest śmierć w płomieniach. Dlatego teraz, kiedy stanęli przed garażem, musiała zebrać wszystkie siły i uzbroić się w odporność, by znieść to, co miała za chwilę zobaczyć.

Matt wprowadził ją do środka bocznymi drzwiami. Tu, oczywiście, swąd pogorzelniska był nieporównanie bardziej intensywny, dojmujący. Z całą mocą uderzał w nozdrza, dławił w gardle, wżerał się w skórę.

Ostatnie minuty życia ojca... Jak strasznie musiał krzyczeć, kiedy ciało ogarnęły trawiące płomienie. Rozdzierający krzyk, buzujący ogień, skwierczenie żywego mięsa...

Ciemna, wypalona plama na betonowej posadzce.

Tu zginął.

Splonął żywcem.

Avery zasłoniła usta dłonią.

To samobójstwo nie było tylko aktem rozpacz, ale i nienawiści do samego siebie.

Zaczęła drżeć. W głowie się jej kręciło, kolana zrobiły się miękkie. Odwróciła się i wybiegła do ogrodu.

Zgięta w pół walczyła z nudnościami, próbowała zapanować nad sobą, nad własnymi reakcjami.

Nie rozsypać się, nie rozpaść, powtarzała sobie. Spokojnie, tylko spokojnie, Avery.

Poczuła na ramieniu dłoń Matta.

Zacisnęła powieki.

– Jak on mógł to zrobić, Matt? – Otworzyła oczy, odwróciła głowę. – Nie dość, że odebrał sobie życie, to jeszcze... w taki sposób? On... Musiał... musiał strasznie cierpieć.

– Nie wiem, co powiedzieć – powiedział łagodnym, pełnym współczucia tonem. – Po prostu nie wiem. Chciałbym znać odpowiedź na twoje pytanie, ale sam je sobie zadaję.

Avery wyprostowała się, jeszcze pełna żalu i gniewu, niepokodzona z tym, co się stało.

– Ojciec kochał życie. Cenił je. Był lekarzem, na litość boską. Jeśli tylko mógł, ratował ludzi przed śmiercią, starał się przywracać im zdrowie. – Ponieważ Matt nie odezwał się słowem, mówiła dalej coraz bardziej porywczo: – Był dumny z wyboru, jakiego dokonał. Dumny z własnej drogi. Człowiek, który to zrobił – wskazała głową w stronę garażu – musiał nienawidzić siebie. To nie mój ojciec. On tego nie mógł zrobić, Matt – powtórzyła z desperackim uporem.

– Avery, ty... – Ledwie zaczął mówić, natychmiast zamilkł i odwrócił wzrok.

– Co ja? Powiedz, Matt.

– Rzadko się z nim ostatnio widywałeś. – Musiał dostrzec, jaki efekt wywołały jego słowa, bo chwycił Avery za ręce i uściśnął mocno. – Twój tata bardzo się zmienił. Nie był tym samym człowiekiem co dawniej. Zamknął się w sobie. Całymi dniami nie wychodził z domu, a kiedy już się pokazał w miasteczku, z nikim nie rozmawiał, do nikogo się nie odzywał. Gdy dostrzegł znajomą twarz, przechodził na drugą stronę ulicy.

A ona o niczym nie wiedziała. Jak to możliwe? Jak mogła być taka ślepa, głucha?

– Kiedy...? – wykrztusiła z trudem. – Matt, kiedy się to zaczęło?

– Mniej więcej wtedy, kiedy zrezygnował z prowadzenia praktyki.

Wkrótce po śmierci matki.

– Dlaczego nikt do mnie nie zadzwonił? Dlaczego nie... – Zamilkła, przygryzła wargę.

– To nie stało się z dnia na dzień. Początkowo myśleliśmy, że potrzebuje czasu, by dojść do siebie po śmierci twojej matki. Że chce być sam. Dopiero ostatnio ludzie zaczęli dostrzegać, że coś jest nie tak.

Omiotła spojrzeniem zaniedbany ogród, widomy dowód stanu ojca.

– Przykro mi, Avery. Wszystkim jest przykro i ciężko.

Odwróciła się od Matta, powstrzymując łzy, walcząc, ciągle walcząc z bezsilną wściekłością. Przegrała potyczkę.

– Jezu, Avery...

Matt podszedł do niej, objął, przytulił do piersi. Avery nie opierała się. Ukryła twarz na jego ramieniu i rozszlochała się jak dziecko.

Stał sztywno, czuł się nieporadnie, niezręcznie. Co chwilę poklepywał Avery po ramieniu i szeptał słowa pocieszenia, których ona jednak przez swój szloch nie słyszała, nie mogła słyszeć.

Kiedy łzy wyschły, kiedy wreszcie trochę się uspokoiła, odsunęła się od Matta zakłopotana swoim wybuchem.

– Przepraszam... – bąknęła. – Nie chciałam urządzać przedstawienia. Myślałam, że wytrzymam, że potrafię to znieść.

– Co ty opowiadasz. Wyluzuj się, dziewczyno. Gdybyś wytrzymała, byłbym mocno zaniepokojony.

Znowu łzy napłynęły jej do oczu, kapało z nosa.

– Muszę iść po chusteczkę. Przepraszam. Ruszyła do samochodu, Matt za nią. Zaczęła przerzucać drobiazgi w torebce, wreszcie wyciągnęła pomietaną chusteczkę higieniczną. Wytarła nos, osuszyła oczy i podniosła wzrok na Matta.

– Jak mogłam nie zauważyć, że z nim jest aż tak źle? Czyżbym była tak bardzo zajęta własną osobą?

– Długo nikt nie zauważał, a przecież widywaliśmy go często, niemal codziennie.

– Ale ja jestem córką. Powinnam była się zorientować, poznać chociażby po głosie, że dzieje się z nim niedobrze. Wsłuchiwać się uważnie w to, co mówi. Albo co stara się przemilczeć.

– W żadnym razie nie ponosisz winy za to, co się stało, Avery.

– Nie? – Ręce drżały jej tak bardzo, że zawstydzona wsunęła je do kieszeni. – A jednak nie mogę uwolnić się od myśli, że gdybym została w Cypress Springs, może żyłby teraz. Gdybym rzuciła swoją pracę i zamieszkała tutaj po śmierci mamy, może nie wpadłby w depresję i nie zrobił... tego, co zrobił. Gdybym wtedy podnio... – Przerwała w pół słowa. – To tak strasznie boli.

– Nie obwiniaj się. Nie cofniesz czasu. – W głosie Matta zabrzmiała gorycz.

– Nie cofnę. Nie cofnę – powtórzyła. – Kochałam ojca jak nikogo na świecie, ale od chwili

wyjazdu na studia prawie nie pojawiałam się w domu. Nawet po śmierci mamy. Umarła tak nagle, tyle spraw między nami zostało niedopowiedzianych, niezłatwionych. Jej śmierć powinna była stać się dla mnie dzwonkiem ostrzegawczym. Nie stała się.

Matt nie odzywał się, słuchał.

– Jak mam żyć z tą świadomością? – atakowała go, chciała zmusić do odpowiedzi.

– Po prostu żyć. Z tego, co się stało, masz tylko wyciągnąć wnioski dla siebie i na tym koniec. Ważne, co przed tobą. Ważna jest przyszłość, nie przeszłość, nie obciążenia. Nie możesz cały czas oglądać się za siebie.

Ulicą przetoczył się stary pikap. Głośny śmiech jadących nim chłopaków na moment rozładował napięcie. W ślad za pierwszym wozem przejechał następny, tym razem żółty kabriolet z opuszczonym dachem, z kolejną grupą smarkaczy.

Avery zerknęła na zegarek. Wpół do czwartej. Lekcje kończą się o tej samej porze jak za jej czasów.

Zabawne. Tyle rzeczy zmieniło się tak drastycznie, gdy inne nie zmieniają się wcale.

– Muszę wracać do pracy. Mogę zostawić cię samą? Dasz sobie radę?

Skinęła głową.

– Dzięki za opiekę.

– Nie dziękuj. – Matt ruszył w stronę swojego wozu, ale jeszcze zatrzymał się na chwilę i spojrzał na Avery. – Byłbym zapomniiał. Rodzice zapraszają cię dzisiaj na kolację.

– Dzisiaj? Dopiero przyjechałam.

– I o to właśnie chodzi. Za nic nie pozwolą, żebyś pierwszy wieczór miała spędzić samotnie. Musisz przyjąć zaproszenie.

– Ale...

– Zapomnij o wielkomiejskich przyzwyczajeniach. Jesteś znowu w domu. Tutaj ludzie troszczą się o siebie nawzajem, jakbyśmy byli jedną rodziną. Poczuj się tak samo.

Dom. Rodzina. Żadne inne słowa nie mogły brzmieć teraz równie kojąco.

– Dobrze, będę. Dalej mieszkanie w Rancierówce? – Tak zawsze między sobą nazywali wygodną, przestronną rezydencję Stevensów, bo też istotnie przypominała swoją architekturą domy wznoszone przez ranczerów z Zachodu, co nadawało jej swoisty urok.

– Jasne. W Cypress nic się nie zmienia. To nasza zasada. – Matt otworzył drzwiczki samochodu i odwrócił się do Avery. – O szóstej? Może być, nie za wcześnie?

– Będę o szóstej.

– Do zobaczenia. – Wsiadł do wozu, zapuścił silnik i zaczął się wycofywać. Odjechał kawałek, odkręcił szybę i zawołał: – Hunter wrócił. Pomyślałem, że może cię to zainteresować.

Wóz zastępcy szeryfa dawno już zniknął, a Avery nadal stała bez ruchu w tym samym miejscu.

Hunter?

Niemożliwe. Bliźniaczy brat Matta, trzeci z ich paczki. Wrócił do Cypress Springs?

Jeszcze niedawno prowadził z kilkoma wspólnikami wziętą kancelarię adwokacką w Nowym Orleanie. Tak głosiły ostatnie wieści, jakie do niej dotarły o Hunterze.

Ruszyła powoli do domu.

Tamtego lata, miała wtedy piętnaście lat, a chłopcy szesnaście, coś się stało. Rozgorzał jakiś konflikt między Mattem i Hunterem. Hunter chodził wściekły, kilka razy doszło między braćmi do bójki. Pogodny dom Stevensów, zawsze pełen ciepła i miłości, zamienił się w regularne pole bitwy, jakby nagła wrogość między braćmi udzieliła się całej rodzinie.

Początkowo Avery myślała, że to tylko chwilowe nieporozumienie i że atmosfera wkrótce się oczyści. Nic z tego. Hunter wyjechał na studia i przestał pojawiać się w domu. Nie przyjeżdżał nawet w czasie wakacji.

Aż raptem wrócił. Akurat teraz, kiedy i ją okoliczności sprowadziły do Cypress Springs. Dziwne, pomyślała. Może w czasie kolacji dowie się, dlaczego podjął taką decyzję.

Rozdział 2

Podjechała pod dom Stevensów punktualnie o szóstej. Na jej widok Buddy Stevens, który siedział na ganku i palił cygaro, zerwał się z fotela.

– Przyjechała! Moja dziewczynka! – zawołał swoim tubalnym głosem. – Dobrze widzieć cię znowu w domu, całą i zdrową!

Jeszcze moment i znalazła się w ramionach tego wielkoluda o szerokiej piersi, mocarnych ramionach i dudniącym głosie. Od kiedy sięgała pamięcią, Buddy, wielki Buddy, był szefem policji w Cypress Springs. Z wykształcenia prawnik, twardy jak skała, kiedy chodziło o tępienie przestępstw i zapewnienie spokoju mieszkańcom miasteczka, w oczach Avery zawsze pozostawał wielkim poczciwym misiem. Twardziel o złotym sercu. Taki był Buddy.

Wyściskał ją serdecznie, a potem odsunął od siebie na długość ramienia i spojrzał w oczy.

– Tak mi przykro, maleńka – powiedział ze smutkiem w głosie. – Cholernie przykro.

Avery poczuła bolesny ucisk w gardle.

– Wiem, Buddy – wykrztusiła. Przytulił ją znowu.

– Biedactwo, jakaś ty chuda...

Avery uśmiechnęła się miękko. Buddy, zawsze ten sam kochany Buddy. Był jej prawie tak bliski i drogi jak ojciec..

– Nie słyszałeś? Kobieta nigdy nie jest za chuda, to niemożliwe.

– Ech, wielkemiejskie fanaberie. – Odłożył cygaro i wprowadził Avery do domu, wołając od progu: – Lilu! Cherry! Zobaczcie, kto się objawił.

W drzwiach kuchni pojawiła się natychmiast Cherry, młodsza siostra Matta i Huntera. Kiedyś niewypierzona nastolatka, teraz piękna kobieta, wysoka, ciemnowłosa i ciemnooka jak bracia, po matce wzięła delikatne rysy i aksamitną cerę.

Na widok gościa uśmiechnęła się szeroko.

– Dotarłaś jednak. Tak się martwiliśmy. – Podeszła do Avery i uściskała ją serdecznie. – Kobieta nie powinna wyprawiać się sama w takie dalekie podróże, to niebezpieczne.

Avery lekko osłupiała na tę uwagę. Byłaby ona zrozumiała kilka pokoleń wstecz, ale dzisiaj usłyszeć coś podobnego od młodej kobiety? Cóż, Matt wiedział, co robi, gdy próbował jej przypomnieć, że nie jest w wielkim mieście.

– Nie było tak źle, naprawdę – uspokoiła Cherry. – Taksówką na lotnisko, samolotem do Nowego Orleanu, gdzie wynajęłam samochód. Najgorszy kłopot miałam z odnalezieniem bagażu, ale to normalne.

– Samodzielna, wyzwolona kobieta – mruknął Buddy bez entuzjazmu. – Miałaś chociaż ze sobą telefon komórkowy?

– Jasne. Nawet pamiętałam, żeby przed wyjazdem do pełna go naładować. – Avery

wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Miałam nie tylko telefon, ale i gaz pieprzowy, tak na wszelki wypadek. Zadowolony?

– Gaz pieprzowy? – zdziwiła się Lila Stevens. – A to po co?

– To taki spray do obrony – wyjaśniła Cherry, odwracając się do matki, ale Lila, śliczna i zadbana jak zawsze, już wybiegła z kuchni, już ścisnęła dłoń gościa.

– Do obrony? Tutaj na pewno nie będziesz go potrzebowała. – Spojrzała Avery w oczy. – Witaj w domu, kochanie. Jak się czujesz?

Avery znowu łzy napłynęły do oczu.

– Cóż, bywało lepiej. Dziękuję... – Odwzajemniła uścisk.

– Tak mi przykro, kochanie. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo.

– Wiem i bardzo dziękuję.

Gdy w kuchni rozdzwonił się minutnik, Lila puściła dłoń Avery.

– Placek.

Nie musiała nic mówić; wspaniały zapach mówił sam za siebie. Lila uchodziła za najlepszą kucharke w całej parafii i nieustannie zdobywała nagrody za swoje dzieła kulinarne. Avery, kiedy jeszcze mieszkała w Cypress, nie przepuściła ani jednego zaproszenia na kolację do Stevensów, wręcz wyczekiwała okazji, by spróbować kolejnych dań Lili.

– Jaki? – zapytała.

– Truskawkowy. Wiem, że najbardziej lubisz brzoskwiniowy, ale znajdź przyzwoite brzoskwinie o tej porze roku. Nawet nie ma co marzyć. A truskawki po prostu pyszne, pierwsze w tym sezonie, nasze, z Luizjany.

– Przestań pytlować o plackach, truskawkach i innych brzoskwiniach, kobieto, i pozwól dziewczynie wreszcie usiąść, bo zmęczona – wtrącił, jak zawsze na wszystkich burczący, Buddy.

– Pytlować? – Lila pogroziła mężowi palcem. – Jak będziesz tak się do mnie odzywał, to nie dostaniesz nawet kawałka mojego ciasta. Idź sobie do Azalii.

Buddy'ego najwyraźniej przeraziła perspektywa jedzenia wypieków z lokalnej cukierni, bo natychmiast się wycofał:

– Przepraszam, kochanie. Ja tylko żartowałem, wiesz przecież.

– Teraz to jestem kochana? – Lila wzniosła oczy do nieba. – Sama widzisz, co ja z nim mam.

Avery roześmiała się. Kiedyś bardzo zazdrościła Stevensom, pragnęła, żeby jej rodzice zachowywali się podobnie: otwarcie okazywali serdeczność, żartowali z siebie nawzajem. Znała Buddy'ego i Lilę od zawsze i nie pamiętałaby kiedykolwiek jedno na drugie podniosło głos. Nawet kiedy pokpiwali z siebie i sprzeczali się żartobliwie, zawsze czuło się w tych przekomarzankach wzajemną miłość i szacunek.

Avery często żałowała, że jej matka nie jest... nie była... taka jak Lila: pogodna, bezpośrednia, zadowolona ze swojego życia pani domu, dbająca o dzieci i męża.

Matka najwyraźniej źle się czuła w tej roli. Nigdy nie powiedziała o tym choćby jednego słowa, nigdy się nie skarżyła, ale Avery zawsze wyczuwała w niej rozczarowanie, zgorzknienie, niezadowolenie z życia.

Nie, poprawiła się w myślach. Matka była rozczarowana nią, swoją córką, jej charakterem, stosunkiem do rzeczywistości, upodobaniami, jej wyborami i decyzjami.

Avery, mówiąc najprościej, nie spełniała matczynych wyobrażeń.

Tymczasem Lila przyjmowała ją taką, jaką była. Nigdy nie dała jej odczuć, że mogłaby, powinna być inna, przeciwnie, traktowała Avery jako osobę wartościową, drogą sercu, wyjątkową.

– Widzę – przytaknęła Avery, przyjmując ten sam ton. – To oburzające.

– Też tak uważam. – Lila zaprosiła gestem do salonu. – Matt powinien być lada chwila. Kolacja gotowa, muszę tylko jeszcze podgrzać grzanki, podać puree gorącym mlekiem i możemy siadać do stołu.

– Pomóc ci? – zaoferowała się Avery. Spotkawszy się ze zdecydowanym sprzeciwem Lili, co było łatwe do przewidzenia, przeszła z Buddym i Cherry do salonu. Kiedy zagłębiła się w wygodnym, wielkim fotelu, poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Najchętniej wtuliłaby głowę w poduszkę, zamknęła oczy i nie budziła się choćby przez cały tydzień.

– Nic się nie zmieniłaś – powiedział Buddy. – Ta sama śliczna, bystrooka dziewczyna, jaką cię pamiętam sprzed lat.

Przed laty w Cypress Springs... Była wtedy taka młoda i niewiarygodnie naiwna. Chciała się wyrwać z Cypress Springs, marzyła o wielkiej przygodzie, ciekawym życiu. Czuła, że gdzieś tam, w szerokim świecie, czeka ją coś lepszego niż ta beznadziejna roślinność w małym miasteczku. Myślała, że to znajdzie: prestiżowy zawód, nagrody, poważanie w branży dziennikarskiej. Wreszcie, rzecz również nie bez znaczenia, godne pozazdroszczenia zarobki.

Co to wszystko było teraz warte?

Gdyby mogła cofnąć się w czasie i raz jeszcze dokonać wyboru, czy podjęłaby takie same decyzje, tak samo pokierowała swoim życiem?

Gdyby rzeczywiście mogła cofnąć się w czasie, zrobiłaby wszystko, żeby być z nim.

Spojrzała na Buddy'ego.

– Nie uwierzyłbyś, jak bardzo się zmieniłam – powiedziała z uśmiechem, jakby chciała unieważnić ciężar swoich słów. – A co u ciebie? Poza tym, że przystojny jak dawniej, ciągle jesteś najgroźniejszym gliną w całej okolicy?

– Nic mi o tym nie wiadomo – mruknął Buddy – ale jeśli w ogóle, to ten tytuł od dawna należy do Matta.

– Szeryf z West Feliciana w przyszłym roku przechodzi na emeryturę – włączyła się Cherry.

– Matt zamierza ubiegać się o urząd po nim.

Wszyscy uważają, że wygra wybory – zakończyła z dumą w głosie.

Buddy przytaknęła. Jego też rozpierała duma.

– Mój syn pierwszym gliną w parafii. Możesz to sobie wyobrazić?

– To już niemal dynastia stróżów prawa – mruknęła Avery.

– Niedługo już tej dynastii. – Buddy usadowił się w swoim ulubionym fotelu. – Emerytura za pasem. Już właściwie powinienem odejść. Gdybym miał wnuki, miał kogo psuć...

– Tato – ostrzegła go Cherry. – Nie zaczynaj znowu. Znamy to na pamięć.

– Troje dzieci i ani jednego wnuczęcia – gderał. – Moi przyjaciele mają po tuzinie takich pędraków. Moim zdaniem coś tu jest mocno nie w porządku. – Spojrzał pytająco na Avery. – Nie sądzisz?

A ona ze śmiechem podniosła dłonie na znak kapitulacji.

– Wolę się nie wypowiadać na ten temat.

– Dziękuję – rzuciła Cherry konspiracyjnym szeptem.

Buddy coś mruknął zrzędlawie, więc Avery szybko wróciła do głównego wątku:

– Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś inny miał zostać szefem policji w Cypress.

– Cóż, przychodzi taki moment, kiedy trzeba ustąpić miejsca młodszym. Niechętnie o tym myślę, ale mój czas się skończył.

Cherry prychnęła lekceważąco, jakby chciała powiedzieć, że za grosz nie wierzy ojcu.

– Napiję się wina. Avery, ty też?

– Chętnie, kieliszek.

– Białe, czerwone?

– Wszystko jedno. – Avery oparła głowę o poduchy fotela. Napięcie powoli opadało. Zamknęła oczy i natychmiast napłynęły obrazy z przeszłości: Matt, Hunter, ona... bawią się w trójkę w ogrodzie, a rodzice w tym czasie urządzili sobie barbecue. Lila i Buddy robią ostatnie zdjęcie przed wyjazdem Huntera. Boże Narodzenie, obie rodziny przy jednym stole śpiewają kolędy...

Słodkie, podnoszące na duchu wspomnienia.

– Dobrze znaleźć się znowu w domu, prawda? – zapytał cicho Buddy, jakby czytał w jej myślach.

Podniosła powieki, spojrzała na niego.

– Dobrze – przytaknęła. – Pomimo wszystko dobrze. – Na moment odwróciła wzrok. – Żałuję, że nie zrobiłam tego wcześniej. Po tym, jak mama... Powinnam była zostać, już wtedy. Gdybym tylko...

Niedokończone zdanie zawisło w powietrzu. Gdyby wróciła, być może ojciec żyłby teraz.

Przyszła Cherry z winem, podała Avery kieliszek i usiadła na swoim miejscu.

– Jakie masz plany?

– A jakie mogę mieć? Przede wszystkim muszę dopilnować wszystkich spraw związanych z pogrzebem taty. Po południu rozmawiałam z Dannym Gallagherem. Mamy się spotkać jutro zaraz po przerwie na lunch.

– Jak długo chcesz zostać? – Cherry uśmieła się wygodnie, podwinęła nogi pod siebie.

– Nie wiem. Wzięłam co prawda urlop w „Washington Post”, ale nie wiem. Muszę przejrzeć wszystkie rzeczy taty, posegregować, doprowadzić dom do takiego stanu, żeby można go było wystawić na sprzedaż. Pojęcia nie mam, ile czasu może mi to zająć.

– Przepraszam, że tak późno.

Avery podniosła wzrok. Matt stał w drzwiach salonu, przechylił lekko głowę i przyglądał się jej z rozbawioną miną. Zdążył już zrzucić mundur, teraz miał na sobie niebieskie dżinsy i białą koszulę. W dłoni ścisnął bukiet kwiatów.

– To dla mamy – poinformował z uśmiechem.

– Jest w kuchni?

– Przecież wiesz. – Cherry podeszła do brata i pocałowała go w policzek. – Tata właśnie utyskiwał, że nie ma wnuków. Przypomnij mi, żebyśmy następnym razem i ja się spóźniła.

Matt uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze, że mnie to ominęło, chociaż jak znam ojca, to zrobi nam powtórkę z rozrywki.

Buddy nasrożył się okrutnie.

– Ani wnuków na starość człowiek nie ma, ani nijakiego poważania u własnych dzieci. – Spojrzał w kierunku kuchni, jakby tam szukał pociechy.

– Lilu! – zawołał dramatycznym głosem. – Możesz mi powiedzieć, jakie błędy wychowawcze popełniliśmy?

Lila wychyliła głowę z kuchni.

– Zostaw dzieci w spokoju, na litość boską. Nie czepiaj się ich. – Spojrzała na kwiaty. – Do przybrania stołu?

– Tak jest, madame. – Matt podszedł do matki, pocałował ją w policzek i wręczył bukiet. – Czuję jakiś obiecujący zapach.

– Chodź, pomożesz mi z pieczystym. – Lila zwróciła się do córki: – Cherry, włożysz kwiaty do wazonu?

Avery obserwowała tę rodzinną scenę. Rodzina. Mogła należeć do tej rodziny. Formalnie i oficjalnie. Wszyscy spodziewali się, że wyjdzie za Matta.

– Zastanawiałaś się, czy nie zostać? – Głos Buddy’ego przerwał jej rozmyślenia. – Tu się urodziłaś, wychowałaś. Tu jest twoje miejsce.

Spojrzała na niego, nie bardzo wiedząc, co miałaby odpowiedzieć. Przyjechała, żeby zająć się sprawą rodzinną, ale też w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania dotyczące zarówno śmierci ojca, jak i jej życia w ogóle.

Od jakiegoś czasu miała wrażenie, że zamiast zmierzać w jakimś kierunku, po prostu dryfuje, ani szczęśliwa, ani nieszczęśliwa, jeśli już, to raczej niezadowolona. Ale dlaczego? Tego już nie potrafiła powiedzieć.

– Tak myślisz, Buddy? Zawsze miałam wrażenie, że dopiero muszę znaleźć swoje miejsce.

– Twój ojciec też tak uważał.

Ojciec... Każda wzmianka o nim od razu wywoływała łzy.

– Tak bardzo mi go brakuje.

– Wiem, maleńka.

Zapadła ciężka, przykra cisza, którą wreszcie przerwał Buddy:

– Nigdy nie przeboleał śmierci twojej matki. Nie mógł otrząsnąć się z szoku. Tak nagle odeszła, w tak straszny sposób. Kochał ją bardzo.

Wylew dopadł ją na autostradzie. Jechała do Nowego Orleanu, by odebrać z lotniska kuzynkę.

Tak się cieszyła na ten wyjazd: tydzień chodzenia po sklepach, wypadów do restauracji i nowoorleańskich klubów.

Rozpędzony samochód zjechał ze swojego pasa i roztrzaskał się o bandę.

Lila westchnęła głośno, jakby próbowała powstrzymać szloch.

– To było... koszmarnie. Poprzedniego wieczoru jeszcze z nią rozmawiałam, zadzwoniła do mnie. Mówiła, że nie czuje się dobrze. Powiedziała Phillipowi, co jej dolega, zastanawiała się, czy powinna jechać do Nowego Orleanu. Namawiał ją, żeby jednak pojechała, że odpocznie przez tydzień, spędzi miło czas, rozerwie się. Myślę, że nigdy sobie tego nie wybaczył.

– Powtarzał, że powinien był przewidzieć... wiedzieć – mruknął Buddy. – Obwinił się, że bardziej troszczył się o pacjentów niż o zdrowie własnej żony.

Avery splotła kurczowo dłonie.

– Nie wiedziałam. Ja... tata mówił, że czuje się odpowiedzialny, ale ja...

Uspokajała go. Zapewniała, że w niczym nie zawinił.

I zajmowała się swoimi sprawami.

Matt wyminął matkę, podszedł do Avery, stanął za fotelem i dotknął jej ramienia.

– To nie twoja wina, Avery – powiedział cicho.

– Daj spokój.

Uścisnęła mu dłoń, dziękując za te proste słowa pociechy.

– Matt mi mówił, że tata dziwnie się zachowywał. Że z nikim się nie widywał, nie chciał z nikim rozmawiać. A jednak... pomimo wszystko... jak mógł zrobić to, co zrobił?

– Chyba mogę to zrozumieć – zaczęła Cherry.

– Kiedy kogoś kocha się aż tak bardzo, jak twój tata kochał mamę, człowiek staje się zdolny do najbardziej nieprawdopodobnych, niewiarygodnych rzeczy... do rzeczy ostatecznych

i strasznych.

W pokoju zapadła cisza. Avery chciała coś powiedzieć, przerwać dławiące milczenie, lecz nie mogła dobyć z siebie słowa.

Buddy, niech mu będą dzięki, znalazł się i tym razem:

– Kolacja gotowa, skarbie? – zwrócił się do żony.

– Owszem. – Lila skwapliwie podchwyciła pytanie, rada, że mogą wrócić do spraw zwykłych, codziennych, i na moment zapomnieć o tragedii.

– Kolacja gotowa i stygnie.

– Siadajmy zatem do stołu – zakomenderował Buddy.

Przeszli do jadalni i zasiedli za stołem, a kiedy Buddy odmówił modlitwę, zaczęto przekazywać sobie półmiski, miski, salaterki, zawsze z prawa do lewej, zgodnie z od niepamiętnych lat obowiązującym przy stole Stevensów porządkiem.

Avery nakładała sobie wszystko po trochu, wszystkiego spróbowała, wszystko chwaliła, tu wtrąciła słowo, tam opowiedziała anegdotę, ale niejako z konieczności, z przymusu. Reszta chyba nie czuła się wcale lepiej od niej. Każdy udawał, starał się podtrzymywać rozmowę, jakby nic się nie zmieniło, jakby wszystko było normalnie.

Ale powrót do normalności wcale nie był łatwy, może w ogóle niemożliwy. Kiedyś przy tym stole zasiadali także rodzice Avery. Kiedyś Matt, Hunter i ona, ledwie zjedli, zaszywali się w kącie, sprzeczali, przekomarzali, wygłupiali.

Teraz dopiero zdała sobie sprawę, jak bardzo brakowało jej Huntera, jak za nim tęskniła.

To on w ich paczce był dyżurnym intelektualistą, co nie znaczy, że górował inteligencją nad Avery i Mattem, bo oboje przeszli przez szkołę śpiewająco, niemal na samych piątkach, nie wiedząc, co znaczy wkuwanie.

Hunter jednak, w przeciwieństwie do nich, odznaczał się szczególnie przenikliwym, zaprawionym ironią spojrzeniem na świat. I nie trzymały się go głupie figle, czego nie dało się powiedzieć o Avery i Matcie. To on zwykle rozsądzał konflikty, studził emocje.

Avery nie dziwiło ani trochę, że został wziętym prawnikiem. Bystry umysł i cięty język musiały mu dawać ogromną przewagę na sali sądowej.

– Matt wspomniał, że Hunter wrócił – napomknęła przy deserze. – Myślałam, że go tu zobaczę. – Przy stole zaległa cisza. Avery omiotła spojrzeniem znieruchomiałe twarze. – Przepraszam, powiedziałam coś niestosownego?

Buddy odchrząknął.

– Nie, maleńka. Chodzi tylko o to, że Hunter miał ostatnio kłopoty. Stracił udziały w kancelarii, którą prowadził z kilkoma współnikami. Omal nie został wykluczony z palestry, jak mówi. W efekcie mniej więcej dziesięć miesięcy temu wrócił do Cypress Springs.

– Nie wiem właściwie po co, w każdym razie na pewno nie z tęsknoty za rodziną – prychnął

Matt.

– Niepotrzebnie wracał – dodała Cherry z ponurą miną. – Chyba nam wszystkim na złość.

– Nie możesz tak mówić, córeczko – mruknął Buddy.

– Dlaczego nie? Gdyby czuł się choć trochę bratem i synem, zachowywałby się inaczej, a jemu na nas wcale nie zależy i...

Lila zerwała się z za stołu ze łzami w oczach.

– Przyniosę kawę – powiedziała.

– Pomogę ci. – Zdegustowana Cherry podniosła się w ślad za matką, spojrzała na Avery i dodała, jakby pointując temat: – Jeśli chcesz wiedzieć, Hunter bardzo nas wszystkich zranił. To jego cały wkład w życie rodzinne.

Rozdział 3

Napomknięcie o Hunterze do końca zwarzyło atmosferę przy stole. Lila pokrywała smutek wymuszonym uśmiechem, Cherry z minuty na minutę popadała w coraz to bardziej ponury nastrój, a wesołość Buddy'ego była żalosna w swojej sztuczności.

Po kawie Avery podziękowała serdecznie, bąknęła, że pora już późna, więc na nią czas, i zaczęła się zegnąć. Lila i Cherry zostały w jadalni, a Buddy towarzyszył jej i Mattowi do drzwi.

– Byliśmy niepokieszeni, kiedy wyjechałaś – powiedział, ściskając ją na pożegnanie. – A ja chyba najbardziej. Zawsze byłaś mi drugą córką.

– Ja też cię kocham, Buddy – zapewniła go, oddając uścisk.

Matt odprowadził ją do samochodu.

– Piękna noc. – Avery popatrzyła w górę.

– Tyle gwiazd. Zapomniałam już, jak wygląda rozgwieżdżone niebo. Światła wielkiego miasta... Gwiazdy się przez nie, nie przebijają, wiesz?

– Cieszę się, że przyjechałaś. I że przyjęłaś zaproszenie na kolację. Było znowu jak za dawnych czasów.

Serce Avery zabiło szybciej na te słowa.

– Tęskniłem za tobą. Cieszę się, że przyjechałaś – powtórzył Matt.

Cóż, ona też za nim tęskniła. A mówiąc dokładniej, tęskniła za takimi chwilami jak ta, kiedy może stać z Mattem na podjeździe, przed domem jego rodziców, pod rozgwieżdżonym niebem. Tak, tęskniła za swojskością, za poczuciem, że jest się u siebie, w domu, wśród bliskich sobie ludzi.

Jakby czytał w jej myślach.

– Dlaczego właściwie wyjechałaś, Avery? Ojciec ma rację. Twoje miejsce jest tutaj. Jesteś jedną z nas.

– Dlaczego nie wyjechałaś ze mną? Prosiłam cię, błagałam...

Matt uniósł dłoń, jakby chciał dotknąć Avery, jednak się rozmyślił.

– Ty pragnęłaś czegoś więcej, czegoś innego, chciałaś się stąd wyrwać. To, co Cypress Springs miało ci do zaoferowania, co ja mogłem zaoferować, nie wystarczało ci. Nigdy tego nie rozumiałem, ale musiałem zaakceptować twoją decyzję.

Matt miał rację i potrafił ją wyrazić w kilku prostych słowach. Nie było sensu zaprzeczać, podejmować dyskusji. Avery poczuła się niezręcznie, dlatego na wszelki wypadek zmieniła temat:

– Twój ojciec i Cherry mówią, że najprawdopodobniej wygrasz wybory na stanowisko szeryfa. Wcale mnie to nie dziwi. Na pewno ci się powiedzie. Zawsze mówiłeś, że jesteś stworzony do wielkich rzeczy.

– Tak, tylko że oboje zawsze inaczej pojmowaliśmy wielkie rzeczy, prawda, Avery?

– To nie fair, Matt.

– Ale to prawda. – Zamilkł na moment. – Złamałaś mi serce.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Ty mnie też.

– Zatem jesteśmy kwita, tak? Po jednym złamanym sercu na łebka.

Avery drgnęła. To były ostre, bolesne słowa.

– Matt... nie chodziło o ciebie. To ja. Nigdy nie czułam...

Chciała powiedzieć, że nigdy nie czuła szczególnego przywiązania do Cypress Springs. Że zawsze czuła się inna. Że nie przystawała do swoich koleżanek.

Z perspektywy lat tamte wrażenia wydawały się śmieszne, niepoważne. Odczucia skupionej na sobie, egocentrycznej smarkuli.

– Co teraz, Avery? Czego chcesz, czego pragniesz, dokąd zmierzasz?

Zakłopotana odwróciła wzrok.

– Nie wiem. Nie chcę wracać tam, skąd przychodzę, tego jednego jestem pewna.

– Wygląda na to, że sporo musisz przemyśleć. Łagodnie mówiąc. Nie sporo, ale wszystko, i nie przemyśleć, ale dokładnie zrewidować. To ją czekało.

Włożyła kluczyk do stacyjki i spojrzała jeszcze raz na Matta.

– Muszę jechać. Padam z nóg, a jutro czeka mnie ciężki dzień.

– Możesz zostać u nas. Miejsca jest dosyć. Rodzice się ucieszą.

W głębi duszy miała wielką ochotę przyjąć zaproszenie. Myśl o spędzeniu nocy w domu rodzinnym, teraz, kiedy ojciec... Bała się, była niemal pewna, że nie zmruży oka.

Przyjęcie gościny byłoby jednak tchórzostwem. Musi stawić czoło temu, co się stało. Przenocuje w domu, w którym się wychowała.

Matt otworzył drzwiczki terenówki.

– Jak zwykle chorobliwie niezależna. I uparta jak osioł.

Usiadła za kierownicą, zapaliła silnik i odszczeknęła się:

– Niektórzy uważają, że to zalety.

– Jasne, u osła, a i to niekoniecznie. – Matt nachylił się do niej. – Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

– Zadzwonię. Dziękuję. – Wycofała samochód z podjazdu i powoli ruszyła w stronę centrum miasteczka, gdzie przez tyle lat mieszkała.

Uśmiechnęła się do siebie i pokręciła głową. Jak ona błagała rodziców, żeby przenieśli się do Spring Water i zamieszkali w pobliżu Ranczerówki Stevensów. Była zakochana w tej okolicy, w przestronnych, wygodnych domach.

Wtedy wydawały się jej wspaniałe, teraz dostrzegała ich tandetność: tanie osiedle na

niewielkim skrawku gruntu zabudowanym tak gęsto, jak to możliwe.

Na szczęście rodzice nie zamierzali się przeprowadzać. Tam, gdzie mieszkali, było im wygodnie i wszędzie blisko, do sklepów, do gabinetu, gdzie przyjmował ojciec. Dom był solidny, wzniesiony w latach dwudziestych, posesja duża, wokół mnóstwo zieleni, spokój, gazowe latarnie, staroświecki urok.

Cypress Springs, w przeciwieństwie do wielu innych miast i miasteczek, oparło się urbanizacji, której skutkiem jest powolna degradacja samego centrum i ucieczka zamożniejszych na przedmieścia. Tutaj czas się zatrzymał i Cypress, położone wśród wzgórz, o dwie godziny jazdy od Nowego Orleanu, nadal było tym samym malowniczym, prowincjonalnym, typowym miasteczkiem Południa jak przed dziesiątkami lat, kiedy powstawało.

Poza tym, że żyło się tu bezpiecznie, nie posiadało żadnych innych tytułów do chwały i do żadnych nie aspirowało.

Ojcowie miasta nie mieli takich ambicji, Avery dobrze o tym wiedziała. Dorastała, słuchając rozmów toczonych przez ojca, Buddy'ego i ich znajomych. Wszyscy oni byli zgodni co do jednego: nie dopuścić do industrializacji miasta i okolicy. W tej swojej postawie byli typowymi ludźmi Południa, przywiązani do tradycji konserwatystami, dla których przemysł oznacza ciągłą pogoń za modernizowaniem świata, a modernizowanie kojarzy się ze złem i upadkiem patriarchalnego, agrarnego etosu.

Cypress miało pozostać czyste, nieskalane nowinkami. Dobrze pamiętała, jak wszyscy zawrżeli oburzeniem, kiedy Charlie Weiner sprzedał swoją ziemię korporacji Old Dixie Foods i kiedy okazało się, że na wykupionych gruntach firma zamierza wybudować zakłady produkujące konserwową żywność.

Avery jechała pustymi ulicami. Dochodziła dopiero dziesiąta, ale miasteczko już układało się do snu. Pokręciła głową. Przez ostatnich kilkanaście lat zdążyła nawyknąć do zupełnie innego stylu życia, do miejsc, gdzie korki na ulicach zdarzają się o każdej porze dnia i nocy, gdzie pieszy spacer nocą oznacza wystawianie życia na niebezpieczeństwo, gdzie ludzie żyją w anonimowym tłumie, niby jeden obok drugiego, ale nie zauważając siebie nawzajem.

Chociaż Waszyngton jest miastem pełnym zieleni, nie umywał się do parafii West Feliciana. Ciepły klimat i duża wilgotność stwarzały doskonałe warunki dla bujnej roślinności: azalie, gardenie, kamelie, karłatki, te nazwy można by mnożyć, stuletnie magnolie obsypujące się w maju białym kwieciami o zapachu przypominającym o zawrót głowy. I stare, majestatyczne dęby o potężnych konarach i ciężkich koronach.

Kiedyś Cypress wydawało się jej brzydkie. Rozpaczliwie prowincjonalne, tandetne, nudne. Nie miała racji, teraz to przyznawała.

Dlaczego nie potrafiła wcześniej dojrzeć uroku tego miejsca?

Skręciła w swoją ulicę i w chwilę później była już pod domem rodziców. Wysiadła

z samochodu i wyjęła kluczyk ze stacyjki bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności.

Wracała myślami do rozmowy z Mattem.

Czego pragnie? Dokąd zmierza? Gdzie jest jej miejsce? Tyle pytań, które dramatycznie domagają się odpowiedzi.

Zaskrzypiał bujak na ganku. W cieniu krzewów azalii zamajaczyła wysoka postać. Wystraszona Avery zatrzymała się.

– Witaj.

Hunter. Natychmiast poznała go po głosie. Odetchnęła z ulgą.

– Za długo mieszkam w wielkim mieście. Napędziłeś mi stracha.

– To normalne. Wszyscy tak reagują na mój widok.

Uśmiechnęła się, ale Hunter miał rację, mógł straszyc. Widziała jego twarz w mdłym świetle lampy: wyostrome rysy, bruzdy wokół ust, podkrążone oczy, kilkudniowy zarost.

W Waszyngtonie na widok kogoś takiego przeszłaby na drugą stronę ulicy.

Jak dwaj bracia mogą się aż tak różnić fizycznie? Nie pojmowała tego. Choć nie byli bliźniakami jednojajowymi, jako dzieci, a potem dorastający chłopcy na takich właśnie wyglądali. Trudno uwierzyć, że to uderzające, bliźniacze podobieństwo przez lata gdzieś się zatraciło. Jakby w dorosłość weszli obcy sobie ludzie.

– Słyszałem, że wróciłaś. Nie mogłem nie słyszeć, to oczywiste.

– W Cypress wieści szybko się rozchodzą.

– Jak w każdej takiej dziurze. Ludzie muszą o czymś gadać.

Hunter bardzo się zmienił, ale raczej nie upływ czasu tego dokonał, co nadmierny bagaż doświadczeń... złych doświadczeń. Avery wyczytała to z jego twarzy, przygaszonych oczu, brzmiącego goryczą głosu. Twardą musiał przejść szkołę.

– A mój powrót to prawdziwa sensacja.

– A więc to prawda? Wróciłaś na dobre?

– Tego nie powiedziałam.

– Ploty. Od razu tak pomyślałem. – Wzruszył ramionami. – Ale czy to można wiedzieć?

– Co mianowicie? – Założyła ręce na piersi.

– Avery, czy ja cię może peszę?

– Nie, skąd. – Zirytowana własnym zachowaniem, opuściła ręce. – Byłam dzisiaj na kolacji u twoich rodziców.

– Owszem, to też już wiem.

– Myślałam, że cię tam zobaczę.

– Powiedzieli ci, że mieszkam w Cypress Springs?

– Matt mi powiedział.

– A powiedział, dlaczego wróciłem?

– Tyle tylko, że miałeś jakieś kłopoty.

– Miły eufemizm. – Hunter spojrział w stronę domu. – Przykro mi z powodu twojego ojca.

Był wspaniałym człowiekiem.

– Też tak uważam. – Avery zadzwoniła nerwowo kluczami. Miała dość tej rozmowy. Chciała zamknąć za sobą drzwi i zostać wreszcie sama.

– Nie zapytasz mnie?

– O co?

– Czy rozmawiałem z nim przed śmiercią. Słowa Huntera ostatecznie wytrąciły ją z równowagi.

– Nie rozumiem.

– Chyba jasno się wyraziłem.

– No więc rozmawiałeś?

– Tak. Martwił się o ciebie.

– O mnie? – Zachmurzyła się. – Dlaczego?

– Bo twoja matka umarła, zanim wyjaśniłyście sobie pewne sprawy.

„Pewne sprawy”. Oto trafne określenie dla nagromadzonych przez lata uraz, żalów, dla nieustannej, nigdy niezaspokojonej tęsknoty za bezwarunkową matczyną miłością, akceptacją. W uszach zabrzmiała litania rad, porad i połajanek, którą matka powtarzała wiecznie, ciągle od nowa, chyba już z czystego nawyku.

„Avery, dziewczynki nie wspinają się na drzewa, nie budują fortów i na pewno nie bawią z chłopcami w Indian. Dziewczynki noszą kokardy we włosach i sukienki z falbankami. Dżinsy i T-shirty to nie jest strój dla małej damy. Dziewczynka powinna zachowywać się zawsze jak mała dama. Dziewczyna (to już później) powinna żyć jak dama. Dziewczyna nie ucieka do wielkiego miasta, żeby tam szlifować bruki. Dziewczyna nie odrzuca przyzwoitej partii, żeby gonić za mrzonkami”.

– Bał się, że może cię to dręczyć – ciągnął Hunter. – Twoją mamę dręczyło. Jego też. Nie mógł przeboleć, że umarła, zanim zdążyłyście się pogodzić.

– Powiedział ci to? – wykrztusiła Avery. Gdy Hunter skinął głową, Avery odwróciła spojrzenie. Przypomniała sobie słowa, które niemal wykrzyczała matce tuż przed wyjazdem na studia:

– Przestań tak się o mnie zamartwiać! Nigdy mnie nie zaakceptowałaś, nie aprobowałaś moich wyborów. Nigdy nie byłam taka, jaką chciałabyś mnie widzieć. Powiedz to sobie wreszcie.

Ale matka trwała przy swoim i nadal chowała w sercu żal, że Avery nie dorasta do jej wyobrażeń. Nie wracały więcej do problemu, ale bolesna zadra pozostała.

– Uważał, że to dlatego nie przyjeżdżasz do domu. – Hunter wzruszył ramionami. –

Ciekawe, ty nie mogłaś pogodzić się ze sposobem życia twojej matki, on nie mógł się pogodzić z jej śmiercią.

Avery podchwyciła ostatnie słowa.

– Co to znaczy, nie mógł się pogodzić?

– To chyba oczywiste, Avery. Ludzie nazywają ten stan żałobą.

Kpi sobie z niej. Bawi się jej kosztem.

– Można wiedzieć, gdzie odbyła się ta doniosła konwersacja? – zapytała ze złością.

– Odbyliśmy ich wiele.

Wydarzenia dwóch ostatnich dni, wstrząs, rozpacz, konfrontacja z przeszłością tak bliską, a zarazem obcą, wszystko to dało teraz o sobie znać.

– Nie mam siły słuchać tych bzdur, nawet gdybym chciała. Spróbuj wskrzesić w sobie ludzkie cechy, odprowadź mnie do drzwi i znikaj.

Usta Huntera zadrgały w ironicznym, cynicznym uśmiechu.

– Nie odpowiedziałem jeszcze na twoje pytanie. Jesteś ciekawa, co myślę o plotkach na temat twojego powrotu? Otóż myślę, że spuścisz staruszkę do grobu i tyle będą cię tu widzieć.

Cofnęła się o krok, dotknęła do żywego. Zaszokowana, że potrafił powiedzieć coś podobnego. Skąd w nim tyle okrucieństwa? I to wobec kogoś, z kim łączą go lata przyjaźni. Minęła go, przekręciła klucz w zamku, weszła do domu i zatrzasnęła drzwi.

Zdażyła jeszcze zobaczyć jego wykrzywioną bólem twarz.

Hunter Stevens, człowiek nawiedzony przez demony.

Niech go diabli, nomen omen, pomyślała z wściekłością. Miała własne złe duchy, z którymi musiała się uporać.

Rozdział 4

Hunter wpatrywał się w nietknięte butelki: piwo, wino, whisky, wódka. Grzechy przeszłości. Każda butelka to kolejny gwóźdź do trumny. Przepił swoje życie, po prostu, dosłownie, bez metafor.

Trzymał alkohol w domu, żeby sobie dowieść, że zdierży, że tym razem się nie złamie. Było to sprzeczne z zasadami i praktyką Anonimowych Alkoholików. Każdy trzeźwy alkoholik powiedziałby mu, że to wystawianie się na niepotrzebne ryzyko, kuszenie złego, ale Hunter był masochistą.

Na wspomnienie spotkania z Avery wzbierała w nim dławiąca wściekłość. Kiedyś byli najlepszymi przyjaciółmi: on, Matt i Avery. Zanim wszystko wymknęło się spod kontroli. Zanim jego życie zamieniło się w cuchnące bagno.

Wyobrażał ją sobie przy stole w jego rodzinnym domu: siedzi obok Matta, wszyscy śmieją się, żartują, przerzucają wspomnieniami, przywołują dawne dobre czasy.

Jaką jemu dali rolę w tych wspomnieniach? A może żadnej? Może w ogóle go pominęli? Wyrzucili poza nawias, jakby w ogóle nie istniał?

Znowu został wykluczony. Zawsze stał z boku, biernie obserwował. Outsider bez przydziału, bez miejsca, bez przynależności.

Co się z tobą stało, Hunter?

Dobre pytanie, pomyślał, spoglądając na butelki. Zacisnął dłonie. Nie, nie złamie się, nie sięgnie po kieliszek, żeby upić się do nieprzytomności, o wszystkim zapomnieć.

Zbyt dobrze znał tę drogę. Wiodła w jednym kierunku, w dół, do piekła.

Piekła, które sam sobie zgotował. Zapelnionego krzyczącymi w głos, przerażonymi dziećmi. Piekła, wobec którego był absolutnie bezradny, bezsilny. Mógł tylko przyglądać się ze zgrozą, przepelniony wstrętem do samego siebie. Wstrętem i rozpaczą.

Wciągnął głęboko powietrze i szybko wyszedł z kuchni, byle uciec od widoku butelek.

Przemierzył niewielką bawialnię i usiadł przy zaimprovizowanym biurku w kącie pokoju, przed ekranem włączonego komputera. Przycisnął pierwszy z brzegu klawisz, wygaszacz zniknął i pojawił się otwarty plik tekstowy, nad którym Hunter właśnie pracował. Kolejny rozdział powieści, jego powieści o prawniku staczającym się na samo dno.

Gdyby znał zakończenie...

Bywały dni, kiedy wierzył, że jego bohater ostatecznie wydobędzie się z otchłani. Kiedy indziej znowu ogarniało go takie przygnębienie i takie poczucie beznadziei, że nie był w stanie oddychać swobodnie, a co dopiero myśleć o szczęśliwym zakończeniu.

Poprawił się w fotelu, ale nie mógł zmusić się do pracy. Myśli zaprzętała mu Avery, jej pojawienie się w Cypress, tragiczna śmierć Chauvina.

Co musi czuć człowiek, który przykłada zapaloną zapałkę do ciała? Co nim powoduje?
Dlaczego wybiera taką okrutną śmierć?

Hunter to wiedział. Rozumiał. Też zstąpił do piekła.

Spojrzał na ostatnie słowa, które napisał: „Jack walczył z niszczącymi go mocami. Po jednej stronie prawa ludzkie, po drugiej boskie... Jeden fałszywy krok i będzie zgubiony”.

Zgubiony.

Odnaleźć się.

Po to wrócił do domu, żeby się odnaleźć, uporządkować swoje życie, zacząć wszystko od nowa.

Ledwie zabrał się za siebie, pojawiła się Avery.

I znowu spotkali się w trójkę: on, Matt, ona. Wtedy, kiedy wszystko zaczęło się sypać, też byli w trójkę. Czy obecność Avery wpłynie jakoś na jego zamierzenia?

Nie, nie powinna. Nie może. Sam wydobędzie się z dna. Uporządkuje swoje sprawy. Choćby miało to być najboleńsze doświadczenie w jego życiu.

Rozdział 5

Avery obudziła się z krzykiem, usiadła gwałtownie w pościeli, serce waliło jej jak młotem. Wołała przez sen ojca. Spojrzała na drzwi sypialni. Znów była tamtą dziewczynką sprzed lat, która wyczekiwała, że za moment do pokoju wpadnie ktoś z rodziców, utuli i uspokoi.

Nie była już dzieckiem, rodzice odeszli, nikt nie zareagował na jej krzyk. Osunęła się na poduszki. Nic dziwnego, że długo nie mogła zasnąć. Jeden odgłos, jedno skrzypnięcie, rzecz normalna w starym domu, i otwierała natychmiast oczy. Wstawała. Sprawdzała, czy drzwi aby na pewno zamknięte. Wyglądała przez okno. Chodziła niespokojnie po pokoju.

Podejrzewała, że to nie tajemnicze odgłosy nie dają jej zasnąć, tylko niezwykle cisza.

W końcu wzięła dwie tabletki nasenne. Poskutkowały. Przyszedł sen.

A ze snem koszmary. Śniło się jej, że jest w łonie matki, skulona, bezpieczna. I nagle ktoś, lub jakaś nieznana siła, wyrzywa ją z tego schronienia na świat zalany rażącym światłem. Nie może znieść blasku. Jest naga. Jest jej zimno.

W następnej sekundzie ogarniają ją płomienie.

Obudziła się z krzykiem, wzywając ojca.

Nie trzeba być wróżką ani psychoanalitykiem, żeby zrozumieć znaczenie tego snu.

Spojrzała na budzik. Już dziewiąta. Odrzuciła kołdrę i wstała. W nocy temperatura spadła, w domu zrobiło się chłodno. Drżąc z zimna, podeszła do walizki, chwilę przewracała rzeczy, wreszcie znalazła, czego szukała: legginsy i grubą bluzę. Szybko wciągnęła jedno i drugie, nie zdejmując nawet koszuli nocnej.

Jako tako zabezpieczona przed zimnem, zeszła do kuchni, po drodze wyglądając na ganek, żeby zabrać poranną gazetę.

Przez chwilę wpatrywała się nieruchomo w idealnie pustą podłogę ganku, zanim dotarły do niej dwie rzeczy zgoła oczywiste. Po pierwsze, jedyna gazeta ukazująca się w Cypress wychodziła tylko dwa razy w tygodniu, w środy i w soboty, po drugie jej właściciel i redaktor naczelny w jednej osobie na pewno wstrzymał subskrypcję zaraz po śmierci ojca. Tak, to całkiem oczywiste. W dbającym o porządek Cypress Springs niepodjęte gazety nie mogły zaśmiecać wejść do domów zmarłych czytelników.

Poranna kawa bez gazety? Avery skrzywiła się bezwiednie.

Pokręciła głową, zamknęła drzwi i poszła do kuchni. Kiedy pojedzie do miasteczka, kupi nowoorleański „Times Picayune” albo „The Advocate” wychodzący w Baton Rouge.

A jechać będzie musiała zaraz, stwierdziła, otwarszy lodówkę. Wczoraj nie sprawdziła, choć powinna, czy w domu jest coś do jedzenia.

Nie było nic.

Chleba, mleka, jajek. Nawet kawy.

Fatalnie.

Przeczesała czuprynę palcami. Po wczorajszej obfitej kolacji mogłaby właściwie darować sobie śniadanie. Pewnie by mogła, ale jak zacząć dzień bez kubka kawy? Tego sobie nie wyobrażała.

Będzie jednak musiała wyjść z domu.

Przebrała się, umyła zęby, ochlapała twarz zimną wodą, znalazła swoje reeboki, wzięła je, zeszła na dół, otworzyła drzwi.

I wpadła prosto na Cherry.

– Cześć, Avery – uśmiechnęła się Stevensówna promiennie. – A ja się bałam, że cię obudzę.

– Chciałabym. – Avery łypnęła na kosz piknikowy, który Cherry wdzięcznie oparła sobie o biodro. – Miałam zamiar iść po gazetę i kawę. Nie powiesz mi, że przyniosłaś jedno i drugie?

– Cały termos świeżo parzonej kawy. O gazecie nie pomyślałam. Wybacz.

– Ratujesz mi życie. Wchodź.

– Przypomniałam sobie, że twój ojciec nie pijał kawy, więc pomyślałam, że pewnie marzysz o kubku dobrej, mocnej arabiki.

Matka piła kawę nałogowo, ojciec wcale. Cherry pamiętała, jej samej ten charakterystyczny drobiazg umknął z głowy. Co się z nią dzieje?

– Na pewno nie zdążyłaś kupić nic do jedzenia. – Cherry wskazała na kosz. – Mama przysłała domowy biszkopt i dżem brzoskwiniowy, też swojej roboty.

Na sam dźwięk tych słów Avery pociekła ślinka.

– Wiesz, kiedy ostatnio jadłam prawdziwy domowy biszkopt?

– Pewnie podczas ostatniej wizyty w domu. – Cherry weszła za Avery do kuchni, postawiła kosz na blacie. – Jankesi nie mają pojęcia o prawdziwych biszkoptach. Kropka. Rzekałam. – Powiedziała to tak stanowczo, jakby wojna secesyjna wybuchła z powodu biszkoptów.

Avery parsknęła śmiechem. Miała wrażenie, że przeniosła się w dziewiętnasty wiek, kiedy animozje między Północą a Południem osiągnęły punkt wrzenia. Cherry miała rację: sztuka wypiekania udanych biszkoptów była jednym z rytów inicjacyjnych dla każdej dziewczyny z Południa. Avery również tego rytuału nie przeszła. Jak wielu zresztą innych. Jako panna z Południa zawiodła na całej linii.

Cherry pomyślała o wszystkim. Zaczęła od tego, że wyjęła z kosza dwie podkładki w biało-niebieską kratkę, identyczne serwetki, talerzyki i sztucce. Znalazła się nawet starannie owinięta w papier żółta różyczka i mały wazonik. Napełniła wazonik wodą, wstawiła kwiat i oznajmiła z satysfakcją:

– Oto jak powinien wyglądać stół nakryty do śniadania.

Avery naląła kawę do kubków, upiła łyk gorącego naparu i przymknęła oczy, rozkoszując się smakiem i aromatem.

– Kiepską miałaś noc? – Cherry podniosła swój kubek do ust.

– Okropną. Najpierw nie mogłam usnąć, a kiedy wreszcie usnęłam, śniły mi się jakieś koszmary.

– Trudno się dziwić. Zważywszy. – Cherry miała lakoniczny sposób wysławiania się.

Zważywszy. Avery odwróciła wzrok, odchrząknęła.

– Kochana jesteś, że pomyślałaś o mnie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Bardzo mi ciebie brakowało. Wszyscy za tobą tęskniliśmy. – Cherry, trochę zakłopotana, wygładziła serwetkę i podniosła wzrok. – Jesteś jedną z nas. Zawsze będziesz.

– Chcesz mi coś powiedzieć, prawda? – zapytała Avery z uśmiechem. – Coś w rodzaju: możesz uciec ze swojego miasteczka, ale ono i tak będzie tkwiło w tobie?

– Mniej więcej. – Cherry odpowiedziała ciepłym uśmiechem na uśmiech Avery i konfidencko nachyliła się ku niej. – Ale wiesz, nie ma w tym nic złego. Moim skromnym zdaniem prowincjuszki. Kropka. Rzekłam.

Avery zaśmiała się i sięgnęła po biszkopt. Odłamała kawałek. Był dobrze nasączony, zwarty i jeszcze ciepły. Posmarowała go dżemem, włożyła do ust i wydała pomruk ukontentowania. Kilka takich posiłków jak wczorajsza kolacja, dzisiejsze śniadanie i nie będzie w stanie dopiąć dzinsów.

Odłamała następny kawałek.

– Co u ciebie, Cherry? Dwa lata temu skończyłaś studia. Na uniwersytecie stanowym, prawda? Nicholls State University?

– Wielki mi uniwersytet. Harvard nad Missisipi – powiedziała Cherry z lekceważeniem. – W zeszłym roku. Technologię żywienia. Bez sensu. W Cypress Springs nie ma zapotrzebowania na technologów żywienia – dodała ze wzruszeniem ramion. – Chyba nie przemyślałam swojej decyzji, wybierając kierunek.

– Może znalazłabyś coś w Baton Rouge.

– Nie wyjadę z Cypress.

– Byłabyś blisko...

– Nie – ucięła Cherry stanowczo. – Tu jest mój dom.

Zapadło niezręczne milczenie. Avery przerwała je pierwsza:

– Co teraz robisz?

– Trochę pomagam Peg w kawiarni. Pracuję w dwóch organizacjach dobroczynnych. Uczę w szkółce niedzielnej. Zajmuję się domem, żeby odciążyć mamę.

– Mama choruje?

Cherry zawahała się, po czym uśmiechnęła.

– Nie, skąd. Po prostu... ma już swoje lata. Nie chcę, żeby się przepracowywała.

Avery upiła kolejny łyk kawy.

– Mieszkasz nadal z rodzicami?

– Uhm. Jakoś głupio byłoby się wyprowadzać. Dom jest taki duży. – Cherry zamilkła na moment. – Zastanawiamy się z mamą, czy nie otworzyć firmy cateringowej. Nie nastawiałybyśmy się na obsługę wesel, wielkich przyjęć, raczej na obiady domowe, lunchy do biur. Tanie, smaczne i pożywne jedzenie.

– Czytałam kilka artykułów o podobnych firmach. Cieszę się wielkim powodzeniem. Wasza na pewno zrobiłaby furorę.

Cherry uśmiechnęła się, ucieszona zachętą i pochwałą Avery.

– Naprawdę tak myślisz?

– Jeszcze pytasz? Z waszymi talentami kulinarnymi? Będę waszą pierwszą klientką.

Cherry zmarkotniała.

– Jakoś nie możemy się do tego zabrać. Poza tym ja nie jestem taka jak ty, Avery. Nie chcę robić wielkiej kariery zawodowej. Chcę wyjść za mąż, mieć dzieci, to moje marzenia, tego pragnę.

Avery zazdrościła Cherry tej pewności. Gdyby ona wiedziała, czego pragnie w życiu... Kiedyś miała tę samą pewność. Kiedyś i ona wiedziała, czego chce.

Nachyliła się do Cherry.

– Kto to taki? Musi być przecież ktoś, o kim myślisz.

– Był – mruknęła Cherry. – On... Pamiętasz Karla Wrighta?

Avery skinęła głową.

– Owszem, pamiętam. Miły chłopak. Przyjaźnił się z Mattem.

– Był najlepszym przyjacielem Matta – uściśliła Cherry. – Nie od razu. Potem, jak Matt i Hunter... jak się między nimi popsulo. W każdym razie myślałam, że coś... nas łączy. Nie wyszło.

Avery uściśniła dłoń Cherry.

– Przykro mi.

– On... po prostu wyjechał. Przeniósł się do Kalifornii. Zaczął nowe życie. Planowaliśmy, że się pobierzemy, ale... – Cherry podniosła się nagle i podeszła do okna. Stała przez chwilę odwrócona plecami do Avery, zapatrzona w poranne niebo.

– Zależało mi na ślubie. Widać za bardzo nalegałam. Zadzwoił do Matta tuż przed wyjazdem. Z nim się pożegnał, ze mną nie.

– Naprawdę mi przykro.

Cherry mówiła dalej, jakby nie słyszała słów Avery:

– Matt prosił go, naciskał, żeby do mnie zadzwonił, żeby ze mną pomimo wszystko porozmawiał, ale on...

– Nie zadzwonił.

– Od dawna mówił o wyjeździe do Kalifornii. Ja byłam temu przeciwna, nie chciałam jechać, opuszczać rodziny, zostawiać Cypress Springs. Jak coś planowałam, to tylko tutaj. Przyzwyczajenie, zasiedzenie. Teraz myślę... – Głos się jej załamał.

Avery wstała, podeszła do Cherry, położyła jej dłoń na ramieniu.

– Jeszcze pojawi się ten właściwy, zobaczysz – powiedziała pocieszająco.

Cherry spojrzała na nią oczami pełnymi łez.

– Tutaj? W naszym miasteczku? Na palcach można policzyć sensownych facetów do wzięcia w moim wieku. Wszyscy stąd wyjeżdżają. Chciałabym być taka jak ty, myśleć o karierze zawodowej. Wtedy człowiek może polegać wyłącznie na sobie. Żeby moje marzenia się spełniły, trzeba dwojga. To nie w po... – Nie była w stanie dokończyć zdania. – Gadam jak zgorzkniała stara panna. Jestem zgorzkniałą starą panną.

Avery uśmiechnęła się na to pełne rozpaczony stwierdzenie.

– Masz dwadzieścia cztery lata, Cherry. Trochę za wcześnie na zgorzknienie.

– Ja nie w tym sensie. To... to boli.

– Wiem. – Avery przypomniało się, co Cherry mówiła poprzedniego wieczoru. O miłości, która przynosi cierpienie i kończy się tragedią. Powiedziała to głośno.

Cherry otarła łzy.

– Nie martw się, nie zamierzam zrobić nic głupiego. A poza tym – wyraźnie się rozpogodziła – może Karl wróci? Ty wróciłaś.

Avery nie miała serca wyprowadzać Cherry z błędu, tłumaczyć, że jeszcze nie postanowiła, że nie wie, co dalej, że to tylko pozorny powrót.

– Rozmawiałaś z nim po jego wyjeździe? Gdy Cherry znowu łzy napłynęły do oczu, Avery najchętniej cofnęłaby pytanie.

– Zerwał kontakty ze wszystkimi, nawet ze swoim ojcem, który mieszka w Baton Rouge, w domu opieki. Jeżdżę do niego co tydzień.

– A Matt ma z nim kontakt?

– Raz tylko rozmawiali. Matt strasznie mu nawymyślał. Że tak mnie potraktował. Od tamtej pory Karl się nie odezwał.

Avery mogła sobie wyobrazić, co Karl usłyszał od przyjaciela. Matt zawsze był przesadnie opiekuńczy wobec Cherry, a ona patrzyła w niego jak w obraz.

Teraz tak jakoś dziwnie zerknęła na nią.

– On tęsknił za tobą.

– Słucham? – Avery była bardzo zaskoczona.

– Matt. Tęsknił za tobą. Ciągle wierzył, że wrócisz do niego.

Avery pokręciła głową. Nie przypuszczała nawet, że słowa Cherry obudzą w niej tyle

gwałtownych emocji.

– Minęło wiele czasu, Cherry. To, co nas łączyło, było piękne, a my byliśmy młodzi. Matt na pewno później spotkał kogoś...

– Nie. On kochał tylko ciebie. Tamto nie minęło. Ciągłe czujecie coś do siebie. Widziałam to wczoraj wieczorem. Nie tylko ja, ojciec i mama też tak myślą.

Kiedy Avery nie odpowiedziała, Cherry zapytała, mrużąc oczy:

– Czego się tak boisz?

Avery w pierwszej chwili zaczęła zaprzeczać, przekonywać, że niczego się nie boi, ale szybko zrezygnowała.

– Minęło tyle czasu – powtórzyła. – Nie wiadomo, czy mamy jeszcze coś wspólnego ze sobą.

– Macie.– Cherry chwyciła ją za rękę. – Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. A pewni ludzie są sobie przeznaczeni.

– Będziemy miały okazję się przekonać, czy to prawda – powiedziała Avery, z trudem siląc się na beztroski ton.

Cherry mocniej ścisnęła jej dłoń.

– Nie pozwolę, żebyś znowu go zraniła. Rozumiesz?

Avery szarpnęła rękę.

– Nie zamierzam ranić twojego brata, możesz mi wierzyć.

– Chcę ci wierzyć. Chcę wierzyć, że mówisz poważnie. Jeśli nie, trzymaj się z daleka, Avery. Proszę... trzymaj się z daleka.

– Puść moją rękę. To boli.

Wyraźnie speszona, Cherry zwolniła wreszcie uścisk.

– Przepraszam – bąknęła. – Kiedy chodzi o moich braci, przestają panować nad sobą.

Spojrzała ostentacyjnie na zegarek, krzyknęła, że zrobiło się strasznie późno, a ona za chwilę ma zebranie Gildii Kobiet. Szybko spakowała do kosza, co było do spakowania, jednak kawę i resztę biszkoptu zostawiła.

– Termos podrzucisz przy okazji – powiedziała, idąc ku drzwiom.

Dopiero kiedy jej samochód zniknął z pola widzenia, Avery uświadomiła sobie, jak bardzo wytrąciła ją z równowagi ta rozmowa i fakt, że zaczęła się w nastroju przyjacielskim, a skończyła otwartą wrogością.

Pogróżki, ostry ton. Avery nie poznawała dawnej Cherry.

Cóż, z drugiej strony Cherry zawsze stawała jak lwica w obronie Matta. Nawet jako smarkula gotowa była rzucić się do oczu każdemu, kto, w jej pojęciu, go krzywdził. To po pierwsze. A po drugie, sama niedawno przeżyła zawód miłosny i stąd pewnie jej przeczulenie na punkcie uczuciowego bezpieczeństwa brata.

Nie. Cherry mówiła o „braciach”, w liczbie mnogiej. „Kiedy chodzi o moich braci, przestają

panować nad sobą” – właśnie tak to sformułowała.

Dziwne, myślała Avery. Bardzo dziwne, szczególnie w świetle tego, jak Cherry wypowiadała się o Hunterze poprzedniego wieczoru. Jeśli gotowa jest bronić go tak samo żarliwie jak Matta, to musi być jej znacznie bliższy, niż chciałaby przyznać, a jej oburzenie było bardziej na pokaz niż rzeczywiste.

Ale dlaczego miałyby ukrywać prawdę? Udawać, że nie czuje do brata nic poza żalem, urazą?

Avery pokręciła głową. Zawsze szukasz materiału na reportaż, pomyślała. Chcesz poznać motywy, punkty widzenia, spojrzeć na zdarzenia oczyma protagonistów, pochwycić to, co umyka innym, gonisz za tym jednym szczegółem, który będzie puentą opowieści, sprawi, iż łamigłówka ułoży się w czytelny obraz.

Jezu, Avery, odpuść sobie, kobieto. Przestań zastanawiać się nad problemami innych ludzi i zajmij własnymi.

A miała ich aż nadto. Cóż, analizując cudze sprawy, mogła uciec od swoich. To też jest sposób.

Sposób, by nie myśleć o samobójstwie ojca.

I swojej roli.

Spojrzała w stronę schodów wiodących na piętro. Widziała, jak po nich wchodzi. Staje na górze. Skręca w prawo, idzie do końca korytarza. Drzwi od sypialni rodziców są zamknięte. Zauważyła to już poprzedniego wieczoru. Kiedy była dzieckiem, kiedy jeszcze mieszkała w domu, zawsze były otwarte. Zamknięte źle się kojarzyły: z czymś złym, ostatecznym, nieodwracalnym.

Zdecyduj się, Avery. Musisz zdobyć się na odwagę, stawić czoło sytuacji.

Wyprostowała się i ruszyła ku schodom. Szła powoli, z namysłem, zmuszając się do każdego kroku.

Przed drzwiami pokoju rodziców zatrzymała się, wzięła głęboki oddech, położyła dłoń na klamce i nacisnęła. Drzwi ustąpiły.

Zobaczyła niezastane łóżko. Pustą toaletkę matki, zawsze, jak sięgała pamięcią, zastawioną różnymi flakonikami, słoiczkami, przyborami i puderkami. Miała jeszcze przed oczami obitą aksamitem szkatułkę, w której matka trzymała ulubioną biżuterię, tuż obok leżały zwykle szczotka i grzebień.

Teraz toaletka była pusta. Naga.

Omiotła spojrzeniem wnętrze. Ojciec usunął wszystko, żaden drobiazg nie przypominał, że kiedyś dzielił ten pokój z żoną. Zniknęła gdzieś dawna atmosfera, ciepła i rodzinna.

Avery zacisnęła usta. Usuwanie wszelkich śladów musiało być bolesne. Ojciec skazał się odtąd na życie w zimnej pustce, jakby chciał wymazać wspomnienia. Pytała, czy ma mu pomóc

w porządkowaniu rzeczy matki, chciała przyjechać. Czy wyczuł, że jej propozycja wypływa raczej z poczucia obowiązku niż z serca? Zorientował się, że Avery w gruncie rzeczy wcale nie chce przyjeżdżać do domu? Że chce za wszelką cenę uniknąć przyjazdu?

– Sam już wszystkim się zająłem, kochanie. O nic nie musisz się martwić.

Więc się nie martwiła. A teraz czuła się mała, zajęta wyłącznie sobą. Powinna była przyjechać. Spojrzała na wielką komodę. Czy opróżnił część, którą zajmowały rzeczy matki? Czy podołał temu, czy dopiero na nią to czekało?

Stała jeszcze przez moment w drzwiach, pełna lęku, wreszcie weszła do pokoju. Zatrzymała się na środku, wzięła głęboki oddech. Wnętrze pachniało ojcem. Jego wodą po goleniu, a używał tej samej od lat. Jako dziecko wspinała mu się na kolana i wtulała nos w jego sweter. Rozkoszowała się znajomym zapachem i poczuciem bezpieczeństwa. W takich chwilach miała całkowitą pewność, że jest kochana.

Łono z jej snu. Poczucie ciepła, zadowolenia, ochrony.

Czasami rano wślizgiwała się do łóżka rodziców. Ojciec pocierał nieogolonym policzkiem o jej policzek. Piszcząca i wierciła się, a kiedy przestawał, błagała, żeby dalej ją łaskotał.

– Jeszcze łaskotków-całuszków, tatusiu. Jeszcze trochę, proszę.

Potrząsnęła głową, jakby w ten sposób chciała uwolnić się od wspomnień. Oczyścić umysł.

Wspomnienia utrudnią tylko niełatwe i bez nich zadanie. Podeszła do szafy, otworzyła ją. Dwa garnitury, trzy kurtki, kilka koszul, golf, na wieszaku na drzwiach krawaty i paski, na dole stojak na buty. Stała na palcach, żeby dojrzeć, co jest na górnej półce. Dwa kapelusze, letni i zimowy. I kartonowe pudełko zaklejone taśmą.

Ani śladu ubrań matki.

Wyjęła pudełko, postawiła na podłodze i podeszła do toaletki. Na pustym blacie stała tacka na drobne, na niej obrączka ojca, obok matki, jedna obok drugiej, równiutko ułożone.

Wstrzymała oddech na ten widok niosący tak oczywiste skojarzenia. Ojciec chciał być z matką. Celowo ułożył obrączki jedna przy drugiej, zanim...

Avery ze łzami w oczach odwróciła się, chwyciła pudełko, które znalazła w szafie, i niemal wybiegła z pokoju. Nie zatrzymując się, rzuciła pudełko w holu, dopadła drzwi frontowych, szarpnęła je i znalazła się na ganku.

Głęboko wciągnęła powietrze, usiłując się uspokoić.

Wiedziała, że to będzie trudne. Nie zdawała sobie sprawy, że aż tak trudne. I że będzie aż tak bardzo bolało.

Drgnęła na dźwięk klaksonu, podniosła głowę. Mary Dupre, sąsiadka od niepamiętnych czasów. Pomachała na powitanie, wyłączyła silnik, wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę ganku.

Uściskała Avery.

– Tak mi przykro, kochanie.

Avery odwzajemniła uścisk.

– Dziękuję, Mary.

– Nie mogę sobie wybaczyć, że nie poszłam do Buddy’ego albo pastora Dastugue... nie poszłam, a potem było za późno.

– Do Buddy’ego albo pastora? Po co?

– Twój ojciec dziwnie się zachowywał. Powinnam była z kimś o tym porozmawiać. Nie wychodził z domu, przestał dbać o ogród. Odwiedzałam go, to znaczy chciałam, przynosiłam jedzenie, a to kurczaka, a to zapiekankę, ale nigdy mi nie otworzył, chociaż wiedziałam, że musi być w domu. Najpierw myślałam, że może śpi, ale gdzie tam. Odchodzę już, jeszcze się obejrzałam, a on zza firanki wygląda.

Avery z trudem mogła sobie wyobrazić ojca chyłkiem zerkającego przez okno. Takie zachowanie zupełnie do niego nie pasowało.

– Nie wiem, co powiedzieć, Mary. Ja... nie miałam o niczym pojęcia. Często z nim rozmawiałam, ale on nigdy... nie wspomniał słowem.

– Biedne dziecko. – Mary uściśniła ją jeszcze raz. – Przyniosę ci później coś do jedzenia.

– Proszę nie robić sobie kłó...

– Żaden kłopot – oznajmiła Mary stanowczo. – Musisz jeść. Dość masz trosk na głowie, żeby jeszcze zajmować się gotowaniem.

Avery poddała się bez oporów.

– Dziękuję, bardzo pani troskliwa.

– Widzę, że nie ja pierwsza.

– Przepraszam?

Mary wskazała głową na kosz stojący pod drzwiami. Avery schyliła się i zajrzała do środka. Znalazła domowej roboty placek drożdżowy i kartkę z kondolencjami. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Założę się, że to od Laury Jenkins – powiedziała Mary. Laura mieszkała w następnym domu, tuż obok Chauvinów. – Nikt nie piecze tak doskonałych placeków drożdżowych, jak ona.

– Tak... – Avery skinęła głową i schowała kartkę z wyrazami współczucia do koperty.

– Zajęłaś się już pogrzebem?

– Jestem umówiona po południu z Dannym Gallagherem.

– To dobrze, zajmie się wszystkim jak należy. Gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń do mnie, nie wahaj się.

Avery, pokrzepiona i wzruszona serdecznością Mary, przyrzekła, że na pewno zadzwoni, jeśli rzeczywiście będzie potrzebowała pomocy.

Odprowadziła wzrokiem żywą jak ptaszek, kolorowo wystrojoną starszą panią, zabrała kosz i weszła do domu.

Chociaż objedzona, odkroiła kawałek placka, odgrzała kawę i przyniosła do kuchni kartonowe pudełko znalezione w szafie w sypialni rodziców.

Była niemal pewna, że znajdzie w nim zdjęcia, może listy, inne rodzinne pamiątki, tymczasem zobaczyła plik wycinków prasowych.

Zaintrygowana, zaczęła je przeglądać. Wszystkie dotyczyły jednego wydarzenia, co kazało jej się cofnąć pamięcią do wakacji 1988 roku. Miała wtedy piętnaście lat...

Pamiętała tamtą sprawę jak przez mgłę. Niejaka Sallie Waguespack została zadżgana nożem we własnym mieszkaniu. Z ustaleniem sprawców nie było żadnych problemów. Okrutnymi zabójcami okazali się dwaj młodociani narkomani. W Cypress Spring zawrzało na wiadomość o zbrodni. Dobre imię miasteczka zostało skalane strasznym czynem. Nawoływano do wzmożonej czujności, tępienia wszelkiej nieprawości.

Avery zmarszczyła brwi. Dlaczego ojciec zbierał wycinki? Wzięła jeden do ręki i spojrzała na pozółkłe zdjęcie Sallie Waguespack. Była bardzo piękna. Bardzo młoda. Miała dwadzieścia dwa lata, kiedy zginęła.

Co powodowało ojcem, że przez tyle lat trzymał w domu dotyczące jej wycinki? Przyjaźnił się z nią? Avery nie pamiętałaby kiedykolwiek o wspominał o Sallie. Usłyszała o niej, dopiero gdy dziewczyna została zamordowana. Może ojciec był jej lekarzem?

Kto wie? Notatki prasowe powinny przynieść odpowiedź na wszystkie pytania.

Wyjęła wycinki z pudełka i uporządkowała chronologicznie, od najwcześniejszych, z czerwca 1988 roku, po ostatnie, jakie się pojawiły na temat zbrodni, we wrześniu tego samego roku. W sumie materiał z czterech miesięcy.

Zapomniała o placku, o kawie i zagłębiła się w lekturze.

W miarę czytania odżywały w pamięci wydarzenia sprzed lat. 18 czerwca 1988 roku Sallie Waguespack, dwudziestodwuletnia kelnerka, została brutalnie zamordowana w swoim mieszkaniu. Zmarła na skutek ran zadanych nożem, sprawcami okazało się dwóch nastolatków oszołomionych narkotykami.

Bracia Pruitt, teraz sobie przypominała. Starsi od Avery, chodzili do tej samej szkoły, ale w jakimś momencie rzucili naukę i podjęli pracę w fabryce.

Zginęli tej samej nocy, niemal zaraz po dokonaniu zbrodni, zastrzeleni przez policję w trakcie próby ujęcia.

Przez wiele miesięcy po tych wydarzeniach w szkole nie mówiło się o niczym innym. Avery była przerażona, wstrząśnięta tym, co się stało. Potem... przygnębiona. Pruittowie mieszkali w najgorszej dzielnicy, na Zarzeczcu, jak je nazywano w Cypress Springs. Rzeka, właściwie płytka odnoga rzeki, stanowiła granicę, przepaść, mówiąc ściślej, dzielącą miasteczko na dwie części: dobrą i złą.

Bracia mieli fatalną opinię: dziewczyny, alkohol, piwo, narkotyki. Avery starała się trzymać

od nich z daleka.

Co nie znaczy, że nie obeszła jej tragedia i Sallie, i chłopców. Byli tacy młodzi. Dlaczego tak strasznie pobłądzili? Jak mogło dojść do czegoś podobnego w cichym, bogobojnym Cypress Springs?

Wszyscy zadawali sobie te same pytania, Tak rozmyślając, Avery przeglądała wycinki. Dzieliły się, najogólniej mówiąc, na dwie kategorie: jedne opisywały szczegółowo zbrodnię i relacjonowały wyniki dochodzenia, pozostałe, tych była przytłaczająca większość, odzwierciedlały powszechne oburzenie prawych obywateli Cypress. Domagano się zmian. Stanowczych działań prewencyjnych. Powrotu do tradycyjnych wartości rodzinnych, które miały ponownie uczynić z miasteczka oazę bezpieczeństwa.

Potem wszystko ucichło, emocje opadły, artykuły nie były już takie zapalczywe, wreszcie temat się wyczerpał, umarł śmiercią naturalną. A może to ojciec po prostu stracił zainteresowanie sprawą i przestał zbierać wycinki?

Ale nie znalazła w nich odpowiedzi, dlaczego w ogóle je kolekcjonował.

Rodzice sporo rozmawiali o morderstwie. Wszyscy o nim mówili. Nic dziwnego, że temat wracał, jak w każdym domu. W każdym razie Avery nie przypomiwała sobie, żeby ojciec był bardziej niż inni zaabsorbowany sprawą.

A jednak był.

Spojrzała na zegarek: prawie dwunasta. Może Buddy będzie potrafił coś jej powiedzieć? Jeśli się pospieszy, zdąży zajrzeć do niego przed umówionym na drugą spotkaniem z Dannym Gallagherem.

Rozdział 6

Położony w pobliżu sądu, w centrum miasteczka, budynek policji wyglądał tak samo jak przed laty. Niski pawilon przypominał bardziej magazyn niż siedzibę władzy.

Kiedy Avery weszła do dusznego, zakurzonego wnętrza, oficer dyżurny podniósł głowę znad biurka; chłopak, ledwie mężczyzna, jeszcze ze śladami po trądziku na twarzy.

Uśmiechnęła się na powitanie.

– Zastałam Buddy’ego?

– Jasne. Chce się pani z nim widzieć?

– Nie, chciałam się tylko dowiedzieć, czy jest w pracy.

Na twarzy młodzieńca odmalował się niejaki wysiłek umysłowy, po czym bystry funkcjonariusz parsknął śmiechem.

– Pani sobie ze mnie żartuje! – Praca mózgu, jak widać, przyniosła efekt.

– Tak. Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Avery Chauvin, prawda?

– Owszem. My się znamy?

– To było dawno. Pani czasami się mną opiekowała. Jako baby-sitter. Jestem Sammy Martin, syn Marge i Dela.

Avery zastanawiała się przez chwilę, usiłując przypomnieć sobie rodzinę Martinów, wreszcie skojarzyła, kto to taki. Uśmiechnęła się. Dziecię Sammy był prawdziwym wcieleniem Piekielnego Piotrusia. Jeden koszmar. Ciekawe, że zdecydował się zostać policjantem.

– Nigdy nie zgadłabym, że to ty, bo i skąd. Ile miałaś wtedy lat? Osiem, dziewięć?

– Osiem. – Sammy spowaźniał. – Moje wyrazy współczucia... z powodu taty. Nikt nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

– Dziękuję. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Mówisz, że Buddy jest w pracy?

– Tak. Powiem mu, że przyszaś. – Odwrócił się. – Buddy! – ryknął, co niekoniecznie można uznać za właściwą formę komunikowania się z szefem. – Masz gościa!

Buddy wrzasnął:

– Sekundkę!

Avery uśmiechnęła się szeroko.

– Ciekawy macie sposób porozumiewania się. Sammy odpowiedział uśmiechem.

– Najstarsza znana technika, ale za to niezawodna.

Nowsza technika dała znać o sobie w postaci dzwonka telefonu. Avery odsunęła się od biurka i podeszła do parafialnej tablicy ogłoszeń. Podobne znajdowały się jeszcze w bibliotece, na poczcie i w Piggly Wiggly. Sieć informacyjna Cypress Springs, pomyślała z rozbawieniem. To też się nie zmieniło.

Przesuwała wzrokiem po przyszpilonych do deski ogłoszeniach. Ulotki policyjne: „Poszukiwani”, „Zaginieni”. Ogłoszenia mieszkańców: „Sprzedam bez pośredników”.

- Witaj, maleńka – rozległ się tubalny głos Buddy’ego.
- Bałam się, że wyszedłeś na lunch.
- Właśnie przed chwilą wróciłem. – Uściskał ją serdecznie. – A to miła niespodzianka.
- Masz chwilę czasu? Chciałam z tobą porozmawiać.
- Oczywiście. – Spojrzał na nią uważnie. – Coś się stało?
- Nie, nic specjalnego. Chciałam tylko zapytać cię o coś, co znalazłam w szafie ojca.
- Chodźmy. – Buddy zaprowadził Avery do swojego gabinetu.

Usiadła naprzeciwko biurka, wyjęła z torebki kilka na chybił trafił wybranych wycinków i podsunęła je Buddy’emu.

– Znalazłam całe pudełko podobnych w pokoju ojca. Może ty będziesz potrafił powiedzieć, dlaczego je zbierał i przechował aż do tej pory.

Buddy spojrzał na wycinki, po czym podniósł wzrok na Avery.

– Jesteś pewna, że to ojciec je zbierał, nie mama?

Zawahała się, ale w końcu pokręciła głową.

– Pewna na sto procent nie jestem, ale ojciec usunął wszystkie rzeczy mamy. Dlaczego miałby zatrzymać akurat to pudełko?

– Rozumiem. – Oddał Avery wycinki. – Ale nie potrafię ci odpowiedzieć, dlaczego je zbierał. Dziwna historia.

– Mnie też się tak wydaje. Nie miał nic wspólnego z dochodzeniem?

– Nic a nic.

– Był może lekarzem Sallie?

– Nie wiem. Być może. Przez wiele lat był jedynym lekarzem w Cypress Springs. Potem Bobby Townesend otworzył praktykę, pojawił się też Leon White, ale twój tata ciągle pozostawał pierwszym i najbardziej wziętym lekarzem w okolicy. Ludzie tutaj są wierni swoim przyzwyczajeniom i nie lubią zmian.

– Pamiętasz tamto dochodzenie?

– Jakby to było wczoraj. – Buddy potarł czoło. – W całej swojej karierze miałem zaledwie kilka morderstw. Sprawa Sallie była pierwszym, jakie prowadziłem. I najpaskudniejszym. – Przerwał na moment, rozważał coś w myślach. – Problemy zaczęły się wcześniej, kiedy rozeszła się wiadomość, że Old Dixie Foods zamierza budować u nas swoje zakłady. Mieszkańcy podzielili się na dwa obozy. Część widziała w powstaniu fabryki szansę na rozwój miasta. Liczyli na to, że Cypress się wzbogaci, że przemysł, który nigdy nie miał się tu dobrze, wreszcie zacznie przynosić zyski.

– Byli też inni...

– Tak. Dla innych otwarcie nowych zakładów oznaczało koniec dawnego życia, przekreślenie tradycyjnych wartości, którym Południe zawsze było wierne. Przytaczano przykłady innych, podobnych naszemu miasteczek, które zniszczył wielki biznes... – Położył dłoń na biurku. – Budowa zakładów Old Dixie stała się tematem zapalnym. Rozpadały się wieloletnie przyjaźnie, wypróbowane znajomości. Nawet w rodzinach dochodziło do konfliktów. – Smętnie pokiwał głową. – Przyznaję, że należałem do tych pierwszych, zaślepionych perspektywą rozwoju. Nie widziałem ciemnych stron.

– To znaczy?

– Nie brałem pod uwagę, że do Cypress zaczną napływać ludzie szukający pracy. Prawie tysiąc osób gotowych harować za najniższe stawki, wśród nich niezonaci mężczyźni, tych była większość. Należało im wszystkim zapewnić mieszkania, rozbudować sieć handlową. Nie przewidziałem, jak bardzo to może odmienić strukturę społeczną miasta, jak wpłynie na morale.

– Nie bardzo rozumiem.

– U nas czci się Boga i szanuje rodzinę. Jesteśmy tradycjonalistami, trochę anachronicznymi w dzisiejszym świecie. Dla nas religia, wartości rodzinne są najważniejsze. Przestrzegamy dziesięciorga przykazań, wyznajemy zasadę umiarkowania we wszystkim. A niech w piątkowy wieczór po wypłacie tygodniówki wysypie się na ulice dwustu, trzystu chłopca... Wyobrażasz sobie, co może się wtedy dziać?

Wyobrażała sobie. To, co mogło się dziać, niewiele miało wspólnego z dziesięciorgiem przykazań oraz ideałami pomiarowania i statecznego życia.

– A mój ojciec? – zapytała. – Po której stał stronie?

Buddy zmarszczył brwi.

– Nie pamiętam dokładnie, ale myślę, że Phillip potrafił przewidzieć konsekwencje. Był mądrym człowiekiem, w każdym razie na pewno znacznie mądrzejszym niż ja. W końcu stało się, co się musiało stać. Wybudowano nowe zakłady, do Cypress zaczęły napływać pieniądze, miasteczko zaczęło się rozrastać. Wkrótce spełniły się najczarniejsze przepowiednie. – Podniósł się zza biurka, stanął w oknie, jakby chciał wyrzeć, chociaż niewiele było do oglądania: szara, ślepa elewacja sądu, oto cały widok. – Kocham to miasto – ciągnął, nie odwracając się. – Tutaj się urodziłem, wychowałem, założyłem własną rodzinę. Całe życie tu spędziłem i tu najpewniej umrę. Tamte cztery miesiące w 1988 roku to był jedyny czas, kiedy miałem ochotę stąd wyjechać.

– Buddy... Spojrzał na Avery.

– Działo się źle. Rosła przestępczość. Mówię o poważnych przestępstwach, jakich nie mieliśmy wcześniej w Cypress. Gwałty, rozboje, prostytutka. Oczywiście sytuacja nie zmieniła się z dnia na dzień. To działo się niepostrzeżenie. Tu doszło do złamania prawa, tam doszło do złamania prawa. Mówiłem sobie: trudno, kolejny sporadyczny przypadek... Ale na dłuższą metę

nie mogłem się oszukiwać. Zresztą nie chodziło tylko o przestępczość. Coraz więcej nieletnich dziewcząt zachodziło w ciążę, coraz więcej było rozwodów. W szkołach pojawił się problem alkoholu, narkotyki. Dodaj do tego bójki, zastraszanie młodszych uczniów przez starszych...

Avery jak przez mgłę przypominała sobie takie incydenty. A to kogoś pobito, to znowu kogoś przyłapano na paleniu trawki w szkolnej ubikacji. Jej to nie dotyczyło, żyła w izolacji, w poczuciu bezpieczeństwa.

– Musiało być ci ciężko, Buddy.

– Ludzie zaczęli się bać. Narastał strach, a ze strachem złość, oburzenie. Miasteczko zmieniało się na gorsze. Oczywiście wszyscy mnie obwiniali o taki stan rzeczy.

– Uważali, że powinieneś działać bardziej zdecydowanie.

Było to raczej stwierdzenie, ale Buddy skinął głową, jakby Avery zadała mu pytanie.

– Rzeczywiście nie dawałem sobie rady. Nie miałem ani wystarczającej liczby funkcjonariuszy, ani wystarczającego doświadczenia w zwalczaniu ciągle wzrastającej przestępczości. Cholera, byliśmy specjalistami od mandatów za złe parkowanie, czasami trzeba było uspokoić kilku gości w barze. Nasi przestępcy to byli smarkacze, ktoś zwędził gumę do zucia w sklepiku, ktoś budził w nocy sąsiadów zbyt głośną muzyką.

I raptem morderstwo. – Buddy usiadł na powrót za biurkiem. – To spadło na nas, jak grom z jasnego nieba. Potworna, makabryczna sprawa. Młoda dziewczyna, miała przed sobą całe życie.

I nagle ginie, bestialsko zadżgana przez dwóch zaćpanych szczeniaków.

– Dlaczego ją zabili, Buddy?

– Nie wiadomo. Podejrzewaliśmy, że na tle rabunkowym, ale...

– Ale...? – ponagliła go Avery.

– Była młoda. Ładna. Nieobliczalna. Obracali się w tym samym światku, bywali w tych samych miejscach. Znała Pruittów. Być może łączyło ją coś z którymś z nich, albo i z obydwoma. Może doszło do gwałtownego sporu. Może chciała się uwolnić od tej znajomości. Nigdy się nie dowiemy. Nie ulegało jednak kwestii, że to oni ją zabili. Mieliśmy niezbite dowody.

Buddy zamilkł, Avery też milczała, analizowała w myślach słowa Buddy'ego i zastanawiała się, jaką rolę w całej tej sprawie odegrał, jeśli odegrał, jej ojciec.

– Co było potem? – zapytała w końcu. Buddy zamrugał jak człowiek obudzony z głębokiego snu.

– Zamknęliśmy sprawę.

– Nie o to mi chodzi. Pytam, co działo się potem w miasteczku.

– Pierwszy szok minął, nastroje się uspokoiły, jak zawsze w takich sytuacjach, ale śmierć Sallie nie poszła w zapomnienie, ofiara na coś się zdała. Ludzie przestali traktować

bezpieczeństwo, w ogóle nasz styl, jakość życia, jako wartości dane raz na zawsze. Zrozumieli, że są to wartości wymagające ustawicznej pracy, że wszyscy jesteśmy współodpowiedzialni za naszą społeczność, za to, jaka ona jest. Powstały grupy niosące pomoc potrzebującym. W szkole wprowadzono zajęcia, które miały uświadomić dzieciakom, ile szkody mogą wyrządzić narkotyki. Ale nie tylko. Wprowadzono też lekcje edukacji seksualnej. Kto chciał, kto tego potrzebował, mógł liczyć na wsparcie, fachową poradę, nawet terapię. Rada miejska przegłosowała zwiększenie mojego budżetu, dostałem więcej etatów, staliśmy się efektywniejsi. I przestępczość powoli zaczęła spadać.

– Kiedy wjechałam do Cypress, pomyślałam, że nic się tu nic zmieniło. Takie było moje pierwsze wrażenie.

– Wiele wysiłku włożyliśmy w to, żeby wszystko wróciło do równowagi. – Buddy uśmiechnął się. – Uwierzysz, że żyjemy głównie z turystów? Mamy mnóstwo przejezdnych, zatrzymują się u nas w drodze do i z St. Francisville, podziwiają nasze stuletnie miasteczko, stary układ urbanistyczny, stylową architekturę. Symbol zacnego Południa.

Avery miała wrażenie, że dosłyszała w głosie Buddy'ego nutę ironii.

– A co z zakładami Old Dixie?

– Spłonęły kilka lat temu. Firma już ich nie odbudowała. Uznali, że im się to nie opłaca. Ci, których w Cypress trzymała wyłącznie praca w fabryce, wyjechali. Jeśli chcesz wynająć dom albo mieszkanie, możesz przebierać i wybierać.

Avery uśmiechnęła się.

– Zapamiętam to sobie.

– Old Dixie od dawna miała kłopoty finansowe, w zeszłym roku padła definitywnie. Wypalone hale fabryczne zostały wystawione na sprzedaż. Jestem pewien, że nikt nie kupi tego pogorzelniska. Pobędziesz tutaj dłużej, sama się przekonasz, jaka to zaraza. Jak tylko robi się trochę cieplej, powieje wiatr z tamtej strony, w całym Cypress zaczyna śmierdzieć. Ludzie zamykają okna, ale to niewiele pomaga.

– I nie ma żadnego sposobu? – Avery zmarszczyła nos, jakby właśnie poczuła fetor.

– Nie ma. Nie warto nawet próbować. Szkoda czasu.

Avery milczała przez chwilę, po czym wróciła do sprawy, która ją sprowadziła do Buddy'ego:

– Dlaczego ojciec zbierał te wycinki? Dlaczego je trzymał tyle lat?

– Nie wiem, dziecko. Po prostu nie wiem.

– Nie przeszkadzam? – rozległ się głos Matta. Avery obejrzała się. Stał w progu i wyglądał niezwykle poważnie, wręcz oficjalnie w swoim mundurze.

– A ty co tu robisz, synu?

– Muszę mieć jakiś inny powód? Nie wystarczy, że chcę zobaczyć własnego ojca?

– Wystarczy. – Buddy z lekką ostentacją spojrział na zegarek. – Ale pora lunchu minęła. Powinieneś być w pracy.

Matt zamiast odpowiedzieć, zwrócił się do Avery:

– Teraz już rozumiesz, dlaczego wolałem pracować w biurze szeryfa, a nie tutaj. Cały czas by mnie pilnował.

– Akurat – prychnął Buddy. – Tak jakby trzeba cię pilnować. Rwiez się do tej roboty. – Pogroził synowi palcem. – Ja też wcale się nie paliłem, żebyś ze mną pracował. Jak cię znam, to raczej ty pilnowałbyś mnie, a nie ja ciebie. Nie miałbym chwili spokoju.

– Obibok jeden. – Matt wszedł do gabinetu i stanął za krzesłem Avery. – Dzwoniła do ciebie w zeszłym tygodniu kobieta w sprawie zaginięcia? – zwrócił się do ojca.

Buddy lekko zeszywniał.

– Tak. Dlaczego pytasz? – W jego głosie zabrzmiała nuta niechęci, a może zmęczenia.

– Przed chwilą z nią rozmawiałem. Uważa, że nic nie robisz. Zadzwoiła do nas, żeby się poskarżyć. Prosiła, żeby biuro szeryfa zajęło się sprawą.

– Nie wiem, czego ona oczekuje. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

– Wiem, nie musisz mi tego mówić. Powtarzam tylko dla porządku, że dzwoniła.

Zdezorientowana Avery spojrzała na Buddy'ego, potem na Matta.

– Mam wyjść? – zapytała.

– W żadnym wypadku. – Matt położył jej dłoń na ramieniu. – Jesteś reporterką, siedzisz w podobnych sprawach, możesz nam pomóc. Prawda, tato?

Buddy skinął głową i zaczął opowiadać:

– W zeszłym tygodniu zgłosiła się kobieta. Jej chłopak zadzwonił do niej z komórki, że ma kłopoty. Zepsuł mu się samochód, czeka na pomoc drogową. To wszystko. Ślad po nim zaginął.

– Jechał do domu?

– Tak, do St. Francisville. Wracał z Clinton. Chłopak pracuje w agencji reklamowej, miał w Clinton spotkanie z klientem.

– Mów dalej.

– Sprawdziłem wszystkie serwisy w okolicy. Żaden nie dostał takiego wezwania, nikt tamtego dnia nie zamawiał holowania. Przepytywałem ludzi w miasteczku, poleciłem rozwiesić ogłoszenia. Wszystko na nic. Powiedziałem jej, że zrobiłem, co mogłem.

Matt obszedł krzesło i przysiadł na krawędzi biurka.

– Co myślisz? – zwrócił się do Avery. – Dziewczyna jest przekonana, że zdarzyło się najgorsze.

– Gdzie w takim razie jest ciało? Gdzie samochód? – zapytała Avery.

– Nie jakiś tam samochód. Mercedes. Trudno nie zauważyć takiego wozu. Tutaj nikt nie jeździ drogami europejskimi autami. – Matt potarł czoło.

– Ale dlaczego dziewczyna miałaby kłamać?

– W dziennikarstwie człowiek ciągle się styka z podobnymi historiami. Każdy chce mieć swoje piętnaście minut sławy. Poczuć się przez moment kimś ważnym. Jest jeszcze inna możliwość. Dziewczyna próbuje znaleźć sobie wytłumaczenie, dlaczego chłopak przestał się do niej odzywać.

– Zerknęła na zegarek. Jeśli chciała zdążyć na spotkanie z Gallagherem, powinna się pospieszyć. Wstała. – Na mnie już pora. O drugiej jestem umówiona z Dannym. – Spojrzała na Buddy'ego. – Dziękuję, że poświęciłeś mi czas.

– Jeśli coś mi przyjdzie do głowy, dam ci znać.

– Buddy obszedł biurko i pocałował Avery w policzek. – Dasz sobie radę?

– Zawsze daję sobie radę.

– Dzielna dziewczyna. Matt dotknął jej ramienia.

– Odprowadzę cię do samochodu.

Wyszli na zalany słońcem parking. Avery zaczęła szukać czegoś w torebce, w końcu wyjęła okulary przeciwsłoneczne, nałożyła je na nos i dopiero teraz zorientowała się, że Matt cały czas przygląda się jej uważnie.

– O czym rozmawiałaś z Buddym?

– Znalazłam w rzeczach ojca pudełko z wycinkami prasowymi, wszystkie dotyczyły jednej i tej samej sprawy, zamordowania Sallie Waguespack.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Nie?

– Ta historia wstrząsnęła miasteczkiem.

– Ja przypominałam sobie o niej, dopiero kiedy znalazłam te wycinki.

– A ja pamiętam wszystko doskonale, w domu o niczym innym się nie mówiło. Tamtej nocy ojciec rozmawiał z mamą... płakał. Raz jeden w życiu słyszałem, jak płakał.

– Czuję się, jakbym żyła w jakiejś skorupie.

– Avery mówiła z trudem. – Odizolowana od wszystkiego. Najpierw śmierć taty... teraz to. Zastanawiam się... – Nie dokończyła myśli, pokręciła głową. – Muszę już jechać. Danny na mnie czeka.

– Nad czym się zastanawiasz? – podchwycił Matt.

– Gdy tak na to patrzę, zastanawiam się, jakim jestem człowiekiem.

– Byłaś młoda. Ta tragedia w żaden sposób ciebie nie dotyczyła.

– A mój ojciec? Ta tragedia też mnie nie dotyczyła? Nie dotyczy? On cierpiał, a ja nic nie widziałam. Byłam ślepa i głucha, zajęta sobą.

– Avery, nie możesz się obwiniać o to, co się stało. Nie ty zapaliłaś zapałkę. On to zrobił.

Być może nie zrobiłby, gdyby przy nim była.

– Muszę jechać. Danny na mnie czeka – powtórzyła.

Ruszyła w stronę samochodu, ale Matt zawołał ją. Zatrzymała się, odwróciła.

– Co powiesz na spotkanie w najbliższą niedzielę? Będzie festyn wiosenny.

– Chcesz, żebym poszła z tobą?

Uśmiechnął się tym trochę aroganckim, pełnym pewności siebie uśmiechem, który zawsze ją rozbijał. Kiedy Matt tak się uśmiechał, nie potrafiła odmówić jego prośbom.

– Jeśli zniesiesz moje towarzystwo. Odpowiedziała uśmiechem.

– Jakoś zniósę.

– Świetnie. Zadzwoń do ciebie. Patrzyła, jak Matt wsiada do swojego wozu.

W tej chwili wyglądał, jakby znowu miał szesnaście lat, jakby był dzieciakiem, który właśnie usłyszał, że dziewczyna zgodziła się umówić z nim na randkę.

„Trzymaj się z daleka. Najlepiej trzymaj się z daleka”.

Gdy przypomniała sobie ostrzeżenie Cherry, uśmiech znikł z jej twarzy. Poczula się nieswojo. Ech, bzdura, powiedziała sobie zaraz. Cherry to kochana dziewczyna. Martwi się o brata, to wszystko. Matt ma szczęście, że ktoś tak bardzo troszczy się o niego, myśli o nim.

Rozdział 7

Młotek energicznie przywołał zebranych do porządku. Na spotkanie stawiała się cała szóstka, wszyscy jego generałowie. Gotowi do walki. Gotowi oddać życie za własne przekonania, za miasteczko, za sprawę.

Każdy gotów był polec za swoją małą ojczyznę. Za ten najważniejszy skrawek ziemi.

Młotek mógł być z nich dumny. Dobrze wybrał. Reprezentowali stare i młode Cypress. Mądrość i młodość uzupełniały się nawzajem. Mądrość nawoływała do rozwagi, młodość żądała czynu. Starzy temperowali młodych, młodzi dodawali wigoru starym. Wspólnie stanowili siłę nie do pokonania.

– Dobry wieczór – rozpoczął. – Cieszę się, że was tu widzę, i dziękuję, że gotowi jesteście poświęcać czas naszej sprawie. – Ze względu na charakter ich poczynań, które nie każdy by zaakceptował, choć wielu odnosiło z tychże oczywiste korzyści, spotykali się zwykle późnym wieczorem, zawsze potajemnie. Nawet rodziny nie wiedziały, czemu służą spotkania ani gdzie się odbywają. – Niestety mam złe wieści. Elaine St. Claire skontaktowała się z mieszkańcem Cypress Springs.

Wśród zebranych przeszedł szmer niezadowolenia. Jeden z generałów zabrał głos:

– To pewna informacja?

– Pewna. Widziałem list.

– Fatalnie – odezwał się następny. – Jeśli miała czelność odezwać się, gotowa zawiadomić policję.

– Zajmę się tym.

– Jak? St. Claire mieszka w Nowym Orleanie, prawda?

– Gotowa nas zniszczyć – odezwał się kolejny głos. – Uciekła z Cypress Springs, chce się nam wymknąć.

Młotek pokiwał smutno głową. Nowy Orlean... miasto grzechu. Tam wszystko ujdzie. Idealne miejsce dla takich jak ona.

Nie wie jeszcze, że nic jej nie pomoże. Oczywiście czas i odległość mogły ją znieczulić, mogła zapomnieć o strachu, o grożącym jej niebezpieczeństwie. To bardzo ludzkie i wcale nie dziwiłby się, gdyby tak właśnie było.

– Mieszka teraz w St. Francisville.

– Tym lepiej – mruknął ktoś. – Mamy tam przyjaciół.

– Nie będziemy musieli prosić ich o pomoc – powiedział Młotek. – Przygotowałem zasadzkę. Bardzo starannie obmyśloną zasadzkę.

– Zwabmy ją na powrót do Cypress Springs – odezwał się Błękitny. – Tu będzie nasza.

– Otóż właśnie – przytaknął Młotek. – Zgadzacie się, żebym zastawił pułapkę?

Generałowie nie wahali się. Wahają się tylko ludzie słabi, ludzie małej wiary, którym brak wiary i woli działania.

– Zatem zgoda. Następny punkt. Jakież problemy, sprawy, które chcielibyście poddać pod rozważę?

Ponownie głos zabrał Błękitny.

– Do Cypress przyjechała obca. Outsiderka. Zaczyna wypytywać o Siedmiu, interesuje się naszą historią.

Młotek spochmurniał. Słyszał o niej. Obcy zawsze byli niebezpieczni. Nie potrafili zrozumieć, jakie cele przyświecają Siedmiu. Nie pojmowali, o co Siedmiu toczy walkę i jak ważna to walka. Z takimi należy rozprawiać się szybko, bezlitośnie i zdecydowanie.

Obcy, którzy wiedzieli cokolwiek o Siedmiu, stanowili tym większe zagrożenie.

Wszystkiemu winni założyciele grupy, pierwsi jej członkowie. Byli słabi. Nie potrafili dość skutecznie ukrywać swoich działań. Nie potrafili być wystarczająco stanowczy, gotowi na wszelkie konsekwencje. Tu trzeba iść do końca, posuwać się do ostateczności.

Sentymentalni starcy, cierpko pomyślał Młotek. Wiecznie spierali się z sobą, ulegali tym, którzy zgłaszali skrupuły. Przestraszyli się, kiedy jeden z członków grupy zagroził, że odwoła się do Unii Praw Obywatelskich, że doniesie FBI, co się dzieje w Cypress. Więcej takich mięczaków, a kraj zejdzie na psy.

Niedobrze mu się robiło, kiedy o tym myślał. A kto zatroszczy się o porządnych ludzi, którzy chcą wieść spokojne życie, kto im zapewni bezpieczeństwo, kto im zapewni godne warunki?

Nie, on i jego generałowie w niczym nie byli podobni do poprzedników. Młotek starannie dobrał sobie ludzi. Zdeterminowanych i zdecydowanych, jak on sam. Oddanych sprawie, gotowych na wszystko i pełnych poświęcenia.

Sam był gotów oddać dla sprawy życie.

Był też gotów zabijać.

– Ta obca – odezwał się. – Zna ktoś może jej nazwisko?

Nikt nie znał. Generał Skrzydlaty wiedział tylko, że zamieszkała w pensjonacie.

Młotek kiwnął głową. Wystarczy jeden telefon i będą mieli nazwisko.

– Pilnujcie jej – zarządził. – Nie spuszczać jej z oka. Jeśli zacznie być niebezpieczna, podejmiemy stosowne kroki.

Zwrócił się do Sokoła, najbardziej zaufanego z jego ludzi. Ten w odpowiedzi lekko pochylił głowę. Młotek uśmiechnął się. Sokół zrozumiał. Jeśli zajdzie potrzeba, rozprawią się z obcą, jak rozprawili się z innymi.

Zebranie dobiegło końca.

Rozdział 8

Tak doskonałych omletów jak w Azalii nie serwowano chyba nigdzie na świecie. Puszyste i słodkie nawet bez dodatku syropu. Dwanaście lat minęło od chwili, kiedy jadła je ostatnio, a ciągle pamiętała ich smak.

Cały weekend robiła porządki, przygotowując dom rodziców do wystawienia na sprzedaż, i w poniedziałek uznała, że coś się jej należy od życia: drobna przyjemność w postaci omletu w Azalii.

– Witaj, Peg – pozdrowiła siwowłosą właścicielkę kawiarni i wnuczkę pierwszej właścicielki w jednej osobie. Babcia Peg otworzyła Azalię, kiedy jej mąż, a dziadek Peg, zginął na froncie w Europie. Wojenna wdowa musiała jakoś zapewnić byt piątce dzieci.

– Witaj, kochanie. – Peg wyszła zza kontuaru i serdecznie uściskała Avery. Pachniała syropem klonowym i bekonem. – Moje wyrazy współczucia. Tak mi przykro. Jeśli tylko będę mogła pomóc ci w czymkolwiek, wystarczy, żebyś powiedziała słowo.

Avery odwzajemniła uścisk.

– Dziękuję, Peg. Bardzo ci dziękuję. To wiele dla mnie znaczy.

Peg podejrzanie błyszczały oczy, kiedy wreszcie wypuściła Avery z objęć.

– Założę się, że przyszedłeś na mój sławny omlet. Avery uśmiechnęła się szeroko.

– To aż tak widać?

– Pierwszy spałaszowałeś, jak miałeś dwa latka. Pamiętam dobrze, twoi rodzice wprost oniemieli, kiedy zobaczyli, jak zmiatasz z talerza wszystko do czysta. – Peg wygładziła fartuch. – Siadaj, dziecko, rozgość się. Zaraz powiem Marcie, żeby podała ci kawę.

Pora lunchu minęła, stali stołownicy już sobie poszli, kawiarnia opustoszała i Avery miała do dyspozycji wszystkie stoliki, mogła wybierać. Usiadła przy oknie wychodzącym na plac miejski, gdzie trwały przygotowania do festynu wiosennego. Między drzewami instalowano lampiony, grabiono trawniki. W piątkowy wieczór zabrzmiała muzyka, plac rozbłysnie dziesiątkami kolorowych świateł. Bajkowy widok.

Uśmiechnęła się do siebie. Mieszkańcy Luizjany kochali się bawić, świętować, wykorzystywali po temu wszelkie nadarzające się okazje. Każde miasto, każde miasteczko miało jakieś swoje święto, więc Cypress Springs nie mogło być gorsze. Miało swój trwający cały weekend festyn wiosenny, połączony z jarmarkiem i loterią, pełen muzyki, śmiechu oraz rozmaitych atrakcji, wśród których każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Zwykle zjeżdżali na festyn goście z całego stanu, więc miejsca w pensjonatach oraz motelach trzeba było rezerwować na kilka tygodni naprzód. Avery, kiedy jeszcze mieszkała w Cypress, co roku brała udział w festynie.

– Kawy?

Avery odwróciła głowę od okna.

– Poproszę.

Kelnerka nalała kawy, postawiła na stoliku dzbanuszek z mlekiem. Avery podziękowała, posłodziła kawę, dodała mleka i znowu zapatrzyła się w okno.

Weekend był jedną emocjonalną huśtawką: wypełniony łzami, śmiechem, bólem i wdzięcznością. Sąsiedzi i znajomi zaglądali, żeby sprawdzić, jak sobie radzi. Przynosili kwiaty, jedzenie, ciasta. Po raz ostatni widziała ich wszystkich na pogrzebie matki. Każdy zabawił chwilę, każdy zachował jakieś wspomnienia o ojcu Avery: ciepłe, zabawne, wzruszające, którymi chciał się podzielić. Wielu z nich biło się w piersi za brak reakcji na dziwne zachowanie doktora.

W każdym razie serdeczność, którą odczuwała na każdym kroku, bardzo pomagała, dodawała otuchy, podnosiła na duchu, wzmacniała.

Przede wszystkim jednak sprawiała, że Avery nie czuła się osamotniona.

Zapomniała już, jak to jest żyć wśród przyjaciół, ludzi sobie życzliwych, należeć do małej społeczności, być osobą z krwi i kości, a nie anonimowym numerem, kimś, kto się liczy już choćby dlatego, że tę społeczność współtworzy i dba o jej kształt.

Wróciła myślami do rozmowy z Gallagherem. Zaproponowałby ceremonia odbyła się w środę wieczorem, zaś sam pogrzeb następnego dnia rano. Był pewien, że całe miasteczko zechce pożegnać swojego doktora, więc wybrał taki termin, by wszyscy zdążyli przeczytać nekrologi i w niedzielnym, i w środowym wydaniu „Gazette”.

Lila zaofiarowała się urządzić stypę w czwartek, wręcz nalegała. Avery przystała bez oporów, wdzięczna, że ktoś wziął ten bolesny obowiązek na siebie.

Jeszcze dwa dni.

Czy pochowanie ojca pomoże jej pożegnać się z nim? Zacisnęła dłonie na kubku. Czy pogrzeb coś zamknie? Czy też nadal będzie czuła straszliwą pustkę w sercu?

Kelnerka przyniosła zamówienie, dołała kawy do kubka. Avery podziękowała, odkroiła pierwszy kęs, włożyła do ust i przyknęła oczy, rozkoszując się niezrównanym smakiem słynnych omletów Peg.

Nawet nie zauważyła, kiedy pochłonęła pół porcji. Odłożyła sztućce i westchnęła z ukontentowaniem.

– Takie dobre, jak je zapamiętałaś? – zagadnęła Peg zza baru.

– Jeszcze lepsze – odparła, odsuwając talerz. – Objadłam się tak, że zaraz pęknę. Więcej już nie zmieszczę, choć pyszne.

Peg pokręciła głową z politowaniem.

– Nic dziwnego, żeś taka chuda. Marcie zaraz poda ci rachunek.

Avery podziękowała i zerknęła przez okno. Już miała odwrócić wzrok, kiedy kątem oka dostrzegła Huntera z Lila. Pochłonięci rozmową, stali pod wielkim dębem po drugiej stronie

ulicy.

Nie, pomyślała, przyjrzawszy się uważniej. Nie rozmawiali, sądząc po minach i gestach, najwyraźniej o coś się spierali. Lila uniosła gwałtownie dłoń, jakby chciała wymierzyć synowi policzek, on zdążył ją powstrzymać, równie gwałtownie odtrącając uniesioną rękę. Na odległość było widać, że jest wściekły. A Lila zdesperowana.

Avery poczuła się jak podglądaczka. Chciała odwrócić głowę, lecz nie była w stanie. Matka i syn wymienili jeszcze kilka zdań, po czym Hunter odwrócił się, chciał odejść. Lila chwyciła go za rękę, on z obrzydzeniem tę rękę strącił.

Lila o coś prosiła, to oczywiste. Błagała. Ale o co? O synowską miłość? O wysłuchanie?

Hunter odszedł.

Lila przez chwilę stała bez ruchu, patrzyła za nim, a potem bezradnie opuściła ramiona, jakby skurczyła się w sobie. Oparła się o drzewo i ukryła twarz w dłoniach.

Avery zerwała się od stolika, złapała torebkę.

– Zapłacę później, Peg. Zatrzymaj rachunek – zawołała, spiesząc do drzwi.

Zanim Peg zdążyła odpowiedzieć, była już na ulicy.

– Lilu, nic ci nie jest? – zagadnęła niepewnie.

– Odejdź, Avery, proszę.

– Wykluczone. Przecież nie zostawię cię w takim stanie.

– Nie pomożesz mi. Nikt nie może mi pomóc. Opuściła dłonie, podniosła wzrok na Avery.

Zapłakana, z rozmazanym makijażem, wyglądała dziesięć lat starszej niż miła, zadbana pani, która podejmowała Avery kilka dni wcześniej kolację.

– Pozwól, odprowadzę cię przynajmniej do samochodu albo, jeszcze lepiej, odwiozę do domu.

– Nie zasługuję na twoją troskę, Avery. Tyle błędów popełniłam w życiu. Wobec dzieci, wobec... – Załamała ręce. – Boże, zlituj się nade mną. To moja wina! To wszystko moja wina.

– Hunter tak ci powiedział?

– Muszę już iść.

– Hunter coś ci zarzucał? Mówił o winie? Widziałam, że się spieracie.

– Muszę iść – powtórzyła Lila i zaczęła szukać kluczyków w torebce. Ręce tak strasznie jej drżały, że z trudem odnalezione kluczyki poleciały na ziemię.

Avery pochyliła się, żeby je podnieść.

– Jeśli rzeczywiście tak ci powiedział, nie wierz mu. To nie twoja wina, że Hunter jest taki, jaki jest. On ponosi odpowiedzialność za swoje życie, nie ty.

Lila pokręciła głową.

– Nic nie wiesz... Byłam straszną matką. Wszystko popsułam. Wszystko!

Lila chciała odejść, ale Avery chwyciła ją za ramię i odwróciła ku sobie.

– Nieprawda. Pomyśl o Matcie. O Cherry. Przyjrzyj się im. Mają udane, szczęśliwe życie. Wychowałeś ich na porządnych ludzi.

Lila znieruchomiała, spojrzała Avery prosto w oczy.

– Źle się czuję – powiedziała cicho. – Możesz odwieźć mnie do domu?

Avery zaprowadziła ją do samochodu, zaparkowanego po drugiej stronie placu, pomogła jej wsiąść, sama usadowiła się za kierownicą i zapaliła silnik.

Droga upłynęła im w milczeniu. Avery czuła, że Lila nie ma ani siły, ani ochoty do rozmowy.

Kiedy dojechały na miejsce, pomogła Lili wsiąść, ujęła ją pod łokieć i poprowadziła do domu.

Ledwie otworzyła drzwi, u szczytu schodów pojawiła się Cherry. Spojrzała na matkę i Avery.

– Co się stało?

– Nic, wszystko w porządku – zapewniła Lila.

– Jestem tylko trochę zmęczona.

Cherry zbiegła na parter, ujęła matkę pod ramię.

– Pomogę ci.

– Daj spokój, nic mi nie jest.

– Mamo...

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Odsunęła rękę córki. – Boli mnie głowa... – Spojrzała na Avery.

– Dziękuję, jesteś kochana, że mnie odwiozłaś. Mam nadzieję, że nie pokrzyżowałaś ci planów.

– Skądże. Mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej.

– Muszę się położyć. Przepraszam.

Cherry patrzyła, jak matka powoli wchodzi po schodach, a kiedy zniknęła, zapytała wyraźnie zaniepokojona:

– Co się stało, Avery?

– Nie wiem. Siedziałam w Azalii, przy stoliku pod oknem. Wyrzałam i zobaczyłam twoją matkę. Rozmawiała z Hunterem...

– Z Hunterem?

– Rozmowa musiała być nieprzyjemna, sądząc po tym, co widziałam.

Przez twarz Cherry przemknął grymas wściekłości.

– A to sukin... Dlaczego ją nęka? Dlaczego stąd po prostu nie wyjedzie?

Avery milczała, nie bardzo wiedząc, co miałyby powiedzieć.

Cherry wyciągnęła z szuflady stolika stojącego w holu paczkę papierosów i zapaliła, ledwie

mogąc powstrzymać drżenie rąk. Podeszła do drzwi, uchyliła je i stanęła w progu, wydmuchując dym na zewnątrz.

– Klócili się? – zapytała po długiej chwili. – O co?

Avery bezradnie pokręciła głową.

– Nie wiem. Pytałam, ale Lila nie chciała nic powiedzieć.

– Coś jednak musiała ci powiedzieć. – W głosie Cherry słychać było irytację.

– Tylko tyle, że wszystko w życiu robiła nie tak, jak powinna. Że skrzywdziła swoje dzieci.

I że to wszystko jej wina.

– Mój Boże... – Cherry zamknęła oczy.

– Próbowałam jej tłumaczyć, że nie może się obwiniać. Przecież Hunter sam ponosi odpowiedzialność za swoje uczynki i decyzje.

– Nie chciała cię słuchać – bardziej stwierdziła, niż zapytała Cherry.

– Przeciwnie, jakby się uspokoiła.

– Alleluja. – Cherry zgasiła niedopalek w stojącej na ganku popielniczce. – Możesz sobie pogratulować.

– Rozumiem, że to nie pierwszy taki incydent.

– Dobrze rozumiesz. Ledwie się tu pojawił, zaczął ją nękać. Całą rodzinę, jeśli idzie o ścisłość. Nie uwierzyłybyś własnym uszom, gdybyś usłyszała, co wygadywał, o jakie rzeczy nas oskarżał. – Cherry westchnęła. – To, że Mattowi i mnie układa się w życiu, nie ma dla niej znaczenia. Myśli tylko o Hunterze i jego problemach. W pewnym sensie rzeczywiście zawiniła.

– Co się z nim stało, Cherry? Był takim dobrym, pogodnym chłopakiem.

Cherry wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nikt z nas nie wie.

– To zaczęło się tamtego lata, kiedy zamordowano Sallie Waguespack, prawda?

Cherry poderwała głowę i prawie wrogo spojrzała na Avery.

– Skąd to skojarzenie?

– Bo właśnie wtedy między Mattem i Hunterem coś się popsło. Zrobili akurat prawo jazdy. I zaraz potem wybuchł konflikt. Hunter bardzo się zmienił. – Ponieważ Cherry milczała, Avery mówiła dalej: – A skąd skojarzenie? Stąd, że znalazłam w rzeczach ojca pudełko z wycinkami prasowymi. – Opowiedziała o wycinkach i o rozmowie z Buddym. – Zapomniałam zupełnie o tamtej sprawie i dopiero teraz...

– Co ma piernik do wiatraka? – prychnęła Cherry.

– Słucham?

– Dlaczego uważasz, że Hunter miałby mieć coś wspólnego z tamtym morderstwem?

Avery spojrzała na Cherry z nieskrywanym zdziwieniem.

– Nie uważam. Zwykła zbieżność zdarzeń, tyle tylko chciałam powiedzieć.

Cherry zaczęła pocierać czoło, jakby nagle rozbolała ją głowa.

– Miałam wtedy... ile? Dziewięć, dziesięć lat. Pamiętam tylko, że było... niespokojnie. Wszyscy chodzili wzburzeni... poruszeni. Mówili o czymś, ale milkli przy dziecku. No, coś do mnie dotarło...

– Opuściła dłoń, zwiesiła głowę. – Masz rację, Hunter rzeczywiście wtedy się zmienił. Odizolował się, zamknął w sobie. Matt musiał to bardzo przeżyć, domyślam się, jak ciężko musiało mu być. Nagle, prawie z dnia na dzień, stracił brata, a byli sobie tacy bliscy. – Cherry przeszedł dreszcz. Cofnęła się do holu i zamknęła drzwi.

– Matt w końcu pogodził się z sytuacją. Ojciec i ja chyba też, ale mama... nigdy nie mogła przeboleć. Teraz, po powrocie Huntera, jest jeszcze gorzej. Zresztą wszystkim nam jest trudniej. Dopóki mieszkał w Nowym Orleanie, mogliśmy udawać, że nie pamiętamy. Nawet mama... Znajdowała pociechę w tym, że odniósł sukces, jest wziętym prawnikiem, dobrze sobie radzi.

Co z oczu, to z pamięci. Avery potrafiła to zrozumieć. W pewnym sensie dotyczyło to jej samej, tego, jak wyglądały ostatnio jej relacje z ojcem. Mówiła sobie, że z nim wszystko w porządku, że staruszek żyje sobie spokojnie, nic złego się nie dzieje.

– Ale nie, on musiał wrócić – ciągnęła Cherry. – Pełen urazy, pretensji do całej rodziny. Aż dziw bierze, że z takim bagażem obciążeń, jeszcze chodzi prosto.

– Tamtego wieczoru, kiedy byłam u was na kolacji, Buddy wspomniał, że Hunter omal nie został wyrzucony z izby adwokackiej. Co się stało?

– Co się stało? Zrujnował sobie karierę, to się stało. Miał wszystko, pozycję, pieniądze, głowę nie od parady. Miał rodzinę, która go kochała. Przekreślił wszystko. – Cherry była pełna goryczy. – Wiesz, czym się zajmuje? Był współwłaścicielem największej na całym Południu, najbardziej wziętej kancelarii zajmującej się prawem handlowym. Rzucił to i został prowincjonalnym kauzyperdą. Prowadzi sprawy rozwodowe i upadłościowe. Rozumiesz coś z tego? – W głosie Cherry zabrzmiał bezbrzeżny smutek. – Bo ja nie. Otworzył biuro w dawnej kwiaciarni Barkera, mieszka w mieszkaniu za sklepem. To na rogu Walton i Johnson. Pamiętasz?

Avery tylko skinęła głową. Jak miała to skomentować? Co powiedzieć?

– Już słyszałaś, co myślę o jego powrocie do Cypress. Wrócił, żeby sprawić nam ból. Ukarać nas za jakieś wymaginowane winy, za krzywdy, których ponoć od nas zaznał. – Cherry spojrzała w stronę schodów, jakby chciała powiedzieć, że chodzi o Lilę. – I udało mu się.

Rozdział 9

W chwilę później Avery pożegnała się z Cherry i odjechała samochodem Lili. Cherry przekonała ją, żeby wzięła wóz, twierdząc, że po tym, co się stało, matka przynajmniej przez kilka dni nie siądzie za kierownicą.

Wracając do centrum, Avery cały czas myślała o tym, co właśnie usłyszała: Hunter wróciłby swoim powrotem ukarać rodzinę. Wcześniej zlekceważyła podobne oskarżenie Cherry wysunięte pod adresem brata, ale po tym, jak zobaczyła, do jakiego stanu doprowadził własną matkę, była gotowa uwierzyć jej słowom.

Im dłużej o tym myślała, tym większa wzbierała w niej złość. Jak Hunter mógł w ten sposób odnosić się do rodziny? Tak im odpłacał za całą miłość i dobro, jakich od nich zaznał?

Może to i nie jej sprawa, ale nie zamierzała patrzeć spokojnie, jak ten człowiek bezkarnie znęca się nad swoimi najbliższymi. Stevensowie byli dla niej prawie rodziną. Nie pozwoli, by ktokolwiek ich krzywdził, Hunterowi też nikt nie dał takiego prawa.

Skręciła w Walton i skierowała się w stronę skrzyżowania z Johnson. Znalazła wolne miejsce do parkowania o dwie posesje od dawnej kwiaciarni Barkera, ustawiła samochód i wysiadła.

Za jej czasów kwiaciarnia Barkera była najpopularniejszą kwiaciarnią w Cypress. Bukieciki na bale szkolne miała zawsze stąd.

I wszystkie od Matta, uświadomiła sobie. Każdy, od pierwszego po ostatni.

Puste okno wystawowe wywierało ponure wrażenie. Avery poczuła się, jakby coś straciła, drobny, ale drogi sercu okruch przeszłości. Kiedyś lubiła przystawać przed wystawą i podziwiać świeżo cięte kwiaty.

Nacisnęła klamkę. Zamknięte. Za szybą wisiał zegar z kartonu z uprzejmą informacją: „Wrócę o...”. Sęk w tym, że kartonowy zegar dawno stracił wskazówkę godzinową, a z nią możliwość informowania o czymkolwiek poza swoim smętnym stanem.

Cherry mówiła, że Hunter urządził sobie biuro w kwiaciarni, a sam zamieszkał w dawnym mieszkaniu Barkerów, na tyłach sklepu. Wejście do mieszkania musi się mieścić od podwórza, wydedukowała i obeszła posesję.

Drzwi właściwe były otwarte, dostępu broniły tylko siatkowe, zapukała więc w futrynę i zawołała głośno:

– Hunter? To ja, Avery. – Z wnętrza doszedł jakiś dziwny odgłos, jakby szamotaniny, szurania, potem ni to pisk, ni skomlenie. Trochę zaniepokojona zawołała jeszcze raz, tym razem głośniejsze:

– Hunter?

Znowu doszedł ją jęk. Przytknęła nos do brudnej, zniszczonej siatki, usiłując coś dojrzeć w tonącej w półmroku kuchni, bo najwyraźniej drzwi prowadziły do kuchni. Nikogo nie

wypatrzyła. Pusto.

Usłyszała głuchy łoskot. Jakby coś ciężkiego upadło na podłogę.

Coś, a może ktoś?

Pchnęła drzwi siatkowe i weszła do środka. Jeśli nie liczyć kilku naczyń w zlewozmywaku, w kuchni panował idealny porządek.

Z bijącym sercem, lekko wystraszona, postąpiła kilka kroków.

– Hunter? – zawołała ciszej niż poprzednio.

– To ja, Avery. Co się stało?

Cisza. Żadnego skomlenia, pisku, szmeru, nic.

Niedobrze.

Weszła do przylegającego do kuchni pokoju i zamarła. Pies.

Wpatrywała się w nią, szczerząc kły, wielka, straszliwa bestia.

Avery cofnęła się o krok.

Znowu usłyszała pisk, spojrzała w kąt pokoju, skąd doszedł odgłos, i zobaczyła koc, a na nim sześć maleńkich, ślepych jeszcze szczeniaków.

– W porządku, moja pani – przemówiła spokojnie do groźnej bestii. – Nic nie zrobię twoim dzieciom.

Suka przechyliła łeb, jakby rozważała, czy może zaufać Avery, po czym powoli odwróciła się i podeszła do maluchów. Położyła się na boku, a kiedy szczeniaki przyssały się do niej, westchnęła ciężko i od niechcenia raz machnęła potężnym ogonem.

Avery z niedowierzaniem pokręciła głową. Dopiero teraz uświadomiła sobie absurdalność własnego zachowania. Co ona sobie wyobrażała? Ze idzie z odsieczą spętanemu Hunterowi? Nieustraszona Avery Chauvin... Nie, raczej nieustraszona Avery Croft, najdzielniejsza pogromczyni złoczyńców.

Rozejrzała się po pokoju. Schludne, acz spartańskie wnętrze. Stara kanapa, której obicie kiedyś pewnie jaśniało złocistą barwą, dawno jednak straciła blask nowości. Stary stolik. I piękny skórzany fotel.

Pozostałości minionych czasów, starocie, których nie miał serca wyrzucić.

Odwróciła się. W kącie pokoju dojrzała biurko i segregator. Na blacie biurka stał laptop, obok pokaźna sarta wydruków.

Wiedziona ciekawością, Avery podeszła do biurka. Manuskrypt książki. Chyba powieści, jak się domyślała. Na samym wierzchu leżała strona tytułowa. Autor: Hunter Stevens. Tytuł „Przełom”. To wszystko.

Hunter pisze powieść? Dlaczego Matt ani Cherry nie wspomnieli o tym ani słowem? Czyżby nie wiedzieli?

Może rzeczywiście nie wiedzieli...

– Ależ proszę, serdecznie zapraszam, wejdz i czuj się jak u siebie – rozległ się za plecami Avery kpiący głos.

Odwróciła się gwałtownie.

– Hunter! – zawołała trochę bez sensu.

– Tak cię zaskoczył mój widok? Spodziewałaś się zobaczyć kogoś innego?

– To nie tak, jak myślisz. Ja nie chciałam...

– Nie chciałaś wdzierać się do cudzego domu? Rozumiem.

Avery zaczerwieniła się, ale hardo wysunęła brodę.

– To nie tak – powtórzyła stanowczo. – Mogę wszystko wytłumaczyć.

– Nie wątpię. – Hunter podszedł do biurka, zgarnął wydruki i schował do szuflady.

– Przeczytałam tylko tytuł – powiedziała cicho. – I wcale się nie wdzierałam. Po prostu weszłam. Drzwi były otwarte.

Zamknął pieczołowicie szufladę, kluczyk schował do kieszeni, po czym obrócił się do Avery, ręce założony na piersi.

– Co za lekkomyślność z mojej strony.

– Chciałam się z tobą zobaczyć. Podjechałam tutaj. Usłyszałam jakiś dziwny odgłos. Jakby... płacz, potem łoskot. Jakby ktoś... upadł. Pomyślałam, że... – Widząc niedowierzanie na twarzy Huntera, westchnęła z rezygnacją. – Potem do mnie dotarło, że słyszałam twoją sukę i jej małe. Myślałam, że stało się coś złego.

– Mówisz o Sarze? – Na dźwięk swojego imienia groźna bestia spojrzała na pana i radośnie uderzyła potężnym ogonem o podłogę, co oczywiście wywołało głuchy łoskot.

– Słyszysz? – Avery szerokim gestem wskazała na winowajczynię.

Hunter uśmiechnął się nieoczekiwanie.

– Masz rację, tak wali ogonem, że można się wystraszyć. – Z dumą spojrzał na Sarę. – Myślałaś, że przyszła po mnie zła wiedźma? Dzielna Avery chciała uratować małego Hunterka?

Kiedy się uśmiechał, wyglądał znowu jak tamten chłopak, którego pamiętała sprzed lat. Odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech.

– Dlaczego nie? Różne rzeczy się zdarzają. Zawsze mam przy sobie gaz, tak na wszelki wypadek. Poza tym nie jestem lękliwą blond panienką, jedną z takich, co je po kolei podrywałeś w szkole. – Zatrzepotała rękami, jej głos stał się słodkim głosikiem. – Ach-jesteś-taki-silny-i-odważ-ny-ach-przy-tobie-czuję-się-bezpieczna.

Hunter zaśmiał się głośno.

– Rzeczywiście nie jesteś blond panienką.

– Dziękuję za komplement.

– Przepraszam za tamten wieczór – zmienił raptem temat. – Zachowałem się jak ostatni dupek.

– Dupek i drań, jeśli już, niemniej przyjmuję przeprosiny.

Suka podniosła się, podeszła do swojego pana i spojrzała mu w oczy z uwielbieniem malującym się na wielkiej paszczy. Gdy Hunter pochylił się i ją pogłaskał, na pysku rozlał się zachwyty, można powiedzieć – czysty błogostan.

Widząc tę scenę, Avery pomyślała, że Hunter chyba jednak nie jest tak całkiem pozbawiony serca.

– Musi być do ciebie bardzo przywiązana.

– Ja do niej też. Kiedy ją znalazłem, była w dołku, ja też byłem w dołku, albo na zakręcie, jak wolisz. Pomyślałem, że będzie z nas dobrana para.

Zaległo milczenie.

Avery chciała zapytać Huntera, co miał na myśli, mówiąc o dołku, ale bała się, że znowu się zjeży.

Wybrała bezpieczniejszy, chyba bezpieczniejszy temat. Wskazała na komputer.

– Twoja rodzina nic nie mówiła, że piszesz powieść.

– Nie wiedzą. Nikt nie wie. Chyba że ktoś się wdrze do mojego mieszkania. – Przestał głaskać Sarę i wyprostował się. – Byłbym wdzięczny, gdybyś zachowała tę informację dla siebie.

– Jak sobie życzysz, ale myślę, że byliby szczęśliwi, gdyby...

– Tak sobie życzę.

– W porządku, nie ma sprawy. – Przechyliła lekko głowę. – O czym jest ta książka?

– To thriller – odpowiedział Hunter z kamienną twarzą. – O wziętym prawniku, który stacza się na samo dno.

– Autobiograficzna?

– Po co właściwie przyjechałaś, Avery? Uznała, że nie ma sensu dalej kluczyć, mącić i gmatwać.

– Chciałam porozmawiać o twojej matce.

– Jestem wstrząśnięty.

Avery też była wstrząśnięta – sarkazmem Huntera.

– Widziałam was dzisiaj na placu. Kłóciliście się. Była zupełnie wytrącona z równowagi. Bliska hysterii, prawdę powiedziawszy.

Hunter nie odpowiedział. Ani nie okazał zdziwienia, ani skruchy, jakby informacja, którą właśnie usłyszał, nie wywarła na nim żadnego wrażenia. Ta obojętność doprowadziła Avery do furii.

– Nie masz nic do powiedzenia?

– Nie.

– Była tak rozdygotana, że nie mogła prowadzić. Musiałam odwieźć ją do domu.

– Co chcesz usłyszeć? Że mi przykro?

– Chociażby.

– To nie usłyszysz. Coś jeszcze?

Avery osłupiała. Nie mieściło się jej w głowie, jak można być tak nieczułym, gdy chodzi o własną matkę. Z tak wielkim lekceważeniem traktować jej uczucia.

Powiedziała mu to, ale Hunter tylko się zaśmiał.

– To piękne – mruknął. – Przyganiał kocioł garnkowi, że ten usmolony.

– Co to znaczy?

– Doskonale wiesz, co to znaczy. Gdzie byłaś przez ostatnich kilka lat, Avery?

Nie mogła pozwolić, by wykipił się aż tak tanim kosztem, kierując rozmowę na jej osobę.

– Nie mówimy o mnie, tylko o tobie, Hunter. O tym, że winisz wszystkich wokół za swoje problemy. Dorośnij wreszcie, człowieku.

– Odpieprz się ode mnie z łaski swojej, dobrze? Wracaj do swojej wspaniałej pracy, do swojego biurka w „Washington Post”. Nie wsadzaj nosa w nie swoje sprawy. W Cypress nie masz czego szukać.

Dotknięta do żywego, Avery zareagowała gwałtownie:

– Twoje szczęście, że masz taką wspaniałą rodzinę. Rodzinę, która cię kocha. Która zachowuje wobec ciebie lojalność, chociaż jesteś dupkiem, jakiego świat nie widział. Nie stać cię na krztynę wdzięczności?

– Wdzięczność? – Zaśmiał się gorzko. – Wspaniała rodzina? Dziecino, jak na reporterkę jesteś wyjątkowo mało spostrzegawcza, powiedziałbym, wręcz tępa.

Pokręciła głową, jakby nie mogła uwierzyć, że słyszy podobne słowa.

– Nie ma idealnych rodzin, ale w twojej istnieje przynajmniej poczucie więzi. Są sobie oddani, wspierają się, mogą na siebie liczyć w każdej sytuacji.

– Od kiedy to jesteś taką ekspertką od mojej rodziny? Kiedy przyjechałaś? Tydzień temu?

I już wszystko przejrzałaś na wylot? Czeka! – Uderzył się palcem w skroń. – Już wiem! Masz dar jasnowidzenia.

– Z tobą nie da się rozmawiać. Nie warto nawet próbować. – Ruszyła do drzwi. – Wychodzę.

– Jasne, wyjdź. Zniknij. Przecież to twój styl. Ty zawsze tak postępujesz, prawda, Avery?

Odwróciła się powoli i spojrzała mu prosto w twarz.

– Słucham?

– Gdzie byłaś przez ostatnich dwanaście lat?

– Pewnie nie zauważyłaś, ale Cypress Springs nie jest zagłębiem medialnym.

Hunter postąpił krok w jej stronę.

– Łatwo ci mnie pouczyć, że niegodziwie postępuję z matką. Przypomnij sobie, jak traktowałaś swoją. Ile razy ją odwiedziłaś, odkąd się stąd wyniosłaś?

– Dzwoniłam. Przyjeżdżałam, kiedy tylko mogłam. Przy mojej pracy to nie takie proste:

wsiąść w samolot i już jesteś na miejscu.

– Jak długo zabawiłaś w domu po jej pogrzebie? Dwadzieścia cztery godziny? A może trzydzieści sześć?

Ruszyła gniewnie w stronę drzwi, ale Hunter dogonił ją i chwycił za rękę.

– Gdzie byłaś, kiedy twój ojciec oblewał się ropą, bo nie mógł już dłużej wytrzymać?

Avery krzyknęła i wyszarpnęła dłoń z uścisku Huntera.

– Nie było cię tutaj, kiedy twój ojciec cię potrzebował.

– Go ty wiesz o moim ojcu? Skąd wiesz, co czuł? Czego potrzebował?

– Wiem więcej, niż możesz sobie wyobrazić. – Odsunął się o krok. – Wiem o rzeczach, o których nie masz bladego pojęcia. Powiedz, wiedziałaś, że nasi ojcowie przestali ze sobą rozmawiać? Że jeden drugiego omijał szerokim łukiem? Że udawali, że nie zauważają się na ulicy? Założę się, że ani Matt, ani Buddy nie poinformowali cię o tym drobnym szczególe.

– Przestań, Hunter.

– Nikt ci nie powiedział, że moi rodzice od ponad dziesięciu lat nie dzielą sypialni? Ani że mama jest lekomanką i alkoholiczką? Prawda? – Zaśmiał się gorzko. – Ojciec tak długo gra rolę jowialnego małomiasteczkowego gliniarza, że przestał już cokolwiek czuć, przestał myśleć. Matt jest na najlepszej drodze, żeby iść w ślady staruszka, i robi wszystko, by nie dostrzegać prawdy. A biedna Cherry poświęca się, żeby ta patologiczna banda jakoś funkcjonowała, przynajmniej na zewnątrz. – Przez drwinę przedzierał się ból. – Wspaniała rodzina, naprawdę wspaniała. Prawdziwie amerykańska, jak kreskówki Disneya i prozac.

Avery stała naprzeciwko Huntera i trzęsła się z bezsilnego gniewu.

– Masz rację. Nie było mnie tutaj, kiedy powinnam być. I wcale nie jest mi łatwo z tą świadomością. Dałabym wszystko, żeby cofnąć czas, odwrócić to, co się stało. Nie odwrócę. Nie wskreszę zmarłych. Straciłam rodziców. – Zacisnęła dłoń na klamce, walcząc z napływającymi do oczu łzami. – Cherry mówi, że wróciłeś, by ich ukarać – wykrztusiła. – Nie chciałam w to wierzyć. Teraz już wierzę.

Hunter podniósł głowę.

– Avery, ja...

– Dlaczego jesteś taki okrutny? – przerwała mu w pół słowa. – Dlaczego tyle w tobie małostkowej nienawiści?

Nie czekając na odpowiedź, otworzyła drzwi i wyszła.

Rozdział 10

Gwen Lancaster stanęła przy oknie. Zapadał zmierzch i w domach wokół placu jedne po drugich zapalały się światła. Ona nie zapaliła światła. Lubiła mrok. Lubiła obserwować ludzi, życie, sama pozostając w ukryciu.

Ciekawe, czy już się dowiedzieli o jej obecności? Czy wiedzą, kim jest? Doszli, że Tom był jej bratem?

Czy dotarło do nich, że nie spocznie, dopóki nie znajdzie mordercy?

Na myśl o bracie poczuła bolesny ucisk w gardle. Odwróciła się od okna, podeszła do biurka, gdzie leżała „Cypress Gazette”, otwarta na stronie z kalendarzem najbliższych wydarzeń. Zaznaczyła już wszystkie, w których zamierzała wziąć udział. Pierwsza na liście znalazła się ceremonia w domu pogrzebowym.

Spojrzała raz jeszcze na czarno-białe zdjęcie przedstawiające miłego starszego pana. Doktor Chauvin, informował podpis pod zdjęciem. Data zgonu... A trochę niżej kolejna informacja, że zostawił córkę jedynaczkę, Avery Chauvin.

Całe miasteczko zjawi się na wieczornych egzekwiach. Słyszała, jak przypadkowi przechodnie na ulicy wymieniali uwagi na ten temat. Wiedziała już, że doktor popełnił samobójstwo. I że był człowiekiem przez wszystkich w miasteczku kochanym.

Samobójstwo. Skrzywiła się. Cypress Springs miało w sobie coś, co popychało ludzi do śmierci. Jakby mieszkało tu zło.

Wzbierała w niej wściekłość. Zimna, pełna determinacji wściekłość. Furia.

Oni na pewno też się stawiają. Oni, ci, którzy zabrali jej brata.

Tom pisał doktorat z socjopsychologii na nowoorleańskim Tulane University. Temat dysertacji: „Pozaprawne formy zaprowadzania ładu na przykładzie małych miasteczek amerykańskich”. W trakcie intensywnego zbierania materiałów natrafił na coś, co kazało mu przyjechać do Cypress Springs.

Dotarł mianowicie do informacji na temat Siedmiu, grupy działającej mniej więcej między 1980 i 1990 rokiem, która systematycznie naruszała podstawowe, zagwarantowane konstytucyjnie prawa jednostki w imię ładu społecznego, cokolwiek to określenie miało znaczyć.

Tom po kilku tygodniach pobytu w Cypress Springs zniknął bez śladu.

Gwen z trudem przełknęła ślinę. Dokładniej mówiąc, zniknęło ciało Toma. Jego samochód znaleziono na wyłączonym z ruchu odcinku autostrady w sąsiedniej parafii. Auto nie było uszkodzone, nie znaleziono też żadnych śladów walki, nic, co wskazywałoby na napad albo wypadek. Ktoś tylko wyjął kluczyk ze stacyjki.

Dochodzenie prowadziła policja w Cypress Springs i biuro szeryfa. Przeszukano dokładnie samochód i całą okolicę w poszukiwaniu dowodów. Przeszukano również pokój, który Tom

wynajmował w miasteczku. Przepytano innych mieszkańców pensjonatu, próbując zrekonstruować wydarzenia z ostatnich dni życia denata... a raczej, jako że nie było ciała, „osoby zaginionej”. Wszystko na nic. Nikt nie potrafił wskazać ani ewentualnych podejrzanych, ani przypuszczalnego motywu zbrodni.

Zbrodni, hipotetycznie uznano bowiem, że Tom padł ofiarą napadu. Fatalny przypadek, zrządzenie losu, tak jej powiedziano. Po prostu Tom znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Policja obiecała, że nie zamknie dochodzenia, dopóki nie natrafi na trop sprawcy.

Gwen miała własną hipotezę. Była pewna, że Tom zginął, bo za bardzo interesował się historią Siedmiu. Za dużo wiedział. Rozmawiała z nim na kilka dni przed jego zniknięciem. Mówił, że znalazł o wiele więcej materiałów, niż się spodziewał. Był już pewien, że Siedmiu działa nadal. Udało mu się dotrzeć do informatora. Miał się z nim spotkać następnego dnia wieczorem.

Gwen błagała, żeby był ostrożny, żeby uważał na siebie.

Wtedy po raz ostatni słyszała jego głos. Głos, którego najpewniej nigdy więcej nie będzie jej już dane usłyszeć.

Chociaż w notatkach Toma nie znaleziono nic, co mogłoby stanowić zagrożenie dla kogokolwiek, Gwen nie miała wątpliwości, że informator albo wystawił jej brata mordercom, albo sam go zabił.

Przycisnęła powieki palcami.

A jeśli się myli? Jeśli jej hipoteza nie ma żadnego pokrycia w rzeczywistości?

Być może szuka tylko kozła ofiarnego, kogoś, kogo mogłaby uczynić winnym, oskarżyć o dokonanie zbrodni.

Tak uważał terapeuta, do którego zaczęła chodzić po zaginięciu Toma. To normalna i częsta reakcja, tłumaczył. Człowiek szuka sensu w bezsensownym akcie. Rozpaczliwie usiłuje zrationalizować wpisana w los przypadkowość, przetworzyć niewytłumaczalny chaos w ład.

Zmęczona własnymi myślami, opuściła ręce.

Chaos. Oto czym stało się jej życie po zniknięciu Toma.

Podeszła na powrót do okna. Od kilku dni pracownicy instalowali oświetlenie na placu i dzisiejszego wieczoru rozbłysły wreszcie wśród drzew tysiące lampek. Migotliwa, barwna feeria. Zupełnie jak z baśni.

Piękny widok.

Urocze miasteczko zamieszkane przez uroczych, najzacniejszych, najpocziwszych w świecie ludzi.

Kłamstwo. Złudzenie. Cypress wcale nie było takim rajem, za jaki chciało uchodzić. Tutejsi ludzie wcale nie byli tacy zacni i pocziwi, za jakich chcieli uchodzić.

Ona tego dowiedzie. Choćby miała zapłacić za to najwyższą cenę.

Rozdział 11

Dom pogrzebowy Gallaghera mieścił się w dużym wiktoriańskim budynku przy Prospect Street. Istniał i należał do Gallagherów, od kiedy Avery sięgała pamięcią. Z Dannym chodziła do szkoły. Kiedyś, byli chyba wtedy w ósmej klasie, przygotował na lekcję biologii referat o balsamowaniu zwłok. Dziewczyny były przerażone i zgorzone, chłopcy zafascynowani.

A ponieważ Avery zawsze była bardziej chłopakiem niż dziewczyną, to podzielała w czasie tamtej pamiętnej lekcji ich zafascynowanie.

Danny czekał na nią przed wejściem do budynku. W szkole był znanym pozeraczem serc, dziewczyny za nim szalały, czemu trudno się dziwić, bo nadal był nieprzeciętnie przystojny.

Ucałował Avery w obydwa policzki na powitanie.

– Wszystko w porządku?

– Na tyle, na ile może być w porządku, zważywszy okoliczności – powiedziała, uśmiechając się blade.

Danny zerknął ponad jej ramieniem i zmarszczył czoło.

– Sama przyjechałaś?

Tak, zdecydowała się przyjechać sama. Kilka osób, między innymi Buddy i Matt, proponowało, że ją zawiezie, ale za każdy razem zdecydowanie odmawiała, mimo równie zdecydowanych nalegań. Chciała być sama.

– Jestem wielkowiejską dziewczyną i potrafię zatroszczyć się o siebie – mruknęła.

Danny nie skomentował jej słów, ale zrobił minę, z której jasno można było wywnioskować, że nie aprobuje takiej samodzielności, i wprowadził Avery do środka.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, daj znać albo mnie, albo komuś z personelu. Raczej poproś kogoś z pracowników, bo mogą nie mieć czasu. Przyjdzie na pewno tłum ludzi.

Wkrótce okazało się, że miał rację. Pojawili się niemal wszyscy mieszkańcy miasteczka, każdy chciał pożegnać doktora. Do Avery podchodzili przyjaciele, sąsiedzi, znajomi, składali kondolencje, ściskali ją serdecznie i odchodzili, czyniąc miejsce następnym.

Niektórych rozpoznawała natychmiast, inni musieli się jej przypomnieć. Wszyscy byli wstrząśnięci śmiercią doktora Chauvina.

Nikt nie powiedział tego głośno, ale słowo wisiało w powietrzu, można je było wyczytać z twarzy żałobników, z ich starannie modulowanych głosów.

Samobójstwo.

Ciężkie słowo, równoznaczne z oskarżeniem.

Oskarżali ją i potępiali. Nie było jej przy ojcu, kiedy najbardziej tego potrzebował. Nie było jej. Bo myślała tylko o sobie.

„Gdzie byłaś, kiedy twój ojciec oblewał się ropą, bo nie mógł już dłużej wytrzymać?” –

dudniło jej w uszach pytanie postawione przez Huntera. Od dwóch dni nie dawało jej spokoju. Zrazu mówiła sobie, że głęboko sfrustrowany Hunter po prostu chciał jej sprawić ból. Że wściekły, pełen uraz wobec całego świata, zachował się, jak się zachował, czyli podle. Że nie będzie się przejmowała jego słowami.

Jednego tylko nie mogła sobie powiedzieć, jakkolwiek tego pragnęła: że nie miał racji. Niestety, Hunter miał rację.

W tym tkwiła moc jego słów.

Minuty wlokły się w nieskończoność. Avery zaczynała się dusić w zamkniętej przestrzeni, w tłumie ludzi. Kręciło się jej w głowie, kolana zrobiły się dziwnie miękkie. Odurzał ją nieznośnie słodki zapach kwiatów i perfum.

Musi wyjść, zaczerpnąć powietrza.

Na taras.

Zaczęła się przesuwac w kierunku drzwi, walcząc z narastającym uczuciem paniki.

Znalazła się wreszcie na zewnątrz, podeszła do balustrady otaczającej taras i oparła się o nią ciężko.

– Trzymaj się, Avery. Musisz się trzymać.

Z mroku, z drugiego końca tarasu, doszło ją zakłopotane kasznięcie. Odwróciła się gwałtownie, dopiero teraz łapiąc się na tym, że przed chwilą mówiła do siebie.

Mężczyzny, który kasznięciem dał znać o swojej obecności, nie kojarzyła z żadnym nazwiskiem z przeszłości. Zirytował ją, ale właściwie dlaczego? Nie był intruzem, to raczej ona zakłóciła mu chwilę samotności.

– Wyrazy współczucia, pani Chauvin. Pani ojciec był wspaniałym człowiekiem.

– Dziękuję. – Podeszła do mężczyzny na kilka kroków. – Przepraszam, ale czy my się znamy?

Mężczyzna jakby się speszył.

– Nigdy się nie spotkaliśmy. – Odrzucił papierosa i wyciągnął rękę. – John Price. Z ochotniczej straży pożarnej w Cypress Springs.

– Miło mi.

– Ja... – zaczął z wahaniem – byłem tamtego ranka na służbie. Pierwszy... zobaczyłem pani ojca.

Widział ojca.

Pierwszy wszedł do garażu.

Na usta cisnęło się tyle pytań.

– I co pan zrobił? – zadała pierwsze, które się nasunęło.

– Słucham?

– Co pan zrobił, kiedy go pan znalazł?

– Zawiadomiłem dowódcę, a on stanowego marszałka straży. Przysłali biegłego. Porządny gość, niejaki Ben Mitchell.

– A ten z kolei zawiadomił koronera – bardziej stwierdziła, niż zapytała Avery.

Strażak skinął głową.

– Owszem. Zawiadomił doktora Harrisa. To nasz koroner.

– Tak wygląda procedura?

– Tak. My lokalizujemy i gasimy pożar. Ratujemy ludzi, przeszukujemy pogorzeliisko. Potem zawiadamiamy stanowego marszałka straży. On ma biegłych, którzy określają przyczyny pożaru.

– I biegły zawiadamia koronera?

– Tak. Jeśli są ofiary. Do niego należy też powiadomienie policji.

Avery słuchała obojętnie, weszła w rolę reporterki. Jakby rzecz jej nie dotyczyła. Ot, kolejny materiał do gazety. Robiła to automatycznie, kierowana zawodowym nawykiem, i tylko dzięki temu była w stanie słuchać relacji Price'a, zadawać pytania.

– Mój ojciec już nie żył, kiedy go pan znalazł?

– Tak. On... – Strażak przerwał, jakby cofnął się przed dokończeniem zdania.

– Co on?

– Nie żył. To było oczywiste.

Zamknęła oczy, przypominając sobie przypadek śmierci w pożarze, o którym kiedyś pisała. Zdjęcia zwęglonych ciał dwojga dzieci...

– Avery, dobrze się czujesz? – Gdy usłyszała głos Matta, otworzyła oczy.

Stał w drzwiach prowadzących na taras, tuż za nim Cherry.

– Wszystko w porządku – powiedziała. I chyba rzeczywiście czuła się znacznie lepiej niż jeszcze kilka minut temu, kiedy wychodziła zaczerpnąć powietrza.

– Wszyscy cię szukają.

Kiwnęła głową i zwróciła się do strażaka:

– John, chciałabym jeszcze porozmawiać z panem. Mogę do pana zadzwonić, umówić się na spotkanie?

– Oczywiście – powiedział niepewnie. – Nie wiem tylko, co jeszcze mógłbym...

– Bardzo mi zależy – nie dała mu dokończyć.

– Proszę.

– Rozumiem... Może pani się ze mną kontaktować przez naszego dyspozytora.

Podziękowawszy Price'owi, podeszła do Matta i Cherry.

– Pani Chauvin? – zawołał jeszcze za nią.

– Może powinna pani zadzwonić do biura marszałka stanowego w Baton Rouge? Oni powiedzą pani znacznie więcej niż ja.

– Dziękuję, John. Zadzwonię.

– Co się dzieje? – zapytała Cherry.

– Nic. Wysłałam zaczerpnąć powietrza. Cherry najwyraźniej nie zadowolila ta zdawkowa odpowiedź.

– Ożenił się z Jill Landry. – Zerknęła w stronę Price'a. – Pamiętasz Jill? Poznała go przez swoją siostrę, w Jackson.

– Miły człowiek.

– Może i tak.

Avery spojrzała uważnie na Cherry.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– Nic. Tyle tylko, że on... nie jest stąd.

– Znalazł tatę – rzuciła Avery ostrym tonem.

– Zadałam mu kilka pytań. Chciałam się czegoś dowiedzieć. Wystarczy?

– Nie miałam na myśli nic... – Cherry zrobiła urażoną minę. – Po prostu martwię się o ciebie, to wszystko.

– Jestem dużą dziewczynką. Nie potrzebuję opiekunek.

– Rozumiem. – Cherry poczerwieniała. – Nie będę już nic mówiła. Bardzo przepraszam.

– Ona nie miała złych intencji. – Matt uznał za wskazane stanąć w obronie siostry. – Troszczy się o ciebie. Jak my wszyscy.

Avery zakłęła cicho pod nosem.

– Wiem. Trochę mnie poniosło... Matt położył jej dłoń na ramieniu.

– Rozumiem. Po prostu postaraj się bardziej... – Przerwał.

– Tak?

– Panować nad nerwami. Jesteś taka drażliwa. Potrafię to zrozumieć – powtórzył – ale panuj nad sobą, Avery. I pamiętaj, że cię kochamy.

Łzy zakręciły się jej w oczach. Matt miał rację. Nie powinna zamykać się w sobie, odtrącać przyjaciół, zrażać do siebie tych, którzy dobrze jej życzą.

Uścisnęła dłoń Matta.

– Dziękuję – szepnęła. – Wasza przyjaźń bardzo wiele dla mnie znaczy.

Matt odwzajemnił uścisk.

– Zawsze możesz na nas... na mnie liczyć. Jestem z tobą.

Na tarasie pojawiły się trzy starsze panie, znajome matki Avery.

Matt przywitał się z nimi, po czym przeprosił i odszedł szukać siostrę, jak się domyślała Avery. Ani chybi chciał odnaleźć ją w tłumie żałobników i pocieszyć po niefortunnym incydencie.

Ona przeprosi Cherry później. Obiecała to sobie, patrząc w ślad za znikającym Mattem.

Panie złożyły jej kondolencje i Avery na chwilę została sama. Omiotła spojrzeniem

zebranych w sali, zatrzymując wzrok na grupce mężczyzn, którzy stali w kącie i byli pochłonięci rozmową. Kilku z nich znała z widzenia, choć nie miała pojęcia, kto to taki. Z pewnością żaden z nich nie podszedł do niej tego wieczoru. W pewnym momencie jeden z mężczyzn wskazał kogoś głową i reszta spojrzała w tamtym kierunku.

Musieli mówić o kobiecie, której Avery nigdy wcześniej nie widziała: wysoka, szczupła blondynka w czarnej spódnicy i prostej białej bluzce, trzymająca się z boku, o zagubionym wyrazie twarzy.

Mężczyźni stojący w kącie przyglądali się wręcz natrętnie samotnej młodej kobiecie. Gdy jeden z nich zaśmiał się głośno, Avery bardzo się zirytowała.

Próbowała odgadnąć, kim jest nieznajoma. Krewną któregoś z mężczyzn? Przyjaciółką?

– Moje wyrazy współczucia, kochanie. – Do Avery podeszła jej nauczycielka z pierwszej klasy szkoły podstawowej.

Kiedy przyjęła kondolencje pani Wilson, wymieniła uściski i obiecała zadzwonić, jeśli tylko będzie czegoś potrzebować, spojrzała w kąt sali, ale mężczyźni już zniknęli. Młoda kobieta także musiała wyjść, bo Avery nigdzie nie mogła jej dojrzeć.

Przez moment miała wrażenie, że scena, której przed chwilą była świadkiem, była tylko wytworem jej wyobraźni.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, pomyślała, patrząc na trumnę, w której spoczywał ojciec. Przeszedł ją dreszcz.

Nic już nie było w stanie jej zdziwić.

Rozdział 12

Hunter wpatrywał się w ekran komputera, lecz nic nie widział. Słowa rozmazywały się, pływały przed oczami, jakby sobie z niego kpiły. Zły, niezadowolony z własnej pracy, nacisnął klawisz „backspace” i patrzył, jak litery znikają jedna po drugiej, aż została pusta, czysta strona.

Nie mógł pisać, nie mógł się skupić. W głowie brzmiało mu cały czas to, co powiedział Avery, przed oczami cały czas miał jej pełną bólu twarz. Jej pełne smutku i wyrzutu oczy.

Patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby miała przed sobą potwora.

Niech to diabli! Wstał gwałtownie od biurka. Sara piszczała, drapała w drzwi: chciała wyjść. Cały wieczór była wyjątkowo niespokojna, rozdrażniona, w nie lepszym humorze niż on sam.

Nie zwracając uwagi na jej skomlenia, przeszedł do biura od frontu. Mroczne, prawie puste wnętrze, smętnie migająca dioda automatycznej sekretarki... Pamiętał jeszcze z dawnych lat wypełniający sklep intensywny, uderzający do głowy zapach kwiatów, feerię barw. Teraz nie było tu ani barw, ani zapachów. Bezosobowa kancelaria, równie bezosobowa i bezduszna jak litera prawa.

Podszedł do okna, wyjrzał na ulicę. Widział stąd dach domu pogrzebowego Gallaghera. Akurat odbywa się ceremonia pożegnania Phillipa, pomyślał. Są tam jego matka, ojciec, Cherry i Matt. Zjawili się pewnie tak zwani wszyscy. Całe miasteczko.

Bo też takie to było miasteczko.

Uznał, że nie powinien drażnić Avery swoją obecnością. Sam natomiast nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie z rodziną. Pewnie by nie zdzierzył i znowu powiedziałby im coś bardzo przykrego.

Chciał oszczędzić Avery podobnych scen.

Przycisnął powieki palcami.

Phillip. Co za historia. Niech to cholera.

Był bliski płaczu. I było mu smutno, że nie może się pożegnać ze starym doktorem. Zawsze go podziwiał, szanował. Zaprzyjaźnił się z nim. Bardzo mu go brakowało.

Ktoś mógłby uznać, że to dziwna przyjaźń. W końcu dzieliła ich różnica trzydziestu lat. Ale łączyła samotność. Poczucie wyobcowania, izolacja. W pewnym sensie nawet багаż wspomnień, odmiennych, ale równie ciężkich do przyjęcia.

Wspomnień, w których niemałą rolę odgrywała Avery.

Właśnie, Avery. Pięknie się z nią obszedł. Mógł być z siebie dumny. Nagadał jej gorzkich słów akurat teraz, kiedy powinien ją oszczędzać. Uderzył w najbardziej czuły punkt. I bez tego musiało być jej wystarczająco ciężko, ale nie, on musiał jeszcze jąrzyć świeże rany, zadać dodatkowy ból.

Powiedziała mu; że zije nienawiścią. Nazwała go okrutnym.

Być może miała rację. Na pewno miała rację.

Co się z nim stało? Dlaczego wszystko widział wyłącznie w czarno-białych barwach? Dlaczego nie potrafił zachować swoich opinii dla siebie? Nakazać sobie odrobinę dystansu? Nie odgrywać takiego pryncypialnego? Kimże on, do diabła, był, żeby osądzać innych?

Wszystko, czego tylko dotknął, zamieniało się w gówno.

Zerknął w stronę mieszkania. Miał ochotę się napić. Potrzebował drinka. Organizm domagał się alkoholu. Wył do alkoholu. Hunter wyobraził sobie, że idzie do kuchni, wyjmując butelkę z dobrze zaopatrzonej lodówki, pije do dna i zapomina wreszcie o dręczących go pytaniach. Zapomina o wszystkim. Pograża się w pijanej nieświadomości.

Pije do momentu, kiedy już nie pamięta, że ktoś dla niego ważny nazwał go pełnym nienawiści do świata okrutnikiem.

Przez chwilę zmagał się z pokusą. Nurzał się we własnym cierpieniu. Rozkoszował własną wściekłością, poczuciem przegranej. Żył tymi uczuciami. Karmił się nimi. Stały mu się nieodzowne do życia jak oddychanie.

Z całych sił zacisnął dłonie.

Nigdy więcej, powiedział sobie. Nigdy więcej nie będzie szukał zapomnienia w alkoholu. Chce swoje wzloty i upadki przeżywać w trzeźwości.

Sara znowu zaczęła drapać w drzwi i skomleć, więc Hunter wreszcie się ruszył. Dawno już nie była na spacerze. A może niedawno? Kiedy pracował, tracił poczucie czasu, przestawał myśleć o codziennych obowiązkach.

Przeszedł do kuchni.

– Idziemy, moja pani.

Zdjął smycz z wieszaka i zapiął Sarę. Kiedy otworzył drzwi, suka wyrwała do przodu, ciągnąc go za sobą.

W końcu udało mu się ją powściągnąć, osadzić w miejscu.

– Co z tobą? – Nachylił się, podrapał sukę za uchem, ale ona, zamiast nachylić łeb i zamerdać radośnie ogonem, wystawiała coś, zdenerwowana, spięta.

Spojrzał w tamtym kierunku, ale mroczny zaułek wydawał się pusty.

– Co się dzieje, Sara?

Z gardła suki dobyło się ciche warczenie, zjeżyła się.

– Jest tam kto? – zawołał Hunter. Odpowiedziała mu cisza.

Zmrużył oczy, usiłując coś dojrzeć w ciemnościach. Jeszcze raz zawołał, lecz i tym razem odpowiedziało mu głucho milczenie.

Niepewny, czy mądrze robi, poluźnił chwyt. Suka wyprysnęła do przodu. W każdym razie szarpnęła się z całych sił, bo zdążył ją powstrzymać. Ruszyli oboje powoli w mrok, Hunter szedł ostrożnie, wypatrując powodów zdenerwowania Sary.

Kiedy doszli mniej więcej do połowy zaułka, suka pociągnęła w prawo, napinając mięśnie ile sił i głośno warcząc. Hunter z trudem mógł ją utrzymać na smyczy.

Dojrzał stertę pustych skrzynek ze sklepu spożywczego, który znajdował się od frontu. Pojemniki na śmieci. Papiery i puszki walające się na ziemi. Jakieś resztki jedzenia...

Sara zaczęła szczekać, nisko, gardłowo, jakby wyczuła niebezpieczeństwo.

– O co taki raban? – przemówił do niej z kpiną w głosie. – O kilka śmieci? A może zwietrzyłaś szczura? To on tak cię zdenerwował?

Suka nie przestawała ujadać.

Wtedy kątem oka dostrzegł kształt wystający spod skrzynek.

Ogon jakiegoś zwierzaka?

Nic dziwnego, że Sara oszalała.

To coś musiało dostać się pod skrzynekę i teraz nie mogło wydobyć się z pułapki. Może było ranne. Może już nie żyło.

Rozejrzał się za dźwignią, którą mógłby unieść skrzynekę. Gołymi rękami nie będzie ryzykował. Jeśli zwierzak jest ranny, gotów go ugryźć, podrapać.

Pod murem stała miotła.

Hunter wsunął jej koniec pod skrzynekę, uniósł... i zrobiło mu się niedobrze.

To, co uznał za ogon zwierzaka, okazało się ludzkimi włosami.

Patrzył na wykrzywioną w śmiertelnym krzyku twarz kobiety.

Rozdział 13

Cofnął się, odciągnął Sarę. Nachylił się, oparł dłonie o kolana i wciągnął głęboko powietrze. Raz, potem drugi, powoli.

Tylko nie wymiotuj, Stevens.

Przed oczami miał wykrzywioną twarz kobiety. Wziął kolejny głęboki oddech. Jezu... Co robić? Co robić? Huczało mu w głowie.

Upewnij się, czy rzeczywiście nie żyje. Wezwij policję.

Wyprostował się powoli i spojrzał na kobietę. Leżała bez ruchu, z szeroko otwartymi do krzyku ustami, szeroko otwartymi oczami.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że nie żyje. I że spotkała ją straszna śmierć. Na wszelki wypadek powinien jednak sprawdzić tętno. Czy na pewno? Tak zawsze robią bohaterowie filmów. Albo się ruszy, zacznie działać, albo zaraz się rozsypie.

Nie masz wyboru, Stevens.

Skrócił smycz i podszedł ostrożnie do kobiety. Odsunął skrzynkę, pod którą kryła się dłoń.

Ujrzał paznokcie pociągnięte szkarłatnym lakierem... Musiała na kilka godzin przed śmiercią robić manikiur. Drastyczny kontrast między białą jak papier skórą i szkarłatem zadbanych paznokci robił upiome wrażenie, był czymś obscenicznym.

Postąpił jeszcze krok, schylił się i zacisnął palce na nadgarstku kobiety.

Zimne, gąbczaste w dotyku ciało.

Ani śladu pulsu.

Cofnął dłoń, odruchowo wytarł o dzinsy i wyprostował się.

Musi wezwać policję. Zawiadomić ojca. Albo Matta.

Obaj są na ceremonii w domu pogrzebowym. Jedną przecnicę od jego domu.

Chwilę się wahał, w końcu doszedł do wniosku, że zamiast dzwonić na posterunek, pobiegnie do Gallaghery. Zajmie mu to mniej więcej tyle samo czasu.

Jak postanowił, tak zrobił. Sara jakby rozumiała, że pośpiech jest konieczny, i dotrzymywała mu kroku. W ciągu trzech minut dotarli przed dom pogrzebowy.

Hunter kazał suce czekać, sam wbiegł do środka, przesadzając po dwa stopnie na raz. Już w holu natknął się na Danny'ego, który na jego widok zrobił wielkie oczy.

– Hunter, co się...?

– Gdzie oni są? Danny wskazał salę.

– W jedyńce, ale...

Hunter rzucił się w stronę drzwi, nie czekając, aż Danny skończy zdanie.

Zaraz od wejścia dojrzał rodzinę. Stali razem, w ciasnym kręgu.

Klan Stevensów przeciwko reszcie świata. Zwarta drużyna, jeśli nie liczyć jego, który dostał

czerwoną kartkę.

Kiedy ruszył w ich stronę, ludzie rozstępowali się przed nim w milczeniu. Urwały się rozmowy. Na twarzach pojawiło się zdumienie, potem podniecenie. Wszyscy obawiali się skandalicznej sceny. A właściwie nie tyle się obawiali, co wyczekiwali, żądni sensacji.

A jakże, będą mieli scenę, ale nie taką, jakiej się spodziewali.

Rodzina go zauważyła. Zarejestrował dokładnie ten moment. Odwrócili się, spojrzeli... Matt się zachmurzył, Buddy uniósł wysoko brwi w zdziwieniu, zmienił nieznacznie postawę, jakby gotował się do walki. Matka pobladła, w jej oczach pojawiło się przerażenie. Cherry ostentacyjnie odwróciła głowę, unikając jego spojrzenia.

Prawdziwie amerykańscy, jak kreskówki Disneya i prozac.

Niech ich szlag trafi.

– Muszę zamienić z tobą kilka słów, tato – zaczął bez zbędnych wstępów, nie witając się nawet.

Matt postąpił krok naprzód, zacisnął wojowniczo dłonie.

– Wybrałeś sobie wspnięciały czas na rozmowy. Wynoś się stąd, zanim Avery...

– Spływaj – warknął Hunter i ponownie zwrócił się do ojca: – To pilne, tato. Muszę porozmawiać z tobą w cztery oczy.

– Twoja pilna sprawa musi poczekać. Pewnie nie zauważyłeś, ale żegnam właśnie swojego najserdeczniejszego przyjaciela – oznajmił Buddy napuszczonym tonem.

Hunter nachylił się do niego.

– Chodzi o morderstwo. Myślisz, że to może poczekać? – Widać niedostatecznie zniżył głos, bo usłyszał za swoimi plecami krótki, zduszony okrzyk przerażenia.

Odwrócił się i zobaczył Avery. Spojrzała na niego, na Matta i Buddy'ego, jakby szukała w ich twarzach potwierdzenia.

– Co się stało?

Hunter uniósł dłonie w bezradnym geście.

– Przepraszam, Avery. Nie chciałem cię w to mieszać.

– Wyjdźmy – zakomenderował Matt, robiąc krok do przodu.

Hunter ruszył natychmiast do wyjścia, Matt i Buddy za nim. Sara, która czekała cierpliwie na ulicy, zamachała radośnie ogonem na widok swojego pana.

Matt był znacznie mniej przyjazny. Spojrzał na brata i warknął:

– Jeśli to znowu jakiś twój głupi...

– Kawał? – nie dał mu dokończyć Hunter. – Bardzo bym chciał.

Pokrótce opowiedział, co się wydarzyło, zaczynając od skomleń Sary domagającej się wyjścia, na badaniu pulsu kobiety skończywszy.

Matt i Buddy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Jesteś pewien, że została zamordowana? – spytał Buddy, wyraźnie przejmując inicjatywę.

Hunter zawahał się. Nie. Dopiero teraz uświadomił sobie, że wcale nie jest pewien. Może to narkomanka, która przedawkowała? Bezdonna? Sprzedawczyni z pobliskiego sklepu, którą powalił atak serca? Upadając, przewróciła stertę skrzynek, pod którymi zniknęło ciało.

Przypomniał sobie zadbane, szkarłatne paznokcie kobiety. Bezdonna raczej nie robią sobie manikiuru. Natomiast gdyby sprzedawczyni nie wróciła do domu, szukaliby już jej bliscy albo współpracownicy.

Ale to wszystko nie wykluczało śmierci z przyczyn naturalnych.

– Hunter?

Poderwał głowę, spojrzął na ojca i zaczął:

– Skoro znalazłem ją w ciemnym zaułku... zakładałem, że...

– Zaprowadź nas tam.

Ruszyli w trójkę. Hunter, słysząc z daleka piski szczeniaków, na moment zatrzymał się przy swoich drzwiach i wpuścił Sarę do środka. Matt i Buddy poszli przodem.

– Cholerna jasna.

– A niech to.

Znaleźli ją. Okrzyki dochodzące z zaułka powiedziały mu wszystko.

Dołączył do ojca i brata. Stał trochę z boku i odwróciwszy wzrok, słuchał, jak tamci się mozolą, ostrożnie zdejmując kolejne skrzynki, by dokładnie obejrzyć ciało. Słyszał ich uwagi:

– Na pewno nie umarła śmiercią naturalną.

– Niech to szlag.

– Jezu, ale ją urządzili.

Ta ostatnia uwaga pochodziła od Matta. Jego głos brzmiał dziwnie skrzekliwie, jakby ktoś ścisnął go za gardło, nie pozwalając mówić.

– Uważaj – przestrzegł go Buddy. – Nie wiemy jeszcze, co się stało. Nie zatrzyj śladów.

Hunter spojrzął na brata. Widział, jak ten skinieniem głowy odpowiada na uwagę ojca, widział, jak walczy ze sobą, usiłując zapanować nad emocjami.

– Spójrz. – Nachylił się nad ciałem. – Leży na prawym boku. Krew z lewej połowy twarzy powinna odpłynąć, a nie odpłynęła.

– Ktoś ją tu przyniósł.

– Bingo.

Zwykła ludzka ciekawość sprawiła, że Hunter spojrzął na kobietę. Spojrzął i natychmiast tego pożałował, ale nie mógł oderwać od niej wzroku.

Od pasa w dół była naga.

Ktoś zdarł jej majtki, podciągnął wysoko minispódniczkę...

Krew na udach, na brzuchu. Wszędzie mnóstwo krwi.

Żołądek podszedł mu do gardła. Odwrócił wzrok i wciągnął głęboko powietrze, walcząc ze wzbierającymi mdłościami.

– Trzeba natychmiast wezwać ekipę – powiedział Buddy nieswoim głosem.

– Chcesz, żeby biuro szeryfa włączyło się do sprawy, tato? – Matt był równie wstrząśnięty jak ojciec.

Pomimo lat pracy w organach ścigania nie mieli styczności z podobnymi przypadkami, pomyślał Hunter.

Przypadkami?

Nazwij rzecz po imieniu, poprawił się w duchu. To żaden „przypadek”. Zetknąłeś się ze zbrodnią. Okrutną, bezwzględną zbrodnią.

– Tak – mruknął Buddy. – Nie mamy odpowiedniego sprzętu... nie jesteśmy... przygotowani. Cholera, koszmar się powtarza.

W dwadzieścia minut później na miejscu była już ekipa złożona z ludzi Buddy’ego i ludzi szeryfa.

Jeden z policjantów zabezpieczył teren żółtą taśmą, drugi stanął u wylotu zaułka, broniąc dostępu gapiom. Technicy z biura szeryfa przystąpili do pracy. W świetle silnych lamp halogenowych zaczęli zabezpieczać ślady, fotograf robił zdjęcie po zdjęciu, dziesiątki ujęć, zbliżeń...

Hunter odwrócił się i potarł oczy pięściami. Ciągle widział zamordowaną kobietę, nie mógł pozbyć się koszmarne obrazu, jakby ten na zawsze utrwalił się na siatkówce. Czy kiedykolwiek zniknie?

– Muszę zadać ci kilka pytań, Hunter – usłyszał głos Matta.

Opuścił ręce, spojrzał na brata i dopiero teraz dotarło do niego, jak bardzo jest zmęczony.

Można by powiedzieć, śmiertelnie zmęczony, gdyby nie to, że w zaistniałych okolicznościach określenie „śmiertelnie zmęczony” nabierało upiornego wydźwięku.

– Co chcesz wiedzieć?

– Opowiedz nam jeszcze raz wszystko po kolei. Szczegół po szczególe. Jak znalazłeś ofiarę.

Ofiarę. Hunter zerknął w jej stronę.

– Nazywa się jakoś?

– Owszem – burknął Buddy. – Elaine St. Claire. Zatrzymaj tę wiadomość dla siebie, dopóki nie zawiadomimy rodziny.

Nie zdziwiło go wcale, że ojciec zna nazwisko kobiety. Znał przecież wszystkich mieszkańców miasteczka.

– Kto to taki?

– Imprezowiczka. Lubiała bankietować. – Buddy skrzywił się. – Jakiś czas temu wyjechała z Cypress.

Nie ujechała daleko. Biedna dziewczyna. Czasami Cypress kojarzyło mu się z pajęczyną. Kiedy człowiek w nią wpadł, nie miał już ucieczki.

Jeśli Cypress było pajęczyną, to kto był pajakiem?

Matt chrząknął, wyraźnie zniecierpliwiony.

– Moglibyśmy zacząć?

– Jasne. – Hunter spojrzał na brata spod przymkniętych powiek. – Co chcecie wiedzieć?

Kiedy Matt powtórzył pytanie, Hunter raz jeszcze zrelacjonował, w jaki sposób znalazł Elaine St. Claire.

– To wszystko? Jesteś pewien?

– Tak.

Matt zasepił się.

– Nic nie słyszałeś?

– Nie, nic. Pracowałem.

– Pracowałeś?

– Siedziałem przy komputerze.

– A pies? Nie szczekał?

Hunter usiłował sobie przypomnieć, jak zachowywała się Sara.

– Nie, chyba nie.

– Chyba? Taki wielki pies musi mieć donośny szczek.

– Kiedy pracuję, wyłączam się.

– Nad czym pracowałeś?

Zawahał się. Nie chciał zwierzać się rodzinie, że pisze powieść. Wolał skłamać.

– Przygotowywałem pozew rozwodowy. Matt uniósł brew.

– Mówisz to bez specjalnego przekonania – zauważył z kpiącym uśmiechem.

– Przygotowywałem pozew – powtórzył Hunter.

– Dla kogo? Hunter pokręcił głową.

– Obowiązuje mnie tajemnica. Znasz chyba zasady. Poza tym nie ma to nic wspólnego ze sprawą.

Matt spojrzał na Buddy'ego.

– Mogła leżeć w zaułku przez jakiś czas?

– Wykluczone. W czasie dnia pełno tu ludzi. Pracownicy z pobliskich firm i sklepów wychodzą na papierosa, kręcą się dostawcy, dzieciaki jeżdżą na deskach.

– To znaczy, że ktoś ją tutaj przywiózł już po zamknięciu biur.

Buddy skinął głową.

– Jeden z moich ludzi przepytą Jean, dowiemy się, kiedy wystawiła skrzynki.

Hunter wiedział, że Buddy mówił o właścicielce sklepu spożywczego.

– No i czy nie zauważyła nic podejrzanego, kiedy zamykała sklep – dodał jeszcze.

– To już wszystko? – zapytał Hunter. – Mogę iść? – Miał dość przeżyć jak na jeden dzień. Chciał zostać sam, ochłonać, pozbierać myśli. Przede wszystkim jednak chciał uwolnić się od towarzystwa ojca i brata.

– Wieczorem, po zamknięciu biur i sklepów, ktoś się kręci po zaułku?

– Nie uświadczysz żywej duszy, że użyję niezbyt fortunnego określenia.

– W ogóle nikt się tu nie pojawia?

– Czasami jakieś dzieciaki. Ktoś zapędzi się przez tu przez pomyłkę i zaraz zawraca. Ja i Sara robimy tu ruch, to wszystko.

– Słyszysz ze swojego mieszkania, jak ktoś wjeżdża samochodem?

– Na ogół tak.

– Ale dzisiaj wieczorem nic nie słyszałeś, nic nie widziałeś? – Matt uśmiechnął się ironicznie.

– Jeśli nie macie do mnie więcej pytań, chciałbym już iść. Nie muszę wam chyba wyjaśniać, że miałem wyjątkowo ciężki wieczór.

– Idź – zgodził się łaskawie Buddy. – Być może będziemy musieli przepytać cię jeszcze raz, kiedy zbierzemy więcej informacji.

Hunter odszedł powoli. Czuł na plecach spojrzenia ojca i brata. Korciło go, żeby się odwrócić, spojrzeć im w twarz, zobaczyć miny. Wewnętrzny impuls kazał mu tak właśnie zrobić.

Nic, nie spojrzy w ich stronę. Nie da im tej satysfakcji. Nie okaże żadnym gestem, jak dziwne było dla niego to spotkanie. Dziwne, nieprzyjemne i niesmaczne. Otrząsnął się, jakby chciał się uwolnić od niemiłego wrażenia.

Potraktowali go jak kogoś obcego.

Obcego i niewiarygodnego.

– Hunter? – zawołał za nim Matt. Zatrzymał się, odwrócił.

– Jeśli coś sobie przypomnisz, zadzwoń do mnie albo do ojca. Każdy detal jest ważny.

Rozdział 14

W dniu pogrzebu od rana świeciło słońce. Ludzi na cmentarzu pojawiło się znacznie mniej niż poprzedniego wieczoru na ceremonii w domu pogrzebowym. Stawili się głównie przyjaciele rodziny, ale Avery przypuszczała, że tak właśnie będzie.

Po prawej stronie miała Lilę, po lewej Buddy'ego. Trzymali ją mocno pod ramiona, dodając sił. Wyglądało, że Lila jest teraz w znacznie lepszej kondycji niż podczas czuwania, chociaż nie mogła powstrzymać łez. Matt stał za matką, obok niego Cherry. Naprzeciwko niej stanął Hunter. Sam.

Avery podniosła na niego wzrok. Nie dojrzała w jego twarzy bólu, przygnębienia, smutku. Tylko złość, zawziętość.

Wzdrygnęła się.

Kimże jest człowiek pozbawiony umiejętności współodczuwania? Do czego jest zdolny?

Do wszystkiego.

Taki człowiek staje się potworem.

Pastor, który ją chrzczył, mówił ciepło o ojcu, o jego zasługach dla całego miasteczka i dla każdego z osobna.

– W świecie, który tak często spowija mrok, on był promieniem światła, którego będzie nam z pewnością teraz brakowało – zakończył.

Spojrzała na trumnę.

Zakręciło się jej w głowie. Nogi odmawiały posłuszeństwa.

– Z prochu powstałeś...

„Oblał się ropą i zapalił zapałkę”.

– W proch się obrócisz...

„Gdzie byłaś, Avery, kiedy twój ojciec...?”.

Nie mogła zaczerpnąć powietrza. Zachwiała się. Buddy ją podtrzymał.

To nie tak, myślała ogarnięta paniką. Jej ojciec nie mógł odebrać sobie życia. To niemożliwe, żeby odszedł.

Nie zdążyła się z nim pożegnać.

Jej wina.

Gdy wpatrywała się w trumnę, przed oczy wracały jej sceny żałobne, których była świadkiem: płaczące wdowy, dzieci o nazbyt poważnych, naznaczonych cierpieniem twarzach, rozpaczające rodziny, zdjęci smutkiem przyjaciele, sąsiedzi, znajomi...

Śmierć.

Nieodwracalny wyrok losu.

Ziejąca rana.

Chciała rzucić się na trumnę. Płakać, krzyczeć, Walić pięściami. Zamknęła oczy, próbując się opanować. Ojciec spocznie obok matki, powtarzała w myślach.

Razem na tym i na tamtym świecie.

Czy na pewno?

Gzy grzech, który popełnił, nie skaże go na wieczne potępienie?

Czy ktoś mu odpuści jego grzech?

Kto jej odpuści grzechy?

– Avery, kochanie, to już koniec. Koniec. Koniec.

„Z prochu powstałeś... oblał się ropą i zapalił za... gdzie byłeś, Avery? Gdzie byłeś, kiedy on...”. W proch się obrócisz.

– Avery, kochanie, chodź już.

Spojrzała na Buddy’ego pustym wzrokiem i skinęła głową. Pozwoliła się odprowadzić od grobu. Jak przez mgłę dojrzała mężczyzn z wczorajszej ceremonii. Wszyscy w czerni. Razem. Znowu.

Siedmiu.

Przyglądali się jej. Jeden z nich zaśmiał się cicho.

Zachwiała się, Buddy ją chwycił.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się.

– Ci mężczyźni, tam – wykrztusiła. – Co to za jedni?

– O kim mówisz?

– O tych, tam... Zniknęli. Pokręciła głową.

– Oni... co oni tu... – Znowu się zachwiała, w uszach zahuczało. To krew, pomyślała.

Uderzenie krwi do...

– Matt, szybko! Pomóż...

Kiedy odzyskała przytomność, leżała na ziemi. Zobaczyła błękitne niebo nad sobą i kilka zatroskanych twarzy.

– Zemdląłeś – powiedział ktoś.

To Buddy, rozpoznała głos. Powiodła spojrzeniem po nachylonych nad nią twarzach. Matt. Cherry. Lila. Pastor Dastugue. Wracała do rzeczywistości. Przypomniała sobie, co się działo tuż przed tym, zanim zemdląła.

Spróbowała wstać.

Matt położył jej dłoń na ramieniu.

– Powoli. Oddychaj głęboko. Nie podnoś się, dopóki nie poczujesz się pewnie.

Posłuchała. Chwilę później pozwolili jej usiąść, potem wstać. Matt otoczył ją ramieniem, chociaż zapewniała, że ma się już dobrze.

– Tak mi głupio – usprawiedliwiała się. – Czuję się jak idiotka.

– Nie gadaj głupstw – fuknęła Lila. – Kiedy ostatni raz jadłaś?

Nie pamiętała. Nie mogła sobie przypomnieć, w ogóle nie mogła się skupić, zebrać myśli.

Zwilżyła wargi.

– Nie wiem. Chyba wczoraj... lunch...

– Nic dziwnego, że zemdłałaś. Powinam była przynieść ci coś do jedzenia.

Avery spojrzała na Matta.

– Widziałeś ich?

– Kogo?

– Kilku mężczyzn. Siedmiu dokładnie. Byli razem. Ubrani na czarno.

Matt i Buddy wymienili spojrzenia.

– Gdzie?

Wskazała miejsce, gdzie stali.

– Tam.

Popatrzyli tam, potem na nią.

– Nie przypominam sobie żadnej takiej grupy – powiedział Buddy, a potem spojrzał na Lilę i Cherry: – Widziałyście kogoś?

Obydwie pokręciły głowami: nie, nie widziały.

Wtedy zwrócił się do Avery:

– Jesteś pewna, że ich widziałeś?

– Tak. Ja... jestem pewna. Wczoraj też ich widziałam. Byli na czuwaniu.

– Wiesz, kto to taki?

Potarła czoło w zakłopotaniu. Poprzedniego wieczoru miała wrażenie, że kilku z nich rozpoznaje. Teraz czuła kompletną pustkę w głowie.

Zaczyna wariować.

– Nie wiem. Ja... – Słowa uwięzły w gardle. Gdy przesunęła wzrokiem po znajomych twarzach, dostrzegła wypisaną na nich troskę i zaniepokojenie.

Oni też myślą, że traci rozum. Lila objęła ją serdecznie.

– Biedne maleństwo. Tyle ostatnio przecierpiałaś. Jedźmy już. W domu czekają sandwicze i ciastka. Posilisz się i zaraz poczujesz lepiej.

Poczwała się lepiej.

Na tyle, na ile to możliwe, zważywszy okoliczności. Stevensowie tańczyli wokół niej, podsuwali jedzenie, kazali wyciągnąć się na kanapie. Żeby i jej nie męczyć, zaraz po poczęstunku pożegnali zaproszonych na stypę żałobników.

Matt odwiózł ją do domu. Oparła głowę o zagłówek i przymknęła oczy, ale zaraz je otworzyła i uważnie spojrzała na Matta.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj.

– Naprawdę nie widziałeś tych siedmiu mężczyzn? Ani wczoraj na czuwaniu, ani dzisiaj na pogrzebie?

– Naprawdę nie widziałem.

– Bardzo się bałam, że taką właśnie odpowiedź usłyszę.

Uściskał jej dłoń uspokajającym gestem.

– Stres i ból potrafią wywołać niezły zamęt w głowie.

– Już to słyszałam.

Matt zachmurzył się, zmarszczył czoło.

– Martwię się o ciebie, Avery. Zaśmiała się smutno.

– Zabawne, że to mówisz, bo ja też martwię się o siebie.

Raz jeszcze uściskał jej dłoń.

– Wszystko wróci do normy.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście.

Zamilkli. Avery przyglądała się Mattowi. Mocno zarysowany nos, mocna szczęka, ładnie wykrojone usta. Stworzone do całowania. Dobrze to pamiętała.

Przystojny. Cholernie przystojny. Znacznie bardziej niż kiedyś, przed laty.

– Matt? Wczoraj wieczorem... O co chodziło z Hunterem? Po co przyszedł na czuwanie? Dlaczego wyszliście?

– Teraz chyba nie pora, żeby...

– Ludzie szeptali coś o tym na stypie. Matt skręcił w ulicę, przy której stał dom jej rodziców.

– Znaleziono zamordowaną kobietę.

– Hunter ją znalazł?

– Tak, w zaułku, przy którym mieszka.

W wielkich miastach, gdzie mieszkała po wyjeździe z Cypress Springs, morderstwa były na porządku dziennym. Ale tutaj...

W Cypress Springs takie rzeczy się nie zdarzały.

W zacnych miasteczkach ludzie nie mordują się nawzajem.

W zacnych miasteczkach zacy doktorzy nie płoną żywcem, kiedy mają dość życia.

– Jak została zamordowana?

Matt dojechał do domu Chauvinów, zatrzymał się na podjeździe, wyłączył silnik, a potem nachylił się do Avery.

– Nie pytaj. Nie musisz wiedzieć. Masz dość własnych problemów.

– Jak?

– Nie mogę ci powiedzieć. Nie powiem. Bardzo mi przykro.

– Naprawdę? Ujął jej dłoń.

– Nie gniewaj się.

– Każdy usiłuje mnie przed czymś chronić. Mam już tego dość.

– Jasne. Lepiej żyć niebezpiecznie, za to ciekawie. Elaine St. Claire na pewno by ci przyklasnęła. Gdyby żyła, oczywiście.

Oczywiście.

St. Claire. Zamordowana kobieta. To ją musiał mieć na myśli. Avery zrobiła się czerwona jak piwonია.

– Przepraszam, Matt – mruknęła skruszona. – Nie jestem sobą.

– W porządku. Rozumiem. – Podniósł dłoń Avery do ust i pocałował. – Jesteś pewna, że dasz sobie radę? Mogę zostawić cię samą?

– O właśnie. Znowu chcesz mnie niańczyć. Matt uśmiechnął się.

– Przyznaję się do winy.

– Nie martw się o mnie. – Otworzyła drzwiczki. – Prześpię się, odpocznę.

Przechylił się, znów chwycił jej dłoń, uściśnął serdecznie.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Avery.

– Wiem i dziękuję. Bardzo mi to pomaga. Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę ganku. Od drzwi obejrzała się jeszcze. Matt nie odjeżdżał, czekał, aż wejdzie do domu.

Pomachała mu na pożegnanie, odpowiedział tym samym gestem i zapalił silnik. Kiedy samochód zniknął, weszła do holu.

Przywitał ją dzwonek telefonu.

– Tak, słucham?

– Czy mówię z córką doktora Chauvina? Kobięcy głos. Głęboki. Lekko zachrypnięty.

Głos nałogowej palaczki.

– Tak, tu Avery Chauvin – odpowiedziała. – W czym mogę...

– Niech cię piekło pochłonie! – wybuchnęła kobieta. – Niech piekło pochłonie twojego ojca. Ma, na co zasłużył! Ty też doczekasz się zapłaty.

Kobieta rzuciła słuchawkę.

Rozdział 15

Avery jeszcze przez wiele godzin nie mogła uwolnić się od myśli o dziwnym telefonie. Niczym zgrzytliwa melodia, nadal rozbrzmiewały jej w głowie i nie dawały spokoju słowa wykrzywane przez nieznaną kobietę.

„Ma, na co zasłużył”.

„Ty też doczekasz się zapłaty”.

W pierwszej chwili osłupiała, zaszokowana, że ktoś może aż tak nienawidzić jej ojca. Potem przyszła złość. Próbowła zadzwonić pod 69, ale przypomniała sobie, że ojciec nie miał w abonamencie telefonicznym usługi callback, pozwalającej na połączenie się z numerem, spod którego ktoś do nas dzwonił. Zastanawiała się, czy nie zawiadomić o dziwnym telefonie Matta albo Buddy’ego, ale szybko zarzuciła ten pomysł. Jak miałiby jej pomóc? Co najwyżej powiedzieliby, że to jakaś wariatka, i poradziliby, żeby zastrzegła numer.

Może rzeczywiście kobieta była stuknięta.

A jeśli nie? Jeśli to była pogrózka? Ostrzeżenie?

Avery zaczęła chodzić niespokojnie po pokoju. Jej ojciec był chrześcijaninem i lekarzem. Wierzył, że życie jest czymś świętym. Poświęcił się jego ratowaniu, walczyłyby trwało.

Może miała rację, kiedy na wiadomość o jego śmierci uznała w pierwszym odruchu, że nie mógł popełnić samobójstwa? Może nie targnął się na swoje życie?

Zatrzymała się, usiłując przypomnieć sobie dokładne brzmienie jego ostatniej wiadomości, którą zostawił na automatycznej sekretarce.

„Muszę z tobą porozmawiać. Miałem nadzieję, że... Jest coś... Zadzwonię później. Do widzenia, córeczko”.

Kiedy dotarła do niej wiadomość o samobójstwie, uznała za oczywiste, że telefon od ojca był rozpaczliwym błaganem o pomoc. Zadzwonił, bo chciał, żeby odwiodła go od tragicznej decyzji. A może chciał się z nią pożegnać? Nie mogła sobie wybaczyć, że nie podniosła wówczas słuchawki. Nawet gdyby nie powiedział wprost o samobójstwie, i tak domyśliłaby się prawdy, odgadła zamiary z brzmienia głosu.

Uratowałyby mu życie. W każdym razie wierzyła, że uratowałyby.

„Ma, na co zasłużył”.

„Ty też doczekasz się zapłaty”.

Wyraźna pogrózka. Tak to należało rozumieć. Być może ojciec wiedział, że jest w niebezpieczeństwie. Że ma wrogów. Chciał z nią o tym porozmawiać. Przekazać jej jakąś informację.

Często dzielił się z nią swoimi problemami, zwierzał się.

Jeśli dobrze dedukowała, to jej przypuszczenia stały w jawnej niezgodzie z powszechnym

przekonaniem. Wszyscy uważali, że doktor popełnił samobójstwo: Lila, Matt, Buddy, bliscy jej ludzie, którym ufała i wierzyła.

Nie oni jedni, całe miasteczko tak uważało.

Wciągnęła głęboko powietrze, zmagając się z chaosem panującym w jej głowie. Czy mogła ufać własnym sądom, skoro wszyscy byli odmiennego zdania? Podważać opinię biegłych? Wątpić w kompetencje wymiaru sprawiedliwości? Z drugiej strony wiadomo, że policja często poprzestaje na rutynowych działaniach, zamiast czynić wszystko, by dojść prawdy.

Jeśli ojciec nie targnął się na swoje życie, oznaczałoby to, że został...

Zamordowany.

Straszne słowo, które niesie z sobą straszne konsekwencje.

Morderstwo? W Cypress Springs? Dwa morderstwa, przypomniała sobie. Była przecież kobieta, którą Hunter znalazł w zaułku koło swojego domu. Czy możliwe, że oboje zabiła jedna i ta sama osoba?

Mało prawdopodobne.

Równie mało prawdopodobne jak to, że w Cypress Springs grasuje dwóch morderców.

Kto mógłby chcieć śmierci doktora? – zastanawiała się. Był przez wszystkich kochany, cieszył się szacunkiem całego miasteczka.

Nie całego. Musiał mieć wrogów. Dowodził tego dzisiejszy telefon. Jak i tego, że teraz również ona miała wrogów.

„Ma, na co zasłużył?”

„Ty też doczekasz się zapłaty”.

Podeszła do okna, uchyliła ostrożnie zasłonę i wyjrzała na ulicę. Kilka samochodów zaparkowanych wzdłuż chodnika, poza tym pusto, cicho.

Przynajmniej na pozór.

Ściągnęła brwi. Avery nie wiedziała, czy przed jej powrotem do domu ta kobieta już dzwoniła. Możliwe. Ojciec nie miał ani identyfikatora rozmów przychodzących, ani automatycznej sekretarki. Czy nieznajoma, zanim zadzwoniła, obserwowała ją? Śledziła z ukrycia?

Nie wpadaj w paranoję, Chauvin. Potraktuj to jak materiał do reportażu. Zbierz wszystkie dostępne fragmenty i spróbuj ułożyć z nich spójną, sensowną całość.

Odsunęła się od okna i przeszła do kuchni. Spojrzała na zegar na ścianie. Trzech minut brakowało do wpół do drugiej w nocy. Z szafki pod telefonem wyjęła notatnik i długopis, potem nastawiła nowo nabyty ekspres do kawy.

Co właściwie wiedziała o morderstwach? Nie jakichś poszczególnych, tylko tak w ogóle? W swojej pracy dziennikarskiej nigdy nie zajmowała się podobnymi sprawami, ale w redakcji dzieliła pokój z kolegą, który pisał o zbrodniach, więc chcąc nie chcąc, przejęła od niego trochę

wiedzy na ten temat.

Facet był wyjątkowo niesympatyczny, chorobliwie ambitny i zadufany w sobie. Kochał brzmienie swojego głosu, a przy tym ubrdał sobie, nie wiedzieć czemu, że szczegółowe relacje z miejsca zbrodni działają na kobiety niczym afrodyzjak.

Kto mógłby przypuszczać, że kiedyś będzie wdzięczna zarozumiałemu i nielubianemu koledze za jego niekończące się, mrozące krew w żyłach opowieści?

Ekspres zagulgotał po raz ostatni, informując, że wykonał zadanie. Avery nalała sobie świeżej, aromatycznej kawy, usiadła przy wielkim dębowym stole, przysunęła notes i ołówek.

Jeśli ojciec rzeczywiście został zamordowany, z pewnością nie był to fatalny zbieg okoliczności czy zbrodnie w afekcie. Ambitny kurdupel, kolega redakcyjny, zwykł mawiać, że miłość, nienawiść i chciwość stanowią świętą trójcę, która kieruje czynami morderców.

Upiła łyk kawy. Dłoń, kiedy podnosiła kubek do ust, drżała lekko, ale Avery nie potrafiłaby powiedzieć, czy ze zdenerwowania, czy ze zmęczenia. Nie była w stanie wyobrazić sobie, by jej łagodny, dobroduszny ojciec uwikłał się w jakieś ciemne sprawy, które w efekcie przesądziły o jego tragicznym końcu.

Zamknęła oczy.

Nie wyrokuj o niczym z góry, Avery. Zbierz fakty i spróbuj zbudować z nich całość.

Otworzyła oczy, wzięła długopis do ręki. Pierwszy krok: dowiedzieć się jak najwięcej o okolicznościach śmierci ojca. Porozmawiać z Benem Mitchellem. Z koronerem. Z Buddym o jego dochodzeniu.

I jeszcze jedna ważna rzecz: spróbować, przynajmniej spróbować sprawdzić, czy może istnieć jakiś związek między śmiercią ojca i zamordowaniem Elaine St. Claire.

Z samego rana Avery pojechała do Baton Rouge, by złożyć wizytę Benowi Mitchellowi.

Biegli powoływani przez regionalnego marszałka straży pożarnej dochodzili przyczyn pożarów. Ci z kolei, jeśli w grę wchodziło podpalenie, składali doniesienie na policję, a w przypadku, gdy potrafili wskazać podejrzanego, wnioskowali o wszczęcie policyjnego dochodzenia.

Ben Mitchell, pan w średnim wieku, o ciemnych włosach przyprószonych siwizną, był jednym z regionalnych biegłych.

Przywitał ją bardzo sympatycznie.

– Proszę siadać, pani Chauvin.

Usiadła naprzeciwko niego, wyjęła notes z torebki i uśmiechnęła się.

– Avery.

Ben skinął głową.

– Twój ojciec, Avery, był bardzo dobrym człowiekiem.

– Znałeś go?

– Nie było w parafii osoby, która by go nie znała. Kiedyś bardzo pomógł mojej siostrze. – Zniżył głos. – Rak szyjki macicy. Doktor od razu skierował ją do onkologa, ale potem cały czas się nią opiekował, czuwał nad przebiegiem leczenia.

Takim właśnie był lekarzem. Dla niego pacjent nigdy nie był tylko kolejnym przypadkiem. Dla niego ważne było ludzkie zdrowie, nigdy pieniądze.

– Dziękuję – powiedziała Avery. – Wiem, że był dobrym człowiekiem.

Ben zerknął na notes, który trzymała w ręku.

– W czym mogę ci pomóc?

– Wspominałam już przez telefon, że rozmawiałam z Johnem Price'em. To on mi poradził, żebym skontaktowała się z tobą. Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o... okolicznościach śmierci ojca.

– Nie rozumiem.

Avery podniosła wzrok i spojrzała Benowi prosto w twarz.

– Chciałabym być z tobą zupełnie szczerą.

– Naturalnie.

– Nie mogę pogodzić się z odejściem ojca. W jaki sposób zmarł. Nie mogę... tego pojąć. Gdybyś opowiedział, co zastałeś na miejscu, być może byłabym w stanie... Potrafiłabym... Krótko mówiąc, byłoby mi łatwiej.

Teraz Ben już rozumiał.

– Co chciałabyś wiedzieć?

– Co zastałeś na miejscu. Jakim torem szło dochodzenie. Co odkryłeś.

– Jesteś pewna, że chcesz to wiedzieć? Avery bezwiednie zacisnęła palce.

– Tak.

– Zadaniem biegłego jest określenie przyczyn pożaru. Jak długo trwał, jakie straty spowodował.

Kiedy, w jaki sposób doszło do zaprószenia ognia.

– A w tym przypadku? Do czego doszedłeś?

– Twój ojciec użył oleju napędowego, który, w przeciwieństwie do benzyny, nie wydziela łatwopalnych oparów.

– Każdy olej zachowuje się w ten sam sposób?

– Ten używany w silnikach diesla i lotniczy JP-5. – Ben przerwał na chwilę, jakby zbierał myśli. A może szukał odpowiednich słów. – Wiesz coś o śmierci w płomieniach?

– Przypomnij mi. – Widząc zdziwienie na twarzy Bena, Avery pospieszyła z wyjaśnieniem: – Jestem dziennikarką. Przedstaw mi fakty. Potrafię to znieść.

– Dobrze. Przede wszystkim ciało nie spopiela się całkowicie, jak w przypadku kremacji. Zachowuje swój kształt. Spala się ubranie, włosy, tkanka miękka, ale zachowują się na przykład

usta, nos. Czarne, zwęglone. Zachowuje się ludzka twarz, ale bez jakichkolwiek indywidualnych cech. Staje się nie do rozpoznania.

Ojciec nie mógł zrobić czegoś takiego, skazać się na taką śmierć. To niemożliwe.

– Jak często zdarzają się samobójstwa przez samospalenie?

– Prawie nigdy.

– Jak sądzisz, dlaczego tak jest? – Miała co prawda własną hipotezę na ten temat, ale chciała usłyszeć odpowiedź Bena.

– Nie jestem psychologiem. Zajmuję się badaniem przyczyn pożarów. To, co mógłbym powiedzieć, będzie wyłącznie moją prywatną opinią, która nie musi mieć potwierdzenia w faktach.

– Pomimo wszystko chciałabym ją usłyszeć.

– Większość ludzi, którzy decydują się popełnić samobójstwo, szuka sposobów szybkich, najlepiej bezbolesnych.

– Czego z pewnością nie da się powiedzieć o samospaleniu.

– Pamiętaj, że to tylko moja opinia – zastrzegł się jeszcze.

– Rozumiem. – Avery spojrzała na notes i podniosła wzrok na Bena. – Myślisz, że mój ojciec wiedział, na czym polega różnica w spalaniu się oleju napędowego i benzyny?

– Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Być może po prostu użył tego, co miał pod ręką.

– Ściągnął olej ze swojego mercedesa.

– Tak.

– Wyklucasz podpalenie? Benny skinął głową.

– Tak. Jesteśmy w stanie określić źródło ognia, miejsce, z którego pożar się rozprzestrzenił.

W przypadku podpalenia źródło znajduje się zazwyczaj na zewnątrz właściwego obszaru. Poza tym podpalacze bardzo często zostawiają ślady, jakby byli pewni swojej bezkarności albo po prostu nie potrafili przewidzieć konsekwencji swoich działań dla innych i dla samych siebie.

– Tutaj wyklucasz podpalenie? – upewniła się jeszcze.

– Wykluczam. Wszystkie ślady wskazują na to, że twój ojciec sam się podpalił. Od niego zaczął się pożar. Znaleźliśmy nawet resztki gumowej rurki, którą ściągał paliwo.

– Nie dostrzegłeś nic niezwykłego? Nic, co wzbudziłoby twoje wątpliwości?

Benny zmarszczył czoło, jakby próbował odświeżyć pamięć.

– Znaleźliśmy kapeć twojego ojca na ścieżce prowadzącej z domu do garażu.

– A drugi?

– Pewnie spłonął, jak całe ubranie. W każdym razie nie znaleźliśmy go.

– Gdzie dokładnie na ścieżce? Benny zastanawiał się przez chwilę.

– Kilka kroków od drzwi kuchennych. Skoro zgubił kapeć zaraz po wyjściu z domu, dlaczego nie zatrzymał się i nie wzięł go na powrót? Coś się tu nie zgadzało. Avery nie była

ekspertem od ludzkich zachowań, ale takie rzeczy jak ponowne wżucie kapcia, który zsunął się ze stopy, człowiek robi odruchowo, nawet jeśli za chwilę ma zamiar skończyć z sobą.

– Nie wydaje ci się to dziwne?

– Dziwne?

– Próbowałaś kiedyś przejść choćby kilka metrów w jednym bucie? To bardzo irytujące. Jak zakłócenie równowagi, wzroku czy słuchu.

– Cóż, twój ojciec musiał być w stanie silnego wzburzenia. Trudno mi postawić się w jego położeniu, ale nie widzę nic dziwnego w tym, że nie zwrócił uwagi na taki szczegół.

Była odmiennego zdania, ale nie drążyła już tematu kapcia.

– Coś jeszcze?

Ben poruszył się niespokojnie w fotelu.

– Avery... kiedy już płonął, próbował czołgać się w stronę drzwi garażu.

Chciał się ratować. Szukał pomocy. Było już za późno na ratunek. Próbowała się trzymać, ukryć rozpacz pod maską chłodu. Nie udało się.

– Przepraszam – bąknął Benny. – Nie powinienem był ci mówić...

– Nie. – Podniosła dłoń. – Dziękuję, że nic nie ukrywałaś. Może wydać ci się to dziwne, ale im więcej wiem, tym łatwiej mi będzie uporać się z jego śmiercią. Chcę poznać wszystkie fakty.

– Rozumiem. Jestem taki sam. – Zerknął na zegarek. – Rozmawiałaś z Buddym o dochodzeniu? Widziałaś się już z koronerem?

– Rozmawiałam z Buddym, na razie dość pobieżnie. Z koronerem jeszcze się nie widziałam, ale mam zamiar.

Benny podniósł się zza biurka.

– Powodzenia, Avery.

Też wstała, uśmiechnęła się z wdzięcznością i uścisnęła mu dłoń na pożegnanie.

– Dziękuję, Ben, że zechciałeś poświęcić mi chwilę czasu. – Zatrzymała się jeszcze przy drzwiach, obejrzała. – Ostatnie pytanie, Benny. Nie masz żadnych wątpliwości, że to było samobójstwo?

Był wyraźnie zaskoczony, widziała to po jego minie. Zawahał się, jakby szukał właściwych słów.

– Do mnie należy ustalenie przyczyn i źródła pożaru. Przyczyny i okoliczności śmierci to już sprawa policji oraz koronera.

– Oczywiście. – Trochę zawiedziona położyła dłoń na klamce. Więcej się nie dowie.

– Avery? Buddy zrobił wszystko, co do niego należało. Niczego nie zaniedbał. Nigdy nie widziałem, by był aż tak... poruszony. On też nie chciał, żeby to była prawda.

Nawet najbardziej skrupulatny policjant może popełnić błąd. Zdarza się przecież, że coś przeoczy, coś umknie jego uwadze.

Nie powiedziała tego głośno. Podziękowała jeszcze raz za rozmowę i wyszła.

Rozdział 16

Trzydzieści lat minęło od ostatniej bytności Huntera na posterunku policji w Cypress Springs. Nic się tu nie zmieniło przez tych trzydzieści lat, stwierdzał, rozglądając się po wnętrzu. W Cypress w ogóle niewiele się zmieniało, takie to już było miasteczko, przywiązane do tradycji, niechętnie wszelkim nowinkom.

Przyszedł na posterunek, bo przypomniał sobie coś, co dotyczyło zabójstwa Elaine St. Claire i być może mogło dopomóc w dochodzeniu.

Od chwili znalezienia zwłok, czyli od trzydziestu sześciu godzin, nie był w stanie myśleć o czymś innym. Żeby nie wiedzieć jak rozpaczliwie próbował, nie mógł uwolnić się od obrazu wykrzywionej w śmiertelnym skurczu przerażenia twarzy.

Przy biurku dyżurnego nikogo nie było. Zapewne zaraz wróci, pomyślał Hunter, spoglądając na nadgryziony pączek i kubek, z którego wciąż unosiła się para.

Nie czekając, aż funkcjonariusz się pojawi, przeszedł dalej, jakby nadal miał prawo poruszać się swobodnie po budynku.

Drzwi do gabinetu ojca wprawdzie były uchylone, ale w środku ani śladu Buddy'ego. Wszedł do pokoju pachnącego ojcem i wspomnieniami z dzieciństwa.

Skrzywił się, zdjęty irracjonalną niechęcią, jakby bronił się przed obrazami z przeszłości.

Oto bawi się pod wielkim dębowym biurkiem... Z rozdziawioną buzią słucha, jak ojciec beszta ofermowatego podwładnego... I ostatnia wizyta u ojca, tuż przed wyjazdem na uniwersytet...

Próbował wtedy raz jeszcze rozbić mur, który oddzielał go od rodziny.

– Powiedz mi, tato, co ja takiego zrobiłem? Dlaczego odsuwasz się ode mnie? Dlaczego mnie wyklucasz? Wszyscy odsunęliście się ode mnie, ty, mama, Matt, Cherry. Jakbym był zadzumiony, nie należał już do rodziny. Powiedz coś, tato. Rozmawiaj ze mną. Przyjmę wszystko, byle to poprawiło nasze stosunki.

Ale ojciec nie miał dla niego czasu. Zbył go, powiedział, że Hunter coś sobie musiał ubrnąć, że to rojenia niemające oparcia w rzeczywistości.

Wyjechał pełen urazy, obiecując sobie w duchu, że im wszystkim jeszcze pokaże. Przyjdzie dzień, że im pokaże.

Jego uwagę przyciągnęła leżąca na biurku teczka z napisem: „Zdjęcia”.

Fotografie z miejsca zbrodni? Zaciekawiony podszedł do biurka.

Tak, teczka musiała zawierać dokumentację morderstwa, bo pod spodem mógł przeczytać: „St. Claire, Elaine”.

– Witaj, synu.

Synu. Słowo, które powinno nieść w sobie ładunek ciepła, a które Hunterowi brzmiało

w uszach najkrwawszą ironią.

– Cześć, tato.

Buddy spojrział na biurko, potem podniósł wzrok na Huntera.

– Co cię sprowadza?

– Sprawa St. Claire.

Buddy pokiwał głową, usadowił się w swoim fotelu i wskazał krzesło naprzeciwko.

– Siadaj.

Hunter wolałby stać, ale przyjął zaproszenie.

– Nic się tu nie zmieniło.

– Ładny kawałek czasu.

– Trzyście lat.

Hunter omiółtł wewnątrz szybkim spojrzeniem. Coś jednak się zmieniło. Zniknął jego puchar ze szkolnych rozgrywek baseballowych, zniknęło też jego zdjęcie, które dawniej stało na biurku.

– Wygląda na to, że pozbyłeś się wszystkiego, co mogłoby się kojarzyć z moją skromną osobą – zauważył cierpko.

– Porzuciłeś nas, Hunter.

– Czyżby? Ja to widzę inaczej.

– Nie znudziło ci się jeszcze, bracie, bez końca powtarzać jedno i to samo?

Hunter obrócił się gwałtownie. W drzwiach stał Matt, z pewną siebie, czy może butną miną, jakby on tu był gospodarzem.

– Zjawiasz się w samą porę. Urządzimy sobie małe rodzinne spotkanie.

– Co za szczęście niewysłowione mnie spotyka – mruknął Matt.

– Hunter przyszedł w sprawie St. Claire.

– Tak? – Matt podszedł do biurka, założył ręce na piersi i przysiadł na krawędzi blatu.

– Wyszedłem z Sarą za kwadrans szósta, zrobiliśmy zwykłą rundkę, ale nie zauważyłem nic podejrzanego.

– Co to znaczy, zwykłą rundkę?

– Idziemy Walton do Głównej, obchodzimy plac miejski i wracamy do domu. – Hunter zamilkł na moment, po czym podjął: – Myślę, że jej... zwłok jeszcze tam wtedy nie było, bo Sara natychmiast by coś wyczuła. Później przecież wyczuła.

– Dlaczego nie powiedziałeś nam tego wczoraj? – zapytał Matt.

– Nie pytaliście. A ja dopiero dzisiaj uświadomiłem sobie, że to może mieć znaczenie.

Matt przechylił głowę.

– Dobrze się składa, że przyszedłeś, bo mamy do ciebie kilka pytań.

– Pytań? – Spojrział na Buddy'ego, znowu na brata. – Dobra, pytaj.

– Znałeś ofiarę?

- Nie.
- Nigdy nie słyszałeś o Elaine St. Claire?
- Nigdy, aż do wczoraj.
- Gdzie byłeś wczoraj między czwartą po południu a pojawieniem się u Gallaghera?
- To znaczy w czasie, kiedy ona zginęła?
- Odpowiedz na pytanie.
- Kpicie sobie chyba. – Sądząc po minach, raczej nie kpili. – Jestem podejrzany?
- To standardowa procedura. Znalazłeś ciało, co automatycznie czyni cię podejrzanym.

Hunter podniósł się.

– Bzdura.

– Siadaj, synu. – Buddy rzucił Mattowi poirytowane spojrzenie. – Odpowiedz na pytanie.

Gdzie byłeś wczoraj między czwartą a ósmą?

– Pracowałem. Byłem sam. Nie, Sara była ze mną. Ona może mi zapewnić alibi.

W przeciwieństwie do ludzi, obecnych nie wykluczając, na nią można zawsze liczyć.

– Byłeś na spacerze z Sarą, to wiemy. Czy poza tym wychodziłeś z domu?

– Nie.

– Rozmawiałeś z kim podczas spaceru? Hunter zastanawiał się przez chwilę.

– Nie.

– Między czwartą a ósmą dzwonił ktoś do ciebie? Ktoś, kto mógłby zaświadczyć, że byłeś w domu?

Hunter ponownie musiał udzielić negatywnej odpowiedzi.

– To chyba nie czyni jeszcze ze mnie mordercy?

– Ale i nie wyklucza cię z kręgu podejrzanych. Hunter miał szczerą ochotę zdzielić Matta w szczękę.

– Mogę już iść?

– Jeszcze moment. – Matt zerknął przelotnie na ojca. – Wiesz, jak zginęła, Hunter?

– Nie.

– Ktoś wsadził jej do waginy ostre narzędzie o odgiętych końcach.

Huntera przeszedł lodowaty dreszcz.

– Jezu...

– Wykrwawiła się na śmierć. Musiała konać w potwornych mękach.

– Wiesz, kto mógłby być zdolny do tak koszmarnego czynu? – wtrącił Buddy.

– Tylko psychopata.

– Przychodzi ci na myśl ktoś konkretny, braciszku?

– Żałuję, ale nikt.

– Żałujesz? – zdziwił się Buddy.

- Oczywiście. Tego człowieka trzeba ująć, zanim znowu zaatakuje.
- Cóż za szlachetna, godna podziwu postawa – mruknął Matt jadowicie.

Hunter podniósł się gwałtownie, stanął naprzeciwko Matta.

- Masz problem, bracie? Drażnię cię? Za ciasno dla nas dwóch w tej pipidowie?
- A już myślałem, że w tej rodzinie to ja jestem kowbojem.
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Mam problem. Drażni mnie brak lojalności. Tchórzostwo.

Hunter zaśmiał się głucho.

- I obie te cechy odnajdujesz we mnie?
- Owszem.

Cały Matt. Zawsze musiał mieć rację, zawsze ostatnie słowo należało do niego. Zawsze zajmował rodziców swoją osobą, odsuwając jakimś sobie tylko znanym sposobem Huntera w cień. Podobnie zachowywał się, gdy szło o dziewczyny. Matt musiał błyszczeć, brylować, być w centrum zainteresowania.

Natomiast Hunter nie potrzebował hołdów ani pochlebstw. Nie próbował nawet konkurować z Mattem.

Ale nie pozwalał też bratu dyktować sobie, co ma myśleć, a Matt chciałby Hunter patrzył na świat jego oczami, miał takie same jak on opinie, tak samo postępował. Nie, poprawił się w myślach, Matt nie chciał, Matt się domagał, żądałby wszyscy mu przyklaskiwali.

- Nie wciągniesz mnie w kłótnię, bracie, nie masz co się wysilać.
- Powiedziałem, nielojalny tchórz.

– Bo nie chcę się z wami użerać? A może dlatego, że wyjechałem, ułożyłem sobie życie po swojemu, z daleka od was? Bo nie chciałem podporządkowywać się ślepo we wszystkim wielkiemu Mattowi Stevensowi? O to ci chodzi?

- Chłopcy...

To jedno słowo sprawiło, że Hunter całkiem przestał panować nad sobą. Ogarnęła go straszliwa furia. Ojciec tysiące razy wypowiadał to sakramentalne ostrzeżenie, od kiedy tylko Hunter sięgał pamięcią.

Tylko że wtedy należał jeszcze do rodziny.

– Wściekasz się, że mam własne zdanie, prawda, Matt? Chory jesteś na myśl, że nie masz nade mną żadnej władzy.

- A gadaj sobie i myśl, co chcesz, braciszku.

– Gdybyś wylazł ze swojej skorupy, gdybyś widział dalej niż czubek własnego nosa, może zrozumiałbyś wreszcie, że świat nie kręci się wokół ciebie, zastępczo szeryfa Stevens. I pewnie dlatego nigdy nie odważysz się na podobny eksperyment.

Matt aż poczerwieniał ze złości.

– Zawsze wszystkiego mi zazdrościłeś. I nadal zazdrościsz, taki już jesteś. Zazdrościłeś mi, że mam dziewczynę.

– Nie mieszaj do tego Avery.

– Kiedy to jej dotyczy. Nie mogłeś ścierpieć, że wybrała mnie, a nie ciebie.

– Ciebie wybrała? To gdzie w takim razie była przez te wszystkie lata? Coś mi się wydaje, że najzwyczajniej w świecie cię zostawiła.

Gdy Matt zrobił krok w kierunku brata, Hunter odruchowo zacisnął dłoń, gotów wymierzyć pierwszy cios. Zrobiliby to z rozkoszą.

Zanim zdążył unieść pięść, Buddy stanął między synami.

– Dziękuję, że wpadłeś, Hunter. Będziemy w kontakcie.

Rozdział 17

Biuro koronera dla parafii West Feliciana, najmniejszej chyba spośród wszystkich parafii w całej Luizjanie, znajdowało się w St. Francisville.

Do koronera, a urząd ten sprawował aktualnie doktor Harris, należało ustalanie okoliczności śmierci, przeprowadzanie testów toksykologicznych, określanie czasu i przyczyn zgonu. On też wystawiał świadectwa zgonu.

Avery dowiedziała się tego wszystkiego od żony doktora Harrisa, kiedy zadzwoniłaby umówić się z nim na spotkanie. Usłyszała również, że doktor sprawuje swój urząd od dwudziestu ośmiu lat, że ma dwóch zastępców, jak i on lekarzy, że przeciętnie rejestruje około osiemdziesięciu zgonów rocznie.

Jeśli widział konieczność przeprowadzenia autopsji, zwłoki przewożono do Earl Long Hospital w Baton Rouge, gdzie zajmował się nimi szpitalny anatomopatolog. Parafia West Feliciana miała zbyt szczupły budżet, by pozwolić sobie na zatrudnianie lekarza ze specjalnością medycyny sądowej. Ta ostatnia wiadomość mocno zaskoczyła Avery.

Doktor Harris okazał się przemiłym, pełnym energii starszym panem o siwych włosach i wesołych oczach: całkowite zaprzeczenie stereotypowych wyobrażeń o koronerze.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć – zaczęła Avery po dokonaniu wzajemnej prezentacji. – Pańska żona mówiła mi już, że jest pan koronerem od dwudziestu ośmiu lat.

– Z przerwami, droga pani, z przerwami. Czasami muszę zająć się własną praktyką lekarską, którą zaniedbuję. Za dużo biorę na siebie obowiązków, w każdym razie tak twierdzi żona, wszystkiemu na raz nie sposób podołać.

– Ale znowu piastuje pan urząd.

– Cóż, przekleństwo perfekcjonizmu. Wie pani, jak to jest z perfekcjonistami. Uważają, że są niezastąpieni, każdy inny to partacz. – Doktor nachylił się ku Avery, w oczach zabłyśły wesołe iskierki. – Bo też mieliśmy tu prawdziwego partacza. Każdy zgon to było dla niego „zatrzymanie akcji serca”. Innych przyczyn nie wyróżniał, nie znał, konował jeden. Wywiadu nie przeprowadzał, do kart chorobowych zmarłych nie zaglądał, bywało, że pielęgniarka wypisywała za niego akty zgonu. Ścierpieć tego nie mogłem, to i zgadzałem się wrócić na urząd. Dwa razy.

– Doktor poprawił się w fotelu, ale natychmiast ponownie się nachylił. – Koniec końców, każdy zgon to zatrzymanie akcji serca, ale coś, na Boga, musi spowodować to zatrzymanie, prawda?

– Często zdarzają się takie przypadki? – zapytała Avery. – Mam na myśli błędne orzeczenia lekarskie.

– Nie przy mnie. – Uśmiechnął się dobitnie. – Więc w czym mogę pani pomóc?

– Mówiłam już pańskiej żonie, że chcę się dowiedzieć czegoś więcej o okolicznościach

śmierci mojego ojca.

Na jowialnej twarzy doktora odmalowało się współzucie.

– Bardzo mi przykro. Proszę przyjąć moje kondolencje.

– Dziękuję. – Avery przez moment zastanawiała się, jak pokierować rozmową. – Podobno rejestruje pan około osiemdziesięciu zgonów rocznie i zawsze albo pan osobiście, albo któryś z pańskich zastępców udaje się na miejsce.

– Tak jest.

– Wiem też, że autopsje, jeśli zachodzi taka konieczność, przeprowadzane są w Baton Rouge.

– Tak, przez doktor Kim Sands.

– W przypadku mojego ojca zażądał pan autopsji.

– To normalna procedura, gdy w grę wchodzi samobójstwo. Mam tu wyniki.

– Doktor Sands potwierdziła, że to było samobójstwo?

Harris skinął głową.

– Tak, potwierdziła moje wstępne orzeczenie. Samobójstwo. Bezpośrednia przyczyna zgonu: uduszenie gazami powstałymi w procesie spalania. Przy pierwszej próbie zaczerpnięcia powietrza gazy i płomienie dostają się do dróg oddechowych i następuje śmierć.

„Czołgał się do wyjścia z garażu...”.

– Chce pan powiedzieć, że umarł od razu?

– Śmierć nigdy nie jest natychmiastowa. Anatomopatolog będzie mówił o minutach, godzinach, o całych dniach umierania. W przypadku pani ojca była to kwestia sekund, może minut.

Avery robiła wszystko, by nie myśleć o cierpieniu. Musiała zachować chłodny dystans do tego, co słyszy.

– Proszę mówić dalej.

– Obecność dymu i sadzy w tchawicy oraz w płucach pozwala lekarzowi orzec, że mamy rzeczywiście do czynienia ze śmiercią w płomieniach.

– Albo czy śmierć nastąpiła wcześniej, z innej przyczyny?

– No właśnie.

– Doktor Sands wykluczyła jednak tę możliwość?

– Tak jest.

Avery odchrząknęła.

– Czego jeszcze anatomopatolog szuka w podobnych przypadkach?

– Dla potwierdzenia okoliczności i przyczyn zgonu?

Skinęła głową.

– Wylewów w zachowanej tkance miękkiej.

Śladów alkoholu, narkotyków. Robi się analizy krwi, moczu, bada treść żołądka.

– I...?

– U pani ojca znaleźliśmy śladowe ilości halcionu. To środek nasenny.

Avery drgnęła, wyprostowała się.

– Środek nasenny? Jest pan pewien?

– Pani nie wiedziała? – Harris był najwyraźniej zaskoczony jej reakcją. – Rozmawiałem z Earlem, aptekarzem z Cypress Springs. Pani ojciec od dłuższego czasu brał tabletki nasenne.

– Ktoś mu je przepisywał?

Doktor zastanawiał się chwilę, po czym zajął do leżącej na biurku teczki.

– Mam. Sam wypisywał recepty. Avery milczała.

– Bezsensowność to częsty objaw towarzyszący depresji – dodał Harris.

Nie mógł spać. Jeszcze jedna rzecz, o której nie wiedziała.

Jaka z niej córka?

– Dlaczego miałyby brać środki nasenne? – wykrztusiła wreszcie po dłuższej chwili. – Skoro zamierzał skończyć z sobą, po co wziął tabletki?

– Tabletkę – poprawił ją Harris. – Jedną tabletkę 0,25 miligramu, wnosząc z wyników analiz.

– Nadal nie rozumiem...

– Dlaczego, tak? Tego nigdy się nie dowiemy. Może chciał w ten sposób przytępić świadomość? A może dopiero po zażyciu tabletki podjął decyzję?

„Czołgał się do wyjścia z garażu...”.

– Pani Chauvin?

Podniosła wzrok. Harris trzymał w ręku pudełko z chusteczkami. Nie zdawała sobie sprawy, że płacze. Wyjęła jedną i wytarła oczy.

– Nie natrafił pan na nic... podejrzanego?

– Podejrzanego? – Doktor zmarszczył brwi. – Nie bardzo rozumiem.

– Coś, co mogłoby wskazywać, że nie popełnił samobójstwa.

– Droga pani, mamy tylko cztery przyczyny śmierci: naturalną, wypadek, samobójstwo i morderstwo. Pierwsze dwie możemy od razu wykluczyć. Pozostaje nam samobójstwo albo morderstwo.

– Wiem.

– Do czego pani właściwie zmierza?

– Ja... – Avery gniotła nerwowo chusteczkę w dłoni. – Nie wierzę, że to zrobił. Nie zostawił żadnego listu. W rozmowach z nim, a rozmawialiśmy często, nie wyczułam nic, co mogłoby wskazywać na depresję tak głęboką, by prowadziła do samobójstwa.

Ktoś inny mógłby się obrazić, mógłby pomyśleć, że Avery kwestionuje jego kompetencje, ale doktor Harris ją rozumiał.

– Policja przeprowadziła dokładne dochodzenie. Ja też uczyniłem, co w mojej mocy. Doktor

Sands jest znakomitym anatomopatologiem. Badania toksykologiczne nie wykazały w krwi nic poza odrobiną halcionu. Nie znalazłem nic, co mogłoby wskazywać na morderstwo, doktor Sands również. Znajomi, sąsiedzi, wszyscy powtarzają, że pani ojciec dziwnie się ostatnio zachowywał. Stronił od ludzi. Był przygnębiony. Mógł mieć myśli samobójcze. Wiem skądinąd, że niedawno umarła pani matka.

– Rok temu.

„Ma, na co zasłużył”.

„Ty też doczekasz się zapłaty”.

Avery zacisnęła usta.

– Czy jest coś, o czym nie wiem, a powinienem? Coś, czego jeszcze mi pani nie powiedziała?

Co by pomyślał, gdyby zwierzyła mu się, że miała telefon z pogróżkami? Że może to być chory żart, ale równie dobrze – realne niebezpieczeństwo.

Pokręciła głową.

– Nic.

– Jest pani pewna?

– Całkowicie. – Podniosła się i wyciągnęła rękę. – Bardzo mi pan pomógł, doktorze. Dziękuję, że zechciał pan poświęcić swój czas.

Doktor podniósł się zza biurka i uścisnął jej dłoń.

– Jeśli będę mógł w czymś pomóc, proszę dzwonić.

Kiedy była przy drzwiach, odezwał się jeszcze:

– Proszę wybaczyć staremu człowiekowi, że wtyka nos w nie swoje sprawy, ale od wielu lat sprawuję ten urząd. Zetknąłem się z setkami ludzi pogrążonych w żałobie. Wiem, jak trudno jest pogodzić się z tym, że najbliższa osoba popełniła samobójstwo. Rozumiem, jaki to musi być ciężar, jakie się rodzi poczucie winy. Człowiek mówi sobie, że powinien był przewidzieć, co nastąpi, że mógł uratować ukochaną osobę. – Spojrzał jej w oczy, spojrzenie miał ciepłe, pomocne. – Trzeba jednak żyć dalej. Zrozumieć, że ten tragiczny czyn nie został dokonany przeciwko nam czy przez nas. – Zamilkł na moment. – Czas, pani Chauvin. Proszę dać sobie trochę czasu. Niech pani spróbuje z kimś porozmawiać. Z terapeutą. Z duchownym. Trzeba żyć dalej.

Gdyby to było takie proste. Gdyby tak strasznie nie bolało.

Uśmiechnęła się blado.

– Bardzo pan dobry, doktorze Harris.

– Pani siostrze powiem to samo. Avery zamarała.

– Słucham?

– Powiem to samo pani siostrze. Zadzwoiła do mnie krótko po pani telefonie. Ma tu być

o trzeciej. – Harris spochmurniał. – Coś nie tak, pani Chauvin?

– Ja nie mam siostry, doktorze.

Rozdział 18

Czekała pod biurem doktora Harrisa. Ustawiła terenówkę w strategicznym miejscu, tuż przy wjeździe na parking, spuściła szybę i cierpliwie czekała.

Dokładnie za pięć trzecia na parking wjechał samochód prowadzony przez jakąś kobietę. Avery zsunęła się w fotelu, by tamta jej nie zauważyła – w każdym razie nie od razu.

Kobieta wyłączyła silnik, zerknęła w lusterko, poprawiła włosy, wreszcie wysiadła. Dopiero teraz Avery mogła się jej przyjrzeć.

Aż wstrzymała oddech z wrażenia.

Ta sama, która pojawiła się na czuwaniu. Ta, której tak bacznie przyglądała się „Czarna Siódemka”, jak Avery nazwała w myślach grupę tajemniczych mężczyzn.

Wyskoczyła z terenówki, zatrzasnąwszy z rozmachem drzwiczki. Widziała, jak kobieta zatrzymuje się, odwraca. Jak na jej twarzy pojawia się zdumienie, potem jawne niezadowolenie.

– Musimy porozmawiać – oznajmiła stanowczym tonem Avery.

– Przepraszam?

– Niech pani nie udaje. Była pani na czuwaniu. Teraz tutaj. Podaje się pani za moją siostrę. Chciałabym wiedzieć, dlaczego.

Nieznajoma już otworzyła usta, jakby chciała wszystkiemu zaprzeczyć, ale zmieniawszy zdanie, wskazała na stół piknikowy pod wielkim dębem.

– Usiądźmy na chwilę.

Usiadły. Avery przyjrzała się jej. Była szczupła, wysoka, jasnowłosa, mniej więcej w tym samym wieku co ona.

– Nazywam się Gwen Lancaster. Przepraszam, że panią zdenerwowałam. Wiem, że to dla pani trudny czas. Ja sama... niedawno straciłam brata.

Na Avery ten wstęp nie zrobił najmniejszego wrażenia.

– Znała pani mojego ojca?

– Nie.

– Wolno zapytać, dlaczego w takim razie była pani na czuwaniu, a teraz pojawiła się tutaj?

– Pierwszy raz jestem w Cypress Springs. Ładne miasteczko. Przyjechałam tutaj, bo zbieram materiały do swojej pracy. Piszę doktorat z socjopsychologii. Na Tulane University.

– Godne pochwały. Ale co to ma wspólnego ze śmiercią mojego ojca?

– Jeśli pani powiem, wysłucha mnie pani bez zdziwienia? Bez uprzedzeń?

– Nie wiem.

– Proszę dać mi przynajmniej szansę. – Gwen Lancaster oparła dłonie na stole. – Tytuł mojej pracy brzmi „Zbrodnia i kara. Poprawne formy zaprowadzania ładu na przykładzie małych miasteczek amerykańskich”.

Zamilkła. Czy obmyślała swoje kłamstwo? Avery w pracy dziennikarskiej bezustannie spotykała ludzi, którzy fabrykowali jakieś wersje jakichś wydarzeń, mącili i dla różnych powodów uciekali od prawdy.

– Wcześniej – podjęła Lancaster – zajmowałam się psychologią grup, dynamiką działań grupowych. Zawsze fascynowało mnie, jak to się dzieje, że przeciętny, spokojny obywatel nagle staje się samozwańczym rycerzem ładu i sprawiedliwości. Dlaczego mieni się egzekutorem prawa albo sam zaczyna je stanowić. Wigilanci, bo tak się ich fachowo określa, to zazwyczaj ludzie kierujący się surowym kodeksem moralnym. Tylko oni widzą prawdziwe zło, tylko oni są czujni. Rekrutują się spośród osób o skrajnych poglądach, które chcą przebudować cały świat za jednym zamachem, że pozwolę sobie na grę słów.

Avery zaintrygowały słowa Gwen.

– Jak Timothy McVeigh, który wysadził w powietrze rządowy budynek w Oklahoma City?

– Tak. To doskonały przykład wigilantyzmu, choć akurat McVeigh działał w pojedynkę. Wigilanci dlatego są tak niebezpieczni, bo fanatycznie wierzą w słuszność swojej sprawy. Gotowi są oddać za nią życie. Dla nich cel uświęca środki. Każde działanie jest usprawiedliwione. Nie cofną się przed niczym, jeśli tylko mogą wyplenić to, co w ich oczach uchodzi za zło.

Avery ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Wszystkich ekstremistów podciąga pani pod jedną kategorię? Religijnych, jak afgańscy Talibowie, politycznych, jak ludzie z Al-Kaidy?

– Także innych fanatyków, jak biali suprematysty czy surwiwaliści. Żyją w przekonaniu, że zewsząd czyha niebezpieczeństwo, więc trzeba być przygotowanym, gromadzić siły, broń, zapasy żywności. Kolor skóry czy przynależność etniczna nie grają tu żadnej roli.

– Po co właściwie pani przyjechała?

– Ktoś opowiedział mi o Cypress. Że to wzorcowe miasteczko. Zacne, spokojne, bogobojne. Kiedy zaczęła wzrastać przestępczość, mieszkańcy, zamiast uciec się do zwykłych środków, sami zaczęli wymierzać sprawiedliwość, ferować wyroki. Ukonstytuowała się samozwańcza grupa, która kontrolowała mieszkańców. Przestępczość spadła, co przekonało samozwańców o słuszności ich działań. Zaczęłam więc szukać materiałów na ten temat.

Kiedy Gwen skończyła, Avery parsknęła śmiechem.

– Wigilanci? W Cypress? Chyba pani żartuje. To jakiś absurd.

Chciała odejść, ale Gwen chwyciła ją za rękę.

– Proszę mnie wysłuchać. Grupa powstała pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy w Cypress gwałtownie wzrosła przestępczość. Potem się rozwiązała: pojawiły się konflikty wewnętrzne, ktoś z członków podobno zagroził, że zawiadomi władze o bezprawnych poczynaniach grupy.

Pod koniec lat osiemdziesiątych? Wtedy właśnie zginęła Sallie Waguespack...

Gdyby nie znalezione w rzeczach ojca wycinki, pewnie zlekceważyłaby hipotezy Gwen Lancaster, teraz jednak gotowa była uwierzyć. W jej opowieści mogło być coś z prawdy.

Ale żeby od razu wigilanci? Czy mieszkańcy Cypress mogli być aż tak zdeterminowani, by brać prawo w swoje ręce? Jej znajomi, jej przyjaciele? Nie była w stanie sobie tego wyobrazić.

– Grupa była niewielka, ale miała świetnie zorganizowaną siatkę informatorów. Obserwowano zachowania mieszkańców, czytano przychodzącą i wychodzącą korespondencję, kontrolowano ludzi na każdym kroku. „Występnych” ostrzegano.

– Ostrzegano? Chce pani powiedzieć: grożono? Gwen skinęła głową.

– Jeśli to nie skutkowało, grupa przystępowała do działania. Bojkotowano sklepy i firmy, piętnowano pojedyncze osoby, niszczone własność. W różnym stopniu całe miasteczko brało w tym udział.

– Całe miasteczko? – zdumiała się Avery. – Trudno mi w to uwierzyć.

– Owszem. Siła takich działań polega na tym, że nikt osobiście nie czuje się odpowiedzialny, ciężar rozkłada się równo na całą zbiorowość. Znacznie łatwiej wtedy karać i zastraszać.

Avery pokręciła głową.

– Wychowałam się tutaj i nigdy o niczym podobnych nie słyszałam.

– Początki są niewinne, jak niewinna może się wydawać Straż Obywatelska. A potem sprawy wymykają się spod kontroli i każdy, kto nie stosuje się do narzuconych norm, jest automatycznie wykluczany, naznaczony. Grupa łamała podstawowe prawo konstytucyjne, jakim jest wolność jednostki.

– Nikt nie trafił do więzienia?

– Nikt. Wszyscy solidarnie milczeli. To bardzo typowe. – Gwen nachyliła się ku Avery, zniżyła głos. – Nazywali się Siódemką.

„Czarna Siódemka”. Grupka, która obserwowała Gwen w czasie czuwania.

Siedmiu ubranych na czarno mężczyzn. Zbieg okoliczności, powiedziała sobie.

– Co to ma wspólnego z moim ojcem? – zapytała. – Dlaczego udaje pani moją nieistniejącą siostrę?

– Usiłuję zweryfikować posiadane informacje. Pani ojciec pasuje do profilu.

– Mój ojciec nie żyje, pani Lancaster.

– Pasuje do profilu – powtórzyła Gwen. – Biały mężczyzna, urodzony i wychowany w Cypress Springs. Szanowany obywatel, znana w miasteczku postać.

Avery zeszywniała.

– Chce pani powiedzieć, że mój ojciec należał do grupy Siedmiu?

– Tak.

Avery wstała gwałtownie. Wprost trzęsła się z oburzenia.

– Nie – oznajmiła krótko. – Nigdy nie zaangażowałby się w coś podobnego. Nigdy!

– Proszę poczekać. – Gwen także się podniosła. – Proszę mnie wysłuchać. Jest coś...

– Usłyszałam już wystarczająco dużo. – Avery chwyciła torebkę. – Co innego być uczciwym, a zupełnie co innego uważać się za uczciwego. I pani to doskonale rozumie, pani Lancaster. Mój ojciec był człowiekiem zasad. Całe życie poświęcił jednemu: niesieniu pomocy ludziom. Czynił dobro, ale nigdy nie osądzał innych. Pani obraża jego pamięć, sugerując, że mógł mieć coś wspólnego z tymi brudnymi fanatykami.

– Nie rozumiemy się. Gdyby zechciała pani tylko wysłu...

– Rozumiem, pani Lancaster. Dość już od pani usłyszałam. Proszę się trzymać ode mnie z daleka. Jeśli nadal będzie próbowała pani węszyć w moich rodzinnych sprawach, pójdę na policję. Jeśli usłyszę, że sieje pani pomówienia, oczernia mojego ojca, pozwę panią do sądu.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i odeszła.

Rozdział 19

Avery, z kubkiem porannej kawy w dłoniach, siedziała przy stole kuchennym wpatrzona w ekran laptopa.

Litery rozmazywały się jej przed oczami, nic nie widziała. Prawie nie spała tej nocy. Miała taki chaos w głowie, że nie pamiętała nawet, jak wczoraj wróciła z St. Francisville.

Była wściekła, to jedno wiedziała. Nie potrafiła zrozumieć, jak Gwen Lancaster mogła oskarżać jej ojca o takie niegodziwości. Jak mogła sugerować, że ludzie w miasteczku szpiegowali się nawzajem i karali tych, których sposób życia odbiegał od ustalonych reguł.

Cypress Springs to miłe miasteczko. Tutaj ludzie troszczą się o siebie. Pomagają sobie nawzajem.

A Gwen Lancaster albo najzwyczajniej kłamie, albo jest poszukiwaczką sensacji, a nie naukowcem. Gdzieś coś usłyszała jednym uchem, podchwyciła i rozdmuchała do karykaturalnych rozmiarów. Świetny materiał na artykuł do brukowca. Trochę trudniej zrobić z czegoś takiego rozprawę doktorską.

Grupka siedmiu mężczyzn podczas czuwania. Przyglądają się uważnie Gwen Lancaster. Jeden z nich wybucha śmiechem.

Avery pokręciła głową. Zwykły zbieg okoliczności. Znajomi, którzy stanęli razem. Ich uwagę zwróciła piękna kobieta, tym bardziej piękna, że nieznajoma. Jeden z nich rzuca pieprzną uwagę. Często się to zdarza.

Spojrzała na ekran komputera. Poza tym, co usłyszała od Gwen, właściwie nic nie wiedziała o wigilantyzmie. Prawie całą noc przesiedziała w internecie, szukając informacji na temat wigilantów, psychologii tłumu, o różnych odmianach zorganizowanego fanatyzmu.

To, co znalazła, mocno ją zaniepokoiło. Nasuwał się jeden generalny wniosek: każda idea, każde przekonanie w formie skrajnej z zasady staje się niebezpieczne. Przeróżające, ile krwi ludzkiej przelano w imię Boga albo źle pojętego patriotyzmu. Ludźmi zdaje się kierować w dużej mierze, głównie, lęk przed zmianami. Pragnienie zachowania za wszelką cenę starego, dobrze znanego ładu.

„Ludzie zaczęli się bać. Narastał strach, a ze strachem złość, oburzenie. Miasteczko zmieniało się na gorsze”.

„Ludzie przestali traktować bezpieczeństwo, w ogóle nasz styl, jakość życia, jako wartości dane raz na zawsze. Zrozumieli, że są to wartości wymagające ustawicznej pracy... że wszyscy jesteśmy współodpowiedzialni za naszą społeczność, za to, jaka ona jest”.

Avery wstała i podeszła do zlewu, przemyła twarz zimną wodą.

Jak bardzo zaczęli się bać? Czy aż tak, żeby samowolnie ustanawiać prawa?

Czy to dlatego ojciec przechowywał wycinki o śmierci Sallie Waguespack? To właśnie przez

te wycinki nie mogła zlekceważyć tego, co usłyszała od Gwen. Choć bardzo chciałyby zbyć wzruszeniem ramion rewelację nieszczęsnej doktorantki.

Przekłete wycinki.

Gwen Lancaster wiedziała coś o jej ojcu. Z jakiego innego powodu miałyby się spotykać z koronerem? Przecież nie po to, żeby zasięgnąć informacji na temat Siedmiu i udziału ojca w działaniach grupy.

Koroner mógł jej opowiedzieć o śmierci Chauvina, nie o jego życiu.

Właśnie. Avery zabębniła palcami w stół. Gwen Lancaster, podobnie jak ona, nie wierzyła w oficjalną wersję. Nie wierzyła, że to było samobójstwo.

Musi koniecznie porozmawiać z nią. Musi się dowiedzieć, gdzie się zatrzymała.

Podeszła do aparatu i wystukała numer Rancierówki. Buddy wiedział wszystko o wszystkich w miasteczku, nawet o przyjezdnych. To on odebrał telefon.

– Cześć, mówi Avery.

– Witaj, maleńka.– Wyraźnie się ucieszył.

– Co u ciebie? Jak się czujesz? Martwiliśmy się o ciebie, ale nie chcieliśmy ci się narzucać.

– Jakoś się trzymam, Buddy. Jak Lila?

– Dziękuję, dobrze. Wpadnij na kolację, kiedy tylko zechcesz, choćby dzisiaj.

– Na pewno przyjadę. Mam do ciebie pytanie. Znasz tu wszystkich, prawda?

– Można tak powiedzieć. Na tym polega moja praca.

– Szukam niejakiej Gwen Lancaster. Przyjechała niedawno, kilka tygodni temu.

– Ładna blondynka? Pisze jakąś pracę?

– Ta sama.

– Mieszka chyba w pensjonacie. Zadzwoń tam. Do czego ci jest potrzebna?

Avery zawahała się. Nie chciała kłamać, ale nie chciała też zdradzać się ze swoimi podejrzeniami. Jeszcze nie teraz. Wybrała niedomówienia.

– Pytała o tatę. Chciałabym wiedzieć, dlaczego.

– Dziwne. Co chciała wiedzieć?

– No właśnie, też wydało mi się to dziwne. Nawet jeśli Buddy zauważył, że Avery zrobiła unik, nie dał nic po sobie poznać.

– Powodzenia. Dzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

W dwadzieścia minut później wchodziła do pensjonatu Landry'ego. W recepcji siedziała młodziutka dziewczyna, bez wątpienia, sądząc po rysach, kolejne pokolenie Landrych.

– Dzień dobry – zagadnęła Avery. – Założę się, że jesteś córką Danny'ego.

– Tak – przytaknęła nastolatka i uśmiechnęła się szeroko. – Skąd pani wie?

– Pochodzę z Cypress. Przyjaźniłam się z twoją ciotką Laurie, a ty jesteś bardzo podobna do swojego ojca.

– Wszyscy mi to mówią.

– Szukam Gwen Lancaster. Zatrzymała się u was?

– Tak. Mieszka w 2c.

– Dzięki. – Avery wspięła się na piętro, odnalazła właściwy numer pokoju i zapukała.

Gwen musiała przed chwilą wstać, bo miała jeszcze zapuchnięte od snu oczy, ale otworzyła od razu.

– Dlaczego interesujesz się śmiercią mojego ojca? – zaczęła Avery bez zbędnych wstępów, przytrzymując na wszelki wypadek drzwi, żeby Gwen ich nie zatrasnęła. – Chcę wiedzieć prawdę. Całą prawdę.

Gwen patrzyła na nią przez moment, wreszcie cofnęła się i otworzyła drzwi szerzej.

– Wejdź i rozgość się.

– To, co powiedziałaś wczoraj, to stek bzdur – ciągnęła Avery, siadając na kanapie. – Nie pojechałaś do koronera, żeby rozmawiać o roli mojego ojca w grupie Siedmiu. Interesuje cię jego śmierć. Dlaczego?

Gwen nie była zaskoczona.

– Szczerota za szczerota. Nie wierzę w samobójstwo twojego ojca.

Avery cicho krzyknęła, podniosła dłoń do ust.

– Dlaczego? Dlaczego uważasz, że...

– Jak na takie małe miasteczko, Cypress ma wyjątkowo wysoki wskaźnik samobójstw.

– Wyjaśnij mi.

– Cypress liczy około tysiąca mieszkańców, prawda?

– Tak.

– W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy aż sześć osób odebrało sobie życie. To raczej sporo, zważywszy, że panuje tu ponoć sielska atmosfera. Dla całej Luizjany wskaźnik samobójstw to 1,2 promila, co by oznaczało, że w Cypress powinniście odnotowywać jedno i dwie dziesiąte samobójstwa rocznie, że wybaczysz głupi dowcip statystyczny.

– To niemożliwe. Skąd masz takie dane?

– Z oficjalnych źródeł. Ale chodzi nie tylko o samobójstwa. Są jeszcze tajemnicze zniknięcia.

– Zniknięcia? – powtórzyła Avery.

– Tak. Ludzie wyjeżdżają w nocy, nie mówiąc nikomu słowa, nie informując rodziny ani przyjaciół. Po prostu znikają. Wskaźnik wypadków śmiertelnych też jest zadziwiająco wysoki. Postrzały na polowaniach, kraksy samochodowe, utonięcia. Cała seria, tylko w ciągu minionego roku.

– A wcześniej?

– Znacznie mniej.

Avery jeszcze nie mogła do końca uwierzyć w koszmar wyłaniający się z relacji Gwen.

– Muszę sama to sprawdzić.

– Ależ proszę cię bardzo. Milczała przez chwilę.

To jakieś szaleństwo. Miała wrażenie, że zaczyna wariować.

– Dlaczego komuś miałyby zależeć na śmierci mojego ojca?

– Nie wiem. Być może wiedział za dużo.

– O Siedmiu?

– Tak.

– A co z tobą? Nie boisz się?

Gwen najwyraźniej zaskoczyło pytanie Avery.

– Co masz na myśli?

– Wydaje się, że to ty wiesz za dużo o grupie Siedmiu. Jeśli taka grupa w ogóle istnieje, ma się rozumieć.

– Istnieje. – Owen gwałtownie podniosła się w ślad za Avery. Drżała. – Istnieje i poczynna sobie coraz śmielej. Już nawet nie próbują pozorować wypadków.

– O czym ty mówisz?

– O śmierci Elaine St. Claire. Myślę, że to robota Siedmiu.

Rozdział 20

Avery wyszła z pensjonatu z zamętem w głowie. Samobójstwo ojca, które wcale nie musiało być samobójstwem. Dziwny telefon z pogrózkami. Śmierć Elaine St. Claire. Rewelacje Gwen.

Właśnie. Rewelacje Gwen. Jakby nie dość miała kłopotów, musiała napatoczyć się wariatka owładnięta obsesją spiskowej teorii dziejów.

Coś takiego niewątpliwie powinno podnieść ją na duchu.

Musi trzymać się faktów, jak każda dobra dziennikarka. Zacznie od rozmowy z Hunterem. Spróbuje dowiedzieć się czegoś na temat Elaine St. Claire.

Przeszła przez plac miejski, gdzie straganiarze szykowali się już do festynu, skręciła w Główną, potem w Johnson Street, gdzie mieściła się kancelaria Huntera.

Otworzył drzwi, zanim zdążyła zapukać. Tuż obok stała Sara.

– Chciałam porozmawiać – bąknęła.

– O czym? – Hunter nawet na nią nie spojrzał. Nachylił się i zapiął smycz.

– No... w ogóle.

– W ogóle? Rozumiem. Temat dookreślony z istic dziennikarską precyzją.

– Nie bądź takim upierdliwym dupkiem, Hunter – sarknęła. – Jak mówię, że chcę pogadać „w ogóle”, to albo ze mną pogadaj, albo każ mi spadać.

– I co, posłuchasz?

– Wątpię.

– Wybieramy się z Sarą na przebieżkę.

– Przebiegnę się z wami.

Zmierzył ją sceptycznym spojrzeniem. Nie była w ubraniu, w którym normalny człowiek uprawia jogging, chociaż buty miała, owszem, sportowe.

– Przykro mi, biegamy tylko we dwójkę. Mamy ten czas zarezerwowany dla siebie.

– Dla siebie? Ty i pies?

– Właśnie. Nie słyszałaś, że pies jest najlepszym przyjacielem człowieka?

– Jeśli chcesz, żebym cię przeprosiła, to przepraszam.

– Za co?

– Za kłótnię.

W kącikach ust Huntera pojawił się uśmiech.

– Do kłótni trzeba dwojga. – Zwrócił się do Sary: – Jak myślisz, suka, zabierzemy ją ze sobą?

Sara spojrzała spode łba, próbując ocenić kandydatkę.

– Wyluzuj, Sara – poprosiła Avery. – Bądź psem. My, dziewczyny, musimy trzymać sztamę.

Sara kiwnęła łbem i hypnęła na pana.

- Kobięca solidarność – zaśmiał się Hunter.
- Dlaczego nie? – zawtórowała mu Avery. – Skoro działa... Dokąd biegniemy?
- Do farmy Tillera.
- Aha... – Farma Tillera. Pięć kilometrów w jedną stronę.
Kiepsko.

Hunter przyglądał się jej wyraźnie rozbawiony.

- Chcesz się wycofać?
- Wcale nie – skłamała i ruszyli.

Po przebiegnięciu kilometra Avery była złana potem. Nie mogła złapać tchu. Dżinsy i bawełniana bluzka lepiły się do spoconego ciała, utrudniając każdy ruch. W tej chwili oddałaby wszystko za szorty i bawełniany stanik.

Starając się dotrzymać kroku Hunterowi i Sarze, wyszarpnęła bluzkę ze spodni, rozpięła mankiety i podwinęła rękawy.

Mniej więcej w połowie trasy wreszcie złapała rytm, oddech się wyregulował i poranny jogging stał się czystą przyjemnością. Nie próbowała już doganiać Huntera, biegła we własnym tempie, równomiernie pokonując kolejne metry.

Hunter tylko raz się obejrzał.

- Spotkamy się przy stawie Tillera – zawołał i oddalił się.
- Kiedy dołączyła do niego, siedział sobie spokojnie nad stawem.
- Już zapomniałem, jaka potrafisz być. – Podał jej butelkę z wodą.
- Jaka?
- Pełna determinacji.
- Uparta jak osioł?
- Co za precyzyjna definicja. – Usta zadrgały mu w uśmiechu. – Osobiście uważam, że determinacja to całkiem niezła cecha. A teraz powiedz, o czym chciałaś pogadać?

Zawahała się, czy psuć wiosenny sielski poranek rozmową o morderstwie. W końcu potrzeba dotarcia do prawdy wzięła górę.

- Mógłbyś powiedzieć mi coś o Elaine St. Claire?

Hunter nie wydawał się ani trochę zaskoczony.

- Co chciałaś wiedzieć?
 - Jak zginęła. W „Gazette” nie było na ten temat słowa.
 - Ponura śmierć.
 - Mów. Zniosę to.
 - Ktoś wepchnął jej ostre narzędzie do waginy. Zrobił to wielokrotnie. Stał szarpała wnętrzości. Dziewczyna wykrwawiła się na śmierć.
- Avery przeszedł lodowaty dreszcz.

– Kim była?

– Ojciec powiedział, że to imprezowiczka. Lubiła bankietować, lubiła wypić. Trafiła za coś tam do więzienia...

„Kto nie stosuje się do narzuconych norm, jest automatycznie odrzucany, naznaczony”.

St. Claire mogła należeć do tej kategorii, ale też była osobą, która przez swój tryb życia wystawiała się na większe niebezpieczeństwo niż inni.

– Mają już podejrzanych?

– Tylko mnie.

– Bardzo śmieszne.

– Nie żartuję. – Hunter wyciągnął się na trawie, przysłonił oczy ramieniem. – Ojciec i Matt w swej nieskończonej mądrości wiedzą, że ostatni gasi światło, a pierwszy na miejscu zbrodni musi być tym najbardziej podejrzany.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– A jednak. Koniecznie chcieli się dowiedzieć, gdzie byłem tamtego dnia między czwartą po południu a ósmą wieczorem.

– A gdzie byłeś?

– Pracowałem nad powieścią. Nikt nie może zapewnić mi alibi poza Sarą.

Avery nie wiedziała, co powiedzieć, przeto nie powiedziała nic.

– Dlaczego cię to interesuje?

Dobre pytanie, pomyślała, tylko jak na nie odpowiedzieć?

– Wierysz, że mój ojciec popełnił samobójstwo?

Huntera poderwało.

– Skąd ci to przyszło do głowy?!

– Zaprzyjaźniliście się. Spotykałeś się z nim. Jego śmierć nie wzbudziła w tobie żadnych wątpliwości?

Milczał długą chwilę, wreszcie powiedział takim tonem, jakby przepraszał, usprawiedliwiał się:

– Nie, Avery, żadnych. Bardzo mi przykro. Gardło miała ściśnięte, łzy napływały do oczu, ale bmęła dalej:

– Dlaczego?

– Po co o tym rozmawiać? To nic nie zmie...

– Hunter... dlaczego?

– Dobrze – przystał w końcu. – Twój ojciec odwiedził mnie pierwszy raz zaledwie w kilka dni po moim powrocie do Cypress. Bardzo mnie tym ujął. Nie zadawał pytań, nie chciał, żebym wyjaśniał swoją decyzję. Okazał mi serdeczność, ale chyba zrobił to też trochę dla siebie. Szukał kogoś, z kim mógłby pogadać. – Przerwał na moment. – Zaczęliśmy spotykać się regularnie,

w każdy piątek przy porannej kawie. Pewnego piątku nie pojawił się. Zaniepokoiłem się, więc poszedłem do niego. Otworzył mi w piżamie. Wszystkie żaluzje w oknach były zaciągnięte. Twierdził, że zasnął, ale zachowywał się jakoś... dziwnie. Inaczej niż zwykle.

– Inaczej?

– Był rozdrażniony. Unikał mojego spojrzenia. Po tym incydencie spotykaliśmy się już sporadycznie. Rozmowy stały się... wymuszone. Wspominał dawne lata, kiedy żyła jeszcze twoja mama, ty mieszkłaś w domu. Nigdy nie mówił o przyszłości. Ani o dniu dzisiejszym. Zawsze, wyłącznie o przeszłości. – Westchnął bezradnie. – Powinno mi się zapalić światełko alarmowe, ale nie zapaliło się. Bardzo żałuję.

Avery pokręciła głową, jakby nie przyjmowała relacji Huntera do wiadomości.

– Tamtej nocy w drodze do garażu zgubił kapeć. Biegły mi to powiedział. Dla mnie to ważna informacja, Hunter. Człowiek odruchowo szuka drugiego kaptura. Nieprzyjemnie stąpać boso po zimnych kamieniach. Tata zatrzymałby się, wzuł zgubiony kapeć. – Avery przełykała łyżę. – Potem, już w płomieniach, czołgał się do drzwi garażu. On nie chciał odebrać sobie życia. Nie chciał.

– Avery, kochanie...

Próbował ją objąć, ale nie pozwoliła na to.

– Nie – powiedziała bardziej do siebie niż do Huntera. – Nie będę płakać. Już nie.

– Komu miałoby zależeć na śmierci twojego ojca? – zapytał cichym głosem. – Wszyscy go kochali.

Avery stała odwrócona plecami, zapatrzona w połyskliwą taflę wody.

– Nie wszyscy. Zadzwoiła do mnie jakaś kobieta... powiedziała, że tata ma, na co zasłużył. I że ja też dostanę swoją zapłatę.

– Kto to był? Co za kobieta?

– Nie mam pojęcia. – Podeszła na brzeg stawu. Na powierzchni wody dojrzała duży, drgający cień. – Nie przedstawiła się, a ja nie rozpoznałam jej po głosie.

– Dzwoniła jeszcze?

– Nie.

– Pewnie jakaś wariatka. Nawet w Cypress zdarzają się ludzie niezrównoważeni psychicznie.

– Co to takiego? – Gdy się obejrzała, zobaczyła, że Hunter wpatruje się z zachwytem w jej pupę. – Nie gap się, tylko podejdź tutaj.

Podniósł się i stanął na brzegu obok Avery.

– Tak?

– Popatrz na ten kształt pod wodą. Widzisz?

Hunter nachylił się i przez moment, nateżając wzrok, wpatrywał się w powierzchnię wody.

– Chyba samochód – stwierdził wreszcie. – Sprawdź. – Zrzucił ubranie i w samych szortach

wszedł do wody. Wziął głęboki oddech, zanurkował.

Po chwili wynurzył się.

– Tak, to samochód! – zawołał. – I to nie byle jaki. Mercedes coupe.

Avery zmarszczyła czoło. Coś się jej kołatało w pamięci...

– Spojrzę jeszcze raz.

Ponownie zanurkował. Sara zaczęła szczekać. Kiedy tym razem się wynurzył, kilkoma szybkimi ruchami dopłynął do brzegu i wyskoczył na trawę.

– Wygląda na to, że musimy zadzwonić do Buddy'ego.

Rozdział 21

Żadne z nich nie miało przy sobie komórki, uznali więc, że najlepiej będzie przez las i pastwisko pobiec do Tillera.

Sam dojrzał ich z daleka i szeroko uśmiechnięty czekał na progu domu.

– Trochę za wcześnie na kąpiele – przywitał Huntera. – Woda zimna jak diabli. – Spojrzał na Avery. – Doktorówna?

– Tak. Dzień dobry panu.

– Straszna historia z szanownym tatusiem. Dobry był z niego człowiek. – Spojrzał na Huntera. – Stało się coś?

– Chcemy skorzystać z telefonu, Sam. Musimy zadzwonić do Buddy’ego. – Hunter opowiedział, jak wybrali się na zwykłą przebieżkę, a odkryli w stawie Sama samochód.

Stary podrapał się po głowie.

– Samochód, powiadasz? Mercedes? Niech mnie kule biją, jeśli wiem, jak się tam znalazł. Wchodźcie, dzwońcie, jeśli trzeba.

Z tonu głosu Huntera Avery mogła wywnioskować, że Buddy był zaskoczony, jakby nie spodziewał się usłyszeć syna.

– Chcesz, żebym do ciebie przyjechał czy... Dobrze, czekamy.

Hunter odłożył słuchawkę.

– Ojciec musi zawiadomić Matta. Farma podlega jurysdykcji szeryfa.

– Skoro już to auto trafiło do mojego stawu, powinienem chyba je obejrzeć – mruknął Sam. – Zawiozę was.

Pojechali starym pickuperem Tillera. Usiedli w troje na przednim siedzeniu, Sara z tyłu, na skrzyni. Niebo pociemniało, w południowej stronie zbierały się ciężkie deszczowe chmury.

Kiedy dotarli na miejsce, Buddy’ego i Matta jeszcze nie było, co skądinąd nie powinno nikogo dziwić, w końcu mieli trochę dłuższą drogę do przebycia.

Sam od razu ruszył nad wodę, ciekaw dziwnego znaleziska. Stał na samym brzegu stawu, przez chwilę uważnie się wpatrywał w taflę wodną, w końcu spojrzał na Huntera:

– No, samochód – stwierdził z właściwą sobie bystrością. – Niech mnie pokręci.

W tej samej chwili nadjechał Matt, zaraz po nim Buddy i obydwaj dołączyli do trójki nad stawem.

– Co się dzieje? – zapytał Matt.

– Samochód – oznajmił Sam, uznawszy widać, że jako gospodarz ma prawo głosu. – W moim stawie – dodał roztropnie. – Niech mnie cholera, jeśli wiem, skąd się tu wziął.

Matt spojrzał na Avery, potem na brata.

– Coś ostatnio masz wyjątkowe szczęście, Hunter – wycedził.

– Wybraniec losu, można powiedzieć. – Postanowił dopomóc bratu w wyzłośliwianiu się. W końcu ludzka inwencja jest ograniczona. Jako początkujący pisarz rozumiał to doskonale i nie mógł pozwolić, żeby Matt wyęźzał zbyttno umysł.

– Możesz opowiedzieć wszystko po kolei? Hunter mógł i opowiedział wszystko po kolei.

– Masz coś do dodania? – Matt zwrócił się do Avery.

Pokręciła głową.

– Chyba nic.

– Jak go chcecie wyciągnąć? – zainteresował się Sam.

– Trzeba ściągnąć lawetę – zdecydował Matt.

– Jesteś pewien, że to mercedes? – zapytał Buddy.

– Na sto procent. Srebrny A CLK 350. Matt i Buddy wymienili spojrzenia.

– Mówisz, że w środku nie ma nikogo?

– Na to wygląda.

– Ale pewności nie masz?

– Nie.

– Skontaktujemy się z tobą, jeśli zajdzie potrzeba. – powiedział Matt oficjalnym tonem, spojrzał na Avery i dodał już łagodniej: – Zaraz lunie. Okryj się.

Rozdział 22

Ledwie spadły pierwsze krople deszczu, Avery przypomniała sobie, co ją męczyło i czego wcześniej przypomnieć sobie nie mogła. Chodziło o zasłyszana w czasie wizyty u Buddy'ego historię zaginionego chłopaka, którego mercedes nawalił w pobliżu Cypress Springs. Dziewczyna zaginionego obawiała się najgorszego, ale Buddy i Matt nie mieli nic na potwierdzenie jej obaw, przyjmowali więc, że albo cała historia została wyssana z palca, albo chłopak chciał zerwać znajomość i wybrał najgłupszy z możliwych sposobów.

Teraz mieli potwierdzenie, chociaż utopiony samochód nie stanowi jeszcze dowodu morderstwa.

Dlatego Matt dwukrotnie pytał, czy samochód jest pusty. Szukał ciała.

– Jesteśmy na miejscu. – Stary pikap Sama zatrzymał się na podjeździe Chauvinow.

– Dzięki, Sam. To miło, że mnie odwiozłeś.

– Poczekaj chwilę, aż trochę się przejaśni – zaproponował stary.

– Nie, dziękuję. Nie będę cię zatrzymywać. Już i tak jestem przemoczona do suchej nitki.

– Avery położyła dłoń na klamce. – Jeszcze raz dzie...

– To wszystko nieprawda – przerwał jej.

– Nieprawda, co o nim mówią.

Avery znieruchomiała.

– Przepraszam?

– Hunter to porządny człowiek. Solidny, że drugiego takiego ze świecą szukać. Twój ojciec go lubił. No, biegnij już – ponaglił ją.

Avery wyskoczyła z samochodu i w strugach deszczu wbiegła na osłonięty daszkiem ganek. Potem obejrzała się i pomachała starem na do widzenia.

Co i kto mówi o Hunterze? Rodzina? Ludzie z miasteczka?

„Twój ojciec go lubił”.

Usiadła na bujaku i zapatrzyła się w deszcz. Uśmiechnęła się do siebie. Miło. Słowa starego nie powinny jej obejmować, a jednak... Zawsze uważała, że ojciec zna się na ludziach. Jeszcze w szkole, potem już dorosła, często zwracała się do niego, zasięgała jego opinii.

Ona też, mimo ostatnich niesnasek, lubiła Huntera. Zawsze go lubiła. Podziwiała jego wiedzę, bystry umysł, kostyczne poczucie humoru. Przypomniała sobie teraz, jak pomagał jej w matematyce, przedmiocie, który nieodmiennie doprowadzał ją do szału. Jak potrafił ją rozbawić, nawet wtedy, kiedy wcale nie było jej do śmiechu. Jak kiedyś, po wyjątkowo przykrym starciu z matką, długo z nią rozmawiał, tłumaczył, jak powinna się odnieść do konfliktu. Pocieszał ją, ale i przekonywał, żeby spróbowała postawić się w sytuacji matki, spojrzeć na problem z jej punktu widzenia.

Gdzie był wtedy Matt? Nie miał czasu? A może wyręczył się Hunterem, bo wiedział, że ten lepiej da sobie radę?

Hunter był człowiekiem z gruntu uczciwym. Dostrzegał własne wady, surowo osądzał samego siebie. Innych także. A to czyniło go osobą trudną w kontaktach. Nikt chętnie nie słucha gorzkich prawd o sobie.

Cypress Springs nie miało zrozumienia dla odmienności. Tu życie miało płynąć gładko, bez wysiłku. Wśród WTS-ów. Wszyscy Tacy Sami. Wśród WTS-ów można czuć się bezpiecznie. Pewnie.

Podniosła się i weszła do domu. W samą porę, bo ledwie otworzyła drzwi, rozdzwonił się telefon. Chwyliła słuchawkę.

Jeszcze zanim ktoś się odezwał, Avery wiedziała, że to ona: kobieta o schrypniętym głosie.

– Kim jesteś? Czego chcesz? – zaczęła pierwsza z agresją w głosie.

– Niech cię piekło pochłonie – zaśmiała się tamta. – Twój tatuś już tam na ciebie czeka.

– Mój ojciec był dobrym człowiekiem. On...

– Był kłamcą i mordercą. Ma to, na co zasłużył.

– Jak śmiesz! – Avery trzęsała się z bezsilnej złości. – Mój ojciec był świętym człowiekiem, nie waż się...

Kobieta znowu zaniósła się upiornym śmiechem czarownicy. Avery krzyknęła i rzuciła słuchawkę na widełki, lecz podniosła ją niemal natychmiast i wystukała numer Stevensów. Telefon odebrała Cherry.

– Cześć, Cherry. Zastałam Buddy'ego?

– Avery! Co się stało?

– Ja... – Wciągnęła głęboko powietrze, żeby trochę się uspokoić. W uszach ciągle brzmiał jej przyprawiający o ciarki śmiech tamtej wiedźmy. – Jest Buddy w domu?

– Nie. Nie wrócił jeszcze z farmy Tillera. Chcesz, żebym posłała mu sygnał na pager?

– Nie, to nic aż tak pilnego. Poproś tylko, żeby zadzwonił do mnie, jak wróci. Bardzo mi na tym zależy.

Cherry zamiast Buddy'ego zawiadomiła Matta, bo ten w dwie godziny później zjawił się u Avery.

– Co się stało? – zapytał z posępną miną, kiedy otworzyła drzwi.

– Cherry powiedziała ci, że dzwoniłam?

– Powiedziała, że byłaś zdenerwowana. Avery zdążyła już trochę ochłonąć. Zrobiło się jej głupio.

– To moje przewrażliwienie – bąknęła i otworzyła szerzej drzwi. – Wejdz.

– Co się dzieje? – Matt nie dał się zbyć pierwszą odpowiedzią.

– Czy mój ojciec miał wrogów? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, wprawiając Matta

w wyraźne zdumienie.

– Wrogów? Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego pytasz?

– Miałam bardzo nieprzyjemne telefony. Anonimowe. Pierwszy kilka dni temu. Dzisiaj po południu znowu... Zdenerwowałam się. Chciałam porozmawiać z Buddym.

– Kto dzwonił? Kobieta czy mężczyzna?

– Kobieta.

– Co mówiła?

– Co mówiła? – Avery skrzywiła się. – To było wstrętne. Za pierwszym razem powiedziała, że ojciec ma... na co zasłużył. I że ja też otrzymam zapłatę. A dzisiaj nazwała go... mordercą. I kłamcą.

– Domyślasz się, kto to taki?

– Nie mam pojęcia.

– Próbowalas sprawdź numer pod 69?

– Próbowalam. Tata nie miał opłaconej usługi.

– Może powinnaś ją zamówić? Callback, a także identyfikację rozmów przychodzących. Na wypadek, gdyby ta kobieta znowu chciała do ciebie dzwonić.

Avery kiwnęła głową.

– Zrobię to.

– To jakaś wariatka, Avery. Sama o tym wiesz, prawda? – Matt pokręcił głową, widząc jej wahanie. – Mówimy o twoim ojcu, o naszym Doktorze. Człowieku o kryształowym charakterze.

– Wiem, ale... Nie mogę zapomnieć, co powiedziała. „Ma, na co zasłużył”. Jakby nie popełnił samobójstwa. Jakby ktoś mu pomógł.

Matt milczał przez długą chwilę.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś go zabił?

– Tak. – Avery spojrzała mu prosto w oczy.

– Kto miałby źle życzyć twojemu ojcu?

– Ktoś, kto uważał go za mordercę i kłamcę.

– Policja przeprowadziła rzetelne dochodzenie. Doktor Harris to koroner, któremu nic nie umknie, żaden szczegół. Ja ze swojej strony też wszystko dokładnie sprawdziłem. Podobnie jak ty, nie mogłem uwierzyć, że to zrobił. Ta kobieta musi być niezrównoważona psychicznie. Albo wymyśliła sobie, że w ten sposób zemści się na Buddym. Za twoim pośrednictwem. Przejrzyj może jego raport z dochodzenia. To powinno cię uspokoić.

– Myślisz, że Buddy nie będzie miał nic przeciwko temu?

– Coś ty. – Matt uśmiechnął się. – Dla ciebie zrobi wszystko.

Avery zmieniła temat:

– Wydobyliście ten samochód? Matt wsadził ręce do kieszeni.

– Wiedziałem, że o to zapytasz.

– Samochód należał do tego zaginionego chłopaka, prawda? Do tego, o którym rozmawialiście, kiedy byłam u Buddy’ego na posterunku? Dziewczyna zgłosiła jego zaginięcie.

– Tak, chodzi o niego. Facet nazywał się Luke McDougal.

– Nazywał się? Nie żyje?

– Nie wiem. Wyciągnęliśmy samochód, ale nic w nim nie znaleźliśmy poza telefonem komórkowym, który został zabezpieczony jako dowód.

– Matt spojrzał na zegarek. – Ekipa przeszukuje farmę. Mieli spuścić wodę ze stawu.

Avery wzdrygnęła się i roztarła ramiona.

– Kiedy skończą?

– Trudno powiedzieć. Może jutro. Ulewa trochę ich przystopowała. – Matt zmienił ton głosu.

– Muszę cię o coś zapytać, Avery. Co robiłaś nad stawem? W towarzystwie Huntera?

– Poszłam do niego. Wybierał się właśnie na przebieżkę. Przyłączyłam się. – Wzruszyła ramionami. – I tak znaleźliśmy się nad stawem Tillera.

Matt odwrócił wzrok, przecesał włosy palcami i zaklął pod nosem.

– O co chodzi?

– Zastanawiam się, po co do niego poszłaś.

– Przyjaźniliśmy się kiedyś. Nadal uważam go za swojego przyjaciela. Musisz wiedzieć?

Mina Matta wskazywała, że musi wiedzieć. Avery westchnęła z rezygnacją.

– Chciałam podpytać go o okoliczności śmierci Elaine St. Claire. On odkrył ciało. Pomyślałam, że będzie mógł mi coś powiedzieć.

– Mogłaś zwrócić się do mnie. Odpowiedziałbym na twoje pytania.

– Matt, pamiętaj, że jestem dziennikarką – powiedziała z lekką kpina w głosie. – Wystarczająco doświadczoną dziennikarką, by wiedzieć, jak chętnie policja udziela informacji.

Z żalną miną wzniosł oczy do nieba.

– Miej litość, Avery. Robisz ze mnie balona. Uśmiechnęła się.

– Jesteś zazdrosny?

– Nie ma się z czego śmiać. – Rzucił jej niby to srogie spojrzenie. – Cholera, tak. Jestem zazdrosny. Wiem, po co ludzie chodzą nad staw Tillera.

Podeszła bliżej i zalotnie przechyliła głowę, podejmując flirt.

– Owszem, wiesz. Z własnego doświadczenia. Matt ujął jej twarz w dłoń i powiedział zupełnie poważnie:

– Uważaj. Hunter... nie jest już tamtym chłopakiem, którego kiedyś znałaś.

„To nieprawda, co o nim mówią. Hunter to porządny człowiek”.

– Ja też nie mam nastu lat, Matt. – Zobaczyła, że stracił ochotę do żartów. – Jest coś, czego nie wiem, a powinnam?

Matt pocałował ją w usta: krótko, mocno.

– Jutro o trzeciej przyjadę po ciebie. Idziemy na festyn wiosenny, pamiętasz?

I wyszedł.

Patrzyła, jak podchodzi do swojego wozu, wsiada i odjeżdża. Czowała jeszcze na wargach jego pocałunek. Randka. Zupełnie zapomniała, że się umówili. Ze mają iść razem na festyn.

Randka z Mattem Stevenssem. Po tylu latach. Zamknęła drzwi na zamek, ale stała nadal w holu. W co ona się wdaje? Czego Matt po niej oczekuje?

Czegoś więcej niż zwykłej przyjaźni i chwili wspomnień. To oczywiste. A ona? Czego ona oczekuje?

Dobrze się czuła w jego towarzystwie. Przy nim znowu stawała się tamtą dziewczyną sprzed lat.

A Hunter?

Z Hunterem też coś ją łączyło, teraz uświadamiała to sobie wyraźnie, i była to bardzo silna więź. Więź, która sprawiała, że Hunter nawiedzał jej myśli w najmniej odpowiednich momentach.

Co to było? Przyjaźń? Zainteresowanie? Fascynacja? Pociąg?

A może podejrzania?

Co Matt miał na myśli, ostrzegając ją przed Hunterem? Prosząc, żeby uważała?

Hunter potrafił być irytujący, miał swoje humory, ale żeby stanowił zagrożenie? Nie budził w niej lęku, nawet wtedy, kiedy zaczęli się kłócić. Jedyne, co mogła wystawić na niebezpieczeństwo, przestając z nim, to własną tak zwaną reputację.

Skąd zatem ostrzeżenia Matta?

Rozdział 23

Takim właśnie Avery pamiętała festyn wiosenny: świąteczna atmosfera, śmiechy dzieci, zapach dobrego luizjańskiego jedzenia, słoneczna pogoda.

Skorzystała ze wszystkich atrakcji dnia. Jeździła na diabelskim młynie, na karuzeli, próbowała smakołyków chyba ze wszystkich budek na placu, podziwiała rzemiosło artystyczne, słuchała rozmaitych kapel i zespołów muzycznych.

Powinna bawić się znakomicie. Powinna czuć się odprężona, zadowolona. Nie potrafiła. Myśli zaprzętała jej śmierć Elaine St. Claire, odnalezienie samochodu Luke'a McDougala... Wszyscy tylko o tym mówili.

Do tego dołączały się jej własne wątpliwości na temat samobójstwa ojca, nie dawały spokoju informacje zasłyszane od Owen Lancaster. Być może grupa Siedmiu rzeczywiście istniała, działała i jej ojciec zginął, bo wiedział zbyt dużo?

Powoli wpadała w paranoję. Przyglądała się podejrzliwie napotkanym osobom. Każdy gest, każde spojrzenie mogły mieć jakieś ukryte znaczenie. Nasłuchiwała rozmów toczonych wokół, licząc, że rozpozna głos kobiety, która do niej dzwoniła.

– Napijesz się czegoś?

Podniosła wzrok na Matta. Siedzieli na kocu pod wielkim dębem, słońce dochodziło kresów nieba, ostatni zespół skończył właśnie grać i muzycy powoli pakowali instrumenty.

– Co proponujesz?

– Piwo?

– Chętnie.

Matt ściągnął brwi.

– Dobrze się czujesz?

– Dobrze. Trochę tylko jestem zmęczona. Matt otworzył już usta, chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Wstał.

– Tylko nigdzie mi nie przepadnij.

– Nie przepadnę.

Kiedy odszedł, uśmiech zniknął z jej twarzy. „Nie przepadnę”. Luke McDougal przepadł. Jeśli wierzyć Gwen, nie on pierwszy. Ludzie nocą opuszczali swoje domy, nie informując nikogo.

– A ten mój ananas gdzie się podział? – Nad Avery stał Buddy, w mundurze, z bronią przy pasie.

– Poszedł po piwo.

– A jakże, wypiłby człowiek łyk dobrego, zimnego piwa, ale na służbie mogę sobie tylko pomarzyć.

– Współczuję ci.

– Festyn wiosenny – sarknął Buddy. – Nienawidzę tego święta. Zjeżdżają ludzie z całego stanu. W miasteczku ścisk, zamieszanie, alkohol leje się strumieniami. Nie sposób utrzymać porządku.

Avery wskazała koc.

– Siadaj.

– Cały dzień czekałem, żeby spędzić z tobą chwilę. Matt nie odstępował cię na krok.

– Wyrósł na porządnego człowieka. Możesz być z niego dumny.

Na twarzy Buddy'ego odmalował się smutek, więc dodała pospiesznie:

– Z Hunterem też wszystko będzie dobrze. Jestem pewna. Zobaczysz.

– Dziękuję, Avery. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to dla mnie ważne.

Naturalną kolejną skojarzeń Avery pomyślała o matce bliźniaków.

– A gdzie Lila? Nie widziałam jej. Nie przyszła na festyn?

– Lila nie najlepiej się czuje. Została w domu. Cherry postanowiła zostać z nią.

– Tak mi przykro.

– Alergia. Zawsze o tej porze roku zaczynają się problemy.

– Mogę coś dla niej zrobić?

– Odwiedz ją. – Posłał Avery czuły ojcowski uśmiech. – Tak się cieszę, że jesteś z nami.

– Ja też się cieszę, Buddy. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo brakuje mi Cypress.

Ludzi, których znam od dziecka.

– To poczciwe miasteczko. Poczciwi ludzie. „Kto nie stosuje się do narzuconych norm, jest automatycznie odrzucany, naznaczony”. Uśmiech zniknął z twarzy Avery.

– Co się stało?

– Buddy, mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście, dziecino.

– Słyszałeś o grupie Siedmiu? Buddy wyraźnie się zirytował.

– Kiedy o nią zapytałaś, wiedziałem, że tak się to skończy.

– O kim mówisz?

– O Gwen Lancaster, oczywiście.

– Poznałeś ją?

– Słyszałem o niej – przytaknął niechętnie. – Kręci się po Cypress Springs nie wiedząc po co i rozsiewa plotki.

– Grupa Siedmiu nigdy nie istniała?

– Istniała, owszem, ale to, co opowiada Lancaster, to bzdury. Gdyby wierzyć jej słowom, była to banda fanatyków i morderców. – Buddy westchnął ciężko. – Siedmiu Czuwających Obywateli. Tak brzmiała pierwotna, pełna nazwa. Grupa powstała, kiedy Cypress załapała fala

przestępczości. Siedmiu podejmowało działania prewencyjne. Na ich wniosek w szkołach prowadzono zajęcia o szkodliwości narkotyków i alkoholu. Powstała poradnia planowania rodziny, zatrudniano terapeutów, namawiano ludzi, by chodzili do kościoła.

– Tak, pamiętam. – Avery przypomniała sobie, jak raptem, w drugiej klasie szkoły średniej, wprowadzono lekcje wychowania seksualnego. Uczniom puszczano również filmy dokumentalne na temat narkotyków i alkoholu. Wcześniej nigdy tego nie było.

– Nie afiszowali się, to prawda. Nie zależało im na poklasku. Byli zwykłymi obywatelami wrażliwymi na problemy społeczne. Lila tam działała, pastor Dastugue.

– Czuję się jak idiotka. Nie wiedziałam.

– Gdyby nie byli tacy skromni, gdyby robili szum wokół siebie, po latach nie wyglądałoby to tak tajemniczo i nie byłoby powodu do głupich plotek.

– Co tu się dzieje? Próbujesz ukraść mi dziewczynę, tato?

Buddy rozpozgodził się natychmiast.

– Twoja matka miałaby tu coś do powiedzenia, synu.

Przy estradzie dla orkiestry wybuchło jakieś zamieszanie. Buddy spojrzął w tamtym kierunku, zaklął cicho i podniósł się z koca.

– Wybaczcie, obowiązki wzywają.

Patrzyli za nim w milczeniu, dopóki nie zniknął im z oczu w tłumie. Avery czuła, że rozmowa z Buddym zmieniła w zasadniczy sposób jej punkt widzenia. Jakby ktoś zdjął jej z ramion ogromny ciężar. Jak mogła uwierzyć obcej kobiecie, a nie ludziom, których znała i kochała? Którym ufała?

– Miła rozmowa?

– Bardzo miła.

– On cię bardzo kocha. Jak mnie i Cherry.

Ale nie Huntera. O nim ani słowa.

– Pomyślałaś o moim bracie, prawda? Szybko odgadł, ale też o czym, o kim, miała pomyśleć, usłyszawszy taką deklarację?

– Tak, pomyślałam o Hunterze.

– On sam tego chciał. Odizolował się od nas. To była jego decyzja.

– Dlaczego? Czegoś tu nie rozumiem. Byliście tak bardzo ze sobą związani.

– Też chciałbym wiedzieć, co się stało. Nie wiesz, jak to... – Odwrócił wzrok. – Nikt nigdy nie był mi tak bliski jak on. Kiedy byliśmy dziećmi, nie wyobrażałem sobie, że kiedyś może go zabraknąć, że przestaniemy być przyjaciółmi. Że w ogóle przestaniemy rozmawiać ze sobą.

– Nie próbowałaś pogodzić się z nim? Matt zaśmiał się gorzko.

– Żartujesz chyba. Wszyscy próbowaliśmy. Wiele razy. Za każdym razem odwracał się do nas plecami.

– Hunter wspomniał, że tata i Buddy też podobno przestali ze sobą rozmawiać. Omijali się na ulicy szerokim łukiem. To prawda?

– Sukinsyn – mruknął Matt przez zaciśnięte zęby. – Fiut złamany.

– A więc to nieprawda?

– Półprawda. W ostatnich miesiącach przed śmiercią Phillip rzeczywiście unikał ojca. Pewnie nie chciał, żeby Buddy się zorientował, jak z nim źle.

– Mój Boże... – Avery nie mogła tego słuchać. Znowu czuła się mała, podła i samolubna.

– Co jeszcze ci powiedział mój drogi braciszek?

Nic, co chciałyby powtórzyć Mattowi.

– Wydaje się taki poważny. Jakby miał...

Matt przerwał jej w pół słowa, co było zachowaniem dość, trzeba przyznać, niekonsekwentnym.

– Nie chcę o nim rozmawiać, Avery. Nie dzisiaj. Dzisiaj jest dzień wspomnień. Powiedz, jakie masz wspomnienia z dawnych festynów.?

– Same dobre.

– Pamiętasz, jak wymknęliśmy się z domu i przybiegliśmy tutaj? Miałaś wtedy trzynaście, ja czternaście lat.

– Twój ojciec zorientował się. Poszedł za nami. Musiałeś mnie przeproszać.

– Zrobił mi wykład o szacunku należnym damom.

Avery parsknęła śmiechem.

– Biedny Buddy nie wiedział, że to dama wpadła na pomysł eskapady.

Trzy lata później to znów ona namówiła Matta na wyprawę nad staw Tillerera.

I tam, pod rozgwieżdżonym niebem, po raz pierwszy empirycznie sprawdzili swoją wiedzę w zakresie życia seksualnego Ziemian.

– Byliśmy okropni – podsumowała głośno swoje wspomnienia.

Tym razem też nie musiała wyjaśniać Mattowi, o czym myślała.

– Byliśmy zakochani w sobie, Avery. Pragnąłem cię, nie mogłem się tobą nasycić. – Nachylił się do niej i szepnął: – Kiedy zobaczyłem cię wczoraj nad stawem w towarzystwie Huntera, zdjęła mnie wściekłość. Bałem się spojrzeć na ciebie. Bałem się, że mogę zrobić coś złego. Tobie. Jemu. Nie wiedziałem, czy potrafię zapanować nad sobą.

Jak by to było znowu kochać się z Mattem? – myślała. Być znowu razem, po tylu latach? Jak by to było wrócić do przeszłości, być znowu przez moment tamtą dziewczyną?

Cherry ostrzegła ją, żeby trzymała się z daleka od jej brata, sama też nie wiedziała do końca, czego pragnie, co czuje.

– O czym myślisz?

– O przeszłości. O nas.

- Było nam dobrze razem. Znowu może być.
- Chciałabym być równie pewna jak ty. Tyle się zmieniło, Matt. My się zmieni...
Położył jej palec na ustach.
- Jestem cierpliwym facetem. Czekałem bardzo długo, mogę poczekać jeszcze trochę.

Rozdział 24

Gwen wpatrywała się w egzemplarz środowej „Gazette”. Zapomniana poranna kawa stygła na szafce nocnej. Nie interesował jej ogromny artykuł na pierwszej stronie informujący, że Peggy Trumble wygrała w czasie festynu konkurs na najlepsze ciasto. Uwagę Gwen przyciągnęło coś innego, niepozorna notatka na dole strony: „Samochód w stawie Tillera”.

Po raz trzeci przebiegła wzrokiem króciutki tekst. Avery Chauvin i Hunter Stevens odkryli samochód w stawie Tillera. Wezwano policję. Auto wyciągnięto.

Kilka słów o tym, do kogo należało. Apel, by wszelkie informacje dotyczące Luke’a McDougala zgłaszać do biura szeryfa parafii West Feliciana. Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie...

Gwen trzęsła się jak w febrze.

Zaginął. McDougal zaginął bez śladu.

Jak jej brat.

Podniosła dłoń do ust. Samobójstwo. Morderstwo. Dwa zaginięcia. Nie miała wątpliwości, że trzy pierwsze są dziełem Siedmiu. Doktor Chauvin zginął, ponieważ wiedział za dużo. Elaine St. Claire została ukarana za swój tryb życia. Jej brat za bardzo interesował się grupą.

Ale Luke McDougal?

Spojrzała znowu w gazetę. Wedle zamieszczonej informacji przejeżdżał tylko przez Cypress. Czym mógł się narazić Siedmiu? Może jego zaginięcie nie miało żadnego związku z ich poczynaniami?

Mało prawdopodobne.

Zaginął niemal w taki sam sposób jak jej brat. Porzucony samochód. Ani śladu właściciela. Żadnych dowodów napadu, uprowadzenia.

Avery Chauvin była na miejscu. Był tam także Hunter Stevens. Gwen ściągnęła brwi w namyśle. Gdzieś już natknęła się na jego nazwisko, tylko gdzie...

To on znalazł ciało Elaine St. Claire.

Dziwna zbieżność, nawet na tak małe miasteczko jak Cypress Springs. Zbyt wiele tych zbieżności, zbyt wiele niewytłumaczalnych zdarzeń. Zbyt wiele ofiar.

Ona może być następna.

Avery Chauvin pytała ją, czy się nie boi.

Wtedy jeszcze się nie bała. Teraz zastanawiała się, czy to nie było ostrzeżenie, a nawet pogróżka.

Uciekać z tego przeklętego miasteczka. Wydostać się z pułapki. Zaufała Avery, chociaż jej nie znała, nic o niej nie wiedziała. Zaufała tylko dlatego, że dopiero niedawno wróciła do Cypress. Bo straciła ojca.

Głupio postąpiła. Avery Chauvin mogła przecież mieć jakieś związki z grupą. Mogła popierać ich metody, dzielić ich fanatyzm. Doktor Chauvin mógł rzeczywiście popełnić samobójstwo. Nie dysponowała żadnymi dowodami, że został zamordowany.

Przypomniała sobie zdumienie, wręcz oburzenie Avery, kiedy powiedziała jej o Siedmiu. I ulgę tamtej, kiedy podzieliła się z nią przekonaniem, że nie wierzy w samobójstwo jej ojca. Tak jakby sama Avery też w nie, nie wierzyła.

Nie, Avery nie mogła mieć nic wspólnego z Siedmioma.

Gwen wstała, podeszła do okna, odgięła listewkę żaluzji i wyjrzała na ulicę. Ludzie spieszyli do swoich spraw, robotnicy doprowadzali do porządku skwer miejski po festynie, demontowali oświetlenie, uprzętałi śmieci.

Nikt nie zwracał na nią uwagi, a jednak nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest obserwowana. Że ktoś ją śledzi. Skrupulatnie rejestruje, kiedy wychodzi z pensjonatu, kiedy wraca, dokąd idzie, z kim się spotyka.

Ktoś już powziął plany względem jej osoby.

Przeszedł ją dreszcz. Odsunęła się od okna. Przycisnęła palcami powieki. Zbyt głośno mówiła o Siedmiu. Zbyt wiele pytań zadawała. Zapomniała o ostrożności.

Chcąc za wszelką cenę dojść prawdy o losie brata, wystawiła się na niebezpieczeństwo. Tak jak on wystawił się na niebezpieczeństwo, gromadząc materiały do swojego doktoratu.

Czy ona też zniknie w tajemniczych okolicznościach?

A jeśli tak, kto będzie jej szukał? A może zadbają, żeby skończyła „samobójstwem”? Widziała już te nagłówki w gazetach: „Brat zaginął bez wieści. Zrozpaczona siostra odbiera sobie życie”.

Kto będzie kwestionował autentyczność desperackiego kroku?

Z pewnością nie jej matka, która sama popadła w tak głęboką depresję, że z trudem dźwigała się rano z łóżka. Na pewno nie konował psychiatra, który najpierw przepisał jej antydepresanty, a potem wygłosił wykład o ich szkodliwości.

Nie ulegaj paranoi. Po prostu staraj się zachować ostrożność.

Potrzebowała sprzymierzeńca. Kogoś, komu mogłaby zaufać. Kogoś stąd, z Cypress. Kogoś, komu miejscowi ufali. Kto mógłby węszyć i zadawać pytania, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Kto potrafi gromadzić fakty. Ktoś, kto ma własne powody, by połączyć z nią siły.

Była tylko jedna taka osoba.

Avery Chauvin.

Rozdział 25

Gwen wzięła szybki prysznic, szybko się ubrała. Wysuszyła włosy, przypudrowała nos, chwyciła torebkę i wybiegła z pensjonatu. Znała już trochę rozkład dnia Avery i wiedziała, że po porannej przebieżce zwykle zaglądała do Azalii na kawę i pierwsze śniadanie.

Było już dość późno, ale przy odrobinie szczęścia może uda się jej złapać Avery przed wyjściem z kawiarni.

Miała więcej niż odrobinę szczęścia, bo już przez okno dostrzegła, że Avery dopiero zaczyna jeść.

Kiedy weszła do środka, przywitały ją zaciekawione spojrzenia Avery i Peg, właścicielki Azalii. Uśmiechnęła się promiennie i podeszła do stolika.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedziała Avery chłodno. Po ostatnim spotkaniu może nie stały się przyjaciółkami, ale na pewno przełamały wzajemną nieufność. Avery zaczęła wierzyć w istnienie Siedmiu.

Co się stało?

– Siadaj, gdzie zechcesz, skarbie – przywitała ją Peg. – Zaraz cię obsłużę.

Gwen zawahała się, po czym skinęła głową, usiadła w pobliżu stolika Avery i zamówiła kawę oraz pączka, a kiedy Peg zniknęła w kuchni, powiedziała:

– Miałam nadzieję, że cię tu zastanę. Avery zabrała się do jedzenia, nie zaszczyciwszy jej nawet spojrzeniem.

– Muszę z tobą porozmawiać. To ważne. Avery dopiero teraz podniosła wzrok.

– Nie chcę z tobą rozmawiać. Zostaw mnie w spokoju, bardzo cię proszę.

– Sprawdziłaś fakty, które ci podałam?

– Fakty? Raczej półprawdy i niepotwierdzone opinie.

– Gdybyś sprawdziła...

– Nie zamierzam wdawać się w dyskusję na ten temat.

– Dotarli do ciebie, tak? Grozili ci?

– Albo cierpisz na manię prześladowczą, albo masz złe intencje. Tak czy inaczej, mam tego dosyć.

– Mylisz się. Jako dziennikarka...

– Dobra dziennikarka, dodaj. Staram się zawsze patrzeć obiektywnie. Nie naginam faktów do własnych potrzeb, nie szukam sensacji.

– Gdybyś mnie wysłuchała...

– Dość już się nasłuchałam. – Avery nachyliła się. – Kłamałaś, kiedy opowiadałaś o Siedmiu. Owszem, istniała taka grupa, ale przedstawiłaś ją zupełnie fałszywie. To byli zaangażowani

ludzie, którzy dbali o sprawy społeczne, a nie banda fanatyków, jak mi wmawiałaś. Walczyli z narkotykami w szkołach, z alkoholem. Mój pastor był jej członkiem, na litość boską. Lila Stevens. Raz jeszcze przyjrzyj się faktom, Lancaster.

– To wszystko nieprawda! Wierutne bzdury! Kto ci powiedział, że...?

– Nieważne, kto mi powiedział. – Avery rzuciła serwetkę na stolik i wstała, prawie nie tknąwszy jedzenia. – Dopisz to do mojego rachunku, Peg. Muszę zaczerpnąć powietrza.

Gwen poderwała się i ruszyła za Avery, omal nie przewracając po drodze Peg. Przeprosiła przerażoną właścicielkę Azalii i wybiegła na ulicę.

– Poczekaj! Nie powiedziałam ci wszystkiego. Avery zatrzymała się, odwróciła, spojrzała Gwen prosto w oczy.

– Jeszcze nie rozumiesz? Nie chcę już słuchać twoich kłamstw. Kocham to miasteczko, kocham ludzi, którzy tu mieszkają.

– Pomimo że zabili twojego ojca? Nadal będziesz ich kochać?

Avery zamarła na moment, potem powoli pokręciła głową.

– Jesteś... okrutna. Podła i okrutna. Żal mi ciebie, Lancaster.

– Mam prawo tak mówić. Oni nie tylko zabili twojego ojca. Zabili też mojego brata.

– Sprytnie sobie poczynasz, ale...

– Zniknął w taki sam sposób jak Luke McDougal. Bez śladu. Znaleźli tylko porzucone auto. Mój brat też po prostu przepadł. – Gwen prawie krzyczała. Kilka osób odwróciło się. Wśród nich mógł być ktoś, kto ją śledził, obserwował. Podeszła do Avery. – Tom Lancaster – ciągnęła już ciszej. – „Gazette” zamieściła informację o jego zaginięciu. W wydaniu z szóstego lutego tego roku. Mam egzemplarz, ale możesz pomyśleć, że sama go sfabrykowałam. – Rozejrzała się wokół i jeszcze bardziej ściszyła głos. – To Tom opowiedział mi o Siedmiu. On pisał doktorat na temat „obywatelskiej” przemocy, nie ja. Zbierał materiały. Zbyt wiele odkrył.

– Jesteś nienormalna. – Avery drżał głos. – Powinnaś się leczyć.

– Sprawdź to. I skontaktuj się ze mną, kiedy wreszcie przekonasz się, że mówię prawdę.

Rozdział 26

Następnego dnia Avery obudziła się o szarej godzinie i długo leżała w łóżku, wpatrując się nieruchomo w sufit. Prawie nie spała tej nocy. Ciągłe dudniły jej w uszach pytania wykrzywane przez Gwen Lancaster. Wracały uparcie, wwiercały się w mózg i nie dawały spokoju.

„Pomimo że zabili twojego ojca? Nadal będziesz ich kochać?”.

Avery przewróciła się na bok, zwinęła w kłębek. Dlaczego musiała spotkać tę kobietę? Wreszcie zaznać spokoju, tylko o tym marzyła.

Dlaczego nie mogła po prostu uwierzyć w to, co usłyszała od Buddy’ego, od Matta, od ludzi, których kochała i którym ufała? Dlaczego nie dowierzała wynikom dochodzenia prowadzonego przez Buddy’ego, orzeczeniom koronera, wynikom autopsji?

„Mam prawo tak mówić. Oni nie tylko zabili twojego ojca. Zabili też mojego brata”.

– Niech to wszyscy diabli! – Avery usiadła na łóżku i zacisnęła dłońe.

Gwen Lancaster to osoba zdesperowana, gotowa na wszystko. Dlaczego miałaby jej wierzyć? Powinna zignorować rewelacje tej szalonej kobiety.

Ba, łatwo powiedzieć.

W desperacji Gwen Lancaster było coś prawdziwego. Ona naprawdę wierzyła w swoje hipotezy. Była przerażona. Czegoś wyraźnie się bała.

Avery położyła się na plecach, wbiła wzrok w sufit. A jeśli Lancaster jest paranoiczką? Schizofreniczką? Schizofrenicy słyszą głosy, nie odróżniają prawdy od iluzji, wszędzie widzą zagrażające ich bezpieczeństwu spiski. Potrafią tak funkcjonować latami, zanim ktokolwiek postawi właściwą diagnozę.

Ale skąd w takim razie telefony z pogrozkami? Dlaczego zniknął Luke McDougal? Kto i dlaczego zamordował Elaine St. Claire?

Dlaczego ona sama nie może uwolnić się od podejrzeń, że ojciec jednak nie popełnił samobójstwa?

Odrzuciła kołdrę i wstała. Podeszła do okna, odchyliła zasłonę. Cypress Springs spało jeszcze. We wszystkich oknach ciemno...

Nagle w szarym mroku dojrzała reflektory samochodu. Zwolnił koło domu rodziców i sunął powoli wzdłuż posesji. Policyjny wóz patrolowy. Szybko odsunęła się od okna.

Idiotyzm.

Stała przy zgaszonym świetle i tak, by jej nie dostrzegli. To Buddy kazał swoim chłopcom pilnować małej Avery.

Buddy i jego ojcovska troska.

Przesunęła dłonią po twarzy. Była zmęczona. Potwornie zmęczona. Teraz to czuła. To głupota wpędzać się w bezsenność, doprowadzać do wyczerpania nerwowego tylko dlatego, że

jakaś Gwen Lancaster coś sobie ubrdała w swojej chorej głowie.

Musi ufać. Buddy'emu, koronerowi, Mattowi, ludziom, którzy wiedzą, co mówią. Nie przyjmować założeń niemających pokrycia w faktach.

Zapomnieć o Lancaster. Inaczej zwariuje.

Musi postępować, tak jak zawsze postępowała, ilekroć przygotowywała swój kolejny materiał. Przyjrzeć się faktom spokojnie, bez uprzedzeń, bez emocji. Zachować obiektywizm.

Ba, łatwo powiedzieć, zachować obiektywizm, wystrzegać się emocji. Problem dotyczył ludzi, których znała, wśród których się wychowywała, a poprzez śmierć ojca boleśnie dotykał ją samą.

Musi być obiektywna, pomyślała z determinacją. Nie da się zbałamucić domysłem Gwen ani nie pozwoli, żeby zaślepiły ją własne emocje.

W końcu dojdzie prawdy. Jak przystało na rzetelną dziennikarkę.

Rozdział 27

Postanowiła zacząć od redakcji „Gazette”.

Ledwie weszła, w drzwiach pokoju reporterów pojawił się wysoki jasnowłosy mężczyzna w okularkach Harry’ego Pottera.

– Avery Chauvin? – ucieszył się miło zaskoczony. – Byłem ciekaw, kiedy wreszcie nas odwiedzisz.

– Rickey? Rickey Plaquamine? Jak się cieszę, że cię widzę.

Uściskali się serdecznie.

Chodzili do tej samej klasy od początku podstawówki do końca szkoły średniej, razem redagowali gazetkę szkolną i oboje studiowali dziennikarstwo na Louisiana State University w Baton Rouge, tyle że Rickey po dyplomie wrócił do Cypress, Avery zaś ruszyła w świat.

– Nic się nie zmieniłeś. Rickey poklepał się po brzuchu.

– Jeśli nie brać pod uwagę, że przytyłem piętnaście kilogramów, to rzeczywiście nic się nie zmieniłem. Każda ciąża Jeanette to pięć kilogramów.

– Macie troje dzieci? Ostatnio...

– Mamy trzeciego chłopaka.

– Sami faceci. – Avery zaśmiała się. – Jeanette musi mieć pełne ręce roboty.

– Nawet nie potrafisz sobie tego wyobrazić. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Bardzo mi przykro z powodu twojego taty. Przepraszam, że nie byliśmy na pogrzebie, ale mały miał kolkę i... sama rozumiesz, jak to jest.

– Nie przepraszaj. – Avery spojrzała w stronę pokoju reporterów. – Gdzie Sal?

– Nic nie wiesz? – zdziwił się Rickey. – Sal nie żyje. Będzie już pół roku.

– Nie żyje? – powtórzyła głucho. Sal był jej przewodnikiem, nauczycielem. Zachęcał ją, wspierał, namówił do pójścia na dziennikarstwo, śledził jej karierę, gratulował każdego kolejnego osiągnięcia, był z niej dumny. – Nie wiedziałam.

Rickey zacisnął usta.

– Zginął na polowaniu.

Zamarła. Poczła gęsią skórkę na całym ciele.

– Na polowaniu?

– Otwarcie sezonu na jelenie. Dostał postrzał. Trup na miejscu. Kula roztrzaskała mu czaszkę.

Zrobiło się jej niedobrze.

– Jezu. Kto strzelił?

– Nie wiadomo.

– Przecież to mogło być morderstwo.

– Buddy wykluczył morderstwo. Poza wszystkim, komu miałyby zależeć na śmierci Sala?

Jej ojciec. Sal Mandina. Dwóch powszechnie szanowanych w Cypres ludzi. Dwa filary tutejszej społeczności. Obaj nie żyją. Zmarli w odstępie zaledwie sześciu miesięcy. Wypadek, samobójstwo...

Gdy Rickey odchrząknął, Avery ocknęła się z zamyślenia.

– Szukam pewnych materiałów. Chciałabym zajrzeć do archiwalnych numerów „Gazette”.

– Oczywiście. Czego dokładnie szukasz?

– Wszystkiego, co dotyczy sprawy Sallie Waguespack.

– Serio? Dlaczego się tym zajęłaś? Zawahała się przez moment i wybrała częściową prawdę:

– Znalazłam plik wycinków na ten temat w rzeczach taty... Niewiele pamiętam, chciałam przypomnieć sobie tę sprawę. – Uśmiechnęła się promiennie. – Mogę?

– Oczywiście. Chodź ze mną. – Weszli do pokoju reporterów, stamtąd przeszli na pierwsze piętro. – Największa sensacja, jaką kiedykolwiek przeżyło to miasteczko. Nic dziwnego, że twój tata zbierał wycinki.

– Tak uważasz?

– Tak. To morderstwo odmieniło ludzi.

– To samo mówi Buddy.

– Rozmawiałaś z nim o tym?

W głosie Rickeya zabrzmiała wyraźna ulga. A może tylko się jej wydawało?

– Owszem. Przyjaźnił się z tatą. Otworzył drzwi prowadzące do archiwum, zapalił światło i oczom Avery ukazały się rzędy regałów z tomami starych wydań „Gazette”. Między regałami, na środku pomieszczenia, stał długi stół i dwa krzesła. Avery poczuła drapanie w gardle, zapewne wywołane kurzem, jak sobie powiedziała.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zawołaj mnie. Przygotowuję sobotnie wydanie. Wiosenne rozgrywki ligowe piłki nożnej poszły z kopa, że pozwolę sobie na taki żart. – Wskazał długie półki pod ścianą, w drugim końcu pomieszczenia. – Tam masz lata osiemdziesiąte. Ustawione chronologicznie.

Avery podziękowała, a kiedy upewniła się, że została sama, podeszła do regałów mieszczących wydania z ostatnich ośmiu miesięcy.

Zdjęła z półki kilka woluminów, znalazła ten z egzemplarzem z środy 6 lutego bieżącego roku. Prawie od razu natrafiła na notatkę, o której mówiła Gwen.

Zaginął naukowiec Tom Lancaster, doktorant z Tulane University, zaginął w ostatnią niedzielę. Biuro szeryfa obawia się, że może chodzić o uprowadzenie lub napad. Zastępca szeryfa Matt Stevens przychyliła się do tego ostatniego. Dochodzenie trwa.

Avery wciągnęła powietrze. Jedna notatka o niczym nie świadczy. Chytre kłamstwo, podobnie jak urojenia, zawsze będzie zawierać w sobie element prawdy.

Znalazła kilka tekstów o Salu. Ponieważ był redaktorem naczelnym „Gazette”, więc poświęcono jego śmierci sporo miejsca. Tak jak mówił Rickey, zginął od postrzału w dniu otwarcia sezonu na jelenie. Niestety winnego nie znaleziono, chociaż przesłuchano wszystkich posiadaczy kart łowieckich zamieszkałych nie tylko w Cypress, ale i w najbliższej okolicy.

Ustalono, że strzał padł z dużej odległości, z browninga 270. Zarówno broń, jak i amunicja – nosier ballistic tip – były chętnie używane przez myśliwych z Cypress Springs. Ceremonia przedpogrzebowa przy zamkniętej trumnie odbyła się u Gallaghera.

Rickey mylił się w jednym: orzeczenie Buddy’ego brzmiało „zabójstwo”, a nie „wypadek”.

Przez dwie następne godziny przeglądała stare wydania „Gazette”. To, co znalazła, wstrząsnęło nią do głębi.

Gwen Lancaster miała rację.

Avery przebiegła wzrokiem notatki. Sporządziła listę zgonów spowodowanych innymi niż naturalne przyczynami. Zebrane razem fakty wprost krzyczałyby ktoś się nimi zajął.

Kevin Gallagher, ojciec Danny’ego, zginął w wypadku samochodowym na szosie 421, w pobliżu Cypress Springs. Jego lexus wpadł w poślizg i uderzył w drzewo. Kevin jechał bez pasa, potężna siła uderzenia wyrzuciła go przez przednią szybę.

Zastępca szefa policji, Pat Greene, utonął. Niejaka Dolly Framer powiesiła się. Były jeszcze dwa wypadki samochodowe, mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie zginął Kevin. Miasto, jak czytała, zwróciło się do władz stanowych o wydanie stosownego nakazu ograniczenia szybkości na feralnym odcinku szosy 421.

Jedno zejście po przedawkowaniu narkotyków.

Pete Trimble wpadł pod własny traktor i zginął na miejscu.

Jakiś chłopak podciął sobie żyły.

Jej ojciec i Sal.

Avery odłożyła notes. Ręce jej drżały.

I to wszystko, wszystkie te zgony, w sumie dziesięć, w okresie zaledwie ośmiu ostatnich miesięcy. Trzydzieści, jeśli doliczyć Luke’a McDougala, Toma Lancastera i Elaine St. Claire.

Starła się spojrzeć na rzecz bezstronnie. Gwen myliła się: mówiła o sześciu samobójstwach, wliczając samobójstwo ojca Avery. Tymczasem ona doliczyła się tylko dwóch.

– Wszystko w porządku?

Avery odwróciła się z uśmiechem przylepionym do ust.

– Wspaniale. – Poderwała się od stołu. – Właśnie skończyłam.

Schowała notes do torebki, chwyciła wolumin, który przeglądała, i chciała odstawić na półkę z latami osiemdziesiątymi.

– To nie tam. – Rickey podszedł do niej. – Nie ten kolor. – Wyjął jej wolumin z rąk, zmarszczył brwi. – Myślałem, że interesuje cię rok 1988.

– Przylapałeś mnie. – Poprawiła przewieszoną przez ramię torebkę. – Ja... – Szukała słów, które zabrzmiałyby szczerze i przekonująco. – To takie ckliwe... ale tata... jego śmierć... Ja...

– Och, Avery, strasznie przepraszam.

– W porządku. – Postarała się, żeby usta jej zadrżały. – Odprowadzisz mnie?

– Jasne.

Kiedy byli przy drzwiach wejściowych, Rickey zagadnął:

– Mogę zadać ci jedno pytanie?

– Pytaj.

– Mówią, że chcesz zostać w Cypress. To prawda?

Już miała zaprzeczyć, gdy nagle zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nie wie, co będzie dalej robiła, gdzie zamieszka.

– Nic jeszcze nie postanowiłam. Nie wydaj mnie tylko przed moim naczelnym.

Rickey uśmiechnął się.

– Gdybyś zdecydowała się zostać, chciałbym cię mieć w zespole „Gazette”. Wiem, że to dla ciebie niskie progi, ale dla nas zaszczyt mieć kogoś z „Washington Post”.

– Gdybym została, na pewno chciałabym pracować w „Gazette”.

– Zajrzyj do nas. Poznasz dzieciaki. Jeanette bardzo się ucieszy.

– Chętnie. – Zawahała się w progu. – Słyszałeś kiedyś o grupie Siedmiu?

– Hm... – W wyrazie twarzy Rickeya zaszła ledwie zauważalna zmiana. Ściągnął brwi, jakby się zastanawiał. – Jaki charakter miała ta grupa? Religijny? Społeczny?

– Społeczny. Grupa obywatelska.

– Nie. Przykro mi.

– W porządku. Buddy coś wspominał, myślałam, że wiesz. Miłego dnia.

Wyszła z budynku, włożyła okulary słoneczne, obejrzała się jeszcze.

Przez okno mogła dojrzeć Rickeya. Rozmawiał z kimś przez telefon, gwałtownie gestykulując. Wyglądał na zdenerwowanego.

Podniósł wzrok i spojrzał na Avery. Pomachała mu na pożegnanie i szybko odeszła, jakby goniły ją złe duchy.

Rozdział 28

Avery pojechała do domu, by zebrać siły i obmyślić następny krok. Od godziny siedziała przy stole kuchennym, całkiem zapomniawszy o przygotowanym już dawno sandwiczu z tuńczykiem, i wpatrywała się w nazwiska zmarłych wynotowane z „Gazette”.

Czy w nikim w Cypress ta epidemia dziwnych zgonów nie wzbudziła żadnych podejrzeń? Nikt nie podzielił się swoim niepokojem z Buddym czy z Mattem? Nikt nie podniósł alarmu? Całe miasteczko brało udział w spisku?

Wstała i podeszła do okna, spozjrzała na zieleniące się krzewy w ogrodzie. Co właściwie miała? Hipotezy Gwen Lancaster, która twierdziła, że w Cypress Springs działa tajne stowarzyszenie wigilantów. Informacje o dwóch zaginięciach i podejrzenie wielu nagłych zgonach. Jedno niewyjaśnione morderstwo, jedno samobójstwo. Pudełko wycinków prasowych dotyczących sprawy sprzed piętnastu lat.

Ludzie giną w wypadkach. Znikają bez śladu. Padają ofiarą morderstw. Tragiczne, ale takie rzeczy się zdarzają. Owszem, wskaźnik samobójstw był wyższy niż średnia stanowa, ale statystyki opierają się na danych uśrednianych, nie na liczbach bezwzględnych. Bardzo możliwe, niejako dla wyrównania statystyki, że przez następnych kilka lat nikt z mieszkańców Cypress nie targnie się na swoje życie.

A wycinki? Świadcstwo stanu umysłu czy po prostu memorabilia, zebrane ku przestrodze przyszłych pokoleń prasowe świadectwa strasznej zbrodni, która dokonała się w cichym, bogobojnym miasteczku?

Gdyby miały być świadectwem stanu umysłu – uzasadnionego przerażenia lub obsesji – to musiałyby być bogatsze o coś jeszcze. Na pewno znalazłaby inne ślady. Ale gdzie miała ich szukać? Opróżniła szafę w sypialni ojca, komodę, zaglądała do szafek w kuchni, do spiżarni, do szafy w holu. Nie odważyła się jeszcze wejść do gabinetu ojca na poddaszu.

Musi tam pójść.

Po dwóch godzinach zeszła z powrotem do kuchni z niczym. Zniechęcona i zmęczona podeszła do zlewozmywaka, żeby umyć ręce. Przeszukała biurko ojca, szafy biblioteczne, sprawdziła zawartość każdego pudła na strychu. Nie znalazła nic, co zwróciłoby jej uwagę.

Co dalej?

W Waszyngtonie miała kolegów redakcyjnych, mogłaby urządzić burzę mózgów, zwrócić się po radę i pomoc. Tu mogła się kierować wyłącznie własną intuicją.

Niezupełnie. Pozostawał jeszcze kontakt telefoniczny.

Podniosła słuchawkę, wystukała numer swojego szefa w „Post” w Waszyngtonie.

– Brandon? Mówi Avery.

– To naprawdę ty? – zaśmiał się. – A ja już myślałem, że ukrywasz się przede mną.

Nie lubił owijania w bawełnę. Cenił sobie prostolinijność i jasne stawianie sprawy, tak w tekstach, jak i w rozmowach. W pracy dziennikarskiej nie ma czasu na słowne zabawy.

– Trafiłam na coś.

– Cieszę się, że twój mózg nie zasypia, chociaż nie ukrywam, że jestem trochę zdziwiony, zważywszy okoliczności. Mów.

– Pełna kontrola życia obywateli, czyli Wielki Brat w małym miasteczku. Powstrzymywanie zła i zepsucia wszelkimi możliwymi środkami. Kilku „prawych” obywateli zaniepokoiła wzrastająca przestępczość, od tego się zaczęło. Prewencja, przeciwdziałanie, czujność sąsiedzka, rozumiesz, te rzeczy.

– Po czym, nic wiedzieć kiedy, prawi obywatele poczuli się władcami miasteczka – dopowiedział Brandon, odgadując ciąg dalszy.

– Owszem. Moja informatorka mówi, że sama grupa była stosunkowo niewielka, ale dysponowała znakomicie działającą siatką współpracowników. Każdy był pod ostrzałem. Czytano prywatną korespondencję, niemal zaglądano ludziom do garnków. Grupa wiedziała, co kto je, ile pije, jakie programy ogląda, z kim się spotyka, czy chodzi w niedzielę do kościoła. Wobec „nieprawomyślnych” stosowano ostrzeżenia.

– I już było po prawach obywatelskich oraz wolności jednostki – mruknął Brandon.

– To jeszcze nie wszystko. Jeśli ostrzeżenie nie odnosiło skutku, grupa przystępowała do działania. Bojkotowano sklepy, warsztaty i firmy. Odsuwano się od napiętnowanych. Niszczono ich własność. Całe miasteczko brało w tym udział.

Brandon milczał przez chwilę.

– Mówisz o swoim rodzinnym miasteczku?

– Owszem.

– Masz dowody?

– Żadnych. – Avery wzięła głęboki oddech. – Wygląda na to, że nie cofali się przed mordowaniem ludzi.

– Mów.

– Za dużo wypadków śmiertelnych, samobójstw. Ktoś wybiera się na ryby i tonie, ktoś wpada pod własny traktor, bo chybnął się z siodełka, ktoś inny się wiesza...

– Miejscowy lekarz popełnia samobójstwo w płomieniach.

– Właśnie.

– Avery, zostaw to. Nie stać cię na obiektywną ocenę. Nie w tej chwili.

– Chcę się tym zająć. Potrafię być bezstronna, pomimo wszystko.

– Bzdura. Świetnie o tym wiesz.

Wiedziała, ale nie zamierzała głośno przyznać Brandonowi racji.

– Chcę dojść prawdy.

– Mianowicie?

– Nie wiem. Być może cała ta historia jest wyssana z palca. Moja informatorka...

– Nie jest całkiem wiarygodna? Nie można polegać na jej słowach? Nie kieruje się czystymi motywami?

– Coś takiego.

– Wobec każdego informatora człowiek ma te same wątpliwości, zastrzeżenia. Wiesz, co robić.

Iść za tropem. Szukać kolejnych informatorów. Dowieść, że dane są prawdziwe.

– Łatwo powiedzieć – mruknęła. – To małe miasteczko. Zamknięta zbiorowość. Ludzie albo się boją, albo nie chcą mówić.

– Najlepiej zrobisz, jak wrócisz do Waszyngtonu.

– Nie mogę. Jeszcze nie teraz. Muszę zająć się tą sprawą.

– Dlaczego?

Ze względu na ojca, oto dlaczego.

– Owszem, Avery, to niezły materiał, ale nie dlatego w tym tkwisz i oboje o tym wiemy.

W języku szefa określenie „niezły materiał” oznaczało zielone światło.

– Niezły? Za takie materiały ludzie zbierają Pulitzery – zażartowała.

– Chyba że wcześniej lądują w kostnicach. Chcę cię widzieć przy twoim biurku, a nie na marach.

– Za bardzo się przejmujesz. Może masz jakieś sugestie?

– Sprawdź starannie wszystkie fakty. Zastanów się nad własną motywacją. A potem zwróć się do ludzi, którym naprawdę ufasz. – Zamilkł na moment. – Bądź ostrożna, Avery. Naprawdę nie chcę widzieć cię na marach. Wolę żywą przy biurku.

Rozdział 29

Idąc za radą szefa, Avery zwróciła się do ludzi, którym ufała. Postanowiła zacząć od Lili, bo i tak planowała ją odwiedzić.

Kiedy podjechała pod Ranczerówkę, zobaczyła na podjeździe dwa samochody, Lili i Cherry, co oznaczało, że obie są w domu.

Drzwi otworzyła Cherry.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedziała Cherry, nie uśmiechnąwszy się nawet.

– Wpadłam, żeby zapytać, jak się czuje Lila. Cherry demonstracyjnie nie cofnęła się, nie zapraszała do środka.

– Już lepiej, dziękuję.

Avery po pogrzebie ojca kilkakrotnie zbierała się zadzwonić do Cherry i przeprosić ją za to, że na czuwaniu potraktowała ją być może zbyt ostro, w końcu jednak nie zadzwoniła i nie przeprosiła. Nie zdawała sobie sprawy, że jej słowa mogły aż tak bardzo dotknąć dziewczynę. Osobiście uważała, że Cherry przesadza, ale jedni są mniej czuli na swoim punkcie, inni bardziej.

– Cherry, możemy chwilę porozmawiać?

– Jeśli sobie życzysz.

– Przepraszam, że tak cię potraktowałam na czuwaniu. Byłam zdenerwowana. Niepotrzebnie na ciebie skoczyłam. Bardzo żałuję.

Cherry zmiękała. Jej zacięta twarz zmieniła się dosłownie w mgnieniu oka. Avery bała się, że ta nadwrażliwa dziewczyna zaraz wybuchnie płaczem, ale nie. Co więcej, uśmiechnęła się.

– Przyjmuję przeprosiny – powiedziała i wreszcie otworzyła drzwi na oścież. – Mama jest na tarasie. Ucieszy się, że przyjechałaś.

Rzeczywiście, ucieszyła się.

– Avery! – zawołała, odkładając książkę. – Jak to miło, że o nas pamiętasz.

Avery podeszła, pocałowała ją w policzek, a potem usiadła w wiklinowym fotelu.

– Martwiłam się o ciebie. Lila machnęła ręką.

– Przeklęta alergia. Zawsze o tej porze roku mnie dopada. Leczona czy nieleczone, zawsze tak samo zjadliwa. Najgorsze są bóle głowy.

– Wyglądasz ślicznie.

– Dziękuję, kochanie. – Lila spojrzała na córkę. – Cherry, mogłabyś przynieść Avery mrożoną herbatę?

Avery chciała się podnieść.

– Sama sobie przyniosę.

– Wykluczone – sprzeciwiła się Lila. – Cherry może to zrobić. Pójdziesz, skarbie? I przynieś

trochę tych ciasteczek imbirowych, co to zostały z ostatniego kiermaszu dobroczynnego w kościele.

– Już się robi – mruknęła Cherry urażonym tonem. – W końcu od tego jestem. Jakoś muszę zapracować na wikt i opierunek.

Zakłopotana Avery odchrząknęła.

– Ja naprawdę mogę... Cherry nie dała jej dokończyć.

– Siedź, Avery. Ja tu jestem „przynieś, wynieś, pozamiataj”. Zdążyłam już do tego przywyknąć.

Lila odprowadziła córkę ciężkim westchnieniem.

– Czasami jest taka drażliwa, że nie sposób z nią wytrzymać.

– Wszyscy miewamy złe dni.

– Zapewne. – Lila wbiła wzrok we własne dłonie, oczy się zaszkliły. – Jest jej ciężko... Troszczy się o nas wszystkich. Powinna mieć swoją rodzinę, własne dzieci... Żyć własnym życiem.

– Wszystko dopiero przed nią, Lilu. Jest jeszcze młoda.

Lila ciągnęła, jakby nie słyszała słów Avery:

– Zmieniła się bardzo po wyjeździe Karla. Nie jest szczęśliwa. Żadne z moich dzieci nie jest...

Urwała. Chciała powiedzieć, że żadne z jej dzieci nie jest szczęśliwe. Hunter, na pewno. Cherry, do pewnego stopnia. Ale Matt?

Avery nachyliła się i uściśnęła dłoń Lili.

– Szczęście jest jak ocean: odpływy i przypływy, wieczna zmienność losu. – Uśmiechnęła się. – Czas przypływów sprawia, że warto żyć. – Odwzajemniła uścisk Avery. – Kochane dziecko z ciebie. Dziękuję.

– Służę uprzejmie – oznajmiła Cherry, wchodząc na taras z tacą, na której stały dwie szklanki mrożonej herbaty z cytryną i miętą, cukiernica i talerz z ciastkami. – Zostawię wam to i znikam.

– Nie usiądziesz na chwilę? – zmartwiła się Avery.

– Nie mogę. Muszę załatwić kilka spraw przed obiadem. Jeśli teraz nie zabiorę się do roboty, potem nie zdążę. – Zwróciła się do matki: – Podać ci coś jeszcze, zanim wyjdę?

Lila odprawiła córkę krótkim gestem i zaczęła gawędzić z Avery o tym i owym, jednym słowem o drobiazgach bez znaczenia. W końcu Avery skierowała rozmowę na temat, który ją przywiódł do domu Stevensów:

– Buddy wspominał mi, że w latach osiemdziesiątych należałaś do grupy Siedmiu Czuwających Obywateli.

Lila ściągnęła brwi.

– Co go naszło?

– Rozmawialiśmy o Cypress Springs, o tym, jak dobrze, spokojnie się tu żyje. – Avery sięgnęła po ciastko i położyła je na serwetce, nawet nie spróbowała. – Mówił, że bardzo dużo działaliście dla miasta.

– To był trudny okres. – Lila poprawiła się na kanapie. – Dawne czasy.

Avery nie dała się zbyć.

– Pastor Dastugue też podobno należał do grupy. Kto jeszcze był w Siódemce?

– Jak powiedziałaś?

– Siódemka. Grupa Siedmiu, tak się...

– Nie nazywaliśmy się tak – sprostowała ostro.

– Tworzyliśmy GPS, Grupę Pomocy Społecznej. To była właściwa nazwa.

Lila zdenerwowała się, to nie ulegało kwestii, ale Avery dalej drążyła temat:

– Przepraszam za pomyłkę. Nie miałam nic złego na myśli.

– Nie przepraszaj. Nic się nie stało.

– Była jakaś grupa Siedmiu?

– Nie. Dlaczego tak sądzisz?

– Twoja reakcja... Zachnęłaś się tak, jakbyś nie chciała mieć nic wspólnego z grupą Siedmiu.

Lila nerwowym ruchem wygładziła spódnicę.

– Skądże. Zdawało ci się, Avery – zapewniła z wymuszonym uśmiechem.

– Byłam dzisiaj rano w redakcji „Gazette” – powiedziała Avery. – Rickey Plaquamine zaproponował mi pracę.

– Wspaniale – ucieszyła się Lila. – I co? Przyjmiesz jego ofertę?

– Powiedziałam mu, że się zastanowię.

Lila uśmiechnęła się, że się gniewa, ale tak naprawdę była szczęśliwa, że Avery nie odmówiła od razu.

– Nie masz pojęcia, jaką radość sprawiłabyś nam wszystkim, decydując się zostać w Cypress. A już Mattowi największą. – Upiła łyk herbaty i wytarła usta serwetką. – Buddy mówił mi, że dobrze się bawiliście, ty i Matt, na festynie wiosennym.

Avery uśmiechnęła się.

– Tak, to był bardzo udany dzień – przytaknęła lakonicznie, choć wiedziała, że Lila czeka na szczegóły. I na deklaracje co do wspólnej z Mattem przyszłości, których Avery nie mogła czynić.

– Rickey świetnie wygląda. Pochwalił się, że mają trzeciego syna.

– Udany chłopak. Tłusciuch. Wszyscy ich chłopcy rodzili się tłusciutcy. – Lila nachyliła się do Avery z wesołym błyskiem w oku. – To przez lody. W ostatnich miesiącach ciąży Jeanette pochłaniała okropne ilości lodów. Codziennie przynajmniej dwie duże porcje mieszanych z gorącym sosem czekoladowym. Belle z lodziarni Dairy Barn mi mówiła.

Avery uśmiechnęła się pod nosem. Oto małomiasteczkowy świat. Biedna Jeanette. Jak złota rybka w akwarium.

Avery ponownie musiała skierować rozmowę na temat, który nie dawał jej spokoju.

– Dopiero dzisiaj dowiedziałam się o śmierci Sala. Byłam wstrząśnięta. Tata wiedział, ile Sal dla mnie znaczył. Dziwne, że nic mi nie wspomniał.

Lila otworzyła usta, usiłowała coś powiedzieć, wreszcie dobyła z siebie głos:

– Ten rok... – zaczęła z widocznym wysiłkiem – jest dla nas wszystkich bardzo ciężki. Nasi przyjaciele... tylu przyjaciół... odeszło.

Avery wstała, podeszła do niej i objęła serdecznym gestem.

– Tak mi przykro, Lilo. Bardzo bym chciała jakoś pomóc.

– Już nam pomogłaś, kochanie. Przez sam fakt, że jesteś z nami.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę, w końcu Lila powiedziała, że czuje się zmęczona i chciałyby odpocząć. Kiedy się podniosła, z trudem mogła ustać na nogach. Avery była przerażona: zaledwie przed dwoma tygodniami ta sama Lila zdawała się tryskać zdrowiem.

W holu cmoknęła Avery na pożegnanie.

– Zajrzyj niebawem.

– Na pewno wpadnę. Tylko wracaj szybko do zdrowia.

Avery patrzyła z niepokojem, jak Lila z trudem wspina się po schodach, jak kurczowo trzyma się poręczy. Nie mogła uwierzyć, że alergia potrafi aż tak osłabić człowieka, chociaż niewiele wiedziała o chorobach alergicznych. Szczęśliwie sama nigdy nie cierpiała na żadne uczulenie.

Hunter twierdził, że jego matka jest lekomanką i alkoholiczką. Jedno i drugie rujnuje organizm, to nie ulega kwestii. Czyżby stan Lili wynikał z nadużywania alkoholu oraz leków?

W drzwiach prowadzących do gabinetu pojawiła się Cherry.

– Mama poszła na górę zdrzemnąć się?

– Aha. Czy ona na pewno dobrze się czuje? – W głosie Avery zabrzmiała troska.

– Tak. Lekarstwo, które zażywa, trochę ją osłabia, ale takie ma niestety działanie uboczne.

– Jesteś pewna, że nic jej nie dolega?

– Oczywiście. Dlaczego pytasz?

– Martwię się o nią. Jeszcze dwa tygodnie temu była w świetnym stanie.

– To tylko alergia i efekt leków. No i mama, generalnie, nie ma już tych sił co kiedyś.

Avery dopiero teraz zauważyła, że Cherry trzyma w dłoni rewolwer. Chyba rewolwer, o ile Avery znała się na broni. Podniosła wzrok.

– Nie chcę być wścibska, ale...

– Ta broń? Wybieram się na strzelnicę.

– Na strzelnicę? – powtórzyła zdumiona Avery. Dziewczyny w Luizjanie wychowywały się wśród broni i polowań, ale można się było po nich raczej spodziewać mistrzostwa w pieczeniu placka brzoskwiniego niż umiejętności strzeleckich. – Strzelasz? – zapytała inteligentnie.

– Jakżeby inaczej? Mając za ojca szefa policji? Jasne, że strzelam. A ty?

– Ja z założenia nie toleruję żadnej broni.

– Może pomimo to pojedziesz ze mną?

– Dlaczego nie.

Pojechały, każda swoim samochodem. Strzelnica okazała się dużym, pustym i mocno zaniedbanym terenem piętnaście kilometrów za miastem, niedaleko dawnych zakładów Old Dixie.

Już na miejscu, kiedy wysiadły, Cherry załadowała magazynek.

– Co to za broń? – zainteresowała się Avery.

– Ruger magnum 357.

– Brudny Harry używa takiego, prawda?

– Nie, ale byłaś blisko. Detektyw Harry Callahan ma magnum 44. – Cherry zaśmiała się. – Ja nie potrzebuję aż takiej armaty.

Wyjęła z bagażnika karton z pustymi puszkami, ustawiła je na belach siana, które do tego właśnie celu służyły, i po chwili miała zaaranżowaną naprędce strzelnicę.

Truchtem wróciła na tę stronę pola, gdzie czekała Avery, złożyła się i oddała sześć strzałów. W ostatnią puszkę nie udało się jej trafić. Zakłęła cicho i ponownie załadowała broń.

– Słyszałam, o co pytałaś mamę – powiedziała. – Rozmawialiście o GPS.

– Pamiętasz coś?

– Oczywiście, pamiętam doskonale. Avery zmarszczyła czoło.

– Dziwne, bo ja nic nie pamiętam.

– Wcale nie takie dziwne. Pamiętam wszystko, co ma związek z naszą rodziną.

– Twój tata mówi, że to był trudny czas.

– Delikatnie mówiąc.

Avery zastanawiała się przez chwilę.

– Mogę zadać ci pytanie? – zagadnęła wreszcie.

– Strzelaj. Przepraszam za określenie. – Cherry parsknęła śmiechem.

– Znałaś Elaine St. Claire?

– Kogo?

– Tę zamordowaną.

Cherry wycelowała, nacisnęła spust, strzeliła. Jak poprzednio opróżniła cały magazynek, dopiero wtedy odpowiedziała:

– Tylko ze słyszenia. Miała reputację – oznajmiła tonem porządnej pani z Południa.

– Miała reputację? – To wyrażenie w uszach Avery zabrzmiało co najmniej idiotycznie. – Każdy człowiek ma jakąś reputację, lepszą albo gorszą. Co to oznacza?

– Ojej, Avery, przecież wiesz. Ta dziewczyna widziała w życiu więcej łóżek niż magazynier

w naszym salonie meblowym.

– Ta dziewczyna nie żyje – zachnęła się Avery.

– Nie powinnaś mówić o niej w ten sposób.

– Jestem szczerą, mówię, co myślę. Mam kłamać i użalać się tylko dlatego, że ktoś ją sprzątnął? To byłaby hipokryzja.

– Słyszałaś kiedyś powiedzenie: „Żyj i dać żyć innym”? – zirytowała się Avery. – Nie sądzisz, że to prywatna sprawa Elaine, ile i czyje łóżka w swoim życiu oglądała?

– To wielkomiejskie wymysły. Szerzone po to, żeby ludziom mącić w głowach. Dla utrzymania status quo i zadowolenia mas – z przekonaniem wyrecytowała Cherry małomiasteczkowy pogląd dotyczący odnoszenia się do obyczajów seksualnych naszych bliźnich. – Wy tam w wielkich miastach musicie akceptować „element” – dodała jeszcze napuszczonym tonem.

– Wy nie?

– Nie – prychnęła Cherry. – To jest Cypress Springs, nie Nowy Orlean.

– Innymi słowy, według ciebie Elaine St. Claire zasłużyła sobie na śmierć? Cieszysz się, że ktoś usunął „element”, jak to łaskawie określiłaś?

– Nie, skąd. – Załadowała ponownie magazynek. – Nikt nie zasługuje na śmierć. Ale jeśli mnie pytasz, czy mi przykro, że Elaine nie rozkłada już nóg na widok każdego fiuta, to powiem ci, że nie bardzo.

Avery zatkało.

– Zaszokowałam cię, co? – Cherry była bardzo zadowolona z siebie.

– Nie przypuszczałam, że potrafisz tak mówić o ludziach. Jak widać, między moralnością obowiązującą w Cypress a wulgarnością jest cienka granica. Że nie wspomnę o tolerancji.

– Nie znasz mnie jeszcze, Avery.

– Zabrzmiało groźnie. Cherry zaśmiała się.

– Wcale nie. Długo cię tu nie było, to wszystko. – Cherry znowu zaczęła strzelać. Oddała raz za razem sześć strzałów, wszystkie celne. – Wyciągnęła dłoń z rewolwerem w stronę Avery. – Chcesz spróbować?

Zawahała się. Organicznie nie znosiła broni. Należała do tych, którzy uważali, że świat bez broni byłby znacznie lepszym światem, a strony wszelkich konfliktów, zamiast wojować ze sobą, powinny szukać zgody przy stołach konferencyjnych. Najlepiej popijając mineralną i kawę z mlekiem, zajadając ciasteczka.

Tak ją jednak rozżłościł pełen wyższości uśmiech Cherry, że w końcu sięgnęła po rewolwer.

– Pokaż mi, jak się to robi.

Cherry zaczęła ją instruować, jak stanąć, jak trzymać broń.

– Czuję się kretyńsko – mruknęła Avery ponurym głosem. – Jak nieudana imitacja

Schwarzeneggera.

– Początkowo też się tak czułam, ale przekonasz się. Polubisz to.

Aha, na pewno.

– Co dalej?

– Wyceluj i strzel, ale uważaj na siłę odrzutu. Avery nacisnęła na spust, strzeliła.

Rzeczywiście odrzuciło ją do tyłu tak, że się zachwiała.

– Trafiłam?

– Może trafisz, jak uda ci się strzelić z otwartymi oczami.

– Cholera.

– Spróbuj jeszcze raz.

Znowu spudłowała. Po szóstej próbie oddała rewolwer.

– Ogłaszam oficjalny koniec mojej kariery strzeleckiej.

– Zmienisz zdanie, jeśli zostaniesz w Cypress Springs. Ja lubię broń. Kiedy trzymam to magnum w dłoni, czuję się silna. Po to jest broń. Daje poczucie siły i władzy, poczucie wygranej.

– Broń zabija...

– Zawsze myślałam, że broń służy do zabijania. Ale zabijanie zabijaniu nierówne. Zresztą zabijanie to tak czy inaczej ostateczność. Pamiętaj, że na świecie jest zbyt wielu złych ludzi, ludzi pozbawionych skrupułów, którzy tylko czyhają, żeby odebrać ci to, co dla ciebie najdroższe. Broń potrafi ich odstraszyć.

Avery wiele razy dyskutowała z podobnymi opiniami i wiedziała, że nie wygra. Cherry miała rację, własną rację, ale ona była na tyle idealistką, by wierzyć, że są inne sposoby.

– Gwałt niech się gwałtem odciska, to chcesz powiedzieć? Taką zasadę wyznajesz? Na przemoc odpowiadać przemocą, aż cała ta planeta pieprznie w diabły?

– Wygrywa ten, kto ma większą pukawkę. W chwilę później Avery odjechała. W lusterku wstecznym widziała Cherry stojącą koło samochodu, na tle nieba zlócego się w ostatnich promieniach słońca. Czuła niesmak, jakby wzięła udział w czymś obmierzłym, brudnym. Jakby była świadkiem czegoś wstrętnego, czemu nie potrafiła przeciwdziałać.

W głowie cały czas brzmiały jej słowa Gwen Lancaster. „Napiętnowani... Wyrzuceni poza nawias... Ktokolwiek postępował niezgodnie z narzuconymi normami... Gwałcono prawa obywatelskie... zapominano o wolności jednostki...”.

Czy Cherry należała do sfanatyzowanych stróżów ładu, o których mówiła Gwen?

Bez wątpienia.

Ta sama Cherry, która piekła ciasteczka imbirowe, uczyła w szkółce niedzielnej... Która przyniosła jej biszkopt na śniadanie. Łagodna, pełna troski o innych Cherry.

Przekonana, że ładu należy strzec z rewolwerem w dłoni.

Dziwne. Jeśli należała do Siedmiu, dlaczego tak otwarcie dawała wyraz swoim opiniom?

Avery złapała się na tym, że bierze istnienie Siedmiu za pewnik. Jakby grupa rzeczywiście istniała, jakby każdy mógł do niej należeć.

Kiedy zatrzymała się na światłach, odszukała w torebce kartkę z numerem telefonu Gwen, wyjęła z kieszeni komórkę i wystukała cyfry. Po trzecim sygnale odezwała się poczta głosowa. Avery nagrała wiadomość:

– Mówi Avery Chauvin. Chcę z tobą porozmawiać. Zadzwoń. – Numeru komórki nie podawała, bo musiał zapisać się w telefonie Gwen, zostawiła tylko domowy numer rodziców i rozłączyła się.

Rozdział 30

Młotek wszedł do sali posiedzeń. Nawał zajęć sprawił, że spóźnił się na spotkanie. Generałowie byli już na miejscu, czekali. Dwóch głośno narzekało na rządy Młotka, byli bardzo niezadowoleni ze sposobu, w jaki pozbył się Elaine St. Claire.

Na jego widok generałowie raptownie zamilkli, mocno zakłopotani.

Powściągając gniew, Młotek podszedł do swojego miejsca u szczytu stołu. Usiadł. Przesunął wzrokiem po zebranych.

– Błękitny, Sokół, macie jakiś problem?

– Owszem – odpowiedział Błękitny. – Chodzi o tę obcą. Sytuacja jest krytyczna. Musimy przystąpić do działania.

– Wniosek przyjęty. A ty, Sokół, co masz do powiedzenia?

– Likwidacja St. Claire była błędem. Wokół stołu przeszedł pomruk zdumienia. Sokół był zaufanym Młotka. Od samego początku istnienia grupy lojalnym jego sprzymierzeńcem, przyjacielem.

Młotkowi z wściekłości odebrało na moment głos. Poczł się zdradzony. Z najwyższym trudem panował nad emocjami.

– A co mieliśmy zrobić, Sokole? Pozwolić jej zatruwać atmosferę w naszym miasteczku? Siąc zgorzenie? Podważać fundament moralny, na którym wspiera się nasze życie? A może czekać, aż zgłosi się na policję? Zapomniałeś już, cośmy ślubowali sobie nawzajem i wszystkim współobywatelom?

Sokół skulił się, skurczył w sobie na to dictum.

– Nie, skądże. Ale należało to załatwić w inny sposób... tak jak w poprzednich przypadkach, bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń. Pozbywając się jej tak jawnie...

– Udzieliliśmy ostrzeżenia tym innym... jej podobnym. Nikt nie wpadnie na nasz trop, zaręczam ci to.

Sokół otworzył usta, chciał coś powiedzieć, sprzeciwić się, ale dał spokój, miną tylko wyraził swoje powątpiewanie co do słuszności działań Młotka i zasadności jego zapewnień.

Młotek gniewnie zmrużył oczy. Czyżby zarodek buntu? Porozmawia sobie z Sokołem bez świadków. Jeśli uzna, że ten stanowi zagrożenie, wykluczy go z Wysokiej Rady.

– Co z dziennikarką? – natarczywym głosem dopytywał się Błękitny.

– Avery Chauvin? A niby co ma być z nią?

– Rozmawiała z tą obcą.

– Zadawała pytania – wtrącił ktoś. – Mnóstwo pytań.

Młotek zdziwił się, nie wiedział, co myśleć.

– Jest jedną z nas.

– Była – poprawił go Błękitny. – Ona była jedną z nas – powtórzył z naciskiem. – Zbyt długo mieszkała z dala od domu, by można jej ufać. Stała się człowiekiem liberalnych mediów.

– To prawda – poparł Błękitnego Sokół. – Nie wie, co jest nam drogie, o co walczymy, jakie wartości staramy się zachować. Gdyby to rozumiała, nigdy nie opuściłaby Cypress Springs.

Na te słowa dał się słyszeć wśród zebranych pomruk, wyraz niepokoju oraz akceptacji dla słów Błękitnego i Sokola.

Młotek z trudem panował nad wzbierającą w nim wściekłością. Nie zdradzał się z tym, ale osoba Avery Chauvin i w nim budziła spore wątpliwości. Jak inni zdążył zauważyć, że zbyt się interesuje grupą.

Był jednak przywódcą i jego decyzji nikt nie mógł kwestionować. Jeśli on powie, że Avery Chauvin nie stanowi dla nich zagrożenia, reszta będzie musiała przyjąć jego zdanie.

Podniósł rękę. Generałowie umilkli, wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

– Czy muszę wam przypominać, że nasza moc płynie z siły naszych przekonań? Z gotowości do służenia sprawie w każdy możliwy sposób? Że rozłam w grupie będzie oznaczał jej koniec? Że grupa rozpadnie się, jak rozpadła się pierwsza? – Zamilkł na moment dla spotęgowania efektu.

– Jesteśmy elitą, panowie. Jesteśmy najlepszymi spośród najlepszych. Przyświecają nam szczytne cele, podjęliśmy się ich realizacji, wzięliśmy na swe barki wielki ciężar. – Krótka pauza. – Chwalebny ciężar. – Znów pauza. – Nie pozwolimy, ja nie pozwolę, by ktoś psuł nam szyki. Nawet nasze siostry. – Spojrzał po generałach. Przytaknęli jego słowom. – Zostawcie wszystko mnie – kończył swoje expose. – Sprawę dziennikarki również.

Rozdział 31

Avery oczekiwała, że Gwen oddzwoni do niej najpóźniej w czwartek wieczorem, w kilka godzin po tym, jak pozostawiła wiadomość w poczcie głosowej. Tymczasem Gwen nie odezwała się ani w czwartek, ani w piątek. Avery zaczęła się niepokoić. Zadzwoiła jeszcze raz i powtórnie zostawiła wiadomość.

Właśnie zamierzała wybrać się do pensjonatu Landry'ego, kiedy odezwał się dzwonek przy drzwiach. Pewna, że to Gwen, pobięła otworzyć.

Zobaczyła w progu Buddy'ego.

– Witaj, dziecino. – Wysoko uniósł przykryty serwetką koszyk. – Lila prosiła, żebym ci to podrzucił.

Avery przyjęła koszyk, choć miała wrażenie, że wcale nie zasłużyła na tyle troski ze strony Stevensów.

– Co tam jest?

– Słynne muffinki z jagodami, za które Lila zbiera nagrody na wszystkich konkursach.

Właściwie Buddy nie musiał odpowiadać, bo z kosza unosił się wspaniały zapach.

– Jak ona się czuje?

– Dużo lepiej. Znowu przejęła rządy w kuchni. – Otarł chusteczką kark. – Gorąco dzisiaj. Zapowiadają rekordowe temperatury jak na tę porę roku.

– Wchodź, Buddy. Napijesz się czegoś zimnego.

– Nie będę się certował. Wypiłbym szklanek wody z lodem.

Ruszył za Avery do kuchni, po drodze omiatając spojrzeniem panujący w domu bałagan: opróżnione półki, sterty kartonów na podłodze, ubrania wyjęte z szaf.

– Widzę, że ostro zabrałaś się do pracy.

– Może nie tak ostro, jak bym chciała, ale zabrałam się. – Avery przygotowała Buddy'emu wodę z lodem i cytryną. – Ciągle mam za mało czasu, a agentka siedzi mi na głowie, bo już znalazła chętnego na nasz dom.

Buddy upił spory łyk.

– To wspaniały dom, świetna lokalizacja. Kiedy sobie pomyślę, że... – Nie dokończył zdania, nerwowym gestem przełożył szklanek z jednej dłoni do drugiej, zupełnie jak nie Buddy. – Nie myślałaś o tym, żeby go zatrzymać? Może zostaniesz w Cypress Springs? Zaczynam się już przyzwyczajać, że znowu jesteś z nami. Nic chcemy, żebyś wyjeżdżała.

Miał naprawdę smutną minę. Wzruszył ją. Jak to możliwe: z jednej strony czuć do tych ludzi takie przywiązanie, z drugiej podejrzewać ich o czyny najpodlejsze, najbardziej niegodziwe, jak morderstwa. Co się z nią dzieje?

– Wiele o tym myślałam, ale nie podjęłam jeszcze decyzji.

– Mogę cię jakoś przekonać?

– Nie musisz mnie przekonywać, już sam z siebie jesteś wystarczająco mocnym argumentem. – Pocałowała go w policzek, a Buddy aż pokraśniał z zadowolenia.

– Lila mówiła mi, że byłaś u niej.

– Tak. – Avery sobie też naląła wody. – Bardzo miła wizyta.

– Spędziłaś też trochę czasu z Cherry. Uśmiech zniknął z twarzy Avery.

– Co takiego? – zmartwił się Buddy.

– Nic. Cherry świetnie strzela. Patrzyłam na nią z podziwem.

– A i owszem. Uważam, że byłby z niej bardzo dobry glina.

Avery zdziwiła się.

– Zachęcałeś ją?

– Tak – przyznał Buddy z westchnieniem. – Ale wiesz, jak to jest u nas, na Południu. Zakorzenione stereotypy na temat płci, na temat ról męskich i żeńskich, co kobiecie wypada, czego nie wypada. Nasze drogie panie wychodzą za męża, rodzą dzieci, a jeśli już decydują się pracować, wyrwać z domu, wybierają tak zwane kobiece zawody.

Jak catering, ale broń Boże służba w policji. Dziennikarstwo też jest na cenzurowanym. Czego jej matka nie robiła, żeby ją odwieść od studiów dziennikarskich...

– Wiem, Buddy, jak to jest.

– Wyglądasz na zmęczoną – zauważył z troską w głosie.

Avery szybko odwróciła wzrok.

– Źle sypiam. – To przynajmniej była prawda, nie powiedziała tylko, dlaczego źle sypia, co ją dręczy po nocach.

– Trudno się dziwić. Daj sobie trochę czasu. Czas leczy rany.

Zapadło milczenie. Buddy upił kolejny łyk wody, zadzwoniły kostki lodu w szklance.

– Rickey mówił mi, że byłaś w redakcji „Gazette”. – Opuścił na moment wzrok, po czym spojrzał na Avery ze współczuciem. – Znalazłaś to, czego szukałaś?

A więc Rickey po jej wyjściu dzwonił do Buddy’ego. Domyślił się, czego szukała. Pytała go o Siedmiu...

Buddy wiedział też prawdopodobnie, że rozmawiała z Benem Mitchellem i z doktorem Harrisem. W małym miasteczku nic nie utrzyma się w tajemnicy.

A jednak miasteczko miało swoją wielką tajemnicę. Jeśli oczywiście jej podejrzenia były uzasadnione.

– Porozmawiaj ze mną, Avery. Powiedz, co się dzieje. Bardzo bym chciał, ale nie będę mógł ci pomóc, jeśli nie dowiem się, o co chodzi.

Szef poradził jej, żeby zwróciła się do ludzi, którym ufa.

Buddy’emu ufała całkowicie. Nigdy jej nie zawiódł, nie wyrządził żadnej przykrości. Zawsze

mogła na nim polegać.

– Mogę... zadać ci jedno pytanie, Buddy?

– Możesz mnie pytać, o co tylko zechcesz, dziecinko. Zawsze.

– Rozmawiałam z Benem Mitchellem, biegłym z biura marszałka straży pożarnej. Powiedział coś, co nie daje mi spokoju.

– Mów.

Wzięła głęboki oddech.

– Mitchell znalazł kapeć taty na ścieżce do garażu. Uznał, że tata drugi kapeć miał na nodze i że ten spłonął razem z ubraniem. Tak było rzeczywiście?

Buddy zmarszczył czoło, zastanawiał się przez moment.

– Tak. Jeśli chcesz znać szczegóły, możemy zajrzeć do mojego raportu.

– To nie... – Szukała właściwych słów. – Czy nic cię nie zastanowiło? – Sądząc po jego minie, Buddy najwyraźniej nie rozumiał, o co jej chodzi. – Widzę, że nie.

– Mogłabyś mówić jaśniej? Gubię się w tych niedopowiedzeniach. Do czego zmierzasz?

– Sama nie wiem. Myślę, że... Kłamstwo. Doskonale wiedziała.

Dalej, powiedz to wreszcie, Avery. Powiedz wprost. Wyrzuć z siebie.

– Myślę, że tata nie popełnił samobójstwa. W pierwszej chwili Buddy w ogóle nie zareagował, jakby przytłoczyły go słowa Avery, jakby nie mógł się z nimi uporać. Milczał. Wreszcie spojrział na nią jakoś dziwnie.

– Chodzi o ten kapeć?

– Tak... ale nie tylko. Znałam mojego ojca. On tego nie mógł zrobić.

– Avery...

Gdy usłyszała litość w głosie Buddy'ego, natychmiast się zjeżyła.

– Ty też go znałeś. Kochał życie. Cenił je i szanował. Nie mógł, po prostu nie mógł tego zrobić. Nie uwierzę.

– Zdajesz sobie sprawę, co mówisz? Skoro twierdzisz, że nie popełnił samobójstwa, musiał zostać zamordowany, czy tak?

Avery oblała się rumieńcem. Stała naprzeciwko Buddy'ego, patrzyła mu w oczy i czuła się jak ostatnia idiotka. Nie była w stanie dobrać głosu. Kiwnęła tylko głową.

– Kwestionujesz wyniki dochodzenia, które przeprowadziłem?

– Nie, ale mogłeś coś przeoczyć. Doktor Harris mógł coś przeoczyć.

– Pokażę ci raport, jeśli to ma ci w czymś pomóc.

Owszem, to mogło jej pomóc.

– Dziękuję bardzo, Buddy.

Westchnął ciężko, jakby podjął właśnie jakąś ważną decyzję.

– Dlaczego to robisz, dziecinko?

– Słucham?

– Twój ojciec nie żyje. Popęłnił samobójstwo. Nic go nie wskrzesi.

– Wiem. Ja tylko...

– Kochamy cię. Jesteś jedną z nas. Nie czujesz tego? Nie czujesz żadnej więzi z nami, z tym miastem?

Łzy cisnęły się jej do oczu.

Jej przyjaciele z Cypress Springs. Ludzie, od których zaznała wyłącznie dobra. Kiedy po tylu latach tu przyjechała, przyjęli ją z otwartym sercem. Stevensowie byli dla niej jak rodzina. Teraz już jedyna rodzina, poza nimi nie miała nikogo bliskiego.

Dobrze było wrócić w rodzinne strony. Buddy miał rację. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuła serdeczną więź z ludźmi i z miejscami. Tutaj wyrosła, wśród nich... Nie chciała tego tracić, przekreślać.

Powiedziała to głośno i dodała:

– Gdybym tylko mogła się pogodzić z... Gdybym nieczuła się tak... – Właśnie, jak? Zagubiona. Dręczona wątpliwościami. Winna.

Tak, przede wszystkim winna.

Buddy odstawił szklanekę, podszedł do Avery, położył jej dłonie na ramionach, spojrzał w pełne łez oczy.

– Nie przyczyniłaś się w żadnym stopniu do śmierci ojca. To nie twoja wina.

– To... dlaczego to zrobił? Buddy mocniej zacisnął palce.

– Avery – zaczął łagodnym tonem – być może nigdy się nie dowiesz. On odszedł, a my nie wiemy, co myślał. Musisz pogodzić się z jego śmiercią i próbować żyć dalej.

– Nie wiem, czy potrafię. – W jej głosie zabrzmiała zupełna bezradność. – Chcę... naprawdę chcę, ale...

– Daj sobie trochę czasu. Bądź dobra dla siebie. Trzymaj się z daleka od takich ludzi jak Gwen Lancaster. Ona gotowa cię zniszczyć, choć sama o tym nie wie. To nieźrównoważona kobieta.

Raczej zdesperowana, pomyślała Avery.

– Matt też się martwi o ciebie – ciągnął Buddy.

– Cały czas zajmuje się sprawą McDougala. To nie pierwszy taki wypadek. Kilka miesięcy temu zaginął bez śladu pewien chłopak.

– Tom Lancaster.

– Tak. – Buddy opuścił ręce, cofnął się o krok.

– Dwie podobne sprawy. Zbyt podobne. Niemożliwe, żeby nie istniał między nimi jakiś związek. I jeszcze morderstwo na Elaine St. Claire. Tu już nie mam pewności co do związku, ale bierzemy pod uwagę i taką możliwość. W końcu w Cypress Springs takie rzeczy się nie zdarzają.

– Za to zdarzają się inne. Buddy zachmurzył się.

– Słucham?

– Nie zauważyłeś, ile było nagłych zgonów w ostatnich miesiącach? Wypadki, samobójstwa...

Buddy sposepniał jeszcze bardziej.

– To akurat zdarza się wszędzie. Każde miasto ma swoje...

– Co powiesz o śmierci Pete'a Trimbele'a? Przez całe życie był farmerem. Jak to możliwe, żeby wpadł pod własny traktor?

– Znaleźliśmy w kabinie traktora prawie pustą butelkę whisky. Pete miał we krwi ponad trzy promile alkoholu, musiał być w sztok pijany.

– A Dolly Framer? W „Gazette” napisano, że się powiesiła. Tymczasem ta kobieta miała po co żyć. Miała wszystko.

– Mąż ją zostawił. Uciekł z sekretarką. Tego już „Gazette” nie podała.

– A Sal?

– Tragiczny przypadek. Postrzelił go ktoś, kto musiał mieć pierwszy raz strzelbę w rękę, w dodatku nie potrafił odróżnić człowieka od jelenia. Kiedy ten ktoś zorientował się, co zrobił, po prostu uciekł.

– Zbyt wiele śmierci, Buddy. – Avery była na granicy hysterii. – Dlaczego tak wiele... śmierci?

– Taki los, dziecino – powiedział łagodnie. – Ludzie odchodzą.

– Tyle osób? W tak krótkim czasie? W tak tragiczny sposób?

Buddy zamknął jej dłonie w swoich.

– Gdyby nie twój ojciec, nie widziałabyś w tym nic niezwykłego, prawda? Gdyby nie rojenia pograżonej w rozpacz kobiety, żaden z tych zgonów nie budziłby wątpliwości, podejrzeń, czy nie tak?

Ta kobieta to Gwen Lancaster? Czy ona sama? Boże, do jakiego stanu się doprowadziła... Łzy, nie mogła ich już powstrzymać, potoczyły się po policzkach.

Buddy objął ją ramieniem i przytulił do piersi.

– Gwen Lancaster spotkało wielkie nieszczęście. Jej brat zginął, prawdopodobnie nie żyje. Bardzo jej współczuję. Sam cierpię, bo straciłem najlepszego przyjaciela. Ona straciła brata, to musi być niewyobrażalny ból. – Odsunął się trochę i spojrzał Avery w oczy. – Ludzie, których spotkało wielkie nieszczęście, robią różne rzeczy, wierzą w różne rzeczy, które... nie muszą być prawdą. Szukają lekarstwa na cierpienie, na ból, uciekają przed poczuciem winy, wyrzutami sumienia. Ufaj tym, których kochasz. I którzy kochają ciebie. Nie słuchaj kobiety, której nawet nie znasz. – Otarł jej łzy z twarzy. – To małe miasto, Avery. Ludzi tutaj łatwo zrazić. Przestań bawić się w reporterkę z Waszyngtonu, bo gotowi zapomnieć, że jesteś stąd, że jesteś jedną

z nich, i zaczną traktować cię jak obcą. Nie chciałabyś tego, prawda?

Słowa Buddy'ego, chociaż wypowiedziane łagodnym, ojcowskim tonem, zabrzmiały jak pogróżka. Jak ostrzeżenie: poniechaj, zrezygnuj, zapomnij, nie draż tego, czego drażyć nie należy.

– Nie rozumiem. Mówisz...

– To tylko przyjacielska rada, dziecino. Tylko rada, nic więcej. – Pocałował ją w czoło i odsunął się. – Należysz do rodziny, Avery. Chcę, żebyś była szczęśliwa.

Rozdział 32

Buddy odjechał, a Avery długo jeszcze stała w drzwiach. Czowała się odrętwiała, nieobecna. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, w głowie brzmiały jej słowa Buddy'ego.

Czy to, co usłyszała od Gwen, wzbudziłoby jej podejrzenia, gdyby nie była pogrążona w bólu, w rozpacz? Śmierć Sala mogła być rzeczywiście jednym z tych niepojętych, tragicznych przypadków, które sprawiają, że pytamy zdumieni: dlaczego?

Dolly Framer? Problemy rodzinne. Depresja.

Pete Trimble? Alkohol. Pijany kierowca, jeden z wielu pijanych kierowców, którzy zapełniają ponure statystyki.

W co wierzyć?

Zaczęła masować pulsujące bólem skronie. Jak łatwo ulegała sugestiom, dawała sobą powodować! Raz jest przekonana, że mieszkańcy Cypress Springs powołali tajne stowarzyszenie mordujące nieprawomyślnych obywateli, za chwilę widzi w Gwen Lancaster osobę nieźrównoważoną i co najmniej podejrzaną. Ona, zawsze nieugięta w swoich przekonaniach, zawsze pewna wyznawanych poglądów. Przecież jej żywiołem było docieranie do faktów, ich analiza, selekcja i synteza, podejmowanie decyzji i pisanie kolejnego artykułu.

Opuściła dłonie. Tak zaczyna się załamanie psychiczne? Od drobnych wątpliwości, zachwiań pewności? Napady płaczu, narastające niezdecydowanie, poczucie zapadania się, tracenia gruntu pod nogami, które szybko mija, by powrócić ze zdwojoną siłą?

Zamknęła wreszcie drzwi, odwróciła się powoli i poszła do kuchni. Spojrzała na szklanekę po wodzie Buddy'ego.

W co chciała wierzyć?

W ludzi, których kochała i którym ufała. W tych, którzy ją kochali.

I w to, że ojciec nie odebrał sobie życia.

Tu tkwiło źródło sprzeczności, tu rodził się wewnętrzny konflikt.

Zadzwoił telefon. Odwróciła się w stronę aparatu, ale nie podeszła, nie podniosła słuchawki. Ktoś odczekał dziewięć sygnałów i zrezygnował. Po chwili znowu wybrał jej numer. Ktoś jej potrzebował. Chciał z nią pilnie rozmawiać.

Ojciec chciał z nią rozmawiać.

Nie odebrała tamtego telefonu.

Rzuciła się do aparatu, chwyciła słuchawkę.

– Słucham.

– Avery? Mówi Gwen.

Nie teraz. Nie ona. Miała ochotę przerwać połączenie.

– Odsłuchałam właśnie twoją wiadomość – mówiła Gwen. – Byłam w Nowym Orleanie,

u matki, miałam wyłączony telefon. – Zamilkła.

– Avery? Jesteś tam?

– Tak, słucham.

– Chciałabym się spotkać z tobą możliwie jak najszybciej. Kiedy mogłabyś...

– Przepraszam, Gwen, nie mogę teraz z tobą rozmawiać.

– Dobrze się czujesz?

Jeżeli dobrze może się czuć człowiek, który właśnie rozsypuje się w pył.

– Tak, wszystko w porządku. Tylko... to nie najlepszy moment.

– Jesteś sama?

Avery usłyszała niepokój w głosie Gwen. Mogła sobie wyobrazić, co tamta myśli.

– Tak.

– Masz dziwny głos.

– Chyba popełniłam błąd.

– Nie rozumiem.

– Nie mogę się angażować. Bardzo ci współczuję, Gwen. Naprawdę bardzo. Rozumiem, co musisz teraz czuć. Sama przeżywam ciężkie chwile, ale nie mogę zaakceptować twoich domysłów. Już nie.

– Domysłów? Ale...

– Bardzo mi przykro.

– Nie mam nikogo, żadnego wsparcia. Jestem zupełnie sama. Potrzebuję twojej pomocy, Avery.

– Gwen prawie krzyczała. – Proszę, pomóż mi znaleźć mordercę mojego brata.

Avery zacisnęła powieki. Nie mogła znieść zdesperowanego, przepelnionego cierpieniem głosu Gwen Lancaster.

Ufaj ludziom, których kochasz. Tym, którzy kochają ciebie.

– Bardzo bym chciała, Gwen. Z całego serca ci współczuję, ale...

– Proszę, nie mam nikogo poza tobą. Zawahała się, ale pozostała nieugięta.

– Nie mogę teraz rozmawiać. Wybacz.

Odłożyła słuchawkę. Drżała ze zdenerwowania. Wzięła głęboki oddech. Postąpiła słusznie. Cierpienie odmienia rzeczywistość. Gwen chwyciła się pomysłu z tajnym stowarzyszeniem, skupiła na nim całą swoją energię, żeby zagłuszyć ból. Zapomnieć o rozpaczy.

Avery uległa jej opowieściom z tego samego powodu.

Znowu zadzwonił telefon.

Gwen.

Będzie ją przekonywać, namawiać. Wolałaby już zamknąć sprawę, ale nie mogła, musiała wysłuchać Gwen, przynajmniej tyle była jej winna. I sobie, jeśli chciała znowu funkcjonować

w miarę normalnie.

Podniosła słuchawkę.

– Posłuchaj, Gwen. Nie wiem, jak mam ci to jaśniej wytłumaczyć...

– Jak to jest, być córką kłamcy i mordercy? Avery cofnęła się odruchowo o krok.

– Kto mówi? – zapytała drewnianym głosem.

– Ktoś, kto zna prawdę – powiedziała kobieta i zaśmiała się odrażająco. – Niewiele nas już zostało. Padamy jak muchy.

– To ty jesteś kłamczynią! – zawołała wściekła Avery. – Mój ojciec był człowiekiem honoru. Najuczciwszym, jakiego znałam. A ty jesteś tchórzem, boisz się pokazać swoją twarz.

– Nie jestem tchórzem...

– Jesteś. Chowasz się za kłamstwami. Nie potrafisz ujawnić swojego nazwiska. Rzucasz oszczerstwa na człowieka, który nie może się już bronić.

– A moi chłopcy! – zawołała kobieta. – Oni też nie mogli się bronić, ale nikogo to nie obchodziło.

– Nie wiem, kim są twoi chłopcy. Nie mogę nic na ich temat po...

– Byli – wysyczała kobieta. – Nie żyją. Obaj moi chłopcy... nie żyją. Twój ojciec jest winny ich śmierci. On i inni.

Avery nie chciała kontynuować tej wymiany oskarżeń, nie mogła pozwolić, żeby ta straszna kobieta zepchnęła ją do defensywy. Musi zachować spokój i wydobyć jakoś z nieznajomej, kim jest.

– Gdybyś miała dowody, że mój ojciec ich zamordował, nie ukrywałabyś się za anonimowym głosem. Gdybym wiedziała, o kim mówisz, może przekonałabyś mnie, że nie jesteś pomyloną wariatką.

– Donny i Dylan Pruittowie. O nich mówię. Nie zabili Sallie Waguespack. Nawet jej nie znali.

Sprawa Waguespack.

Dobry Boże. Pudełko z wycinkami. Avery zaczęły drżeć ręce. Zaciśnęła palce z całych sił na słuchawce.

– Co mój ojciec miał z tym wspólnego?

– Twój ojciec pomógł ujść bezkarnie prawdziwemu mordercy. Ten twój najuczciwszy człowiek na świecie pomagał zbrodniarzowi.

– To nieprawda! Kłamiesz.

– W takim razie dlaczego nie doczekali procesu? Dlatego, że nie oni zabili. Zostali wrobieni. Żaden sąd nie uznałby ich winnymi. W ogóle nie stanęliby przed sądem, bo żaden prokurator, żeby nie wiem jak chciał, nie sfabrykowałby oskarżenia. Wszyscy ci hipokryci, ci niby porządni, powinni odpowiadać przed sądem, ponieść sprawiedliwą karę.

– Jeśli masz dowody, przedstaw mi je.

– A jakże, mam dowody. Mnóstwo dowodów.

– Jasne. Na pewno. Kobieta zawrzała.

– Do diabła z tobą i twoim tatusiem. Jesteś taka sama jak oni. Kłamliwa obłudnica. Powiem ci, co mam, a ty mi sprowadzisz na kark policję.

Avery spróbowała innej taktyki.

– Jak myślisz, dlaczego wyjechałam z Cypress Springs? Nie jestem jedną z nich. Nigdy nie byłam. – Dała swej rozmówczyni czas do namysłu. – Jeśli mówisz prawdę, pomogę ci.

– Jaki masz w tym interes?

– Osobisty interes. Chcę wiedzieć, jak umarł mój ojciec. – Avery znów przez chwilę milczała. – Chcesz sprawiedliwości dla swoich chłopców?

– Tutaj? W tym mieście nie ma sprawiedliwości dla Pruittów. Cholera, w tym mieście w ogóle nie ma sprawiedliwości. Dla nikogo.

– Pokaż mi, co masz – nalegała Avery. – Jeśli masz dowody, zajmę się tym. Obiecuję.

Głuche milczenie, dziesięć sekund, pół minuty, minuta...

W końcu Avery usłyszała:

– To nie na telefon. Spotkajmy się. Dzisiaj wieczorem. – Kobieta podała adres i natychmiast rozłączyła się.

Rozdział 33

Parking Magnolia, nędzne osiedle przyczep samochodowych, znajdował się na południowych krańcach Cypress Springs, tuż za administracyjnymi granicami miasteczka.

Reflektor przy wjeździe na parking był rozbity, pozostałe, już na terenie, też. Robota miejscowej społeczności, oceniła Avery. Miejscowa społeczność zdecydowanie wolała podejmować rozmaite praktyki życiowe pod osłoną ciemności. Ale nawet ciemności nie były w stanie zamaskować atmosfery nędzy, zaniedbania, ludzkiej rezygnacji.

Jedyne, czym Magnolia wyróżniała się w sensie pozytywnym, to duże działki dla poszczególnych przyczep, skądinąd pełne śmieci i chwastów, zaniedbane jak wszystko tutaj.

Avery znalazła numer 12, zaparkowała obok przyczepy, wysiadła. Z różnych stron dobiegała głośna muzyka, mieszały się ze sobą rap, country, rock. W sąsiedniej przyczepie jakaś para kłóciła się zawzięcie, płakało dziecko.

Zatrzasnęła drzwiczki i powoli ruszyła do wyjścia, ogarniając spojrzeniem otoczenie. Jakiś uschnięty kwiatek w skrzynce na parapecie, żaloszny niby-ogródek z dwoma od dawna nieprzycinanymi krzewami. Murek z niegdyś pobielonych otoczków. Betonowa żaba na najwyższym stopniu schodków prowadzących do przyczepy.

Przygnębiające.

Drzwi były uchylone, w środku paliło się światło. Zapukała i drzwi same się otworzyły.

– Pani Pruitt! – zawołała. – Avery Chauvin. Żadnej odpowiedzi. Jeszcze zapukała, zawołała, tym razem głośniej.

Weszła do środka i przeraziła się. Poprzewracane meble, porzucane gazety, przewrócona lampa z migającą żarówką, która zaraz mogła się przepalić. Ściana w głębi przyczepy wysmarowana czymś ciemnym. Z radia płynęły dźwięki „Strangers in the Night”. Bardzo odpowiedni podkład muzyczny, pomyślała Avery i zaśmiała się nerwowo.

Podeszła do wysmarowanej ściany, dotknęła plamy ręką. Wilgotna. Spojrzała na palce. Czerwone.

Coraz bardziej przerażona, odwróciła się powoli. Przez otwarte drzwi prowadzące do kuchni zobaczyła kobietę leżącą na podłodze, na boku, w nienaturalnej pozycji.

– Pani Pruitt?

Przerażona Avery podeszła kilka kroków, nachyliła się, wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła ramienia kobiety.

Pani Pruitt przewróciła się na plecy. Martwe, szkliste oczy. Krew na twarzy. Otwarte szeroko w groteskowym skurczu usta.

Avery krzyknęła i odskoczyła. Poślizgnęła się na mokrej podłodze, straciła równowagę i wylądowała na pupie. Krew, uświadomiła sobie, patrząc wokół. Teraz i ona cała była

usmarowana krwią.

Doszedł ją jakiś odgłos, poderwała głowę.

Kobieta zamrugała. Poruszyła ustami. Próbowwała coś powiedzieć.

Żyje. Żyje i chce mówić.

Avery przysunęła się do niej, nachyliła głowę do jej ust. Usłyszała zaledwie cichy dźwięk, świst dobywający się z gardła.

– Co? Co chcesz mi powiedzieć?

Kobieta znów poruszyła ustami, zacisnęła palce na dłoni Avery.

W pokoju od frontu rozległy się kroki. Avery na moment zamarła.

Ten ktoś, kto to zrobił, ciągle może być w przyczepie.

Znowu odgłos kroków. Przeżona poderwała się na równe nogi i potoczyła nieprzytomnym wzrokiem wokół. Nie ma drugich drzwi. Małe okno nad zlewem.

Żadnej drogi ucieczki.

Dojrzała telefon, rzuciła się w jego stronę, chwyciła słuchawkę.

– Policja.

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła wycelowaną w swoją stronę lufę pistoletu. Krzyk ulgi uwiązał jej w gardle.

– Ręce do góry – powiedział zimnym głosem zastępca szeryfa, po czym nachylił się, chcąc sprawdzić puls kobiety.

– Ona żyje. – Avery znajdowała się na granicy hysterii. – Próbowала coś mi powiedzieć. Kiedy cię usłyszałam, pomyślałam, że to tamten... ten, który to zrobił.

Podniósł krótkofalówkę do ust, złożył meldunek, wezwał karetkę. Pistolet cały czas trzymał wycelowany w Avery.

– Odwróć się. Ręce na ścianę. Usłuchała. W tej samej chwili gdzieś w oddali rozległy się syreny. Pobrudzę ścianę krwią, przemknęła jej przez głowę absurdalna myśl. W gardle narastał krzyk.

– Rozstaw nogi.

– Mylisz się. Ja ją znalazłam w tym stanie. – Próbowала się odwrócić, coś tłumaczyć, wyjaśniać, ale pchnął ją z całych sił na ścianę, przyłożył lufę pistoletu do głowy. Avery poczuła się jak bezwolna kukła.

– Zostaw ją, Jones. Natychmiast.

Na dźwięk głosu Matta zastępca opuścił broń i cofnął się posłusznie kilka kroków.

– Matt! – Podbiegła do niego, rzuciła mu się w ramiona.

– Nic ci nie jest, kochanie?

Przywarła do niego całym ciałem, jeszcze przeżona, roztrzęsiona. Zdołała pokręcić głową, że nie, nic jej nie jest, i ukryła twarz na jego ramieniu.

Matt przygarnął ją do siebie, objął mocno.

– Jones?

– Było zgłoszenie. Sąsiadka zadzwoniła. Słyszała jakieś hałasy, potem coś jak odgłos strzału. Przyjechałem natychmiast. Drzwi zastałem otwarte, wszystko powywracane. Wezwałem posiłki i wszedłem do kuchni. Podejrzana klęczała nad ofiarą.

– Tak ją znalazłam – wykrztusiła Avery.

– Drzwi były otwarte. Wołałam ją kilka razy. Nie odpowiadała, więc weszłam i...

Pojawili się pielęgniarze z pogotowia, zrobiło się zamieszanie. Matt i Avery musieli wyjść. W pokoju czekała ekipa techników, gotowa podjąć swoją pracę, jak tylko karetka odjedzie.

Cały czas obejmując ją ramieniem, Matt wyprowadził Avery na zewnątrz. Podeszli do krzeseł ogrodowych stojących na trawniku, już ogrodzonym żółtą policyjną taśmą, która broniła dostępu do przyczepy zbierającym się wokół ciekawskim sąsiadom.

– Usiądź – poprosił Matt. – Poczekaj tutaj. Muszę iść do moich ludzi, ale pamiętaj, na razie nie możesz wrócić do domu. Jesteś świadkiem.

– Spojrzał na nią zatroskanym wzrokiem. – Mogę cię zostawić?

Skinęła głową.

– Idź już. Nie martw się o mnie.

Uścisnął jej dłoń i zwrócił się do pilnującego dostępu do przyczepy Jonesa:

– Uważaj, żeby nikt jej nie zaczepiał. Gdyby gorzej się poczuła, zwołaj mnie.

Avery patrzyła, jak Matt odchodzi. Miała ochotę zwołać go, prosić, żeby z nią został. Przygryzłszy wargę, osunęła się na krzesło.

– Wszystko w porządku? – zagadnął Jones, młody chłopak o dziecinniej twarzy.

Skinęła głową.

– Ta kobieta... to Trudy Pruitt? – upewniła się.

Chłopak zdziwił się, że pyta o coś, co powinno być oczywiste.

– Uhu – mruknął. – Kelnerka z Hard Eight. Hard Eight. Bar z bilardem.

Avery ogarnęła ramiona dłońmi. Cały czas miała przed oczami twarz Trudy Pruitt. Nie mogła uwolnić się od jej obrazu. Puste, szkliste spojrzenie. Otwarte usta. I jej palce, zaciskające się na dłoni Avery.

Skrwawione usta zaczynają się poruszać. Trudy usiłuje coś powiedzieć... Ledwie wyczuwalne tchnienie oddechu na policzku...

I krew. Wszędzie pełno krwi.

Pielęgniarki wyszły z przyczepy. Jeden z nich spojrzał w stronę Avery. W jego oczach było współczucie, żal, jakby chciał ją przeprosić za to, co się stało.

Wstrzymała oddech.

Nie skorzystali z noszy. Są potrzebne tylko żywym. Trupami zajmują się inne służby.

Przeszli obok niej. Wsiadli do karetki. Drzwiczki zatrzasnęły się, ich głośny szcęk zabrzmiał niczym ostatni akord.

Koniec.

– Avery?

Odwróciła głowę. Matt stał w drzwiach przyczepy. Podniosła się powoli z krzesła, on w tej samej chwili ruszył w jej stronę.

– Nie przeżyła – szepnęła.

– Nie. – Ujął jej dłonie i zamknął w swoich. – Co tutaj robisz, Avery?

Zamrugnęła gwałtownie, jakby obudził ją z głębokiego snu.

– Słucham?

– Po co tu przyjechałaś, właśnie dzisiaj?

– Ta kobieta, Trudy Pruitt, powiedziała mi, że ma dowody... dotyczące mojego ojca. I śmierci Sallie Waguespack.

Matt zmarszczył czoło.

– Avery, kochanie, nic z tego nie rozumiem. Postaraj się opowiedzieć wszystko od początku.

Wciągnęła głęboko powietrze, starając się uporządkować chaotyczne myśli. Przewyciężyć panikę, wyrwać się z kompletnego oszołomienia.

– Muszę usiąść.

Matt skinął głową, sam usiadł naprzeciwko Avery, wyciągnął notes.

– Gotowa? Skinęła głową.

– Po pogrzebie taty, tego samego dnia, odebrałam anonimowy telefon. Dzwoniła kobieta. Powiedziała, że tata ma... na co zasłużył. Że mnie też spotka należna zapłata. I rozłączyła się.

– Wspomniałaś mi o niej tamtego dnia, kiedy znaleźliśmy samochód McDougala w stawie Tiller. To ta sama, tak?

– Tak.

– Mów dalej.

– Zadzwoiła znowu dzisiaj po południu. Powiedziała, że pomógł zatuszować morderstwo, że winny jest współdziału w zbrodni.

– Mówiła o Sallie Waguespack.

– Tak. Nazwała go kłamcą. Mordercą.

– I to była Trudy Pruitt?

– Powiedziała, że ma dowody. Miałam... spotkać się z nią dzisiaj wieczorem.

– Powiedziała ci, że jej synowie...

– Twierdziła, że oni tego nie zrobili. Że zostali wrobieni.

Matt przesunął dłonią po twarzy.

– A niech to, Avery... Dlaczego nie zadzwoniłaś z tym do mnie? Trudy Pruitt od piętnastu lat

powtarzała, że jej synowie są niewinni. Wmawiała to wszystkim dookoła, kto chciał i nie chciał słuchać. Dwa razy wynajmowała prywatnych detektywów, aby zbadali sprawę, ale żaden nie znalazł jakichkolwiek dowodów, które mogłyby świadczyć o niewinności Donny'ego i Dylana. Trudy była alkoholiczką i narkomanką. Piła i ćpała jeszcze przed śmiercią synów. Ciągle w więzieniu albo na odwyku. To była bardzo nieszczęśliwa i ciężko chora kobieta.

Avery złożyła dłonie.

– Dlaczego mój ojciec? Dlaczego ja? Dlaczego upatrzyła sobie akurat nas?

– A jak można zrozumieć motyw postępowania kogoś takiego jak Trudy Pruitt? Śmierć twojego ojca musiała obudzić w niej jakieś wspomnienia. Wszyscy w miasteczku ci współczuli, co musiało być dla niej gorzką pigułką. Jej synów potępiono, stali się synonimem zła, nikt nie litował się nad nią. Chciano o niej zapomnieć, znalazła się na marginesie. Matka morderców... Z tym żyła przez lata, a teraz poczuła się jeszcze bardziej porzucona, zapomniana. Nie wiem, to tylko domysły. Nigdy już się nie dowiemy, co nią powodowało.

Bo Trudy nie żyje.

Została zamordowana.

Świadomość tego faktu dopiero teraz dotarła do Avery z całą siłą.

Elaine St. Claire. Luke McDougal. Tom Lancaster. Teraz Trudy Pruitt.

– Kto to zrobił, Matt?

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Będzie mi potrzebna twoja pomoc, Avery.

– Jak ci mogę pomóc?

– Musisz mi dokładnie opowiedzieć, co się wydarzyło dzisiaj wieczoru. Co widziałas, co słyszałaś. Każdy szczegół, choćby wydał ci się zupełnie pozbawiony znaczenia.

– Dobrze. – Avery próbowała skupić się, zebrać myśli. – Przyjechałam tu o dziesiątej. Pierwsze, co mnie uderzyło, to egipskie ciemności na parkingu. Wszystkie reflektory wygaszone.

Matt zapisał to sobie.

– Zauważyłaś może jakiś wyjeżdżający samochód?

Pokręciła głową.

– Znalazłam przyczepę, w której mieszkała pani Pruitt, wysiadłam. Słyszałam głośną muzykę dochodzącą z różnych stron. W sąsiedniej przyczepie ktoś się awanturował, płakało dziecko.

– W sąsiedniej przyczepie? Jesteś tego pewna? Avery spojrzała na parę stojącą tuż za żółtą taśmą.

– Prawie pewna.

Matt znowu zanotował kilka słów.

– Co dalej?

– Zapukałam. Drzwi były uchylone. Zawołałam, ale nie doczekałam się odpowiedzi, więc zajrzałam do środka. Znowu zawołałam. – Avery zamknęła oczy, usiłując wszystko dokładnie

sobie przypomnieć. – W pokoju był potworny bałagan. W pierwszej chwili pomyślałam, że Trudy Pruitt sama doprowadziła przyczepę do takiego stanu. A potem... zobaczyłam krew na ścianie... w głębi. Nie wiedziałam jeszcze, że to krew. Dotknęłam, spojrzałam. Dopiero dotarło do mnie, że coś jest nie tak. – Avery wzięła głęboki oddech. – Przeszłam do kuchni. I wtedy... zobaczyłam ją.

– Dotykałaś czegoś? Zastanawiała się przez chwilę.

– Krwi na ścianie. Dotknęłam i zobaczyłam, że to krew.

– Mów dalej.

– Podeszłam do niej, dotknęłam jej ramienia. Przewróciła się na plecy.

– Przedtem leżała na boku?

– Tak. Próbowала coś powiedzieć. Matt wyprostował się.

– Zrozumiałaś, co mówiła? Avery łzy napłynęły do oczu.

– Ona... Ja... Nic... Usłyszałam kroki i wystraszyłam się. Pomyślałam, że może morderca jest jeszcze w przyczepie i... – Avery wszelkimi siłami próbowała zapanować nad sobą. – Jej ręka... ona... – Spojrzała na swoje ubrudzone krwią palce. – Dotknęła mnie. Jakby chciała, żebym jej wysłuchała. Jakby miała mi coś ważnego do powiedzenia.

– Ona umierała, Avery – powiedział cicho Matt. – Może po prostu potrzebowała czyjejś bliskości.

– Nigdy się tego nie dowiemy.

– Poza krokami Jonesa, słyszałaś coś jeszcze?

– Muzykę z radia.

– To wszystko?

Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w swoje zakrwawione palce, nie mogła oderwać od nich wzroku.

– Tak.

– Jeśli coś sobie przypomnisz, daj mi znać. Cokolwiek, nawet nieistotne z pozoru drobiazgi mogą okazać się ważne. – Zamknął notes. – Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Avery?

– Tak? – Podniosła głowę.

– Dzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebowała albo będziesz miała ochotę po prostu chwilę porozmawiać.

– Dziękuję, Matt.

– Poproszę, żeby jeden z moich ludzi pojechał za tobą do domu. Jesteś w stanie prowadzić?

Gdy Avery skinęła głową, Matt zawołał jednego z funkcjonariuszy, dał mu odpowiednie instrukcje, po czym odprowadził Avery do samochodu.

– Przejeżdżałem wieczorem koło twojego domu. Zostawiłem coś.

– Dla mnie?

– Tak. Chociaż w obecnej sytuacji... Cholera. Fatalny moment sobie wybrałem. – Otworzył przed nią drzwiczki. – Zadzwoń do ciebie jutro.

Na progu domu znalazła bukiet wiosennych kwiatów z bilecikiem:

Myślę o nas. Tańczę z tobą pod rozgwieżdżonym niebem. Matt.

Z gardła wyrwał się jej niepohamowany, histeryczny śmiech.

Śmiała się jeszcze długo, aż wreszcie śmiech przeszedł w płacz.

Rozdział 34

Tej nocy prawie nie spała. Za każdym razem, kiedy zamykała powieki, widziała Trudy Pruitt leżącą w kałuży krwi, jej szeroko rozwarte oczy, bezgłośnie poruszające się usta. W końcu wstała z łóżka, wyciągnęła pudełko z wycinkami i zaczęła je ponownie przeglądać. Szukała jakiejś niekonsekwencji, czegoś, czegokolwiek, co mogłoby wskazywać na starannie ukartowaną zbrodnię z wyroku Siedmiu.

W starych artykułach nie znalazła nic, co zwróciłoby jej uwagę.

Co takiego próbowała jej powiedzieć Trudy Pruitt? Jakim dowodem uwikłania ojca w morderstwo Sallie Waguespack dysponowała? Czy była zrezygnowaną, zgorzkniałą alkoholiczką, za jaką uważał... czy raczej w jaki sposób przedstawiał ją Matt? Czy upatrzyła sobie Avery, żeby na niej dać upust swojemu rozgoryczeniu i nienawiści do świata?

Spojrzała ponownie na wycinki. Niech to diabli. Gdyby nie one, skłonna byłaby uwierzyć Mattowi.

Dlaczego, tato?

Dlaczego je gromadziłeś?

Tylko jedna osoba mogła odpowiedzieć na to pytanie. Buddy.

Pół godziny później podjechała pod Rancierówkę. Nacisnęła dzwonek, pełna nadziei, że Buddy nie wyszedł jeszcze do kościoła. Jeśli dobrze pamiętała, Stevensowie chodzili zazwyczaj na późniejsze nabożeństwo.

Dobrze pamiętała, bo drzwi otworzyła Lila.

– Avery! – wykrzyknęła. – Słyszałam już, co się stało. Dobrze się czujesz?

Avery skinęła głową.

– Jakoś się trzymam, chociaż nie doszłam jeszcze całkiem do siebie. Buddy w domu?

– Jest i Buddy, i Matt. Usiedliśmy właśnie do śniadania.

– Przepraszam. Powinnam była przedtem zadzwonić, uprzedzić...

– Bzdura. – Lila chwyciła ją za ręce i wciągnęła do środka. W całym domu pachniało bekonem i biszkoptami. – Chodź, siadaj z nami. Zaraz nakryjemy i dla ciebie.

Avery nie zdążyła powiedzieć, że naprawdę nie chce sprawiać kłopotu, niepotrzebna fatyga, ona tylko na chwilę, a już Lila wołała do Cherry, żeby ta przygotowała dodatkowe nakrycie.

Panowie wstali na powitanie, kiedy weszła do kuchni, Matt chwycił ją za ręce.

– Dobrze się czujesz? Uśmiechnęła się blado.

– Powiedzmy.

Posadził ją na krzesło obok siebie. Cherry postawiła przed nią talerz, sztucce, położyła serwetkę.

– Kawy?

– Poproszę.

Cherry podała jej parujący kubek.

– Matt mówił nam, co się stało. To straszne. Lila podsunęła w stronę Avery talerz z biszkoptami.

– Ja chyba bym zemdląła. Wprost nie mogę sobie tego wyobrazić.

Avery wzięła biszkopt, choć na myśl o jedzeniu robiło się jej niedobrze.

– Jak postępuje dochodzenie? – zwróciła się do Matta.

– Przepytaliśmy ludzi na parkingu. Szukamy świadków. Mała z przyczepy obok mówi, że widziała jakiś samochód z wygaszonymi reflektorami. Podjechał pod przyczepę Trudy, ale rodzice zaczęli się kłócić i nie wie, co działo się dalej.

– Nie widziała, kto wysiadł z wozu? – W głosie Avery zabrzmiała nuta zawodu.

– Nie potrafi też powiedzieć, kiedy samochód odjechał. Ekipa techniczna zabezpieczyła ślady na miejscu zbrodni, czekamy na pierwsze wyniki. Zjem tylko śniadanie i jadę prosto do biura.

– Jeśli będziesz potrzebował naszego wsparcia, synu, to daj znać.

– Dziękuję, tato.

Cherry posmarowała biszkopt dżemem truskawkowym.

– Coś ty robiła w domu tej okropnej kobiety, Avery? Po co tam pojechałaś?

Przy stole zaległa głucha cisza. Wszystkie oczy zwróciły się ku Avery. Poczula się głupio, niezręcznie. Zakłopotana otworzyła usta i zaraz je zamknęła, kiedy poczuła, że Matt trąca ją nogą pod stołem, nakazując milczenie.

– Prosiłem Avery, żeby na razie nic nie mówiła, i ona się zgodziła, chociaż wiem, że to dla niej trudne – wyjaśnił spokojnie.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Natomiast Cherry naburmuszyła się.

– Nic złego nie miałam na myśli. Po prostu nie rozumiem, jak można... – Zamilkła, uświadomiwszy sobie, że zaraz gotowa strzelić kolejną gafę.

Avery zwróciła się do Buddy'ego:

– Chciałam prosić cię o pomoc. Moglibyśmy zamienić kilka słów na osobności?

Buddy zmarszczył czoło.

– Oczywiście, dziecino. Skończyłem już jeść. Przejdźmy do mojego gabinetu.

– Jeśli chcesz się do nas przyłączyć... – bąknęła pod adresem Matta, wyczuwając przy tym doskonale, że Cherry i Lilę wprost zżera ciekawość.

– Idźcie pogadać. Zajrzę do was, jak będę wychodził.

I bardzo dobrze, pomyślała z ulgą. Matt już po raz drugi tego ranka zachował się naprawdę przyzwoicie. Wiedział, co i w jakim momencie powiedzieć, kiedy się wycofać. Przy nim czuła się bezpieczna. Otoczona troskliwą opieką.

Wstała i przeszła z Buddym do jego gabinetu. Zamknął drzwi, wskazał jej fotel.

– Matt powiedział ci, dlaczego wczoraj wieczorem pojechałam do Trudy Pruitt? – zaczęła, nie tracąc czasu na wstępy. – Mówił ci o anonimowych telefonach?

– Owszem, mówił mi – przytaknął Buddy z zafrasowaną miną. – Dlaczego nie wspomniałaś nawet słowem, co się dzieje?

– Co by to pomogło? Powiedziałałbyś mi najpewniej, że to jakaś wariatka, żebym nie zwracała uwagi na jej telefony, i może jeszcze poradziłbym zmienić numer na zastrzeżony.

– Kiedy już dowiedziałaś się, kto do ciebie wydzwaniał, natychmiast powinnaś była skontaktować się ze mną. – Nachylił się ku niej z marsową miną. – Zrozum, dziecko, gdybyś przyjechała tam piętnaście minut wcześniej, mielibyśmy dwa trupy zamiast jednego. Leżałabyś teraz obok Trudy Pruitt w kostnicy.

– Boże... – Avery przeszedł lodowaty dreszcz. Wzdrygnęła się. Dotąd taka możliwość nie przyszła jej do głowy.

– Trudy zawsze obracała się wśród mętów. Gotów bym pójść o zakład, że ktoś taki ją zabił.

Rozległo się pukanie i do gabinetu zajrzał Matt.

– Wychodzę.

Buddy kiwnął na niego dłonią.

– Pozwól na moment, synu.

Matt zamknął drzwi i przysiadł na kanapie.

– Twierdziła, że to nie jej chłopcy zabili Sallie Waguespack – ciągnęła Avery. – Mówiła, że mój ojciec krył prawdziwego mordercę i że ona ma na to dowody.

– Uwierzyłaś jej? – zapytał Buddy.

– Nie chciałam wierzyć, ale... czy to nie dziwne, że zginęła, zanim zdążyła pokazać mi dowód świadczący o niewinności Pruittów? Tego samego wieczoru, dosłownie na chwilę przed naszym spotkaniem?

Matt miał zaciętą minę.

– Trudy Pruitt zadawała się z podejrzanymi ludźmi, dlatego zginęła.

– Ale...

Podniósł się gwałtownie.

– Posłuchaj, Avery. Są rzeczy, o których nie wiesz. Które ujawniliśmy w trakcie dochodzenia i w które nie mogę cię wtajemniczać. Bardzo bym chciał, ale ze względu na dobro śledztwa... znasz tę formułkę, prawda? Widzę, jak cię to dręczy, ale nic nie mogę zrobić. Bardzo mi przykro. Obowiązuje mnie tajemnica. – Nachylił się i pocałował ją w usta. – Muszę już iść.

Avery, mocno zaskoczona tą czułością, odprowadziła go spojrzeniem do drzwi.

Buddy pierwszy przerwał milczenie:

– Jeśli rzeczywiście dysponowała dowodami, dlaczego czekała tak długo? Tyle lat?

I dlaczego wybrała sobie akurat ciebie?

– Ona... nigdy nie przyszła z tym do ciebie?

– Ależ przychodziła. Nachodziła mnie, prokuratora rejonowego, szeryfa. Zamęczała wszystkich, kto chciał i nie chciał słuchać. Nie miała nic, żadnych dowodów, które mogłyby świadczyć o niewinności jej synów.

– Chcę cię prosić o przysługę, Buddy. Dla spokoju mego sumienia zrób to dla mnie. Mogłabym przejrzeć teczki dotyczące morderstwa Sallie Waguespack?

– Avery...

– Nazwała mojego ojca kłamcą. Mordercą. Dlaczego rzucała takie straszne oszczerstwa?

– Twój ojciec był najuczciwszym, najbardziej prawym człowiekiem, jakiego znałem. Jestem dumny, że byłem jego przyjacielem.

– Zatem powinienesz mnie zrozumieć. Chcę oczyścić jego honor. Dowieść, że jest niewinny. Buddy nachylił się ku niej.

– Komu chcesz to udowodnić, Avery?

Zła na Buddy'ego, że nie przystał natychmiast na jej prośbę, zaciśnęła dłonie.

– Przechowywał wycinki dotyczące zabójstwa Sallie Waguespack. Dlaczego to robił, Buddy? Dlaczego popełnił samobójstwo?

Podniósł się z ciężkim westchnieniem.

– Jeśli to ma cię uspokoić, oczywiście udostępnię ci teczki Sallie Waguespack, dziecino. Powiem tylko Lili, żeby na mnie nie czekała, niech sama jedzie do kościoła.

Rozdział 35

Trzy godziny później, pełna sprzecznych myśli Avery żegnała się z Buddym:

– Przepraszam, że popsułam ci niedzielę – sumitowała się.

– Ależ nie popsulaś, dziecino. – Pocałował ją w policzek. – Już spokojniejsza?

Nie, wcale nie była spokojniejsza, ale oczywiście powiedziała, że tak.

Na pozór wszystko wydawało się jasne i oczywiste. O dziesiątej trzydzieści wieczorem 18 czerwca 1988 roku do Buddy'ego zadzwonił jeden z jego funkcjonariuszy, niejaki Pat Greene. W czasie rutynowego obchodu zobaczył dwóch młodych ludzi uciekających z domu, w którym mieszkała Sallie Waguespack. Poszedł do mieszkania i znalazł ciało Sallie.

Opis dany przez funkcjonariusza naprowadził Buddy'ego na trop Pruittów, dwóch małych opryszków, którzy chyba już od momentu, kiedy nauczyli się chodzić, popadali w konflikt z prawem.

Zaledwie tydzień przed morderstwem zostali zatrzymani jako podejrzani o dilerkę, ale nic im nie udowodniono.

Kiedy Buddy i Pat ich odnaleźli, chłopcy byli pod wpływem narkotyków. Nie chcieli się poddać, wywiązała się strzelanina, w czasie której obaj zginęli. W trakcie przeszukania parkingu Magnolia policja znalazła w rowie za przyczepą Pruittów narzędzie zbrodni, nóż kuchenny, z odciskami palców Donny'ego.

Dochodzenie ujawniło, że Pruittowie byli częstymi gośćmi w barze, gdzie Sallie Waguespack pracowała jako kelnerka. Znaleziono narkotyki w mieszkaniu ofiary i w przyczepie Pruittów.

Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że chłopcy mieli towar dla Sallie. Poszli do niej do domu. Sallie nie miała pieniędzy, już sporo była winna swoim dostawcom, ale potrzebowała kolejnej dawki. Wywiązała się kłótnia, Sallie zagroziła Pruittom policją. Że jak jej nie dadzą towaru, to ich sypnie. W każdym razie taką, hipotetyczną wprawdzie, ale wysoce prawdopodobną wersję wydarzeń przyjęto w dochodzeniu. Znaleźli się świadkowie, którzy twierdzili, że Sallie sypiała z obydwojema braćmi, co jeszcze bardziej skomplikowało sprawę, bo w grę mogła wchodzić zazdrość.

Wychodząc, Avery zatrzymała się jeszcze na moment przy drzwiach.

– Nie miałaś ani przez chwilę wątpliwości co do winy braci Pruittów? – zapytała Buddy'ego.
– Nigdy?

– Nigdy. – Buddy przesunął dłonią po twarzy. Był to gest starego, zmęczonego życiem człowieka, kogoś, kto jedną nogą już jest po tamtej stronie i pogodził się z tym, choć Buddy wcale nie był taki stary. Przy swoich sześćdziesięciu sześciu latach nadal tryskał zdrowiem i energią. – Za przyczepą znaleźliśmy narzędzie zbrodni z odciskami palców Donny'ego, krew Sallie na podeszwie buta Dylana. Sprzedawali jej narkotyki. Pat Greene widział, jak uciekali z jej

domu. Mieliśmy dość obciążających dowodów, wiedzieliśmy, że to oni. Trudniej o bardziej oczywistą sprawę.

Tak, sprawa była oczywista, pomyślała Avery. Aż nazbyt oczywista. Już to powinno budzić wątpliwości.

Przed wyjściem odwróciła się jeszcze z dłonią na klamce.

– Nie widziałam wyników sekcji. Buddy zmieszał się wyraźnie.

– Powinny gdzieś tu być.

– Nie ma.

Przejrzał całą teczkę, wreszcie podniósł głowę.

– Gdzieś musiały się zapodziać. Poszukam i dam ci znać, jak znajdę.

– Dzięki, Buddy. – Uśmiechnęła się niewesoło. – Pomimo wszystko miłej niedzieli.

Avery wyszła, a w kilka minut później stała przed drzwiami Huntera. Nie zastanawiając się, po co tu przyjechała, zapukała głośno.

Sara się rozszczękała, szczeniaki zaczęły piszczeć, podniósł się jeden wielki harmider, który w końcu zwabił Huntera. Był zmęczony, nieogolony i wyraźnie poirytowany, że ktoś zakłóca mu spokój.

– Pracowałeś – domyśliła się Avery inteligentnie. – Przepraszam bardzo.

– Czego? – przywitał ją uprzejmie.

Ooo. Chyba powinna zrezygnować z tej wizyty.

– Mogę wejść?

Otworzył drzwi siatkowe i odsunął się, robiąc przejście. Ledwie znalazła się w kuchni, natychmiast otoczyły ją szczeniaki. Sara stała obok pana i wpatrywała się czujnie w gościa.

– Ale urosły – mruknęła Avery. Kiedy się nachyliła, maluchy zaczęły zapamiętałe ją lizać, przepychając się jedno przez drugie. – Jakie one słodkie.

– Jeśli przyszedłeś je odwiedzić, zostawię was samych i wrócę do pracy.

Wyprostowała się, czerwona ze złości.

– Słyszałeś, co się stało?

– Pytasz o wczorajsze morderstwo?

– Tak. Byłam tam.

– Słyszałem – burknął. – Nawet ci z nas, którzy żyją poza kręgiem wybrańców, uczestniczą w łańcuchu wymiany informacji.

– Nieważne. Jesteś jednak kompletnym dupkiem. – Odwróciła się do drzwi z zamiarem natychmiastowego opuszczenia lokalu. – Niepotrzebnie tu przyszedłam. Przepraszam.

Złapał ją za rękę.

– Po co w ogóle tu przychodzisz? Czego ode mnie chcesz, Avery?

– Puść mnie.

Mocniej zacisnął palce na jej nadgarstku.

– Czegoś jednak ode mnie oczekujesz. Powiedz, co cię tu sprowadza?

Do diabła, skąd ona ma wiedzieć, co ją sprowadza? Zła na siebie, wściekła na Huntera, wysunęła hardo brodę.

– Niczego nie oczekuję. Może przychodzę tutaj, bo w przeciwieństwie do twojej rodziny nie postawiłam jeszcze na tobie krzyżyka. Może widzę w tobie coś, czego reszta nie potrafi już dostrzec.

Zagroził jej drogę.

– To frazesy, Avery. Idiotyczne, cliwe banały. Myślałem, że stać cię na więcej. Gadaj wreszcie, czego ode mnie chcesz.

– Puść mnie, Hunter.

Stanął o krok od niej, spojrzał jej prosto w oczy.

– Dlaczego nie pobiegiesz do Matta? Przecież to twój chłopak. – Ostatnie słowo przeciągnął przez zęby.

Avery miała ochotę dać mu w twarz.

– Zamknij się.

Zrobił kolejny krok do przodu, Avery cofnęła się. Za plecami miała już tylko ścianę.

– Co byś dała, żeby odzyskać ojca? Zaskoczyło ją to pytanie. Zaskoczyło i zupełnie rozbroiło.

– Wszystko – odpowiedziała bezradnie. – Dałabym wszystko.

– Czego chcesz? – Ujął jej twarz w dłoń. – Mam ci powiedzieć, że cię kochał? Że nie ponosisz żadnej winy za to, co się stało? Szukasz rozgrzeszenia? Dlatego...

– Tak! – krzyknęła. – Chcę się obudzić któregoś dnia i stwierdzić, że to wszystko było tylko złym, koszmarnym snem. Chcę, żeby znowu do mnie zadzwonił i żeby tym razem podniosła słuchawkę... Chcę z nim porozmawiać o rzeczach ważnych i zupełnie błahych... jak córka z ojcem. Nie chcę już dłużej... nienawidzić siebie... za... Chcę... – Słowa uwięzły jej w gardle. Oparła dłonie na piersi Huntera. – Chcę niemożliwego. Chcę, żeby ojciec wrócił do mnie.

Poruszony do głębi Hunter długo patrzył na nią bez słowa, w końcu zaklął cicho i wciągnął głęboko powietrze.

– On cię kochał, Avery. Kochał cię nad życie. Za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy, mówił o tobie. Był z ciebie dumny. Dumny, że miałaś dość siły, by realizować własne marzenia. Że ci się udało. Był dumny z twojej odwagi, z twojego samozaparcia, determinacji.

– Dzięki... – Poczuła ogromną ulgę. Cały ból gdzieś odpłynął. Z oczu popłynęły łzy.

– Nie odebrał sobie życia przez ciebie – ciągnął Hunter. – Był spokojny o twój los. Cieszył się z twoich sukcesów.

– Hunter...

Opuścił dłonie, odsunął się.

– A teraz idź już. Dostałaś, po co przyszłaś. Więcej dać ci nie mogę.

Zawahała się, delikatnie dotknęła jego ramienia, spojrzała mu w oczy.

– Dziękuję.

Ujęła jego dłoń i powoli, bardzo powoli podniosła do ust. Pocałowała.

Hunter drgnął.

Pragnął jej.

W tej chwili uświadomiła sobie, że ona też go pragnie. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, nad tym, co będzie jutro, przyciągnęła go do siebie.

Widziała pożądanie w jego oczach. I coś bezbronnego, kruchego, coś bardzo delikatnego.

– Avery, ja nie...

– Owszem, tak. Ja też.

Pocałowała go. Mocno, gorąco, bez wahania. Pragnęła go. On jej pragnął. Proste.

Odpowiedział na jej pocałunek, a potem wziął ją na ręce, zaniósł na łóżko. Stał przez moment bez ruchu, wpatrując się w nią.

Avery uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę i Hunter wylądował na łóżku obok niej... pod nią...

Kochali się z zawziętością, z pasją, zapominając o wszystkim.

Zawsze zastanawiała się, jak by to było: całować się z Hunterem, być z nim...

Teraz już wiedziała. I znowu się zastanawiała, tym razem nad innym, nie mniej istotnym pytaniem: dlaczego tak długo czekała, żeby się przekonać.

– To było okropne. Uniosła głowę.

– Zgadza się, okropne.

W oczach Huntera zabłyśły iskierki rozbawienia.

– Widać po tobie, z jakim wstrętem podeszłaś do zagadnienia.

Potarła czołem o zarośnięty policzek Huntera.

– Znajdzie się w tym domu coś do jedzenia?

– Brzemienne w znaczenia pytanie. Niezmiernie szerokie.

– Bardzo śmieszne.

– Określ zakres swoich oczekiwań.

– Babka czekoladowa własnej roboty?

– Jasne. Dzisiaj rano upiekłem. Uśmiechnęła się szeroko. Była znowu młoda, szalona i zupełnie nieodpowiedzialna.

– Znajdzie się kromka chleba?

– Znajdzie się nawet masło orzechowe. Wstał z łóżka, pociągnął za sobą Avery. Dał jej jeden ze swoich T-shirtów, ogromny jak na nią. Spojrzała na napis na piersi: „Na Bourbon Street trwa ostra impreza”.

– Imprezujesz na Bourbon?

– Stare dzieje.

Przeszli do kuchni, Sara za nimi, za Sarą szczeniaki.

Avery oparła się o blat i patrzyła, jak Hunter przygotowuje kanapki, potem nalewa mleko do wysokich szklanek.

Pełnotłuste. Czyż nie jest kompletnie nieodpowiedzialna?

Usiedli przy stole i zabrali się do jedzenia.

– Pycha – mruknęła Avery z pełnymi ustami i popiła chleb zimnym, tłustym mlekiem.

– Niesamowite, co? Warto ten fakt ogłosić całemu światu.

Nie mówił, oczywiście, o mleku. Ani o kanapkach. Avery na wszelki wypadek odwróciła wzrok. Hunter zaśmiał się cicho i wstał, żeby zrobić sobie jeszcze jedną kanapkę.

– Dla ciebie też?

– Nie, bo jutro nie będę mogła dopiąć spodni. Dzięki serdeczne.

Wrócił do stołu.

– Kiedy mówiłaś o ojcu, powiedziałaś: „Chcę, żeby znowu do mnie zadzwonił i żebym podniosła słuchawkę”, jakoś tak. O co chodziło?

Odłożyła niedojedzoną kanapkę na talerz.

– Ostatniego dnia przed... śmiercią tata zadzwonił do mnie. Właśnie wychodziłam z domu. Byłam umówiona z kimś, kto po wielu staraniach i zabiegach wreszcie zgodził się udzielić wywiadu dla „Post”. Spotkanie nie mogło czekać, a tata... tata mógł.

Hunter położył dłoń na jej dłoni.

– Przykro mi, Avery.

– Gdybym mogła cofnąć czas, odebrać jego telefon...

– Nie cofniesz czasu. Zapadło milczenie. Wreszcie przerwał je Hunter:

– Po co pojechałaś wczoraj do Trudy Pruitt?

– Pamiętasz te anonimowe telefony, o których ci mówiłam? Telefony od kobiety, która wykrzykiwała, że ojciec ma to, na co zasłużył? – Gdy Hunter skinął głową, dodała: – Znowu zadzwoniła. Dwa razy. Mówiła, że ojciec jest kłamcą i mordercą.

– Twój ojciec? Avery, nie powiesz mi, że wzięłaś to powa...

Przerwała mu.

– To była Trudy Pruitt. Matka Donny’ego i Dylana Pruittów.

– To oni zabili Sallie Waguespack.

– Tak. – Sara zapiszczała i położyła łeb na kolanach Avery, domagając się pieśczoć. – Jednak Trudy twierdziła, że oni tego nie zrobili. Że ktoś ich zrobił.

– To zrozumiałe, że broniła własnych synów.

– Powiedziała, że tata brał w tym udział, że krył prawdziwego sprawcę i że ona ma dowody.

– I?

– Nie domyślasz się? Została zabita, zanim zdążyłam do niej dotrzeć.

– A ty uważasz, że dlatego zginęła? Żebyś nie usłyszała prawdy? Ktoś się dowiedział o waszym spotkaniu i chciał zamknąć jej usta?

Avery nachyliła się do Huntera.

– Słyszałeś kiedyś o grupie Siedmiu? Hunter zmarszczył czoło.

– Moja matka należała do takiego stowarzyszenia: Siedmiu coś tam...

– A Gwen Lancaster? Mówi ci coś to nazwisko? – Pokręcił głową. – Tom Lancaster?

– Obiło mi się o uszy, ale nie pamiętam, z jakiej okazji.

– Zaginął w lutym tego roku. Zniknął. Podobnie jak McDougal. Żadnych śladów napadu, przemocy, ale policja nie wyklucza najgorszego. Jest artykuł na ten temat w „Gazette”.

– Teraz sobie przypominam. – Hunter przez chwilę szukał w pamięci faktów. – Jedyna i zasadnicza różnica to samochody. Wóz Lancastera został na poboczu drogi, natomiast mercedesa McDougala ktoś zwozował do stawu. Według mnie to świadczy, że między obydwoma sprawami nie ma żadnego powiązania.

– Nie ma powiązania? Dwóch facetów znika bez śladu w odstępie ośmiu tygodni w tym samym miasteczku, a ty twierdzisz, że nie ma tu żadnego powiązania?

– Modus operandi, Avery, czyli sposób działania – wyjaśnił Hunter protekcyjnym tonem.

– Przesłanek postępuje na ogół zawsze w jeden ustalony sposób. Zostawia swego rodzaju wizytówkę. Po tym się go rozpoznaje. To bywa silniejsze od względów racjonalnych. Jeśli morderca za pierwszym razem nie troszczy się, by ukryć ciało ofiary, zwłok kolejnej ofiary też nie będzie ukrywał. Za każdym razem zachowa się dokładnie tak samo jak za pierwszym. To jedna z przesłanek, na których opiera się procedura dochodzeniowa.

Avery pokręciła głową.

– Trudy Pruitt, Elaine St. Claire, Tom Lancaster, Luke McDougal. Jeśli przyjąć twoją „przesłankę”, mamy do czynienia z czterema różnymi sprawcami.

– McDougal sam mógł zniknąć z własnej woli. To się zdarza. A że krótko przedtem zginął Lancaster? Powiedzmy, że to czysty zbieg okoliczności. Albo sprytne pociągnięcie ze strony McDougala.

– Na litość boską! – zirytowała się Avery.

– Zatem trzech morderców. W mieście, w której ostatnie morderstwo zdarzyło się przed piętnastu laty?

Hunter odsunął talerz, oparł łokcie na stole.

– OK. Widzę, że ci te sprawy nie dają spokoju. Nawijaj.

Avery zaczęła opowiadać po kolei, od początku. Mówiła o pierwszym spotkaniu z Gwen Lancaster. O tym, co wtedy usłyszała. O Siedmiu. O Tomie, który zginął, zbierając materiały na

temat grupy.

– Nie wierzyłam jej. Pomysł, że w Cypress Springs miałyby działać tajne stowarzyszenie fanatycznych wigilantów, wydał mi się absurdalny. Według Gwen pierwsza grupa rozpadła się po kilku latach istnienia, ale teraz znowu działa, w nowym składzie. I ci ludzie gotowi są mordować dla utrzymania tego, co uważają za „ład społeczny”.

– Wybacz, ale trudno mi zachować powagę, kiedy słucham tych bzdur.

– W pierwszej chwili zareagowałam tak samo.

– Nachyliła się do Huntera. – Ale Gwen Lancaster prosiła, nalegała, żebym sprawdziła fakty. Sprawdziłam. I osłupiałam. Dziesięć nagłych zgonów w okresie ostatnich ośmiu miesięcy, do tego dochodzą Elaine St. Claire, Trudy Pruitt, McDougal i Lancaster. Cypress Springs liczy sobie niecały tysiąc mieszkańców. To dość wysoki wskaźnik, nie sądzisz?

– Wypadki chodzą po ludziach.

– Owszem, ale nie w takich liczbach. – Wzięła głęboki oddech. – Gwen Lancaster twierdzi, że to Siedmiu zlikwidowało jej brata. Zbyt wiele wiedział i dlatego musiał zginąć.

– Przy okazji zasugerowała ci, że sprzątnęli również twojego ojca.

W głosie Huntera zabrzmiało współczucie.

– Owszem.

– Avery, ta kobieta próbowała się podawać za twoją siostrę. Nadal będziesz twierdzić, że ma czyste motywy? Chcesz zaufać komuś takiemu?

– Wiem, też o tym myślałam, ale...

– Ale pomimo wszystko gotowa jesteś jej uwierzyć, tak?

Avery pokręciła głową.

– To nie tak.

– Rozmawiałaś z moim ojcem?

– Pytałam go o Siedmiu. Powiedział mi, że żadna taka grupa nigdy nie istniała. Wspomniał tylko o GPS, Grupie Pomocy Społecznej, ale to zupełnie coś innego. Zaprzeczyłby kiedykolwiek istniała wigilancka grupa Siedmiu.

– Lancaster uwierzyłaś, jemu nie?

Już sam namysł nad odpowiedzią świadczył o braku zaufania do Buddy’ego.

– To nie tak – powtórzyła bezradnie. – On chyba... nie wie, co się dzieje.

– Ojciec miałby nie wiedzieć, co się dzieje w Cypress Springs?

– Kiedy tu przyjechałam, pierwsze, co mnie uderzyło, to fakt, że miasteczko w ogóle się nie zmieniło. Jakby czas się zatrzymał. – Zamilkła na moment. – I następne wrażenie: że to całkowicie zamknięta zbiorowość. Zajrzyj do książki telefonicznej. Popatrz na nazwiska. Dokładnie te same co ćwierć wieku temu, kiedy byliśmy dziećmi. Tutaj naprawdę wszystko trwa w niezmiennym stanie.

– Do czego zmierzasz, Avery?

– Jak myślisz, w jaki sposób można zatrzymać czas, nie dopuszczać do zmian?

Hunter milczał długo, nad czymś się zastanawiał, zbierał myśli. Kiedy w końcu się odezwał, zaczął spokojnym, wyważonym tonem:

– Posłuchaj, Avery. Dobrze pomyśl nad tym, o co cię zapytam. Co ci to da? Jeśli to wszystko prawda, co ci to da?

– Nie rozumiem.

– Jeśli nawet twojego ojca zabili... ludzie z grupy Siedmiu, co ci przyjdzie z tej wiedzy?

Chciała powiedzieć: nie, ale powstrzymała się. Jeśli ojciec został zamordowany, ona uwolni się od wyrzutów sumienia.

Zacisnęła dłonie, wściekła na samą siebie.

– Według ciebie chcę, żeby tak było. Zależy mi na tym, tak? Cieszę się na myśl, że w Cypress Springs może działać grupa chorych fanatyków, morderców? – Mina Huntera wystarczyła jej za odpowiedź. Pokręciła gwałtownie głową. – Otóż nie, rozumiesz? Jak możesz... jak... to okropne... – Znowu zamilkła. Nie wiedziała już, kogo właściwie chce przekonać, siebie czy jego. – Nigdy nie pasowałam do Cypress. Tak naprawdę nigdy nie byłam stąd. Jakbym urodziła się w innej rzeczywistości i tylko wpadłam tu na chwilę. Lecz wszystko się zmieniło. Teraz czuję więź z tym miejscem, z tymi ludźmi. Wreszcie czuję się w Cypress jak w domu.

Hunter wstał, podszedł do Avery, ujął jej twarz w dłonie.

– Rozpacz odmienia nasze spojrzenie na świat.

– Wiem, ale...

– Nie krzywdź samej siebie, Avery.

– Muszę wiedzieć. Muszę mieć pewność. Chciałabym uwierzyć... powinnam, ale nie potrafię.

Hunter popatrzył na nią długo, uważnie, a potem powiedział:

– Zatem szukaj dowodów. Dowodów winy lub niewinności. Jeśli czujesz, że musisz, szukaj.

Rozdział 36

Gwen spojrzała na zegarek na tablicy rozdzielczej. Brakowało kwadransa do dwudziestej trzeciej. Bała się, coraz bardziej się bała. Mocniej zacisnęła spocone dłonie na kierownicy.

Kobieta powiedziała wyraźnie, że ma przyjechać sama. Obiecała, że powie wszystko, co wie o Siedmiu, od samego początku istnienia grupy aż do teraz, powie również o Tomie, pod warunkiem, że Gwen przyjedzie sama.

Potwornie się bała. Usta jej drżały. Tom zaginął w podobny sposób. Był z kimś umówiony, miał otrzymać ważne informacje. Wyznaczono mu spotkanie późnym wieczorem, jak jej. Gdzieś na poboczu nieuczęszczanej drogi.

Gdyby nie chodziło o Toma, nie zdecydowałyby się. Nie starczyłoby jej odwagi. Jechałaby przed siebie, nie zatrzymując się nigdzie pod drodze, do samego Nowego Orleanu.

Znienawidziła Cypress Springs, pełne staroświeckiego uroku domy, skwer miejski, ludzi, za których uśmiechami kryły się gotowy osąd i podejrzliwość wobec obcych, kwaśny zaduch wiszący nad ulicami, ilekroć zawaiał wiatr z południa, i to udawanie, że wszystko jest w porządku.

Gwen uświadomiła sobie, że na długą chwilę wstrzymała oddech. Zaczerpnęła powietrza.

Jest sama. Bez sprzymierzeńców. Nie ma z kim dzielić swojego strachu. Avery Chauvin, jej ostatnia nadzieja, wycofała się.

Koniec nadziei.

Kolejna ofiara. Trudy Pruitt.

Obcięli jej język.

Usłyszała ten makabryczny szczegół dzisiaj rano, kiedy wstąpiła do Azalii na śniadanie.

Zabili ją w kilka godzin po spotkaniu z Gwen.

Bo Trudy zgodziła się na spotkanie. Potwierdziła, że grupa Siedmiu istniała od dawna i nadal istnieje. Że jej członkowie spotykają się w tajemnicy i wydają wyroki na współmieszkańców Cypress. Że obowiązuje zasada jednego ostrzeżenia. Jeśli nie odniesie skutku, grupa przystępuje do działania. Że grupa tak naprawdę nigdy nie przestała istnieć, zesłała tylko jeszcze głębiej do podziemia. Że uaktywniała się w ostatnich miesiącach. I jest jeszcze bardziej niebezpieczna niż kiedykolwiek.

Gwen miała wyrzuty sumienia. Czowała się odpowiedzialna za śmierć Trudy Pruitt. Gdyby jej nie odnalazła, nie namawiała do rozmowy, może kobieta żyłaby dzisiaj?

Uciekaj, Gwen. Uciekaj jak najdalej, jak najszybciej. Uciekaj.

Rozprostowała zaciśnięte kurczowo palce.

Go zyskuje poza tym, że wystawia życie własne i innych na niebezpieczeństwo? Swojemu bratu nie jest już w stanie pomóc w żaden sposób. Jeśli ktokolwiek dotąd był skłonny rozmawiać, po śmierci Trudy Pruitt z pewnością nie odważy się powiedzieć słowa.

Lecz jeśli teraz ucieknie, nigdy już się nie dowie, co stało się z Tomem.

Nie wyobrażała sobie, jak miałyby dalej żyć: w niewiedzy, w niepewności.

Dlatego zdecydowała się na dzisiejsze spotkanie.

Kobieta zadzwoniła późnym popołudniem. Nie chciała się przedstawić. Mówiła drżącym, niepewnie brzmiącym głosem. Jakby płakała.

Albo w ten sposób usiłowała zniekształcić głos, ukryć swoją tożsamość.

Powiedziała, że ma informacje na temat Siedmiu, że wie, co się stało z bratem Gwen. To wszystko. Mimo nalegań Gwen nie chciała zdradzić nic więcej.

Bardzo prawdopodobne, że spotkanie okaże się zasadzką.

Pułapką.

Gwen wyprostowała ramiona. Nie ulegnie bez walki. Zerknęła w lusterko wsteczne. Na tylnym siedzeniu leżała wiatrówka. W kieszeni tkwił mały rewolwer smith & wesson. Zgrabny, poręczny, niemal bez odrzutu, w sam raz dla kobiety, zapewniał sprzedawca. Bardzo skuteczny w razie niespodziewanej napaści.

Sz szczególnie kiedy napastnik nie spodziewa się, że upatrzona ofiara może być uzbrojona, pomyślała Gwen z przekąsem.

Zabezpieczyła się też w inny sposób.

Wysłała maile do biura szeryfa, do adwokata rodziny, do matki. Zawarła w swoich listach wszystkie dotąd zebrane informacje, napisała, dokąd jedzie i w jakim celu.

Zaginiecie brata i siostry w krótkim odstępie czasu, w tym samym miasteczku, nie może przecież przejść niezauważone.

Nawet jeśli zginie, ktoś wreszcie zainteresuje się Cypress Springs i jego wesołymi obywatelami.

Dojeżdżała do miejsca spotkania, na skrzyżowanie szosy 421 z Drugą Boczna. Kobieta kazała jej skręcić w Boczna i jechać kilkaset metrów do kolejnego skrzyżowania z polną drogą. Wyraźnie podkreśliła, że Gwen nie wolno się spóźnić.

Dochodziła jedenasta.

W światłach reflektorów zobaczyła niewielki drewniany dom, właściwie chatę, malowniczą, rustykalną, ze spadzistym dachem, zrośniętą z otoczeniem, jakby stała na swoim miejscu od zawsze, stanowiąc część krajobrazu.

Zatrzymała wóz, wyłączyła silnik, rozejrzała się. Wokół cicho, głucho, ciemno. Nie widziała żadnych świateł, śladu ludzkiej obecności, żadnego samochodu.

Odsunęła szybę, zaczęła nasłuchiwać. Nic.

Zaczeka.

Wzięła głęboki oddech. Serce tukało się w piersi jak oszalałe.

Musi zachować spokój. Nie wolno jej tracić głowy. Nie wolno przestać myśleć. Za chwilę

najprawdopodobniej stanie oko w oko z mordercą. Refleks, błyskawiczna ocena sytuacji, to jej będzie teraz potrzebne.

Powstrzymać drżenie rąk.

Sięgnęła po kurtkę, włożyła ją, wsunęła dłoń do kieszeni, dotknęła rewolweru.

Nie wyjmując kluczyka ze stacyjki, otworzyła drzwi samochodu.

Wysiadła i przeszedł ją zimny dreszcz. Roztarła ramiona.

– Halo – zawołała.

Odpowiedziało jej tylko pohukiwanie sowy i wiatr w gałęziach drzew. Mijały sekundy.

Spojrzała w kierunku chaty.

Może kobieta czeka na nią wewnątrz.

Albo już nie żyje. Jak Trudy Pruitt.

Kiedy myśl o kolejnej ofierze raz już się pojawiła, Gwen nie mogła się od niej uwolnić.

Czekała.

Płynęły sekundy... minuty.

Jedenasta. Kwadrans po jedenastej. Wpół do dwunastej.

Północ.

Zdecyduj się. Zajrzyj do chaty.

Albo wsiądź do samochodu, odjedź. I już nigdy się nie dowiesz, jak zginął Tom.

Znowu spojrzała w stronę chaty.

Musi tam iść. Musi sprawdzić. Kobieta może być ranna, potrzebować pomocy.

Gwen wsunęła dłoń do kieszeni, zacisnęła palce na kolbie rewolweru i zaczęła się modlić w duchu.

„Ojciec nasz, któryś jest w niebie Święć się imię Twoje...”.

Doszła do stopni prowadzących na ganek, chwyciła się poręczy i zaczęła powoli wchodzić.

Stała na ganku, zrobiła krok. Deski zaskrzypiały pod jej ciężarem. Podeszła już energicznie do drzwi, nacisnęła klamkę...

„Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja Jako w niebie, tak i...”.

Drzwi ustąpiły.

Zajrzała do środka, zawołała, ale z gardła dobył się ledwie słyszalny dźwięk. Stała bez ruchu, czekając, aż oczy przywykną do ciemności.

Powoli zaczęła rozróżniać kształty: dwa połamane krzesła, skrzynka służąca za stół.

Zrobiła kilka kroków w głąb pomieszczenia, wyzywając się w myślach od najgorszych idiotek. Czego chciała dowiedzieć? Nikogo tu nie ma. Została wystawiona do wiatru. Ktoś sobie z niej zakpił. Ktoś chory, obdarzony równie chorym poczuciem humoru.

Odwróciła się. Dojrzała w drzwiach przed sobą jakiś bielejący kształt. Worek. Nie, nie worek, stwierdziła podchodząc ostrożnie. Białe prześcieradło zebrane w rodzaj tobołka.

Ktoś, kto ją tutaj ściągnął, przewidział każdy jej krok: że przyjedzie, będzie czekała, wreszcie wejdzie do chaty, znajdzie tobołek.

I otworzy go.

Drżącymi palcami rozwiązała supeł...

I zobaczyła kota. A właściwie coś, co kiedyś było kotem. Kocie truchło, rozplątane i wybebeszone.

Zrobiło się jej niedobrze. Zasłoniła dłonią usta.

A potem dotknęła płótna. Było jeszcze lepkie, krew ciepła.

Ktoś musiał zrobić to niedawno. Tuż przed jej przyjazdem.

Zasada jednego ostrzeżenia. Jeśli nie skutkowało, Siedmiu podejmowało działanie.

Otrzymała swoje ostrzeżenie.

Coś się poruszyło w głębi chaty.

Ktoś.

Gwen rzuciła się do drzwi.

Nikt nie zagradzał przejścia. Nikt jej nie gonił.

Wybiegła na ganek. Musiała stąpnąć na spróchniałą deskę, bo stopa uwięzła w szparze. Gwen zachwiała się, krzyknęła i upadła.

Wyswobodziła nogę i kulejąc, potykając się, pobiegła do samochodu. Usadowiła się za kierownicą i zatrzasnęła drzwiczki. Szlochając, zapaliła silnik. Dopiero kiedy dotarła do głównej szosy, odważyła się zerknąć w lusterko wsteczne, niepewna, co w nim zobaczy.

Żegnała ją pustka i cisza gorsza niż diabelski śmiech.

Rozdział 37

Avery zaparkowała przy skwerze miejskim, niedaleko pensjonatu. Zgasła reflektory, wyłączyła silnik i spojrzała szybko wokół. Wszędzie cicho, pusto. Cypress wcześniej układało się do snu i spało snem sprawiedliwych aż do świtu.

Bardzo dobrze.

Przybyła po Gwen. Chciała, żeby pojechały razem na parking Magnolia. Liczyła, że być może, wielkie być może, uda im się wślizgnąć do przyczepy Trudy Pruitt i przeszukać wnętrze.

Gdyby Gwen odmówiła, a po tym, jak ją Avery ostatnio potraktowała, miała wszelkie podstawy, żeby odmówić, była gotowa pojechać na parking sama.

Decyzję o wyprawie podjęła po wyjściu od Huntera. Powiedział jej: „Jeśli czujesz, że musisz, szukaj”. Postanowiła więc szukać. Rzecz zaplanowała bardzo starannie. Zabrała ze sobą wszystko, czego mogły potrzebować: lateksowe rękawiczki, latarki, plastikowe torebki. Nie zapomniała uzbroić się w odwagę.

Pozostawało jej tylko przekonać Gwen, że muszą działać razem, że od tej chwili stanowią drużynę połączoną wspólnym pragnieniem dojścia do prawdy. Próbowwała połączyć się z Gwen, ale za każdym razem słyszała, że abonent jest niedostępny.

Do pokoju dzwonić nie chciała, bo to oznaczałoby albo skorzystanie z aparatu w recepcji, albo połączenie z komórki na stacjonarny numer pensjonatu, a Avery, niczym wytrawny detektyw, jednego i drugiego wołała unikać. Im mniej śladów, tym lepiej. Pozostawało jej tylko wydzwaniać do skutku na komórkę Gwen albo liczyć na szczęśliwy przypadek.

Jadąc do pensjonatu, co chwila spoglądała w lusterko wsteczne, upewniając się, czy nie ciągnie za sobą ogona. Nikt, absolutnie nikt, nie powinien wiedzieć o ich spotkaniu, nie powinien widzieć ich razem.

Ogon? Gubienie tropów? Tajne spotkania? Może jeszcze podsłuch i mikroodbiornik w uchu?

Chyba zaczyna tracić rozum. Wpada w paranoję. Zaraz zacznie wszędzie widzieć wrogów, zewsząd spodziewać się zagrożenia.

Z jej gardła wyrwał się nerwowy śmiech.

Chce dojść prawdy. Nie, musi dojść prawdy. I uczyni wszystko, żeby tę prawdę poznać.

Pomyślała o Hunterze, o popołudniu spędzonym z nim, w jego łóżku. Teraz tamto przeżycie wydawało się jej czymś surrealistycznym. Jak ze snu.

Co właściwie zrobiła? Skonsumowała jakąś dawną namiętność, przysypane kurzem pożądanie, którego istnienia nawet sobie nie uświadamiała? Dlaczego przespała się z Hunterem, skoro zawsze pragnęła Matta i tylko Matta? O czym myślała, jeśli w ogóle podobny proces zachodził tego popołudnia w jej głowie?

Wszystko wskazywało na to, że jednak nie zachodził. Dała się ponieść impulsowi. I tak

zwanej żądzą.

Zamknęła oczy i zaczęła rozmyślać.

Dlaczego wtedy, przed laty, wybrała Matta, a nie Huntera? Czy dlatego, że Hunter był nieprzewidywalny, że burzył schematy, wśród których mogła się bezpiecznie poruszać? Bo zawsze zmuszał ją do wysiłku: i intelektualnego, i emocjonalnego?

Przy Matcie nic jej nie groziło. Z nim zawsze wiedziała, na czym stoi. Nigdy nie traciła panowania nad sytuacją. A czy nie jest dobrze panować nad sytuacją, poruszać się po rzeczywistości wyznaczonymi ścieżkami?

Uff. Czego właściwie chciała?

Pokręciła głową, dając sobie spokój z grzebaniem w duszy, z sięganiem w głąb i w przeszłość, by coś wyjaśnić, zrozumieć. Musi skupić się na sprawach bieżących. Matt, Hunter i jej przyszłość mogą poczekać.

Wysiadła z samochodu. Ubrana, jak na wytrawnego detektywa przystało, od stóp do głów w czerni, miała nadzieję roztopić się w mroku. Chodnikiem od strony skweru, pod osłoną krzewów i drzew, przemknęła na róg ulicy.

W szkole podstawowej Laurie Landry była jej najlepszą przyjaciółką, dopiero później ich drogi się rozeszły. To od Laurie wiedziała, że jej rodzice chowają zapasowy klucz w puszcze z wyłącznikami elektryczności, tuż obok wejścia do pensjonatu. Obie często korzystały z tego klucza, jeśli chciały się spotkać bez zgody starszych.

Miała nadzieję, że rodzina Landrych nie zmieniła zwyczajów i klucz nadal ma swoje miejsce w puszcze.

Miał. Tak samo jak przed laty. Jeszcze jeden dowód, że życie w Cypress Springs nie poddawało się zmianom. Bo w Cypress Springs życie toczyło się ustalonym torem. Bo w Cypress Springs człowiek mógł się czuć pewnie i bezpiecznie.

Chyba że człowiek podpadł Siedmiu za próby dokonywania modyfikacji behawioralnych. Mówiąc prościej, chciał żyć inaczej, po swojemu, i niejako przy okazji, jako już odmieniona część tej społeczności, ową społeczność zmieniał.

Wtedy Siedmiu dokonywało na człowieku permanentnej modyfikacji. Behawioralnej, rzecz jasna. Następowala amputacja owej inności, znikaly nietypowe zachowania, znikala inność. I znów wszystko było jak dawniej.

Avery wyjęła klucz, otworzyła drzwi i weszła do holu pensjonatu. Zamknęła z powrotem drzwi na zamek, klucz schowała do kieszeni i ruszyła ma piętro. Recepcjoniści kończyli dyżur o ósmej wieczorem, a goście mieli swoje klucze. Mogli wchodzić i wychodzić, kiedy chcieli.

Nikogo nie zdziwi, że ktoś kręci się po pustych korytarzach.

Wspięła się cicho po schodach, skręciła w lewo i doszła do końca korytarza, gdzie znajdował się pokój Gwen.

Zobaczyła otwarte drzwi.

Nie. Na litość boską, żadnych powtórek.

Końcami palców pchnęła drzwi tak, że otworzyły się do końca. Zawołała cicho Gwen.

Żadnej odpowiedzi.

Tego właśnie się spodziewała. Tego i czegoś jeszcze gorszego.

Wyjęła z kieszeni małą latarkę i weszła do pokoju.

Ktoś był tu przed nią.

Ktoś przewrócił wszystko do góry nogami.

Opróżnione szuflady, otwarta na oścież szafa, zbite lustro nad toaletką, wywrócone lampy.

W wąskim strumieniu światła latarki skrupulatnie oglądała pobożowisko, miejsce po miejscu, detal po detal. Krwi nigdzie nie dostrzegła.

Ani krwi, ani ciała. Ze ściśniętym gardłem podeszła do zasłanego, rzecz dziwna, łóżka i zajrzała pod nie.

Nic. Nawet kurzu.

Opuściła kapę, wyprostowała się, spojrzała na szeroko otwartą, wybebeszoną szafę i na zamknięte drzwi do łazienki. Zawahała się. W tym punkcie powinna dać sobie spokój, wycofać się. Powinna zadzwonić do Buddy'ego. Niechby przyjechali tu jego ludzie. I zaczęli szukać Gwen.

No nie, nie może tego zrobić. Jak wytłumaczy swoją obecność w pokoju? Obecność w kieszeni lateksowych rękawiczek? Jak przez nikogo niewidziana dostała się do pensjonatu? I po co jej latarka? Wczoraj była w przyczepie Trudy Pruitt, dzisiaj składa wizytę Gwen Lancaster...

Wynosić się stąd czym prędzej. Wezwie policję z samochodu. Nie, nie może do nich dzwonić z własnej komórki. Równie dobrze mogłaby im zostawić swoje odciski palców i wizytówkę w drzwiach. Zadzwoni z automatu. Z drugiego końca miasta. Tak będzie najlepiej.

Za chwilę.

Zrobiła krok w kierunku łazienki. Następny. Kiedy była przy drzwiach, usłyszała jakby szum wody.

Nacisnęła klamkę, weszła, poświeciła latarką.

Umywalka, apteczka, staromodna wanna na żeliwnych wygiętych łapach, wokół wanny zasłona z ceraty w kwiatowy wzór. Żadnych zwłok na podłodze.

Woda swobodnie spływała do muszli klozetowej. To był odgłos, który słyszała. Podeszła, poruszyła spłuczką i woda przestała płynąć.

Bardzo dobrze.

Spojrzała na wannę. Na zasłonę z ceraty w kwiatki. Musi tam zajrzeć. Na wszelki wypadek.

Ruszyła boczkiem, drobiąc, jakby zajście z flanki miało wpłynąć na efekt inspekcji.

Zatrzymała się na wyciągnięcie ręki od zasłony. Serce waliło jej jak młotem. W gardle zaschło, za to dłonie zwilgotniały.

Dalej, Chauvin.

Wysiłkiem woli podniosła rękę, chwyciła ceratę i pociągnęła.

– Nie ruszaj się albo rozwalę ci łeb! Zamarła.

To Gwen. Żywa!

– Ręce do góry – warknęła żywa Gwen. – Odwróć się. Powoli.

Avery odwróciła się. Gwen stała w drzwiach. Była blada jak śmierć. W dłoni ścisnęła rewolwer i celowała w Avery.

– To ja, Gwen. Avery.

– Widzę.

– To tylko tak wygląda... Drzwi były otwarte... Ja nic nie... Już taki krajobraz po bitwie zastałam, jak weszłam.

– Aha. Na pewno.

– Mówię prawdę. Musiałam się z tobą koniecznie skontaktować... twoja komórka nie odpowiada, przez recepcję zadzwonić nie mogłam, żeby nikt się nie dowiedział...

Gwen zmrużyła oczy.

– Musiałaś się ze mną koniecznie skontaktować? Zdumiewające. Jeśli mnie pamięć nie myli, ostatnio nie chciałaś mieć ze mną nic do czynienia.

– To było, zanim zginęła Trudy Pruitt. Chociaż wydawało się to niemożliwe, Gwen zbladła jeszcze bardziej.

– Co wiesz o...

– Byłam tam wczoraj. Zadzwoniła do mnie, długo z nią rozmawiałam, w końcu zgodziła się na spotkanie. Kiedy przyjechałam na miejsce, zastałam drzwi otwarte, wszystko wywrócone do góry nogami. Trudy... leżała na podłodze w kuchni. A dzisiaj... znowu... drzwi od twojego pokoju otwarte... Myślałam, że i ciebie dostali.

Gwen nie odezwała się ani słowem. Na jej twarzy malował się głęboki namysł, widać zastanawiała się, czy może uwierzyć Avery. W końcu nieznacznie skinęła głową i opuściła broń.

– Dziękuję. – Avery westchnęła z ulgą. – Po raz drugi w ciągu doby ktoś trzyma mnie na muszce.

Gdzieś rozległy się kroki, ktoś wchodził na piętro, a może szedł już korytarzem. Gwen rzuciła się do drzwi, zamknęła je, zasunęła zasuwę, po czym położyła palec na ustach i wskazała w stronę łazienki.

Avery kiwnęła głową, że rozumie, i w chwilę później byli już tam. Gwen puściła wodę. Ha, pomyślała Avery. To na wypadek, gdyby ktoś założył podsłuch. Jak w dobrym filmie kryminalnym. Według wszelkich prawideł sztuki. Teraz mogą sobie podsłuchiwać do upojenia.

Gwen usiadła ciężko na desce klozetowej, objęła głowę dłońmi, trwała tak przez długą chwilę, w końcu opuściła ręce i podniosła wzrok na Avery.

– Myślałam, że już po mnie. – Głos jej drżał, trzęsły się ręce, nadal była upiornie blada. – Zadzwoiła jakaś kobieta. Powiedziała, że ma informacje o Siedmiu i o Tomie. Miałyśmy się spotkać dzisiaj wieczorem.

– Nie pojawiła się.

– Nie. To była przynęta.

– Przynęta? Żeby wywabić cię z pensjonatu?

– Zęby dać mi ostrzeżenie.

– Nie rozumiem.

– Wczoraj rozmawiałam z Trudy Pruitt. Potwierdziła, że grupa Siedmiu istnieje. Istniała już w latach osiemdziesiątych i nadal działa. To oni zabili Elaine St. Claire. Zanim przejdą do działania, udzielają ostrzeżenia. To oznacza, że znalazłaś się w niebezpieczeństwie.

– Elaine St. Claire dostała ostrzeżenie?

– Tak. Przyjaźniła się z Trudy. Obie były kelnerkami w Hard Eight. Pewnego dnia Elaine po prostu zniknęła.

– Potraktowała ostrzeżenie poważnie i wyjechała z Cypress Springs?

– Tak. Kilka miesięcy później Trudy dostała od niej list, z którego wynikało, że ktoś z grupy złożył dziewczynie późną i niezapowiedzianą wizytę. Pokazał jej wymyślne narzędzie, którego użyje... miało kształt fallusa, wypustki z blachy... w to wprawione było jeszcze ostrze noża. – Wzdrygnęła się. – Mężczyzna powiedział jej, że została osądzona i uznana winną... siania zepsucia. Bo sypia z różnymi facetami, z kim tylko ma ochotę. Obiecał, że potraktuje ją, jak ona lubi, czyli ni mniej, ni więcej tylko ją tym fallusem zajebie na śmierć, tak się uprzejmie wyraził.

Avery zacisnęła usta, powstrzymując krzyk zgrozy. To, co mówiła Gwen, zgadzało się z tym, co słyszała wcześniej od Huntera.

Gwen podniosła się. Była zbyt wytrącona z równowagi, żeby usiedzieć spokojnie w jednym miejscu.

– Ja też dostałam ostrzeżenie. Dzisiaj. W postaci rozplatanego i wybebeszonego kota. Zostawili go dla mnie. Tam, gdzie miałam się spotkać z kobietą. Chcieli mnie zastraszyć.

– I udało się im.

– Cholera, tak. Jestem przerażona.

– Musisz wyjechać z Cypress. Zaraz. Jeszcze dzisiaj. Będę z tobą w kontakcie. Jeśli tylko czegoś się dowiem, dam ci znać.

– Uważasz, że jesteś nietykalna?

– Nie rozumiem.

– Przestałaś być jedną z nich. Nie należysz już do tej społeczności. Jeśli zorientują się, że

interesujesz się nimi, zabiją ciebie.

– Nie zorientują się. Już moja w tym głowa. Gwen zaśmiała się suchym, nieprzyjemnym śmiechem.

– Za późno. Widzieli nas razem. Wiedzą, że zadajesz za dużo pytań. Oni widzą wszystko, Avery. Wszystko.

– Nie wyjadę stąd, dopóki nie dowiem się, jak umarł mój ojciec. – Spojrzała na Gwen i zrozumiała w lot, bez słowa: Gwen nie wyjedzie, dopóki nie dowie się, jaki los spotkał jej brata.

– Od tej chwili działamy razem.

– Na to wygląda – przytaknęła Gwen.

– Czy Trudy Pruitt wspominała o moim ojcu? – zapytała Avery. – Nawiązywała do sprawy Sallie Waguespack?

– Mówiła wyłącznie o... Mam wszystko zano... O Boże, nie!

– Co się stało?

– Mój notes! – Gwen jak szalona wypadła z łazienki i zaczęła gorączkowo przeszukiwać pozostawione przez nieproszonych gości pobojuwisko. – Wszystko zabrali. Notatki. Taśmy z nagraniem. Nic nie mamy... – Gwen klęczała na podłodze.

– Nie szkodzi – oznajmiła Avery pełnym determinacji głosem. – Już się nam nie wymkną. Nie dopuszczę do tego. Wierzę ci. Razem na pewno ich pokonamy.

Gwen pokręciła głową.

– Nie pokonamy. Nikt ich nie pokona. To niemożliwe.

– Oni chcą, żebyśmy tak myślały. Żeby wszyscy tak myśleli. I tak było, wszyscy tak myśleli. A tamci czuli się bezkarni. – Avery pomogła Gwen się podnieść. – Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło dzisiaj wieczorem. Powiedz mi wszystko, czego się dowiedziałaś. Porównamy nasze informacje. Razem damy im radę. Zawiadomimy policję stanową, FBI. Uda się nam, Gwen. Musi się udać.

– Musi – powtórzyła Gwen, wróciła z Avery do łazienki i szczegółowo opowiedziała o popołudniowym telefonie, o spotkaniu, które nie doszło do skutku, o rozplatanym kocie i panicznej ucieczce z leśnej chaty.

– Nie wiesz, kim była ta kobieta?

– Nie mam pojęcia.

Avery z kolei opowiedziała o telefonach Trudy, o pogrózkach i oskarżeniach, których musiała wysłuchać. Mówiła o swoich wątpliwościach dotyczących samobójstwa ojca, o pudełku wycinków, które znalazła w jego szafie. O ostatnim telefonie Trudy...

– I wtedy dowiedziałaś się, że ta kobieta to Trudy Pruitt?

– Tak. Zadzwoiła wczoraj. Na kilka godzin przed śmiercią. W końcu udało mi się z niej wydobyć, jak się nazywa. Obiecałam jej, że jeśli pokaże mi wycinki, pomogę jej dojść

sprawiedliwości, że zajmę się tą sprawą. Umówiliśmy się na wieczór. – Avery zamilkła na moment. – Kiedy przyjechałam, żyła jeszcze... Chciała coś mi powiedzieć... Już nie zdążyła.

Przez twarz Gwen przebiegł bolesny grymas.

– Nic nie wiedziałaś? Obcięli jej język.

– Jak...? To niemo... – jękała się Avery. Możliwe. Przed oczami stanęła jej skrwawiona, wykrzywiona twarz Trudy.

– Sama widzisz – odezwała się Gwen po chwili. – Mamy do czynienia ze zorganizowanym, przemyślanym działaniem. Mowy nie ma o przypadkowych ofiarach przypadkowej przemocy.

– Buddy pozwolił mi przejrzeć akta Sallie Waguespack. – Avery zmieniła temat. – Nie dostrzegłam tam nic podejrzanego, ale nie mogę przestać myśleć o tych wycinkach, które znalazłam w rzeczach ojca. Nie mogę, ciągle nie mogę uwierzyć, że popełnił samobójstwo. Teraz te morderstwa. Kim oni są Gwen? Co to za ludzie, tych Siedmiu?

– Zastanów się, Avery. Jesteś dziennikarką.

Jakie trzeba mieć predyspozycje psychiczne? Jakim trzeba być człowiekiem, żeby należeć do takiej grupy? Znasz mieszkańców Cypress. Wychowałaś się tutaj. Kto może pasować do profilu? – Ponieważ Avery nie odpowiedziała, Gwen mówiła dalej: – Prawdopodobnie grupa składa się z samych mężczyzn, ale muszą współpracować z nimi kobiety, skoro to kobieta dzwoniła dzisiaj do mnie z propozycją spotkania. To ludzie zasiedzieli w Cypress Springs. Wpływowi. Filary tutejszej społeczności. Dający innym wzór swoim życiem. – Przerwała. – Jak twój ojciec.

– On nigdy nie wstąpiłby do takiego stowarzyszenia. Nie mógł mieć z nimi nic wspólnego. On...

Gwen podniosła dłoń, nie dając jej dokończyć.

– Inaczej grupa nie byłaby w stanie funkcjonować. Niewykluczone, że należą do niej ci sami ludzie, którzy ją zakładali w latach osiemdziesiątych. Być może korzystają z tej samej siatki informatorów co kiedyś.

– Być może – przytaknęła Avery. – Być może pierwotna i obecna grupa jakoś są powiązane ze sobą, tego jeszcze nie wiemy, ale to bardzo prawdopodobne.

– Jak myślisz, jakim dowodem mogła dysponować Trudy Pruitt?

– Nie wiem. Zakładam, że to, o czym mówiła, nadal znajduje się w przyczepie.

Gwen natychmiast zrozumiała, do czego Avery zmierza. Spojrzała na nią uważnie.

– Myślisz, że powinniśmy tam jechać?

– Jeśli jesteś gotowa.

– W tej chwili nie mam już nic do stracenia. Nieprawda.

Doskonale zdawały sobie sprawę, że mają wiele do stracenia. Że wyprawiając się do przyczepy Trudy Pruitt, ryzykują życie.

– Nie wspomniawszy o tym, że dotąd nie miałam okazji włożyć nowych czarnych dżinsów.

Najwyższa pora, żeby w nich wystąpić.

Rozdział 38

Avery zostawiła samochód obok wjazdu na parking Magnolia. Dalej ruszyły pieszo, pod osłoną ciemności, nie zamieniając ze sobą słowa.

– Jak tam wejdziemy? – zapytała Gwen, kiedy stanęły przed otoczoną żółtą policyjną taśmą przyczepą.

– Zobaczysz. – Avery przeszła pod taśmą, znalazła w trawie żabę z cementu, która leżała tam od wczoraj, przewróciła ją na grzbiet. Tak jak się spodziewała, w brzuchu żaby była skrytka, w skrytce, oczywiście, klucz. – Założę się, że to do drzwi wejściowych – powiedziała z nutą triumfu w głosie.

– Skąd wiedziałaś?

– W jakim innym celu ktoś trzymałby na ganku cementową żabę?

– Dobra robota. Avery pokiwała głową.

– Dziennikarka musi być spostrzegawcza. Gdy weszły do przyczepy, Avery zapaliła latarkę. Starła się nie świecić tam, gdzie na ścianie pozostał krwawy ślad. Z tylnej kieszeni spodni wyjęła dwie pary lateksowych rękawiczek, kupione tego popołudnia w sklepie z farbami. Jedne podała bez słowa Gwen.

– Jeśli nas złapią, narobimy sobie niezłych kłopotów.

– Już narobiliśmy sobie niezłych kłopotów. Chodź, zaczniemy od sypialni.

W sypialni panował taki sam nieład jak w pokoju dziennym: skotłowana pościel, wszystkie szuflady w komodzie wysunięte do końca, zawartość wyrzucona na podłogę. Na toaletce puste puszki po piwie, pełne niedopalków popielniczki, sterta kolorowych czasopism.

Panie detektyw wymieniły spojrzenia.

– Do porządnickich to ona nie należała – zauważyła Gwen.

Avery zmarszczyła czoło.

– Masz rację, morderca nie zostawił tych puszek i petów. Po prostu fleja była z nieboszczki, ot co.

– Coś z tego wynika?

– Może. Wczoraj myślałam, że ktoś tu wywrócił wszystko do góry nogami, ale dlaczego miałby przeszukać pokój dzienny, a z sypialnią dać sobie spokój? Albo nikt tu w ogóle niczego nie szukał, albo znalazł i do sypialni nie musiał już zaglądać. Tak czy inaczej, musimy się rozejrzeć, tylko nie pytaj za czym, bo sama nie wiem.

Zaczęły przeglądać po kolei rzecz po rzeczy, przedmiot po przedmiocie. W pewnym momencie uwagę Avery zwrócił egzemplarz „Gazette”, numer z notatką na pierwszej stronie, informującą o samobójstwie ojca.

– „Śmierć naszego Doktora” – przeczytała Gwen na głos. – Avery, popatrz. Trudy coś

nabazgrała na marginesie.

Rzeczywiście, obok notatki widniało kilka kresek i uwaga: „Jeszcze 2”.

– Pięć kresek – mruknęła Gwen. – Jak myślisz, co ona liczyła?

– Nie wiem. – Avery nagle szeroko otworzyła oczy. – Boże. Pięć i dwa...

– Siedem. A niech to.

– Liczyła zmarłych. Ojciec był piąty. Dwóch jeszcze brakowało. Przez telefon powiedziała coś, czego nie zrozumiałam. „Padamy jak muchy... Niewielu już nas...”.

– O kim myślała? O tych, którzy znają prawdę?

– Pewnie tak. – Avery złożyła starannie gazetę i włożyła do plastikowej torebki.

Następnie przeszukały dokładnie, centymetr po centymetrze, pokój dzienny. Nic nie znalazły. Przeszły do kuchni, gdzie na poplamionej krwią podłodze widniał obrys postaci zrobiony przez policyjnych techników. Avery musiała się przemóc, żeby tam wejść.

Przeszukały lodówkę, spiżarnię, zajrzały do każdej puszki i każdego pojemnika, nawet do kosza na śmieci, ale i tutaj nie dało to pozytywnych rezultatów.

– Albo nie miała żadnego dowodu, albo morderca go zabrał – mruknęła Avery zawiedzionym głosem.

Gwen jakby jej nie słyszała.

– Nie ma automatycznej sekretarki – wskazała na aparat telefoniczny. – Wszyscy mają sekretarki. Przy aparacie w sypialni też nie zauważyłam.

Avery podeszła do aparatu, podniosła słuchawkę, ale zamiast normalnego sygnału usłyszała krótkie bip, bibip, bip, bibip...

– To sygnał poczty głosowej. Też z niej korzystam. Ktoś zostawił Trudy wiadomość. Trzeba się połączyć ze swoją skrzynką, żeby odsłuchać nagrania.

– Jak?

– Musisz znać lokalny numer poczty głosowej, łączysz się i wstukujesz swoje hasło.

– Jakie to proste – sarknęła Avery. – Tylko tyle?

– Sprawdź, może go zapisała w notesie albo przylepiła do aparatu.

Po chwili było już jasne, że Trudy ani numeru nie zapisała w notesie, ani nie przylepiła do aparatu.

– Może jest w pamięci telefonu? – podsunęła Gwen.

Avery nacisnęła klawisz z zakodowanym numerem i połączyła się z Hard Right. Następny numer należał do kogoś, kogo zbudziła z głębokiego snu... Wreszcie za trzecim razem trafiła.

– Mam – oznajmiła triumfalnie. – Teraz jeszcze tylko kod dostępu.

– 1-2-3-4-5 – rzuciła Gwen pierwszą sekwencję cyfr, która przyszła jej do głowy.

Uprzejmy głos z komputera poinformował:

„Wprowadzono błędny kod. Spróbuj ponownie”. Avery wystukała te same cyfry

w odwrotnym porządku. Nic. Kilka przypadkowych sekwencji. Znowu nic.

Odwiesiła słuchawkę i spojrzała bezradnie na Gwen.

– Co teraz?

– Ludzie wybierają kody, które z czymś im się kojarzą. Dаты urodzin, rocznice, dаты urodzin dzieci. Tylko co z tego, skoro nie znamy żadnych ważnych dla Trudy dat.

– Owszem, znamy datę, która dobrze odcisnęła się w jej pamięci. 18 czerwca 1988 roku. Tego dnia zamordowano Sallie Waguespack i zginęli synowie Trudy.

Avery połączyła się jeszcze raz z pocztą głosową, po czym wystukała 1-8-6-8-8. Komputer skwapliwie poinformował: „Masz pięć nowych wiadomości i jedną zachowaną wiadomość”. Avery triumfalnie podniosła kciuk i przystąpiła do odsłuchiwania.

Szef Hard Eight, wściekły jak diabli, bo Trudy nie pokazała się w pracy. Dwa telefony od kogoś, kto nie miał ochoty zostawić wiadomości. Jakaś zapłakana kobieta, której nie sposób było zrozumieć. A potem Hunter. Przedstawił się, podał swój numer...

Pod Avery ugięły się kolana. Hunter? Po co dzwonił do Trudy? Czego chciał?

– Co się stało?

Po minie Gwen Avery mogła się domyślić, że sama musi wyglądać w tej chwili koszmarnie.

– Nic. Jakaś płacząca kobieta. Szlochała do słuchawki. Dość upiorne to było.

– Połącz się jeszcze raz.

Avery połączyła się ze skrzynką głosową i razem odsłuchały szlochów kobiety.

– Nie jestem pewna, z tych łkań trudno cokolwiek wywnioskować, ale mam wrażenie, że to może być ta sama kobieta, która dzwoniła do mnie.

– O której odebrałaś ten telefon? Gwen zastanawiała się przez chwilę.

– Około piątej po południu.

Avery raz jeszcze połączyła się z pocztą głosową. Kobieta dzwoniła do Trudy za kwadrans piąta.

– Możliwe, żeby to był zbieg okoliczności? – spytała sceptycznie Avery.

– Dziwny zbieg okoliczności – mruknęła Gwen. – Jak myślisz, co to może znaczyć?

– Nie wiem. Zastanawiam się, czy policja odsłuchiwała wiadomości Trudy.

– Mogli zażądać nagrania bezpośrednio od dostawcy, u którego Trudy wykupiła abonament.

– Albo nie pomyśleli w ogóle o poczcie głosowej. Mało brakowało, a my też przegapiłybyśmy ten trop. Idziemy stąd.

W drodze Avery cały czas wracała myślą do Huntera i wiadomości, którą zostawił w skrzynce głosowej Trudy. Po co dzwonił? Czego mógł chcieć od tej kobiety? Na kilka godzin przed jej śmiercią? Dlaczego nie wspomniał ani słowem o swoim telefonie, kiedy dzisiaj rozmawiali o morderstwie?

– Coś cię dręczy.

Avery spojrzała na Gwen. Powinna jej powiedzieć. Były teraz partnerkami, łączyła je wspólna sprawa. Gdyby Gwen była jej koleżanką z „Post”, na pewno by jej powiedziała. Powinna powiedzieć... ale nie mogła. Jeszcze nie teraz. Najpierw musi ochłonąć.

– Zastanawiam się, co kogoś takiego, jak Trudy Pruitt, mogło trzymać w Cypress. Dlaczego dawno już stąd nie wyjechała?

– Pytałam ją o to. Powiedziała, że trochę osób wyjechało, reszta nie potrafiła, czuli się za bardzo zrośnięci z tym miejscem. Tu mieli przyjaciół, rodziny. Zostali.

– Żeby żyć w strachu. Mając świadomość, że cały czas są obserwowani, kontrolowani. Okropne... – Avery wzdrygnęła się. To, że może czytać jakie chce książki, oglądać takie filmy, na jakie ma ochotę, kiedy chce, może iść z przyjaciółmi na drinka, wszystko to i jeszcze setki innych rzeczy traktowała jako coś oczywistego. Każdy człowiek ma prawo do własnego stylu życia, do własnych wyborów, dopóki nie szkodzi innym. Jest to najbardziej podstawowe, niezbywalne prawo wolnej jednostki. Prawo, które w Cypress Springs zostało złamane, przekreślone.

– Przedtem podobno było spokojnie. Ostatnio zaczęło dziać się coś dziwnego – powiedziała Gwen, jakby czytała w jej myślach.

– Co to znaczy, ostatnio?

– Ostatni rok, a właściwie osiem miesięcy. Wtedy zaczęły się wypadki i samobójstwa. Trudy mówiła, że po zniknięciu Elaine sama zaczęła się zastanawiać nad wyjazdem, ale nie było jej stać na przeprowadzkę.

Tego Avery nie brała pod uwagę. Pieniądze. Koszty związane z przenosinami, wynajęciem nowego mieszkania, niepewność, czy znajdzie się w nowym miejscu pracę. W jej przypadku wyglądało to zupełnie inaczej. Podpisywała kontrakt i nowy pracodawca pokrywał wszystkie wydatki. Poza tym miała swoje konto w banku, a gdyby i tego było mało, zawsze mogła zwrócić się o pomoc do ojca.

Natomiast tacy ludzie jak Trudy Pruitt tkwili w pułapce. Brak pieniędzy wiązał ich z jednym miejscem, gdzie utknęli, tam trwali.

– Trudy mówiła, że ludzie milczeli, bo nade wszystko chcieli mieć spokój w Cypress. Za każdą cenę. Rano do kościoła, a po południu szpiegować sąsiadów, byle znowu czuć się bezpiecznie.

– A ona sama? – zapytała Avery.

– Nie chciała odróżniać się od reszty. Chyba nawet nie wiedziała, jak mogłaby się przeciwstawić, co mogłaby zrobić. Milczała, ale w duchu nienawidziła Cypress Springs, tutejszych ludzi.

– Mówiła coś o swoich synach?

– Tyle tylko, że oni nie zabili Sallie Waguespack, że zostali wrobieni w to morderstwo.

– Dowiedziałaś się czegoś o Tomie?

– Pytałam, ale nic nie potrafiła powiedzieć. Wiedziała tylko to, co przeczytała w „Gazette”, nie miała jednak żadnych wątpliwości, że Siedmiu go zabiło.

– Nie dotarł do niej?

– Nie.

Avery zatrzymała się na czerwonym świetle i spojrzała uważnie na Gwen.

– Domyślała się, kto należy do Siedmiu?

– Tak, ale nie chciała zdradzić żadnych nazwisk. Powiedziała, że chce żyć.

I nie przeżyła. Pomimo ostrożności. Światła się zmieniły i Avery ruszyła. Wkrótce znalazły się na placu miejskim.

– Wyrzuć mnie na rogu, lepiej, żeby nikt nie widział nas razem. Skontaktujemy się jutro.

– Uważaj na siebie, Owen.

Gwen ruszyła do pensjonatu. Obejrzała się raz, drugi. Pusto, ciemno, nikogo na ulicach, a jednak miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje, śledzi każdy jej krok. Mogły uważać, mogły być ostrożne, ale to nie zapewniało im bezpieczeństwa.

Rozdział 39

Młotek przemył twarz zimną wodą, spojrział na swoje odbicie w lustrze. Czyżby płakał?

On i łzy?

Musi być silny. Twardy. Przewodzi innym. Daje przykład swoim generałom. Nie może pozwalać sobie na słabość. Nie dojrzą u niego oznak słabości.

Zaśmiał się triumfalnie na myśl o swoich generałach. Żałośni tchórze. Nie rozumieją jego potęgi. On tymczasem wie wszystko, wszystko widzi. Czyżby naprawdę sądzili, że nie dostrzega ich ukradkowych, porozumiewawczych spojrzeń, ich szeptów? Czyżby wierzyli, że nie przejrzał ich podstępnych planów?

Wyglądało na to, że miał coraz więcej wrogów.

Ci, którym dotąd ufał, zwracali się teraz przeciwko niemu. Ci, na których polegał, którzy dotąd go wspierali, knuli teraz, jak się go pozbyć. Poświęcił całe życie jednej sprawie: by ich świat był światem bezpiecznym. Wszystko, co robił, robił dla nich.

W zamian żądał tylko bezwzględnej lojalności. Czy to zbyt wiele?

Zmrużył oczy. Widać tak. Cóż, przyjdzie im drogo zapłacić za zdradę.

On ma pełną, wyłączną władzę nad tym miastem. Nad jego mieszkańcami. I nad swoimi ludźmi. Nic i nikt tego nie zmieni.

Ani Gwen Lancaster, ani Avery Chauvin.

Dzisiaj, ukryty w cieniu, obserwował, jak jedna z córek Cypress spiskuje z obcą. Zdrajczyni.

Przez sekundę miał ochotę otworzyć ramiona, wybaczyć. Zapomnieć. Nie. Nie może pozwolić sobie na słabość.

Rozsądek podpowiadał mu, że powinien jak najszybciej uciszyć Gwen Lancaster, zanim ta szalona kobieta narobi jeszcze większych szkód. Musiał jednak przestrzegać przyjętych reguł, bo ich złamanie doprowadziłoby do anarchii.

Skąd ta jego przenikliwość, jasność myśli, wiedza, skąd te dalekosiężne wizje? Dlaczego on ma być wybrańcem losu? Czyżby urodził się przywódcą? Przewodnikiem, który innym ma wskazywać drogę?

Ciążył mu ten dar, ciążyła samotność. Marzyłby pewnego dnia obudzić się i nie widzieć już prawdy.

Nie chciał mordować, nie sprawiało mu to żadnej przyjemności. Za każdym razem modlił się do Boga, by winny wziął sobie ostrzeżenie do serca. Wykrzywił usta w pogardliwym uśmiechu. Głupcy. Prymitywni, małostkowi głupcy.

Nie. To nieprawda, że nie chciał mordować.

Ostatnia zbrodnia była prawdziwym błogosławieństwem. Rozkoszą. Ta kobieta nie zostawiła mu wyboru. Zmusiła go, by podniósł na nią rękę. Dawno temu należało się jej pozbyć, ale

usłuchał tych, którzy chcieli darować jej życie.

Błąd. Kolejny błąd. Popęłnił błąd, dając posłuch ich argumentom. A teraz chcą go zastąpić kimś innym. Ciekawe kim? Kto miałby zająć jego miejsce? Sokół? Błękitny?

Śmiechu warte.

On im pokaże. Wkrótce się przekonają.

On im jeszcze wszystkim pokaże.

Rozdział 40

Hunter usiadł gwałtownie na łóżku, w głowie rozbrzmiewały mu jeszcze krzyki dzieci, senny koszmar zlewał się w jedno z jawą.

Wciąż widział, jak traci panowanie nad kierownicą, jak samochód ze straszliwym hukiem rozbija płot, widział przerażone buzie i jedną malutką postać stojącą bez ruchu, wpatrzoną w zbliżającą się, rozpędzoną tonę żelaza.

Widział tę kobietę. Rzuca się, odtrąca dziecko, ale sama... Już nic nie mogło jej uratować.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że już widno, usłyszał dochodzące z zaułka odgłosy samochodów dostawczych. Pełne zniecierpliwienia piski głodnych dzieci Sary.

Podniósł się, przeszedł do łazienki, ochlapał się wodą, umył zęby, wciągnął dzinsy. Teraz czas na krótki spacer. Mieli ustalony od dawna porządek poranka: krótka wyprawa na najbliższy trawnik, z powrotem do domu, kawa i dopiero długi spacer albo przebieżka.

Kiedy wracali na kawę, Sara zaczęła ciągnąć i piszczeć. Podniósł wzrok, zwolnił kroku. Pod drzwiami czekała Avery.

Hunter posłał jej leniwy uśmiech.

– Dzisiaj bez włamania?

Avery nie była w nastroju do żartów.

– Musimy porozmawiać – oznajmiła ponuro, wchodząc do kuchni. – Dzwoniłeś do Trudy Pruitt w dniu jej śmierci. Po co?

Cholera. Niedobrze.

– Poważne tematy się ciebie trzymają z samego rana, Avery. Nie ma nawet ósmej.

– Zadałam ci pytanie. Hunter nalał wody do ekspresu.

– Aha. Niezbyt miło ono zabrzmiało.

– Nie baw się ze mną w ciuciubabkę. Odwrócił się powoli.

– Zadzwoiła, nie zastała mnie, nagrała się na sekretarkę, oddzwoniłem. To wszystko. – Wsypał parę miarek kawy do filtra, podstawił dzbanek, włączył ekspres i podszedł do Avery. – Można wiedzieć, skąd masz tę informację? Od Matta? Mój drogi braciszek próbował nastawić cię przeciwko mnie?

– W tym względzie nie potrzebujesz pomocy.

– A ja myślałem, że nie przestaniesz mnie szanować – zakpił.

Avery poczerwieniała ze złości.

– Rozmawialiśmy o niej, Hunter. Rozmawialiśmy o jej telefonach do mnie... o tym, że byłam u niej tamtego wieczoru. Nie pisnąłeś słowa. Wiesz, jak to paskudnie wygląda?

– Mam w nosie, jak to wygląda, Avery. Co chcesz ode mnie usłyszeć?

– Prawdę.

– Pisałem. Siedziałem przy komputerze i pisałem. Nie odbierałem telefonów. Zadzwoniła, zostawiła wiadomość. Przysięgam, nie pamiętałem, że to matka Donny’ego i Dylana. Dopiero później sobie skojarzyłem. Pomyślałem, że szuka prawnika. Z jakiego innego powodu miałyby dzwonić? Możesz wierzyć albo nie, ale to cała prawda.

– Dlaczego nie powiedziałeś, że dzwoniła? Ta kobieta została zamordowana, Hunter.

Położył jej dłonie na ramionach.

– Co by to dało? Nie zamieniłem z nią jednego zdania.

Avery straciła jego dłonie, odsunęła się o krok.

– Powiedziałeś mi, żebym, skoro muszę, szukała dowodów. Byłam w jej przyczepie.

– Kiedy? – W jego głosie zabrzmiało nieskrywane przerażenie.

– Wczoraj późnym wieczorem. Hunter jęknął cicho.

– Nie mogłaś zrobić nic głupszego. Sama przed chwilą powiedziałaś, że ta kobieta została zamordowana. Morderca mógł wrócić. Mógł szukać tego samego, czego ty szukałaś. Nigdy nie słyszałaś, że większość sprawców wraca na miejsce zbrodni?

Chociaż wystraszył Avery okropnie, ona nadal upierała się przy swoim:

– Ale jakoś przeżyłam. I odsłuchiłam wiadomość, którą jej zostawiłeś.

Hunter pomyślał o braciszku, który tylko czyhał, żeby zrobić go w morderstwo St. Claire.

Dlaczego i nie w następne?

– Cholera – zaklął pod nosem, podszedł do ekspresu i nalał sobie kawy. – Masz dla mnie coś jeszcze? – prychnął, odwracając się do Avery, ale ona zamiast odpowiedzieć, ruszyła po prostu ku drzwiom.

– Rozumiem, że nie muszę nalewać ci kawy.

– Idź do diabła.

Samochód wpada w poślizg. Krzyki dzieci.

– Już byłem.

Avery zatrzymała się na te słowa.

Hunter stanął tuż za nią. Pragnął wziąć ją w ramiona. Przytulić. Powiedzieć jej wszystko. Powiedzieć cokolwiek. Żeby tylko została.

– Mam ci z tego powodu współczuć? – zapytała cicho. – Każdy człowiek ma swoją tragedię, swoje cierpienia.

– Nie prosiłem o litość. Chciałem być szczery.

– Godne podziwu.

Avery otworzyła drzwi, wyszła. I wpadła prosto na Matta.

– Avery! – Matt złapał ją w ramiona. – Co ty tutaj robisz?

– Zapytaj o to swojego braciszka. – Spojrzała na stojącego w progu Huntera. – Może tobie udzieli sensownej odpowiedzi.

– Nie rozumiem.

Pokręciła głową, uśmiechnęła się niewesoło i cmoknęła Matta w policzek.

– Zadzwoń do mnie, Matt. Muszę już iść.

Rozdział 41

Hunter patrzył za odchodzącą Avery. Poprosiła Matta, żeby zadzwonił do niej później. Dlaczego? Chciała upewnić się, czy wie o wiadomości, którą Hunter zostawił w skrzynce głosowej Trudy Pruitt? A może był inny powód? Osobisty?

– Co Avery tu robiła?

– Nic zdrożnego, niestety – odpowiedział Hunter z kpiącym uśmiechem.

– Kutas z ciebie.

– Wiele osób mi to mówi.

Matt zbył tę odpowiedź milczeniem, popatrzył tylko na brata przeciągle.

– O co jej chodziło z tą sensowną odpowiedzią? – zapytał.

Hunter oparł się o framugę drzwi, zamknął kubek w dłoniach.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Pieprzenie.

– Możesz wierzyć albo nie, twoja sprawa. To wolny kraj.

– Jak wolny?

– Nie chwytam.

– Może należysz do tych, którzy uważają, że w imię swojej wolności mogą deptać wolność innych? Brać prawo w swoje ręce? Nawet pozbawiać życia?

Hunter zaśmiał się.

– Jestem prawnikiem. Stoję na straży prawa.

– Zabawne. Ja też.

– W czym mogę ci pomóc?

– Przychodzę służbowo.

– Niesamowite. A ja już myślałem, że wpadłeś na braterską pogawędkę. Jestem niepokieszony.

Matt puścił mimo uszu złośliwości.

– Mogę wejść? – Nie czekając na odpowiedź, minął brata. – Mam kilka pytań. Gdzie byłeś przedwczoraj wieczorem między dziewiątą a wpół do jedenastej?

W czasie, kiedy zginęła Trudy Pruitt. Hunter zaplótł ręce na piersi.

– Siedziałem w domu. Pracowałem.

– Byłeś sam?

– Z Sarą.

– Z Sarą?

Hunter wskazał głową na sukę.

– Z Sarą i jej dziećmi.

Przez twarz Matta przemknęło coś jak grymas irytacji.

– Coś strasznie dużo czasu spędzasz w domu. Zawsze sam.

– Lubię samotność.

– Słyszałeś o Trudy Pruitt?

– Aha.

– Znałeś ją?

– Nie. W każdym razie nie osobiście.

– Nie osobiście? Co to znaczy?

– Słyszałem o niej, o jej synach, o tamtej sprawie sprzed lat. Wiedziałem, kto to.

Teraz Matt powinien nazwać brata łgarzem, zakwestionować jego słowa i wyciągnąć z rękawa swojego asa: wiadomość w skrzynce głosowej Trudy. O ile oczywiście wpadł na pomysł odsłuchania nagrań.

Nie wpadł. Po prostu spieprzył robotę w tak podstawowym punkcie.

– Pozwolisz, że się rozejrzę? – To było wszystko, co zdołał wymyślić.

– Nie pozwolę. Chyba że masz nakaz przeszukania.

– Będę miał.

– Można wiedzieć, skąd to szczególne zainteresowanie moją osobą?

– Wkrótce się dowiesz.

– Dopóki nie masz nakazu, węż sobie gdzie indziej.

– Jak na prawnika, nie jesteś zbyt bystry.

– Jak na gliniarza, dość swobodnie traktujesz prawo.

– Nie mam czasu i ochoty bawić się z tobą. – Matt ruszył do drzwi. – Wrócę z nakazem.

– Aż cię świerzbi, żeby mi zaszkodzić, prawda? Matt zatrzymał się.

– Tak uważasz?

– Tak uważam. Chodzi ci o Avery.

Hunter trafił w czułe miejsce, widział to po minie Matta.

– Trzymaj się od niej z daleka. Jest za dobra dla ciebie – warknął pan zastępca szeryfa.

– Chociaż raz się w czymś zgadzamy, braciszku. Cud prawdziwy. Ale nie do końca. To nie twoja sprawa. Czyżbyś przeoczył, że Avery już od dawna nie jest twoją dziewczyną?

Matt zacisnął dłonie, jakby powstrzymywał się siłą woli, żeby nie zdzielić Huntera.

– Co możesz jej ofiarować? Nic. Jesteś zerem. Alkoholikiem, który...

– Trzeźwym alkoholikiem, braciszku. To duża różnica. – Podszedł kilka kroków do Matta.

– Nie widzisz, że jesteśmy podobni do siebie? Ani ona, ani ja nie pasujemy do tego miasta.

Nigdy nie będziemy pasowali.

Matt trząsł się z wściekłości.

– O to od początku chodziło, tak? O Avery? Byłeś zazdrosny o mnie, o to, że z nią byłem...

– Byłeś, otóż to. Byłeś. Już nie jesteś. Cypress Springs okazało się dla ciebie ważniejsze.

– Zamknij się! Zamknij gębę! Już.

Stali teraz o kilka centymetrów od siebie, obaj rozwścieczeni, gotowi do bójki.

– Spróbuj mnie dotknąć – wycedził Hunter.

– No, dalej. Bij.

Mat nie drgnął nawet.

– Boisz się? – kpił Hunter. – Tchórz cię obleciał? Dawniej też biłeś się tylko wtedy, kiedy byłeś pewien wygranej. Widać twarde szeryf nie jest wcale taki...

Matt wymierzył cios, Hunterowi poszła krew z nosa. Natarł na brata, walnął głową w pierś, tak że tamten poleciał na lodówkę.

– Ty pieprzony złamasie! – wrzasnął. – Nie masz nic do dania! Wszystko straciłeś. Rodzinę, pozycję, miejsce w świecie. Jesteś żaloszny.

– Ja jestem żaloszny? Coś mi się wydaje, że ty straciłeś to, co najważniejsze.

Zwarli się, zaczęli mocować, w końcu wylądowali na podłodze, przewracając przy okazji suszarkę ze szkłem stojącą na zlewozmywaku.

Hunter odchylił się, uniósł lekko i zdzielił Matta w szczękę. Zaniepokojona Sara zaczęła ujadać, po chwili już tylko warczała, z gardła wydobywał się groźny gulgot.

– Siad, Sara! – zawołał Hunter, przestraszony, że suka zaraz zaatakuje.

Matt wykorzystał chwilę nieuwagi brata, teraz był górą, przycisnął Huntera do podłogi, tak mocno, że ten poczuł, jak odłamki szkła wbijają mu się w plecy. Syknął głośno z bólu.

I wtedy Sara skoczyła.

Matt wyciągnął broń, wycelował...

– Nie! – ryknął Hunter, osłaniając sukę własnym ciałem. Rzucił się na nią tak energicznie, że aż zaskowyczała z bólu, ale zaraz poderwała się z powrotem na cztery łapy.

– Jesteś chory – wysapał Hunter, trzęsąc się ze zdenerwowania.

Matt podniósł się, schował broń do kabury.

– Ta suka chciała mnie zagryźć. Musiałem się bronić.

– Wynoś się stąd. Wynoś się natychmiast.

– O jednego za dużo, co, Hunter? Zawsze tak było.

– Opowiadasz bzdury. Nic nie widzisz, nic nie rozumiesz. Nie widzisz, co się dzieje w twoim rodzinnym domu, w twoim rodzinnym mieście. Albo jesteś aż tak ślepy, albo po prostu nie chcesz nic widzieć.

– Lepiej być ślepym niż martwym – zauważył Matt.

– To pogrożka, szeryfie? Matt zaśmiał się.

– Nie. Tobie nic nie grozi. Nie trzeba cię nawet zabijać. Już jesteś trupem.

Rozdział 42

Tego ranka Avery postanowiła przejrzeć rzeczy na strychu, wybrać te, które zechce zatrzymać, resztę oddać jakiejś organizacji dobroczynnej, a co już nie będzie się nadawało do niczego, po prostu wyrzucić.

Zabrała się do pracy, jednocześnie rozmyślając o wydarzeniach ostatnich dni. O gazecie i notatce Trudy na marginesie artykułu o śmierci ojca. „Jeszcze 2”. Dwie osoby, które jeszcze nie zginęły? Które znają prawdę o śmierci Sallie Waguespack? Najprawdopodobniej. Przez telefon mówiła, że padają jak muchy, że coraz ich mniej. Ale Trudy mogła liczyć tych, których nienawidziła lub się bała, jak i tych, których uważała za winnych śmierci Sallie i jej synów. Mogła ich wszystkich wrzucić do jednego worka. A to gmatwało tropy.

Tyle możliwości. Niesprawdzonych hipotez.

A Hunter? Jaki on miał w tym udział? Czy rzeczywiście odpowiedział tylko na telefon Trudy, jak twierdził?

Jego wyjaśnienie brzmiało przekonująco. Chciała, żeby to była prawda. W tej chwili nie liczył się obiektywizm, tylko jej emocje i pragnienia.

Zamknęła oczy, usiłując przypomnieć sobie dokładnie, jak brzmiała wiadomość, którą zostawił w skrzynce głosowej Trudy. Podał imię, nazwisko, numer telefonu. Ani słowem nie wspomniał, że oddzwania po jej telefonie.

Gdyby się znali, gdyby byli w zмовie, nie musiałyby się przedstawiać, Trudy rozpoznałaby jego głos. W każdym razie nie przedstawiałby się imieniem i nazwiskiem: Hunter Stevens.

Avery przeglądała pudło z książkami. Ojciec czytał mnóstwo, połykał wręcz książki. Matka czytała mniej, za to pisała, prowadziła dziennik. Nie rozstawała się z nim, zapisywała w kolejnych zeszytach każdy drobiazg, każde najmniejsze wydarzenie. Kiedyś marzyła, że zostanie pisarką, ale zarzuciła marzenia, została żoną i matką, to jej wystarczyło i tego samego oczekiwała od córki. Decyzja Avery o wyjeździe na studia była powodem wielu przykrych, gorzkich scysji.

Może Hunter miał rację. Może dlatego tak rzadko przyjeżdżała do domu, bo nigdy nie rozwiązała konfliktu z matką. Czy czekała na przeprosiny? A może wiedziała, że w kłótniach powiedziała matce zbyt wiele bolesnych słów i potem bała się spojrzeć jej w...

Zaraz! Przecież matka prowadziła takie szczegółowe zapiski. Każde najmniejsze wydarzenie zostało przez nią uwiecznione.

Oczywiście, pomyślała Avery. Dziennik matki. Na pewno napisała o śmierci Sallie Waguespack, o tym, jak morderstwo odbiło się na życiu miasteczka, co na ten temat mówiło się w domu.

Gdzie są te dzienniki? Przeszukała przecież cały dom, wszystkie szafy, komody, półki

biblioteczne, lecz nigdzie na nic nie natrafiła.

Jeśli ojciec je zachował, muszą być na strychu.

Przeszukała wszystkie pudła i nic. Czyżby ojciec wyrzucił dzienniki? A może matka zniszczyła je przed śmiercią?

Może Lila będzie coś wiedziała. Avery zerknęła na zegarek i zeszła na dół. Wystukała numer Stevensów. Lila odebrała niemal natychmiast.

– Cześć, tu Avery.

– Avery, a to miła niespodzianka. Co u ciebie?

– Robię porządki w domu, sortuję rzeczy. Nigdzie nie mogę znaleźć dzienników mamy.

– Mój Boże! Popatrz, a ja w ogóle zapomniałam, że pisała dzienniki.

– Ja też. Dzisiaj rano sobie przypomniałam.

– Był czas, że traktowała to bardzo poważnie. Nigdy nie rozstawała się z zeszytem.

– Był czas? Chcesz powiedzieć, że w jakimś momencie zarzuciła pisanie?

– Niech pomyślę. – Lila zamilkła na moment. – Przestała prowadzić dziennik jakoś wtedy, kiedy ty wyjechałaś na studia. Nigdy przedtem nie rozmawialiśmy na ten temat, ale zauważyłam, że przestała nosić przy sobie zeszyt, więc zapytałam dlaczego, a ona powiedziała, że przestała pisać.

– Gdzie mogą być te dzienniki?

– Pojęcia nie mam – zmartwiła się Lila. – Jeśli nie ma ich w domu, może mama je zniszczyła? A może tata się ich pozbył.

Avery poczuła bolesny ucisk w gardle.

– Nie mogę sobie wyobrazić, że...

– Podziwialiśmy twojego ojca, że znalazł w sobie dość siły. Usunął wszystkie rzeczy mamy, nie mógł wśród nich żyć, to było dla niego zbyt bolesne.

Odezwał się dzwonek przy drzwiach. Avery pożegnała się z Lila i pobiegła otworzyć.

Na progu stał Hunter z mocno zdefasonowaną twarzą.

– Chryste, co się stało?

– Długo opowiadać. Mogę wejść?

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Mam problem, Avery. Ciebie też on dotyczy. Matt dzisiaj rano stwierdził łaskawie, że jestem trupem. Miał rację. Jestem trupem i tylko przy tobie znowu zacznym żyć.

Wyznanie Huntera spadło na nią tak niespodziewanie, że poczuła kompletną pustkę w głowie. Oparła się ciężko o futrynę.

– Avery, proszę.

Powoli otworzyła drzwi siatkowe, niepewna, czy wpuszcza przyjaciela, czy wroga. Kierował nią odruch. Impuls. A tak naprawdę pragnienie i tęsknota.

– Przygotuję mrożoną herbatę – powiedziała, starając się zapanować nad głosem, i ruszyła do kuchni.

Hunter poszedł za nią. Czula cały czas jego wzrok na sobie. Przyglądał się, jak nalewa herbatę i dodaje po plasterku cytryny. Odchrząknęła, odwróciła się i podała mu szklanę.

– Rozumiem, że twoja nowa twarz to efekt porannej wizyty Matta – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Owszem – burknął Hunter. – Pobiliśmy się o ciebie.

– Rozumiem – powtórzyła niepewnie.

– Tak?

Avery odwróciła wzrok, zwilżyła usta.

– Chciał wiedzieć, co robiłem przedwczoraj wieczorem.

– Powiedziałeś mi?

– Oczywiście. Siedziałem w domu, pracowałem. Byłem sam. – Hunter odstawił szklanę na blat. – Dzisiaj rano mówiłem prawdę, Avery. Trudy Pruitt zadzwoniła do mnie. Nie wiem dlaczego, ale uznałem, że chodzi o poradę prawną. Oddzwoniłem do niej. Nigdy nie widziałem tej kobiety na oczy, tym bardziej jej nie zabiłem.

– Matt cię podejrzewa?

– Bardzo chciałby mnie podejrzewać. Avery poczuła, że musi się wstawić za Mattem.

– Wątpię, Hunter. Jesteście przecież braćmi. A on po prostu prowadzi dochodzenie.

– Jeśli takie tłumaczenie ci odpowiada... Nie wpadł na to, żeby sprawdzić nagrania na sekretarce Trudy. Jeszcze nie wpadł. Zamierzasz mi powiedzieć o tej wiadomości?

Nie zamierzała. I to nie tylko dlatego, że wchodząc do przyczepy, naruszyła prawo.

Pokręciła głową.

– Nie.

– Muszę cię o coś zapytać.

– Pytaj.

– Sypiasz z nim?

Avery spojrzała mu w oczy, skrzywiła się.

– Świetne pytanie.

– Zachowuje się, jakby miał jakieś prawa.

– Ty też.

Hunter podszedł bliżej.

– Ale my sypiamy ze sobą.

– My spaliśmy ze sobą – poprawiła go.

– Raz. Poza tym... to takie ważne, czy sypiam z Mattem?

– Świetne pytanie – zrewanżował się Hunter.

– No więc jak, sypiasz z nim?

– Nie. – Przesunęła palcami po posiniaczonej brodzie Huntera. – Kto zadał pierwszy cios?

– On, ale ja go sprowokowałem.

Avery zaśmiała się cicho, nie żeby widziała w bójce braci coś śmiesznego. Po prostu przypomnieli się jej tamci chłopcy sprzed lat.

– Wyglądasz okropnie.

– Powinnaś zobaczyć jego twarzyczkę. Avery znowu się zaśmiała.

– Wracając do tematu. Wierzę, że Trudy Pruitt zadzwoniła do ciebie i że jej nie znałeś.

– Dziękuję. Czy to znaczy, że możemy zamienić formę „spaliśmy” na „sypiamy”?

– Jesteś okropny.

– Jestem ciekawy. Chcę wiedzieć, czy łączy cię coś jeszcze z Mattem.

Na to pytanie odpowiedziała pocałunkiem.

– Co się stało, Hunter? Dlaczego uciekłeś z Nowego Orleanu, wróciłeś do domu? – zapytała, kiedy leżeli w łóżku, spleceni, zmęczeni miłością.

– Do domu? – skrzywił się. – Cypress Springs od dawna nie jest moim domem. Od momentu wyjazdu na studia.

– Jednak wróciłeś.

– Żeby napisać książkę.

– Dlaczego akurat tutaj? – Hunter nie odpowiedział, więc Avery odpowiedziała za niego: – Bo tu czułeś się kiedyś bezpieczny? Bo nie miałeś dokąd pojechać? W obydwu wypadkach oznaczałoby to powrót do domu.

Hunter zaśmiał się kwaśno.

– Raczej powrót do miejsc, od których wszystko się zaczęło. Inaczej mówiąc, był to powrót do zatrutych źródeł.

Avery oparła się na łokciu.

– Wytlumacz mi to.

Miał taką minę, jakby chciał wykręcić się, zrobić unik, ale, o dziwo, zaczął opowiadać:

– Lata spędzone w Nowym Orleanie to były lata życia we mgle. Byłem dobry. Może zbyt dobry. Szybko piałem się w górę, coraz lepiej zarabiałem, nie przemęczając się specjalnie. Byłem wziętym adwokatem, miałem klientów z najbogatszych sfer. Bawiłem się. Coraz więcej piłem, nie gardziłem też narkotykami. W końcu granica między zabawą i obowiązkami zaczęła mi się zacierać. Brałem od rana. Efekty łatwo przewidzieć: tu nie stawiłem się na rozprawę, tam zapomniałem o jakimś spotkaniu. Początkowo w firmie patrzono na to przez palce, ale kiedy pewnego dnia przyszedłem na spotkanie z bardzo ważnym klientem pijany, po prostu wywalili mnie. Oczywiście nic do mnie nie docierało. Nie widziałem żadnego problemu. Byłem przekonany, że potrafię kontrolować picie. Ćpanie. Byłem bogiem.

Avery słuchała tego z bólem. Trudno było jej skojarzyć człowieka, którego Hunter jej opisywał, z chłopcem, którego znała jeszcze w Cypress.

– Już nie piłem, chlałem. Przyjaciele odsunęli się ode mnie. Zostawiła mnie kobieta. Nic już mnie nie powstrzymywało, przed nikim już nie musiałem się opowiadać z tego, co robię.

Hunter zamilkł, jakby zmagając się z mrocznymi, bolesnymi wspomnieniami.

Kiedy znowu podjął swoją opowieść, głos mu drżał:

– Pewnego dnia straciłem kontrolę nad kierownicą. Koło szkoły. Dzieci były akurat na boisku. Miałem otwarte szyby w samochodzie, słyszałem śmiechy tych dzieci, ich wesołe piski. A potem jeden krzyk przerażenia. Byłem oczywiście pod wpływem. Samochód rozbił ogrodzenie. Nie mogłem nic zrobić. Patrzyłem przerażony, co się dzieje, i nic nie mogłem zrobić. Dzieciaki się rozpieczęły. Tylko jeden malec... stał jak sparaliżowany... – Hunter zasłonił oczy dłońmi. – Nauczycielka rzuciła się, odepchnęła go. Sama nie zdążyła już odskoczyć. – Przez jego twarz przebiegł skurcz. – To cud, że jej nie zabiłem. Wyszła z tego z kilkoma złamanymi zębami, kilkoma powierzchownymi ranami. Codziennie dziękuję Bogu, że tak się skończyło. – Miał łzy w oczach.

– Przyszła potem do mnie. Do mnie, który... Powiedziała, że nie ma żalu, że wybacz. Błagała tylko, żebym nie zlekceważył, nie zmarnował cudu, który się zdarzył. Żebym odmienił swoje życie.

Avery słuchała w milczeniu. Nie musiała pytać. Widziała, czuła, że Hunter wziął sobie do serca słowa nauczycielki. Powieść, którą pisał, była formą rehabilitacji albo zadośćuczynienia, jakkolwiek to nazwać. Teraz rozumiała, dlaczego wrócił do Cypress: żeby odmienić swoje życie, zbudować je od nowa.

– Ten chłopiec... wątpię, czy potrafi teraz bawić się spokojnie na boisku. Czy w ogóle te dzieci potrafią się jeszcze bawić. Czy nie budzą się w nocy z krzykiem? Czy nie wraca do nich tamto przerażenie? Ja nie mogę zapomnieć. Codziennie przeżywam od początku tamten koszmar. Widzę ich buzie, słyszę ich krzyki.

– Tak mi przykro, Hunter – powiedziała zdławionym głosem Avery. – Tak mi przykro.

– Jestem, jak widzisz, chodzącą przestrogą – zakpił. – Zostałem skazany za spowodowanie wypadku w stanie nietrzeźwym. Wyrokiem sądu wysłany na odwyk. Zabrali mi prawo jazdy na dwa tygodnie, zasądziło sto godzin robót publicznych. Śmieszny wyrok.

Gdyby nauczycielka zginęła, dostałby za nieumyślne zabójstwo dożywocie.

W pewnym sensie dostał dożywocie.

– Od tamtego czasu nie miałem w ustach alkoholu. Modłę się codziennie, żeby nigdy już nie sięgnąć po kieliszek.

– Hunter... – Ucisnęła jego dłoń, zacisnęła palce na jego palcach.

– Matt nadal cię kocha.

Chciała zaprzeczyć, ale nie dał jej dojść do słowa.

– To prawda. Nigdy nie przestał cię kochać.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Sprowokowałem go dzisiaj, stracił panowanie nad sobą, uderzył mnie pierwszy. Sprawilo mi to jakąś chorą satysfakcję. Kawał drania ze mnie.

Avery uśmiechnęła się nieznacznie.

– Nie jesteś aż taki straszny, jak ci się wydaje.

– Uciekaj, Avery. – W głosie Huntera zabrzmiała niezwykła powaga. – Uciekaj jak najdalej ode mnie. Nie jestem ciebie wart.

– Może ja to osądzę.

– Ryzykowna sprawa. – Też się uśmiechnął, ale w oczach miał smutek. – Nigdy nie byłeś dobrym sędzią ludzkich charakterów.

– Tak uważasz? – Usiadła na łóżku z miną osoby święcie oburzonej. – Wręcz przeciwnie, jestem wytrawnym sędzią ludz... Znowu krwawisz. – Wcześniej, zanim zaczęli się kochać, wyjęła mu kilka odłamków szkła z pleców, przemyła rany i opatrzyła, ale z największej, pod łopatką, sączyła się jeszcze krew. – Poczekaj, przyniosę porządny bandaż. Powinien być jakiś w apteczce w łazience taty. – Pogroziła mu palcem. – Nie ruszaj się.

– Tak jest, siostrze Chauvin.

Weszła do sypialni rodziców.

Niezasłane łóżko.

Powinna była je zasłać albo zdjąć pościel. Zbyt boleśnie przypominało o śmierci ojca.

Jego ostatni wieczór.

Niezasłane łóżko.

Avery zasłoniła usta dłonią. Ojciec był w pizamie. Wcześniej zażył tabletkę nasenną. Potem położył się do łóżka. Po co miałby przebierać się do snu, kłaść do łóżka, skoro zamierzał skończyć z sobą? Układać się w pościeli, żeby za chwilę wstać, wzuć kaptcie i pójść do garażu?

Bez sensu.

Zamknęła oczy, usiłując pozbierać myśli.

A może wszystko wyglądało inaczej?

Ojciec kładzie się. Może nawet zasypia po zażyciu halcionu. Ktoś zaczyna dzwonić, dobijać się do drzwi. Ojciec się budzi. Sama czasami używała halcionu, jeśli chciała zasnąć w samolocie, i budziła się po nim bez trudu.

A więc ojciec się budzi. Może myśli, że to ktoś, kto potrzebuje natychmiastowej pomocy. Nakłada kaptcie i schodzi na dół. A tam, pod drzwiami, czeka już wróg. Ktoś, kogo ojciec dobrze zna, komu ufa.

Więc ojciec otwiera drzwi.

Jest trochę zaspany, trochę oszołomiony po tabletkach. Daje się łatwo zaskoczyć i obezwładnić. Jak?

Sekcja nie wykazała żadnych poważnych obrażeń. Nie mogli go zatem ogłuszyć, nie mogli też skrepować, bo ułożenie zwłok by to zdradziło, zresztą po wybuchu pożaru czołgał się jeszcze do drzwi.

Wreszcie wpadła, jak się to mogło stać. Paralizator. Jej przyjaciółka w Waszyngtonie miała taki i namawiała Avery, żeby też sprawiła sobie coś takiego, zamiast nosić gaz w kieszeni. Paralizator unieszkodliwia człowieka na kilkanaście minut, nie pozostawiając żadnych widocznych śladów na ciele.

Wystarczający czas, żeby morderca zdążył przenieść ojca do garażu, oblać go olejem, podpalić.

Zgubił kapeć na ścieżce.

To dlatego nie zatrzymał się i nie wzięł go na powrót. Nie mógł. Niesiono go.

W garażu czekał już przygotowany olej. Morderca oblał ojca, rzucił zapalniczkę i wyszedł.

A ojciec zginął w płomieniach.

– Co się stało? Odwróciła się do Huntera.

– Wiem, jak to się stało. Wiem już, jak go zabili.

Rozdział 43

Kiedy Hunter obudził się, Avery przy nim nie było. Zerknął na budzik, była piąta. Przespali całe popołudnie.

W każdym razie on przespał.

Usiadł w pościeli, dotknął wgniecenia na sąsiedniej poduszce. Ciepło już się ulotniło, Avery musiała wstać jakiś czas temu.

Przesunął w zamyśleniu dłonią po brodzie. Avery przedstawiła mu swoją wersję wypadków. Ojciec został obudzony przez kogoś, kogo dobrze znał. I ten ktoś użył paralizatora, żeby go obezwładnić. Potem, kiedy doktor ocknął się w płomieniach, próbował czołgać się do drzwi, ale na ratunek było już za późno.

Kiedy skończyła, Hunter długo trzymał ją w ramionach, uspokajał. Serce mu się kroilo, kiedy słyszał jej płacz. Próbował zająć ją jakoś, wskazywał luki, słabe punkty w jej rozumowaniu. Dlaczego ktoś miałby zabijać jej ojca? Jaki miałby motyw?

Nic nie pomagało. W końcu zmęczona płaczem usnęła, a on razem z nią.

Wstał, wciągnął dzinsy i poszedł szukać Avery.

Znalazł ją w kuchni. Stała przy zlewozmywaku i patrzyła w okno. Na stole leżała słuchawka telefonu bezprzewodowego, obok notes i gazeta.

Musiała obudzić się na długo przed nim.

Drobniutka, z krótko ostrzyżonymi włosami, w dużo za dużym szlafroku, wyglądała jak dziecko ubrane w rzeczy dorosłego.

Kto osądzałby ją wedle drobnej postury i dziecięcej buzi, popełniłby wielki błąd, bo Avery obdarzona była przenikliwym umysłem i determinacją graniczącą niekiedy z oślim uporem. Hunter zawsze ją podziwiał, nawet jeśli trwała przy racjach, które jemu wydawały się zupełnie bez sensu.

Podziwiał jej charakter, jej absolutną uczciwość. Zawsze stawiała po stronie słabszych, przyjaźniła się z najrozmaitszymi dziwadłami i ofiarami losu, broniła outsiderów. Nie przysparzało jej to sympatii wśród tak zwanej większości, ale Avery w nosie miała opinię większości.

Prawdę powiedziawszy, ta jej wewnętrzna siła napępiała Huntera zawsze czymś w rodzaju nabożnego lęku.

I chyba zawsze podkochał się w Avery.

A teraz? O co chodziło teraz?

Postanowiła pochylić się nad kolejnym wyrzutkiem i nieudacznikiem? Zamierzała go bronić? Wbrew opinii większości?

Spojrzała na niego. Na jej ustach pojawił się leciutki uśmiech.

– Zaraz lunie.

Podszedł do niej i spojrzał przez okno na łożone niebo, targane wiatrem drzewa.

– Ziemia potrzebuje deszczu.

– Aha.

Dotknął jej policzka.

– Dobrze się czujesz?

– Jako tako. – Przechyliła lekko głowę. – Zjadłbyś coś?

– Umieram z głodu. Możemy coś zamówić. Avery pokręciła głową.

– Mam trochę sera i jajka.

– Co może oznaczać omlet.

Zabrali się do roboty wśród kłótni na temat składników. Cebula nie znalazła uznania. Pieczarki przeciwnie, musiały być. Mnóstwo sera. Odrobina pieprzu cayenne.

– Zrobię tosty – zaoferował się Hunter.

– W lodówce są angielskie muffinki.

– Jeszcze lepiej. – Wyjął przy okazji masło i sok pomarańczowy. Dwie muffinki przekroił na pół, włożył do opiekacza, po czym znalazł w szafkach szklanki, talerze i sztućce.

Kiedy nakrywał do stołu, spojrzał machinalnie na gazetę, którą Avery zostawiła na stole razem z telefonem i notesem. Było to wydanie z notatką o śmierci doktora. Przeniósł wzrok na zapiski w notesie.

Lista nazwisk, przy każdym data.

Pat Greene. Sal Mandina. Pete Trimble. Kevin Gallagher. Dolly Farmer... Wreszcie nazwisko ojca. I na samym dole Trudy Pruitt.

– Co to?

Avery nie odwróciła się nawet.

– Pracuję nad tym.

– Pracujesz nad tym? – powtórzył. – To lista ludzi, którzy...

– Zmarli nagle w Cypress w okresie ostatnich ośmiu miesięcy.

Skoro zostawiła listę na wierzchu, chciała, żeby ją zobaczył.

– Dreczy cię to, co usłyszałaś od Trudy, prawda? Ze twój ojciec był zamieszany w morderstwo Sallie Waguespack.

Avery przewróciła omlet na patelni.

– Tak. Chodzi o to, co mówiła Trudy. I o wycinki, które znalazłam w rzeczach ojca. Chodzi o dwa morderstwa i dwa zaginięcia, które miały miejsce w ciągu ostatnich sześciu tygodni. Chodzi o Siedmiu.

Hunter zasepił się.

– Nie ma sposobu, żeby odwieść cię od tej sprawy?

– Nie.

Determinacja granicząca z oślim uporem. Nie spocznie, dopóki nie pozbędzie się ostatnich wątpliwości, dopóki nie uzna, że dotarła do prawdy.

Nic dziwnego, że była dobrą dziennikarką.

– Zwariować można z tobą, Avery. Wzruszyła ramionami.

– Nie myśl o tym.

– Aha, na pewno. Mam patrzeć, jak uganiaasz się samopas za mordercą? Dwie kobiety już zginęły. Nie chcę, żebyś była trzecią.

Uśmiechnęła się i zatrzepotała rzesami.

– Jakiś ty słodki, Hunter.

– Nie ma się z czego śmiać – burknął. – W Cypress grasuje morderca.

– Owszem. Być może zabił mojego ojca.

– Chcesz, żebym ci pomógł? – Hunter najwyraźniej skapitulował.

Zastanawiała się przez chwilę nad propozycją, w końcu skinęła głową.

– Chyba chcę. Omlet gotowy.

Kiedy skończyli jeść, Avery wróciła do tematu:

– Wczoraj wieczorem byłam w przyczepie Trudy Pruitt. Ta kobieta twierdziła, że mój ojciec był zamieszany w morderstwo Sallie. Twierdziła, że jej chłopcy są niewinni. Że ma dowody. Ktoś ją zamordował, zanim zdążyłam z nią porozmawiać.

– Więc pojechałaś szukać tych dowodów. Zabrałaś ze sobą Gwen Lancaster.

– Skąd wiesz?

– Zgadłem.

– Skoro jesteś taki mądrała, to pewnie wiesz też, że Gwen spotkała się z Trudy. Pytała ją o Siedmiu.

Hunter wyprostował się.

– I co?

– Trudy potwierdziła, że grupa istnieje. Według niej to oni zabili Elaine St. Claire.

– Trudy była alkoholiczką, Avery. Ponadto miała swoje powody, żeby dokumentnie znieawidzić to miasto. Ostrożnie traktowałbym jej słowa.

– Mówisz jak Matt i Buddy.

– Oni mają rację. Słuchaj ich. Avery nie dawała za wygraną.

– A Gwen? Ktoś dokładnie przeszukał jej pokój, przewrócił wszystko do góry nogami. Zabrał notatki.

– Coś jeszcze?

– Zadzwoiła do niej jakaś kobieta. Powiedziała, że ma informacje o Tomie. Zaproponowała spotkanie w chacie w lesie.

– I nie pojawiła się.

– Właśnie. Za to ktoś zostawił Gwen prezent w postaci kociego truchła. Ostrzeżenie. Tak właśnie działa Siedmiu. Udzielają jednego ostrzeżenia, potem przechodzą do działania.

Hunter słuchał relacji Avery coraz bardziej zaniepokojony.

– Skąd wiesz, że to prawda? Gwen sama mogła zrobić bałagan w swoim pokoju, naopowiadać ci o jakimś kocie, telefonie od nieznajomej kobiety, ukradzionych notatkach. Może chciała w ten sposób przekonać cię do swoich przypuszczeń, zaskarbić sobie twoje zaufanie i pomoc.

Avery pokręciła głową.

– Widziałam Gwen zaraz po jej powrocie z nieudanego spotkania. Była śmiertelnie przerażona. – Podsunęła Hunterowi gazetę. – Znalazłyśmy to wczoraj w przyczepie. – Trudy dorysowała doktorowi rogi i hiszpańską bródkę, ale Avery tego nie komentowała, jakby podobizna ojca z rogami była czymś najzwyczajniejszym w świecie. – Popatrz, na marginesie coś sobie obliczała. Według mnie zmarłych. Ojciec był piąty. Pięć osób i „jeszcze 2”, tak napisała.

– Słucham cię z zapartym tchem. – Tym razem w głosie Huntera nie było już ani kpiny, ani sceptycyzmu.

– Moim zdaniem miała na myśli albo ludzi zamieszanych w morderstwo Sallie Waguespack, albo tych, którzy znali prawdę o zbrodni.

– Zakładając, że byli jacyś ludzie zamieszani w morderstwo.

– Jesteś prawnikiem. Kogo mamy w dochodzeniu?

– Ofiarę i sprawcę. Osobę, która odkryła zwłoki. Funkcjonariusza, który zjawił się pierwszy na miejscu zbrodni. Śledczych, biegłych. Koronera i jego ludzi.

– Świadców, jeśli w ogóle.

– Tak.

– Twój ojciec pozwolił mi przejrzeć akta Sallie – ciągnęła Avery. – Pat Greene w czasie patrolu zobaczył Pruittów uciekających z domu Sallie. Wiele razy byli notowani, dobrze znani policji, postanawia więc sprawdzić, co się stało. Znajduje zwłoki i zawiadamia Buddy’ego. Obaj ruszają na poszukiwanie braci. Znajdują ich, wywiązuje się strzelanina, chłopcy giną.

– Zostawili niezabezpieczone miejsce zbrodni i tak po prostu ruszyli na poszukiwania?

Avery zmarszczyła czoło.

– Nie pamiętam. Może czekali na koronera, ale nie sądzę. Według tego, co znalazłam, nikogo nie wzywali.

– Mów dalej.

– Narzędzie zbrodni znalezione w rowie za przyczepą Pruittów. Były na nim odciski palców Donny’ego. Jeden z chłopców miał na butach krew ofiary. Na widok policjantów obaj otworzyli ogień. Pat Greene oddaje dwa celne strzały. Sprawcy giną na miejscu. Sprawa jasna i prosta.

Dochodzenie zamknięte.

– Zbyt jasna i prosta, tak?

– Być może.

– Co wykazała autopsja? Bo rozumiem, że musiała być autopsja, jak zawsze w przypadku morderstwa.

– Wyników nie znalazłam w teczce. Buddy uważa, że ktoś musiał gdzieś pomyłkowo przelożyć raport anatomopatologa. Obiecał go odnaleźć. Zadzwoń do niego jutro.

– Policzmy osoby dramatu – odezwał się Hunter po dłuższej chwili. – Dwóch policjantów, Pat i ojciec. Koroner. To trzech. Ofiara i Pruittowie. Mamy sześcioro. Twój ojciec, ewentualnie jako siódma postać, chociaż nie wiem, jaką miałby odgrywać rolę. – Zaczął bębnić palcami w stół. – Może liczyła zlikwidowanych członków grupy? Może wykańczała ich po kolei? Może jeden z dwóch pozostałych przy życiu wykończył ją?

– Może, chociaż wątpię. Chyba że była z kimś w zмовie. Wszystkie te zgony wyglądały na wypadki. Tu trzeba było sprytu i swoistego wyrafinowania, do których Trudy nie była chyba zdolna.

– Jeśli miała współnika, kto mógłby to być? Ktoś, kto myślał podobnie jak ona. Ktoś, kto jak ona nienawidził Cypress Springs.

Avery znowu pokręciła głową.

– Kto w takim razie zabił Elaine St. Claire? Na pewno nie Trudy. Twierdziła, że śmierci Elaine winna jest grupa. Tak przynajmniej przedstawiła to Owen.

– W takim razie Siedmiu mogło zabić również Sallie Waguespack.

– Według mnie to śmierć Sallie była powodem zawiązania się grupy.

– Ale nie wiesz tego na pewno.

– Nie wiem – westchnęła Avery. – Wszystko, czym dysponujemy, to wyłącznie domysły.

– I zmarli. – Hunter wstał i podszedł do Avery. – Powtórzmy sobie wszystko od początku.

Kto mógł znać prawdę o śmierci Sallie Waguespack?

– Bracia Pruitt. Buddy. Pat Greene. Mój ojciec, jeśli wierzyć Trudy.

– Sama Trudy – podsunął Hunter. – Ktoś, kto przygotowywał zwłoki do pochówku.

– O Boże.

– Co?

Avery zerwała się, podeszła do blatu kuchennego, zajrzała do swoich notatek i powoli podniosła głowę.

– Wszyscy, których wymieniliśmy, nie żyją. Wszyscy z wyjątkiem twojego ojca.

Hunter miał wrażenie, że podłoga zakołysała mu się pod stopami.

– Niemożliwe. Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

Avery pokiwała głową. Była blada jak płótno. Albo Buddy Stevens był mordercą, albo

następną w kolejności ofiarą.

– Spójrz na tę listę. – Avery podsunęła mu notes przed oczy. – Pat Greene. Tata. Kevin Gallagher. Trudy Pru...

– Niech szlag trafi tę twoją listę! – rzucił podniesionym głosem. – Tym razem już przesadziłaś. Przestajesz myśleć racjonalnie.

Avery cofnęła się o krok.

– Nie oskarżam twojego ojca, Hunter – zaczęła się tłumaczyć. – Może grozić mu niebezpieczeństwo. Powinniśmy go ostrzec.

Bzdura. Nic w tym mieście nie działo się bez wiedzy jego ojca. Kto lepiej mógł zatuszować morderstwo niż szef lokalnej policji? Kto lepiej mógł zaaranżować zbrodnię, by wyglądała na nieszczęśliwy wypadek?

Hunter miał chaos w głowie. Usiłował zebrać w spójną całość wszystkie fakty, które przed chwilą tak skrupulatnie wyliczali.

Dlaczego? Po tylu latach? Czyżby ktoś zagroził, że ujawni tajemnicę?

Bez sensu. W obawie przed zdemaskowaniem jego ojciec zabrałby się do uśmiercania przyjaciół? Po piętnastu latach od tamtych wydarzeń?

To ktoś inny.

Ojciec jest w niebezpieczeństwie.

Spojrzał na Avery.

– A koroner? Nie umieściłaś go na swojej liście?

– Nie, nie umieściłam. Nie wiem, czy był akurat koronerem w osiemdziesiątym ósmym roku. Sprawował swój urząd z przerwami.

– A jeśli akurat wtedy był koronerem?

– Jeśli był...

– To tata nie jest ostatni do odstrzału.

Rozdział 44

Gwen raptownie otworzyła oczy. Usiadła w pościeli. Przyśnił się jej brat. Próbował ją ostrzec.

Coś się dzieje. Coś niedobrego.

Omiotła spojrzeniem tonący w mroku pokój, zatrzymała wzrok na oknie. Dopiero teraz usłyszała bębnienie deszczu o szyby. W sekundę później granatowe niebo przeciął oślepiający błysk.

Drgnęła gwałtownie i zaśmiała się cicho. Strach ma wielkie oczy. Burza ją obudziła, ot co. Spojrzała na szafkę. Wyświetlacz budzika, zwykle błyskający łagodnym zielonym światłem, był ciemny. Bateria musiała się wyczerpać.

Gwen wstała, żeby pójść do łazienki.

Poczuła pod stopą wilgoć. Co takiego... Powiew zimnego powietrza. Spojrzała raz jeszcze w stronę okna. Zamknięte.

Okno w łazience. Wychodziło na dziedziniec z wielkim dębem.

Kolejna błyskawica rozświetliła pokój i Gwen zobaczyła, że stoi w wodzie wypływającej z łazienki.

Uchylone drzwi. Za drzwiami mrok.

Ktoś... zaczął się... czeka.

Z krzykiem rzuciła się do wyjścia.

Wpadł z łazienki i chwycił ją jedną ręką w pól, drugą, w rękawicze, zasłonił jej usta. Zaczęła się szarpać, ale trzymał ją mocno, z całych sił przyciskał do siebie. Niemal miażdżył jej usta dłonią. Nie mogła oddychać, przed oczami zatańczyły jasne plamy.

– Zostałaś osądzona, Gwen Lancaster – szepnął jej do ucha. – Osądzona i uznana winną.

Siedmiu. Dostali ją.

Jak Toma.

Śmiertelnie przerażona, nie była w stanie myśleć. Stawiać oporu. Jak było z Tomem? Czy w tej ostatniej chwili, na moment przed końcem, myślał o niej? O rodzicach? Czy też, równie przerażony jak ona, nie myślał już o niczym?

Nie poddawaj się, Gwen. Nie trać głowy.

Jakby do niej mówił. Słyszała jego głos. Tom jest przy niej. Musi się zmobilizować. Wszyscy popełniają błędy. Człowiek w masce, który zaczął się w ciemnościach, też musi popełnić jakiś błąd.

Uspokój się, Gwen. Myśl. Rozluźnij mięśnie.

– Ostrzeżliśmy cię – syknął. – Dlaczego nie wyjechałaś? Dlaczego wplątałaś w to innych? Teraz już nie ma dla ciebie ratunku.

Inni. Avery.

W jego głosie brzmiał niemal żal.

Chciała przeproszać, błagać o wybaczenie, o jeszcze jedną szansę, ale z zasłoniętych ust dobył się tylko żalostny pisk.

– Bardzo mi przykro – mówił, popychając ją w stronę łazienki. – Przykro mi, że wobec fatalnej kondycji świata muszę uciekać się do ostateczności. Przykro mi, że zostałam wciągnięta w coś, co nie jest twoją sprawą. Ale toczy się wojna, a wojna pociąga za sobą ofiary.

I tą ofiarą ma być jej życie.

„Wojna pociąga za sobą ofiary”. Czy to samo mówił Tomowi? Reszcie?

Wepchnął ją do łazienki, zamknął drzwi. W błysku, który znowu przeciął niebo, zobaczyła duży czarny worek na śmieci, zwój liny. I nóż.

Zapała się piętami o posadzkę. Walczyła z całych sił, ale już wiedziała, że ten człowiek się nie pomyli, nie popełni żadnego błędu. Wszystko dokładnie przygotował, przemyślał każdy detal.

Co z Avery? Czy już ją zabił? Czy też zginęła od noża?

Nie chce umierać.

Łzy napłynęły jej do oczu.

Nie chce umierać w ten sposób.

– Tu nie chodzi o mnie – mówił dalej. – Ani o ciebie. My jesteśmy tylko marnym pyłem. Gra toczy się o coś znacznie ważniejszego. Wiem, co myślisz. Cypress jest nieważne. Nasze starania nie będą miały żadnego wpływu na bieg świata. Mylisz się. Mały kamyk wrzucony do wody sprawia, że na powierzchni rozchodzą się coraz większe kręgi. Tak samo jest z naszymi staraniami. – Pauza. Taka pauza podczas przemówienia wzmacnia wagę słów. – Każdy nasz gest, każdy krok oddziałuje na porządek rzeczy. Dajemy przykład innym. Coraz więcej ludzi myśli podobnie jak my. Coraz więcej ludzi, którzy mają dość powszechnego zepsucia, którzy wierzą, że cel uświęca środki.

Gwen zaczęła płakać. Taki był jej wkład w tę rozmowę.

– Nadszedł czas wykonania wyroku, Gwen Lancaster.

Odwrócił się gwałtownie, nie zwalnając chwytu, i zanim Gwen zdążyła zrozumieć, co się dzieje, uderzyła głową w futrynę.

Poczuła przeszywający ból. A potem ogarnęły ją ciemności.

Rozdział 45

Avery patrzyła na tonący w deszczu ogród. Hunter wyszedł dawno, zanim jeszcze rozpętała się burza. Musi iść do Sary, wyjaśnić, ale ona wiedziała, że prawda jest inna. Chciał zostać sam i uporządkować myśli.

Był bardzo poruszony, to pewne, ale co myślał? Tego nie potrafiła powiedzieć.

Jeszcze raz przejrzeni jej listę. Wszyscy, którzy mieli coś wspólnego z dochodzeniem, zmarli nagłą śmiercią w ciągu ostatnich miesięcy.

Avery zamknęła oczy.

Wszyscy z wyjątkiem dwóch.

Czy Buddy był jednym z tych dwóch? Groziło mu niebezpieczeństwo? A może przeciwnie, to on stanowił zagrożenie?

Odwróciła się od okna.

Buddy był dobrym człowiekiem. Prawym. Nie sposób wyobrazić sobie, żeby mógł w jakikolwiek sposób naruszyć prawo, a co dopiero popełnić zbrodnię.

Nie, Buddy nie mógł tego zrobić.

Przeszła do kuchni.

Ustalili z Hunterem, że zadzwoni rano do Buddy'ego i do doktora Harrisa. Spojrzała na zegar, nie było jeszcze ósmej. Poczekaj kilka minut i zadzwoni. Najpierw do Buddy'ego potem jeszcze raz spróbuje połączyć się z Gwen.

Gwen nie odezwała się poprzedniego wieczoru. Kiedy Hunter usnął, Avery próbowała dodzwonić się do swojej współpracownicy na komórkę. Telefon był włączony, ale Gwen nie odpowiadała. Dzisiaj wczesnym rankiem spróbowała znowu. Z tym samym skutkiem.

Usiadła przy stole i natychmiast się poderwała, zbyt zdenerwowana, by usiedzieć spokojnie na miejscu. Zaczęła chodzić po kuchni tam i z powrotem.

Gdzie podziewa się Gwen? Dlaczego milczy?

Chwyła słuchawkę i wystukała ponownie numer jej komórki. Odezwała się natychmiast poczta głosowa, co oznaczało, że Gwen musiała wyłączyć telefon.

– Cześć. Tu Avery. Mam dla ciebie wiadomości. Zadzwoń.

I co teraz. Ma dzwonić do pensjonatu? Z domu? Z automatu? Jeszcze trochę poczekać? Zdecydowała, że poczeka.

Wybrała domowy numer doktora Harrisa.

Koroner podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

– Dzień dobry, doktorze. Mówi Avery Chauvin.

– Witam, pani Chauvin. Co u pani? Lepiej się pani czuje? – zagadnął serdecznie.

– Dziękuję. Trochę lepiej.

– Cieszę się. W czym mogę pani pomóc?

– Zbieram materiały do artykułu na temat śmierci Sallie Waguespack.

– Powiedziała pani: Waguespack?

– Tak.

– Mój Boże, ileż to lat.

– Tak. 1988 rok. Był pan wtedy koronerem?

– Nie. Akurat wtedy nie pełniłem urzędu. Doktor Bill Badeaux, jeśli mnie pamięć nie myli, był wtedy koronerem.

– Jak mogłabym się z nim skontaktować?

– Byłoby trudno, zważywszy, że biedak dokonał był żywota jakiś czas temu.

A więc został tylko Buddy. On ostatni.

– To przykre – powiedziała, starając się nadać głosowi normalne brzmienie. – Kiedy zmarł?

– Mniej więcej rok temu. Przynajmniej tak mi się zdaje. Od dawna nie mieszkał w naszej parafii.

Mniej więcej rok. Mógł być pierwszy. Pod Avery ugięły się kolana. Osunęła się bez sił na najbliższe krzesło.

– Chauvin, jest tam pani?

– Tak, tak. – Odchrząknęła. Chciała zapytać, jak zmarł doktor Badeaux, ale bała się, że jej ciekawość może wzbudzić podejrzenia starszego pana, tym bardziej że miała kolejne podejrzone pytanie: – Czy Buddy Stevens kontaktował się z panem ostatnio?

– Nie. A powinien?

– Zagubiły mu się gdzieś wyniki sekcji Sallie Waguespack. Miał do pana dzwonić w tej sprawie. Widać zapomniał.

– Sekcja z całą pewnością była przeprowadzona w Baton Rouge, ale bez wątplenia mam kopię raportu. Odnajdę ją i zadzwonię do pani.

– Mógłby pan zrobić to teraz? Przepraszam, doktorze, że jestem taka namolna, ale redakcja czeka na materiał. Zarezerwowali już miejsce w kolejnym numerze „Post” i absolutnie nie godzą się na przesunięcie terminu.

– Nie mogę. W tej chwili to niemożliwe – usprawiedliwiał się. – Kiedy pani zadzwoniła, wychodziłem właśnie do szpitala, a odnalezienie właściwej teczki zajmie kilka minut. Zrobię to zaraz po powrocie i za kilka godzin oddzwonię do pani.

Avery podała numer swojej komórki, pożegnała się i natychmiast połączyła się z Hunterem.

– Cześć. Koronerem w 1988 roku – zaczęła bez zbędnych wstępów – był niejaki Bill Badeaux. Zmarł mniej więcej rok temu.

– Cholera. Wiesz jak?

– Bałam się dopytywać. Pomyślałam, że zajrzę znowu do archiwum „Gazette” i...

– Ja to zrobię.

– Ale...

– Żadne ale. Już tam weszłaś. Wystarczy.

– Wierzysz mi wreszcie?

Usłyszała w słuchawce jakiś szelest, potem szczekanie Sary.

– Zadzwoń do ciebie później.

Głos Huntera zmienił się gwałtownie, był teraz spięty, niemal wściekły. Sara ujadła na całe gardło.

– Jesteś sam?

– Niezupełnie – burknął Hunter. – Zadzwoń do ciebie później – powtórzył.

– Ale...

– Czekaj na mój telefon. Rozłączył się.

Rozdział 46

Avery wzięła prysznic, ubrała się, zeszła na dół. Włączyła laptop, odebrała pocztę. Wypiła kawę. Chciała coś zjeść, potem zrezygnowała. To samo z sokiem. Co chwila spoglądała na zegar. Minuty ciągnęły się w nieskończoność.

Nie może czekać beczynn timer. Jej żywiołem było działanie, a teraz... Musi czymś wypełnić czas, inaczej zwariuje.

Wróciła na górę i stanęła w korytarzu zawieszonym zdjęciami rodzinnymi. Przechodziła koło nich tyle razy, nigdy na nie nie patrząc, były dla niej niczym tapeta. Dopiero teraz przyciągnęły jej wzrok, zmusiły do namysłu. Zdjęcia, w których zamykało się życie ich trójki, historia małżeństwa rodziców, jej dorastanie. Jej zdjęcia z matką. Co wiedziała o tej kobiecie, o jej marzeniach, tęsknotach, ambicjach? Nic prawie.

Dzienniki.

Musi znaleźć matczyne dzienniki. Na pewno są gdzieś w domu. Niemożliwe, żeby ojciec je zniszczył. Pobiegnęła na strych. Przeszuka jeszcze raz kartony, może coś jednak przeoczyła, nie zajrzała do któregoś pudła. Tak bywa z tym szukaniem, człowiek niby widzi coś sto razy, ale nie widzi, dopiero za sto pierwszym.

Upór się opłacił. Przewróciła wszystko do góry nogami i w końcu znalazła. W wielkim kartonie ze swoimi lalkami. Nigdy nie lubiła lalek, ale pomimo to matka kupowała je, jakby wierzyła, że w ten sposób jej córka stanie się w końcu prawdziwą dziewczynką.

Zeszyty leżały pod lalkami, ułożone w porządku chronologicznym. Pierwszy z roku 1965, matka miała wtedy siedemnaście lat. Ostatni z 1990 roku. Zapiski urywały się w końcu sierpnia, kiedy Avery wyjeżdżała na studia.

Otworzyła jeden z dwóch zeszytów z 1988 roku, obejmujący okres od pierwszego stycznia do końca czerwca. Tu powinna znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania.

Zapis z 19 czerwca:

Biedna kobieta. Na domiar wszystkiego w ciąży. Straszna tragedia, zbyt straszna, by o tym pisać.

Avery zasepiła się. W ciąży? W „Gazette” nie było o tym słowa. Buddy też nie wspominał o tym fakcie. Nikt o tym nie mówił. Avery zaczęła przerzucać kartki, szukając kolejnych wzmianek o Sallie Waguespack. Nic już nie znalazła.

Być może mamie coś się pomyliło.

Mało prawdopodobne. W takim razie skąd wiedziała o ciąży Sallie?

Od ojca? Tata był w końcu lekarzem domowym. Być może Sallie była pod jego opieką. Bardzo możliwe.

Dlaczego jednak ukryto tę informację?

Avery wróciła do matczynych zapisków, wierząc, że to, co tam znajdzie, rozjaśni wszystkie mroki i rozwiąże ponurą zagadkę z przeszłości.

Phillip dzisiaj znowu jakiś przygnębiony. Widzę, że dzieje się coś bardzo złego, ale nie wiem, o co chodzi. Niestety on milczy.

I dalej:

Phillip pokłócił się z Buddym. W ogóle nie rozmawiają ze sobą. Bardzo boleję nad tym, że poróżnili się o coś takiego.

O coś takiego? O co mianowicie? O sprawę Sallie Waguespack? Mieli odmienne opinie na temat morderstwa? Znaleźli się w przeciwnych obozach? Inaczej interpretowali fakty? A może w ogóle znali inne fakty?

Matka nie wracała już do sprawy konfliktu między przyjaciółmi, który z całą pewnością wygasł, ale Avery natrafiła na coś nie mniej ważnego, może nawet ważniejszego:

Buddy zaangażował się w coś dziwnego... jakieś stowarzyszenie. Tajne ponoć. Słyszałam, jak namawiał Phillipa, by i on się przyłączył.

Avery przerwała lekturę, próbowała zebrać myśli. Była oszołomiona, wstrząśnięta.

Buddy należał do Siedmiu? Namawiał ojca, by wstąpił do grupy? Powszechnie szanowany doktor, człowiek czystych obyczajów, autorytet nie tylko medyczny, świetnie się nadawał...

Pochyliła się nad zeszytem.

Dzisiaj wieczorem Phillip był na spotkaniu stowarzyszenia. Grupa Siedmiu, tak się nazywają. Wrócił w posepnym nastroju. Martwię się. Wszystko wygląda teraz inaczej. Wszystko się zmieniło.

Avery zerknęła na zegarek i zdumiała się. Spędziła bite dwie godziny, studiując dzienniki matki, a ledwie przekartkowała dwa zeszyty. Musi podzielić się z kimś lekturą.

Wyjęła z kieszeni telefon komórkowy i raz jeszcze spróbowała połączyć się z Gwen. Bez rezultatu. Gdzie ona się podziewa? Co się z nią dzieje?

Do diabła z konspiracją. Chwyciła kilka ostatnich zeszytów dziennika i zbiegła na parter.

Wprost ją roznosiło, spieszyła się, jakby każda sekunda była na wagę złota. Życia. Kto wie, może i była. Parę minut później podjeżdżała pod pensjonat. Zaparkowała, wyskoczyła z samochodu, już miała otworzyć drzwi prowadzące do recepcji, kiedy w progu pojawiła się jej dawna przyjaciółka Laurie.

– Avery – zdumiała się. – Co za zbieg okoliczności. Myślałam właśnie o tobie. Chciałam do ciebie zadzwonić, wpaść, poplotkować, ale u nas ciągle takie zamieszanie, tyle pracy, że człowiek na nic nie ma...

– Nie tłumacz się – przerwała jej Avery. – Cieszę się, że cię widzę.

Laurie spojrzała na zegarek.

– Chętnie pogadałabym z tobą chwilkę, ale strasznie się spieszę.

– A ja chciałam zobaczyć się z Gwen Lancaster. Nie wiesz, czy jest u siebie?

Laurie zmarszczyła czoło.

– Gwen Lancaster? Ta z 2c?

– Tak. Jest u siebie?

– Nie wiem. Nie widziałam jej dzisiaj.

– A kiedy widziałas ją ostatnio? To ważne.

– Nie pamiętam... Nie śledzę naszych gości.

Avery zaśmiała się, próbując pokryć zmieszanie. Rzeczywiście, Laurie miała prawo czuć się urażona jej pytaniem.

– Oczywiście, oczywiście. Przepraszam.

– Nie szkodzi. – Laurie nerwowym ruchem poprawiła torebkę. – Naprawdę muszę już iść. Mam nadzieję, że jakoś się spotkamy.

Pożegnała się z Avery, ale po kilku krokach zatrzymała się i odwróciła.

– Skąd znasz Lancaster? Nie jest z naszych stron. Avery wzruszyła ramionami.

– Poznałyśmy się w Azalii, dobrze nam się gadało, ot i cała znajomość.

– Aha – mruknęła Laurie bez przekonania. – Jej brat niedawno zaginął, tutaj, w Cypress.

Mieszkał u nas.

– Słyszałam.

– Człowiek musi uważać na każdym kroku. Do zobaczenia, kochanie.

Avery przeszedł zimny dreszcz. Co to miało być? Dobra rada? Pogróżka?

A może po prostu wyświechtany banał bez żadnego znaczenia.

Chwilę jeszcze patrzyła za Laurie, po czym weszła do holu. Przeszła obok pustej recepcji i wspięła się na piętro.

Nie wiedząc dlaczego oczekiwała, że drzwi od pokoju zostaną uchylone, jak poprzednio. Myliła się, były zamknięte. Zapukała, odczekała chwilę, zapukała jeszcze raz.

– Gwen – zawołała cicho. – To ja, Avery. Żadnej odpowiedzi. Rozejrzała się, nacisnęła klamkę. Zamknięte na klucz.

Wyjęła notes z torebki, wyrwała kartkę, pospiesznie nakreśliła kilka słów, prosząc Gwen o możliwie szybki kontakt, i wsunęła liścik w szparę pod drzwiami.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła stojącą u szczytu schodów Laurie.

Zaśmiała się nerwowo.

– Wystraszyłaś mnie, Laurie. Myślałam, że wyszłaś.

– To miłe, spokojne miasto, Avery. Dobrze się tu żyje. Nie rozumiesz tego, bo opuściłaś Cypress wiele lat temu.

– Przepraszam?

– My nie lubimy zmian. Podoba nam się jak jest, po dawnemu. Powinnaś to wiedzieć.

Avery patrzyła w osłupieniu na swoją dawną przyjaciółkę.

– Mówisz o Siedmiu, tak?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Owszem, wiesz, bardzo dobrze wiesz. Grupa Siedmiu. To oni pilnują ładu w Cypres, dbają, żeby żyło się wam rozkosznie. Siedmiu facetów, którzy nienawidzą zmian i kochają porządek. Porządek za wszelką cenę.

– Gwen Lancaster robi za dużo szumu. To awanturka. Nietutejsza. – Laurie cofnęła się o krok. – Nie lubimy, kiedy ktoś wtrąca się w nasze sprawy. Powinnaś o tym wiedzieć. Kiedyś byłaś jedną z nas.

Rozdział 47

– Hunter! – Avery z całych sił załomotała w drzwi. – To ja, Avery.

Hunter nie otwierał, a ona czuła, że liczy się każda minuta. Każda sekunda. Miała już prawie wszystkie elementy układanki. Potwierdziły się podejrzenia dotyczące Siedmiu. Wiedziała już, kto zlecił zabójstwo Sallie, wiedziała, jak zginął ojciec. Pozostawało tylko dojść, kto zabijał.

Zdemaskować mordercę, zanim będzie za późno. Zanim tamten znowu zaatakuje.

Jeżeli już tego nie uczynił.

Sara zaczęła pisać i drapać w drzwi.

Gdzie podział się Hunter? Od ich ostatniej rozmowy minęło kilka godzin. Powiedział, że się odezwie. Dlaczego milczy?

Spojrzała na zegarek. Hunter mógł pójść do sklepu albo na lunch. Mógł też się wybrać do redakcji „Gazette” w poszukiwaniu informacji na temat śmierci doktora Badeaux.

Na pewno, próbowała uspokajać samą siebie.

Tak, musi być w „Gazette”, gdzieżby indziej. Nic złego nie mogło się stać. Przecież...

Miał dziwny głos, kiedy rozmawiali. Sara ujadła jak opętana.

„Jesteś sam?”

„Niezupełnie”.

Ogarnięta paniką nacisnęła klamkę. Gdy drzwi ustąpiły, wpadła do środka.

– Hunter! Hunter!

W kuchni nie dojrzała nic podejrzanego. Przeszła do bawialni. Włączony komputer, na ekranie otwarty plik tekstowy. W kojcu śpiące spokojnie szczeniaki...

Na pozór wszystko w porządku.

Zajrzała do sypialni. I tu nie dojrzała nic niepokojącego, ale na wszelki wypadek, niczym osoba owładnięta prześladowczą manią, zajrzała pod łóżko i do szafy.

Nic, dziękować Bogu.

Zobaczyła Sarę. Suka siedziała z nosem przy drzwiach do łazienki, popiskiwała i drapała łapą, jakby chciała wejść do środka.

Pod Avery ugięły się kolana.

Podeszła powoli, niepewnie nacisnęła klamkę... i coś otarło się jej o łydkę. Wrzasnęła.

Szczeniak. Hunter przez pomyłkę uwięził w łazience jedno z dzieci Sary.

Wycofała się i przysiadła ciężko na łóżku, ukryła twarz w dłoniach. Co się z nią dzieje? To proste: zaczyna wariować. Traci rozum.

Jakby wyczuwając kiepski nastrój nowej przyjaciółki, Sara położyła jej łeb na kolanach. To było dobre. To było potrzebne. Avery podrapała ją za uchem, poklepała.

– Pewnie patrzysz na mnie jak na skończoną idiotkę, prawda?

Suka uderzyła ogonem o podłogę.

– Sara, gdzie on poszedł? Tobie też nie powiedział? – Oparła czoło o czoło Sary. – Zaczekamy na niego razem.

Suka machnęła ogonem, wzięła za grzbiet odnalezionego malucha i zaniósła go do rodzeństwa.

Avery poszła za nią. Usiadła przy komputerze. I od nowa zaczęła się niepokoić. Włączony komputer, otwarty plik. Otwarte drzwi do mieszkania. Gdzie ten Hunter, na litość boską, poszedł?

Dojrzała jakiś świstek wystający spod klawiatury. Wsunęła go.

Na nim nazwisko Gwen. Numer jej pokoju w pensjonacie.

Poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Gwen Lancaster, jej współpracowniczka. Po co mu były te informacje? Po co numer pokoju?

Wyszedł od Avery, zanim rozpętała się burza. Tłumaczył, że musi wyprowadzić Sarę. Ale czy rzeczywiście pojechał do domu? Może złożył wizytę Gwen?

Opowiedziała mu o niej wszystko. Jak ją poznała, jak straciła brata, a znalazła rozplatanego kota. Powiedziała mu, że Gwen rozmawiała z Trudy Pruitt przed jej śmiercią.

Ta ostatnia informacja bardzo go poruszyła. Dlaczego? Avery zauważyła wyraźną zmianę na jego twarzy.

A ta wiadomość od Huntera w skrzynce głosowej Trudy?

Zasłoniła usta dłonią. W głowie kłębiły się najdziwniejsze myśli.

Hunter wrócił do Cypress mniej więcej przed dziesięcioma miesiącami.

Niedługo potem zaczęła się epidemia gwałtownych zejść.

Nie. Pokręciła głową. Tylko nie Hunter.

„Wrócił, żeby nam wszystkim szkodzić. Żeby nas ukarać” – mówiła Cherry.

Ojciec mu ufał. Bez wahania wpuściłby go do domu w środku nocy.

„Zaprzyjaźniłem się z twoim ojcem. Przy każdym naszym spotkaniu mówił o tobie”.

Uciekaj, Avery. Uciekaj czym prędzej.

Nie mogła ruszyć się od biurka. Otworzyła plik tekstowy, nad którym Hunter pracował i który przed chwilą sama zamknęła.

Był opętany żądzą zemsty. Uważa się, że zemsta to rzecz ohydna, ale on żył wyłącznie tym jednym, wizją odwetu. Rozkoszował się myślą, że będzie zadawał ból, karał winnych, jak sobie na to zasłużyli...

Avery zerwała się, przewracając krzesło. Nie Hunter, to niemożliwe!

Wzięła głęboki oddech, nakazując sobie spokój. Nie czas na nerwy, powtarzała. Próbowwała otworzyć kolejne szuflady biurka: zamknięte na klucz. Znalazła świstek z nazwiskiem Owen, być może znajdzie coś jeszcze.

Oby nie, modliła się w duchu.

Wróciła do sypialni. Przeszukała szafę, potem komodę. Pod swetrami znalazła małą plastikową torebkę. Podniosła ją do oczu.

Legitymacja studencka Toma Lancastera wystawiona przez Tulane University. Złoty krzyżyk. Sygnet.

Z jej ust wyrwał się krzyk niedowierzania. Przerażenia. Upuściła torebkę i na oślep rzuciła się do drzwi. Co robić? Gdzie szukać pomocy? Do kogo się zwrócić? Do Matta? Do Buddy'ego?

Gwen. Boże, czuwaj na nią!

Na nic modlitwy, pomyślała przerażona. Nic już nie powstrzyma nieszczęścia. Za późno.

Za późno.

Sypiając z wrogiem...

Dobiegła do samochodu, usiadła za kierownicą. Dłonie tak jej drżały, że dopiero za trzecim razem trafiła kluczykiem do stacyjki. Ruszyła.

Z daleka doszedł ją sygnał syreny. Spojrzała w lusterko. Wóz patrolowy szeryfa z włączonym kogutem, na syrenie.

Matt! Zahamowała gwałtownie, zjechała na bok, wysiadła i rzuciła się w jego stronę. Biegł już ku niej.

– Avery, dzięki Bogu, że jesteś cała i zdrowa. – Przytulił ją do piersi. – Kiedy usłyszałem, przeraziłem się, że...

Przywarła do niego całym ciałem.

– Skąd wiedziałeś o Hunterze? Kiedy odkryłeś prawdę?

– Prawdę? O Hunterze? – Matt nic nie rozumiał. – O czym ty mówisz?

– Myślałam... Dogoniłeś mnie na syrenie...

Stało się coś, o czym nie wiem, pomyślała Avery i zmartwiała.

– Matt?

– Pali się dom twoich rodziców. Właśnie miałem telefon.

Rozdział 48

Zostawiła swój samochód i pojechała z Mattem. Już z daleka poczuła zapach spalenizny, a po chwili dojrzała idące w niebo kłęby dymu.

Dwa wozy strażackie.

Dom. Cały w ogniu. Nie chciała wierzyć własnym oczom. Z trudem wysiadła z samochodu.

Wiedziała już, że wszystko przepadło. Pamiątki rodzinne, zdjęcia, którym przyglądała się dzisiaj rano... Wszystko.

Zostaną jej wyłącznie wspomnienia.

Matt upewnił się, czy może zostawić ją samą, i pognął pomagać strażakom. Ledwie odszedł, pojawił się Buddy. Podbiegła do niego, a on objął ją mocno, przytulił do piersi.

– Tak się bałem o ciebie. Myślałem, że może tam jesteś... w środku, ale dzięki Bogu widzę cię całą i żywą. Bogu dzięki – powtórzył.

– Co ja teraz pocznę, Buddy? – Głos się jej załamał. – Straciłam wszystko...

– Masz nas, dziecino. Nas nie straciłaś.

– Gdzie teraz będzie mój dom?

– Zamieszkas u nas. Możesz zostać tak długo, jak zechcesz. Jesteśmy teraz twoją rodziną, zawsze będziemy.

– Pani Chauvin?

Do Avery i Buddy'ego podszedł John Price, strażak, którego poznała na czuwaniu. Zdjął hełm, otarł chustką spoconą, osmaloną sadzami twarz.

– Bardzo mi przykro, że nie udało się uratować domu. Naprawdę... Proszę mi wierzyć.

Skinęła głową, nie mogąc dobyć głosu. W tej samej chwili pojawił się Ben Mitchell. Wysiadł z samochodu, podszedł do Matta, zaczął z nim rozmawiać, po czym obydwaj zniknęli za węglem domu, czy też tego, co z niego pozostało.

– Wiecie już, jak doszło do pożaru? – zwróciła się do Price'a.

Strażak pokręcił głową.

– To już sprawa biegłego, nie moja. Ale...

– Price przestąpił z nogi na nogę. – Najpierw pani ojciec, teraz to...

Tak, najpierw ojciec zginął w płomieniach, teraz pożar strawił dom. To nie mógł być przypadek.

– Wygląda na podpalenie. – Matt, który podszedł niezauważony, jakby wpadł w tok jej myśli.

– Znaleźliśmy kanister po benzynie.

– Podpalenie – powtórzyła Avery głucho.

– Kto...? Dlaczego?

– Może nam pani powiedzieć, gdzie była i co robiła w czasie ostatnich kilku godzin?

– Tak, ja...

Lektura dzienników. Wizyta w pensjonacie. Mieszkanie Huntera. Świstek z nazwiskiem Gwen i numerem jej pokoju. Otwarty komputer.

– Avery? – Matt położył jej dłoń na ramieniu.

– Mówiłaś coś o Hunterze. Pytałaś, skąd wiem. Co miałaś na myśli?

Wpatrywała się w Matta i bezgłośnie poruszała ustami.

Skup myśli, dziewczyno. Nie panikuj. Nie wpadaj w histerię. Skup się.

Dzienniki matki. Grupa Siedmiu istnieje. W dochodzeniu po śmierci Sallie Waguespack jest jakaś luka...

Wszystko przepadło w pożarze. Wszystko z wyjątkiem...

Przecież nie mówiła nikomu o dziennikach.

– Avery. – Matt potrząsnął nią łagodnie. – Avery, co z tobą?

– Musisz mi pomóc, Matt. – Chwyliła go za rękę. – Chodź ze mną. Już, teraz.

– Avery – odezwał się Buddy. – Jesteś w szoku. Musisz odpocząć. Ochłonać. Zawiozę cię do domu i...

– Nie! – Potrząsnęła głową. – Przyjaciółka... Gwen Lancaster. Ona... ma kłopoty. – Podniosła głos. – Trzeba jej pomóc!

– Dobrze. Pomożemy ci – zgodził się Buddy.

– Znajdziemy twoją przyjaciółkę. O nic się nie martw.

– Ja się tym zajmę, tato – powiedział Matt.

– Ty jesteś potrzebny tutaj.

– Jedźcie zatem. Potem przywieź Avery do nas. Mama i Cherry przygotują dla niej pokój.

– Dokąd? – zapytał Matt, kiedy siedzieli już w jego wozie.

– Do pensjonatu. Boję się, że stało się coś strasznego.

Rozdział 49

- O co tu, do diabła, chodzi? – odezwał się Matt, ruszając. – Skąd znasz Gwen Lancaster?
- Długo by opowiadać – bąknęła Avery. – Ty ją też znasz?
- Oczywiście. Poznałem przy okazji dochodzenia w sprawie jej brata. Bardzo jej współczuję.

Wydaje się miłą osobą.

– Ona już nie żyje, Matt.

– Tego nie wiemy.

– To co się z nią dzieje? – Avery była na skraju hysterii. – Miałyśmy się spotkać. Dzwoniłam do niej. Nie odpowiada na moje telefony...

– Przestań – rzucił ostro. – Nie masz żadnego potwierdzenia, że nie żyje. Dopóki nie znajdziemy ciała, musimy zakładać, że żyje. Jasne?

Tak energicznie wkroczyli do holu pensjonatu, że Laurie, która siedziała w recepcji, wybiegła zza kontuaru.

– Matt, Avery, co się...

– Widziałaś dzisiaj Gwen Lancaster?

– Nie, ale...

– Pozwolisz, że pójdziemy na górę? Chodź z nami. Weź klucze.

W chwilę później cała trójka stanęła pod drzwiami Gwen.

– Tu zastępca szeryfa Stevens! – zawołał Matt, pukając. – Proszę mnie wpuścić, pani Lancaster. – Kiedy po dwóch próbach nie doczekali się żadnej odpowiedzi, zwrócił się do Laurie:

– Otwieraj. A teraz, proszę, zejdź na dół – dodał już trochę łagodniej. – Nie wychodź z pensjonatu. Możesz być jeszcze potrzebna.

Błąda jak płótno Laurie skinęła głową i wycofała się bez słowa.

Matt wyjął pistolet z kabury.

– Zostań na korytarzu, Avery – zakomenderował i wszedł do pokoju.

Wrócił po chwili z marsową miną.

– Czy ona...?

– Nie.

Avery położyła dłoń na sercu.

– Dzięki Bogu – szepnęła z ulgą.

– Rozejrzyj się – poprosił Matt. – Może zauważysz coś, co ja przeoczyłem. Nie dotykaj niczego. Poruszaj się ostrożnie.

– Nie rozumiem. Powiedziałaś przecież, że ona... – Słowa uwięzły jej w gardle.

Nie znalazł ciała, to oczywiste, ale musiał znaleźć coś innego, co wskazywało, że wydarzyło się coś złego.

Avery weszła do pokoju, omiotła wnętrze niepewnym spojrzeniem.

– Posprzątała. Kiedy byłam tu ostatnio, wszystko było wywrócone do góry nogami.

– Wywrócone?

– Ktoś przetrząsnął jej rzeczy.

– Dużo masz jeszcze takich tajemnic?

– Dużo – stwierdziła krótko.

Matt zacisnął usta, powstrzymując się od dalszych komentarzy.

– Podłoga jest mokra.

– To zauważyłem. Mokie plamy od wanny do łóżka. Nie wiem, co to może znaczyć. Chodź tam.

– Pociągnął Avery do łazienki.

Wskazał zaschniętą krew po wewnętrznej stronie drzwi. Kilka włosów... Avery pociemniało w oczach.

– Słabo mi – szepnęła.

Matt wyprowadził ją na korytarz i posadził w fotelu.

Avery pochyliła się, opuściła nisko głowę, wzięła kilka głębokich oddechów.

– Moja kartka zniknęła – wykrztusiła w końcu.

– Byłam tu koło południa, wsunęłam liścik pod drzwi. – Nagle uświadomiła sobie, co to może oznaczać. – Jeśli go znalazła, to znaczy, że żyje.

– Równie dobrze mógł go zabrać ktoś inny.

– Kto? Drzwi były zamknięte na klucz. – Avery pokręciła z uporem głową, nie przyjmując do wiadomości sugestii Matta. – To na pewno ona.

– Krew już zakrzepła. Jeśli to krew Gwen... Musiało minąć sporo czasu. Wezwę ekipę techniczną. Zabezpieczą ślady. Zawiadomię ojca. Będziemy szukać Gwen. Przepytamy Laurie, jej rodzinę, gości. Ale zaczniemy od ciebie. Avery musisz powiedzieć mi wszystko, co wiesz. Gotowa?

Skinęła głową.

– Spróbuję.

– Dzielna dziewczynka. A więc jak poznałaś Lancaster?

Zaczęła opowiadać. O domysłach Gwen. O Siedmiu. O dziwnych zgonach.

– Nie wierzyłam jej, dopóki nie przejrzałam starych numerów „Gazette”. Czytałam o tych wypadkach, samobójstwach... miałam to przed oczami, czarno na białym. Dłużej nie mogłam ignorować podejrzeń Gwen. Na domiar wszystkiego, według niej tata nie popełnił samobójstwa. Został zamordowany.

– Uwierzyłaś jej?

– Nie mogłam pogodzić się z tym, że ojciec popełnił samobójstwo.

– Mów dalej.

– Połączyłyśmy siły...

Matt już nie słuchał. Zastanawiał się nad czymś.

– Dlaczego pomyślałaś, że Lancaster została zamordowana?

– Umówiłyśmy się na telefon. Nie zadzwoniła, ja nie mogłam dodzwonić się do niej. Siedmiu wie, że trafiła na ich trop. Dostała od nich ostrzeżenie.

– Ostrzeżenie?

– Rozpłatanego kota. To oni przetrząsnęli jej pokój. Zginęły notatki i taśmy. – Spojrzała na Matta i zawahała się. – Nie wierzysz mi, prawda? Myślisz pewnie, że zwariowałam.

– Chciałbym tak myśleć, ale nie mogę przekreślić tego, co usłyszałem od ciebie, chociaż twoja relacja brzmi, przyznaję, niewiarygodnie. Muszę się liczyć z faktami. Mamy krew na drzwiach, mamy dwie zamordowane w odstępie zaledwie kilku dni kobiety. Nie wiemy, co dzieje się z Gwen. Tak wyglądają fakty. – Zamilkł na moment. – Co napisałaś w tym liściku?

– Prosiłam, żeby do mnie zadzwoniła. Że mam nowe informacje. – Avery podniosła głowę, spojrzała na Matta. – Sallie Waguespack była w ciąży.

– Jesteś pewna?

– Wiem o tym z dzienników mamy. Znalazłam... – Głos się jej załamał. – Nic nie zostało. Absolutnie nic. Rodzice odeszli, wszystkie pamiątki zamienione w garść popiołu... – Podpalił dom przez te dzienniki. Skądś się o nich dowiedział. Zabił Gwen. Zabił pozostałych. Znalazłam dowody.

Matt nachylił się ku niej.

– Kto, Avery? Kto to zrobił?

– Hunter – powiedziała ze ściśniętym gardłem. – Myślę, że to Hunter.

Rozdział 50

Kiedy na miejscu pojawiła się ekipa techniczna z biura szeryfa, Matt odwiózł Avery do domu rodziców. Po drodze zrelacjonowała mu szczegółowo wydarzenia ostatnich dni. Opowiedziała o nocnej wizycie w przyczepie Trudy, o wiadomości pozostawionej przez Huntera w skrzynce głosowej, o kartce z nazwiskiem Owen znalezionej pod klawiaturą komputera. O dziwnej zbieżności między jego powrotem do Cypress i plagą gwałtownych zgonów. O „fantach” ukrytych w komodzie.

Żegnając się z Mattem pod Ranczerówką, zobaczyła łzy w jego oczach.

Musiał być to dla niego straszny cios. Hunter, jego brat bliźniak, druga połowa...

– Matt, tak strasznie mi przykro. Nie wiem, co powiedzieć.

– Ciii. – Uniósł jej dłoń do ust. – Będzie jeszcze czas o tym porozmawiać. Muszę już jechać.

Lila i Cherry zaopiekują się tobą. – Zerknął w stronę ganku. – Już na ciebie czekają. Przyjadę później.

Lila i Cherry przywitały ją z otwartymi ramionami, serdecznie, wylewnie. Wiedziały już o podpaleniu, ale Avery nie chciała rozmawiać na ten temat, snuć głośnych domysłów, kto i dlaczego to zrobił.

– Biedne małeństwo – rozczuliła się Lila.

– Połóż się, kochanie. Może uda ci się zasnąć na trochę. Przydałaby ci się drzemka. – Spojrzała na Cherry. – Zaprowadź Avery do pokoju gościnnego, przygotuj czyste ręczniki i przybory toaletowe. – Kiedy ruszyły na górę, zawołała za nimi:

– Kolacja o szóstej. Makaron zapiekany z serem, na deser placek z jagodami.

Avery uśmiechnęła się blado, chociaż nie wyobrażała sobie, że mogłaby przełknąć cokolwiek. Cherry pokazała jej pokój, po czym zniknęła, by po chwili pojawić się z ręcznikami, ubraniem na zmianę i koszykiem przyborów toaletowych.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, proś śmiało, nie krępuj się.

– Dziękuję, Cherry. Jesteście wszyscy tacy dla mnie dobrzy.

Kiedy została sama w pokoju, przed oczami stanął jej rodzinny dom trawiony płomieniami. Zgliszcza.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak strasznie, tak okrutnie oszukana jak teraz.

Jak mogłeś, Hunter?

Westchnęła ciężko i poszła do łazienki.

Pół godziny później wyszła stamtąd wykapana, ubrana w spodnie i T-shirt, które pożyczyła jej Cherry. Wyciągnęła się na moment na łóżku, zamknęła oczy.

I w tej samej chwili odezwał się jej telefon komórkowy. Poderwała się i wyłowiła aparat z torebki, nie patrząc nawet na wyświetlacz.

– Gwen, co...

– Pani Chauvin? Co za zawód.

– Tak?

– Mówi Harris. Przepraszam, że tak długo to trwało, ale miałem kłopoty z odszukaniem dokumentów, które panią interesują.

Słuchała, nic nie rozumiejąc. Harris? Dlaczego on...? Dopiero po chwili przypomniała sobie. Prawda, prosiła go przecież o wyniki autopsji Sallie Waguespack. Mój Boże, miała wrażenie, że od porannej rozmowy z koronerem minęły całe wieki.

– Jest tam pani?

– Tak. Przepraszam. Miałam ciężki dzień.

– Ja też... Niestety, nie mam dla pani dobrych wiadomości. Nie przeprowadzono sekcji Sallie Waguespack.

– Nie przeprowadzono? Ale w przypadku morderstwa to chyba wymóg?

– Owszem. Sam jestem zdziwiony, niemniej koroner uznał, że tym razem autopsja nie jest konieczna. Sprawcy zginęli. Nie było podstaw do wszczęcia procesu. Nikt nie żądał orzeczenia o przyczynie zgonu, a policja i bez tego miała wystarczającą ilość dowodów, łącznie z narzędziem zbrodni i odciskami palców.

– Sprawa zamknięta – mruknęła Avery pod nosem, a głośniejszym głosem dodała: – Pan postąpiłby tak samo?

– Ja? Nie. Ale ja mam swoje żelazne zasady albo idiosynkrazje, jak kto woli... no, uczulenie, wręcz obsesję. Kiedy idzie o zejście śmiertelne, nic dla mnie nie jest oczywiste. – Harris przerwał, odchrząknął, jakby chwilę się wahał. – Mam jeszcze jedną wiadomość, która panią zaskoczy. Doktor Badeaux nie wykonywał obowiązków koronera w tej sprawie.

Avery wyprostowała się.

– Więc kto?

– Pani ojciec, Avery. Doktor Phillip Chauvin.

Rozdział 51

Avery siedziała bez ruchu na łóżku, kurczowo ściskając w dłoni telefon. Doktor Harris wyjaśnił jej wszystko. Badeaux miał dwóch zastępców, w przypadku zgonu na miejsce udawał się któryś z tej trójki.

Kiedy Sallie Waguespack została zamordowana, Badeaux spędzał w Paryżu miesiąc miodowy, wezwano więc Chauvina. Ojciec Avery podpisał akt zgonu i to on zdecydował, że nie będzie autopsji, a Badeaux po powrocie nie zakwestionował jego decyzji. Można powiedzieć, że sprawa spoczęła w ziemi razem z ofiarą.

Trudy Pruitt mówiła prawdę. Jej synowie nie zabili. Ojciec Avery pomógł prawdziwemu mordercy ująć kary.

Nie mogła uwierzyć, że to zrobił. Zawsze miała go za człowieka prawego, nieskazitelnie uczciwego, o niezłomnych zasadach.

Do końca życia dręczyły go wyrzuty sumienia, to dlatego nie pozbył się wycinków, miały mu przypominać o przewinieniu. Czy bał się, że zostanie odkryte? A może czekał na to?

Nie mógł dłużej żyć ze świadomością, że kiedyś przyłożył rękę do zbrodni. Ale nie popełnił samobójstwa. Chciał się ujawnić. Oczyszczyć Pruittów z niesłusznie ciążyącej na nich winy.

Dlatego zginął.

Dlaczego jednak zdecydował się wtedy, przed laty, pomóc mordercy? Kogo osłaniał?

To oczywiście. Swojego najlepszego przyjaciela. Buddy'ego Stevensa.

Avery zamknęła oczy. Buddy ją okłamał. Twierdził, że nie ma pojęcia, dlaczego ojciec przechowywał wycinki. Powiedział, że ojciec nie brał udziału w dochodzeniu.

Tymczasem tkwił po uszy w tej sprawie. Obaj byli uwikłani.

Przypomniała sobie, co przeczytała w dzienniku matki. Po śmierci Sallie Waguespack wszystko się zmieniło. Stosunki ojca z Buddym popsuły się diametralnie. W ostatnich latach w ogóle przestali ze sobą rozmawiać, jeśli miała wierzyć słowom Huntera.

Ojciec musiał znienawidzić Buddy'ego, to przez niego przecież złamał zasady.

Biedna kobieta. Na domiar wszystkiego w ciąży, W ciąży. Z kim?

Lila będzie wiedziała.

Avery chwyciła torebkę, w której miała dwa, szczęśliwym zrządzeniem uratowane przed spalaniem, zeszyty matczynych dzienników, i zeszła do kuchni.

– Znacznie lepiej wyglądasz – przywitała ją Lila ciepłym słowem i równie ciepłym uśmiechem. – Wiesz, coś jednak jest w tych niewyszukanych, domowych daniach – ciągnęła, krzątając się przy garnkach. – Pomyśl, makaron zapiekany z serem, risotto z kurczaka albo porządny kawałek pieczeni wołowej, i człowiek od razu czuje się lepiej.

Gdyby to było takie proste, pomyślała Avery. Jak z reklam z lat pięćdziesiątych. Lśniące

kuchenki, pełne wszelkich dóbr lodówki – ikony dostatku, powszechnej szczęśliwości, uśmiechnięte gospodynie domowe z głowami prosto od fryzjera, z paznokciami prosto od manikiurzystki. Stary serial telewizyjny. Rumiane bobasy, spasione aniołki, domek z ogródkiem, przed domem nowy samochód. Prosperity i samozadowolenie pierwszych lat po wojnie.

Życie niestety nie przypominało starych reklam i starych seriali, chociaż Lila bardzo chciała upodobnić je do reklam i seriali. Życie Lili – odcinek starego serialu. Oszustwo. Iluzja.

Pozór doskonały pomagający ukryć prawdę.

Jak wygląda prawda?

Avery wyjęła z torebki dzienniki matki.

– Muszę cię o coś zapytać – powiedziała cicho.

– To bardzo ważne. Mam tu dzienniki matki. Znalazłam na strychu cały komplet, wszystkie. Te dwa ocalały, bo wychodząc rano z domu, zabrałam je ze sobą. Przejrzałam je i chcę cię o coś zapytać.

– Oczywiście, kochanie. Co chcesz wiedzieć?

– Z kim Sallie Waguespack była w ciąży? Lila odmierzała właśnie mleko, które miała dodać do ciasta. Szklaneczka wypadła jej z ręki.

– Lili?

– Nie wiem, o czym mówisz. – Lila chwyciła ścierkę i zaczęła gorączkowo wycierać rozlane mleko.

– Owszem, wiesz. Czyje to było dziecko? Lila stanęła nieruchomo, w kuchni zaległa głucha, martwa cisza.

– Oni wszyscy już nie żyją – podjęła Avery. – Wszyscy, którzy mieli cokolwiek wspólnego ze śmiercią Sallie, już odeszli. Z wyjątkiem Buddy’ego. Wiesz, co to oznacza?

Z gardła Lili wyrwał się szloch. Avery podeszła bliżej.

– Powiedz, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy. Buddy, mój ojciec, Pat Greene, oni byli w zмовie. Kogoś kryli. Kogo, Lili? Ci chłopcy nie zabili Sallie Waguespack.

Lila otworzyła usta, ale tylko poruszyła nimi kilka razy bezgłośnie, jak ryba chwytająca powietrze. Avery potrząsnęła nią.

– Jesteś jedyną osobą, której wspomniałam o dziennikach. Tam było wszystko. Komu powtórzyłaś naszą rozmowę? Kto podpalił mój dom? Kto chciał zniszczyć dowody?

– Proszę – jęknęła Lila. – Proszę, ja...

– Przestań go osłaniać. Musisz to wreszcie wyjaśnić, przeciąć. Tylko ty jesteś w stanie to zrobić. Tylko ty możesz...

– To było dziecko Buddy’ego! – wyrzuciła z siebie. – Oszukał mnie. Zdradził rodzinę. Zdradził to miasto. Pan Paragraf, za dnia nauczający wszystkich dookoła, że mają żyć w bojażni Bożej, w poszanowaniu prawa, a w nocy cudzołożył z tą... tą dziwką! – Wybuchnęła

spazmatycznym płaczem, skurczyła się w sobie, jakby rozpacz przyginała ją do ziemi. – Ona... zaszła w ciążę. Wtedy Buddy wyznał mi prawdę. Ja nic... nigdy...

Nic nie wiedziała. Nie podejrzewała. Bogobojna żona bogobojnego szefa policji.

Avery szczerze jej współczuła. Zawsze, odkąd mogła sięgnąć pamięcią, wydawało się jej, że Stevensowie są idealnym małżeństwem. Najwyraźniej Lili też się tak wydawało.

– Ona chciała go zniszczyć. Rozgłosić wszystkim dookoła. Nie mogłam na to pozwolić. Nie mogłam dopuścić, żeby do mojej rodziny przylgnął brud, błoto.

– Co zrobiłaś? – zapytała Avery, chociaż znała już odpowiedź.

– Poszłam do niej. Prosiłam, błagałam, żeby milczała. Żeby nas oszczędziła. Jaka ja byłam naiwna. Sallie Waguespack nie znała takiego słowa. Wyśmiała mnie. Powiedziała, że jestem żaloszna. Żaloszna kura domowa, garkotłuk, tak mnie nazwała. – Lila zacisnęła dłonie. – Chępiła się, jak go uwiodła, jakie to było łatwe, opowiadała... jak dobrze im razem w łóżku. Chępiła się, że jest w ciąży. Powiedziała, że nie będzie milczeć, żebym tego po niej nie oczekiwała. Siedziałyśmy w kuchni. Płakałam, błagałam, żeby przestała, żeby się zamknęła. – Oczy Lili zrobiły się szkliste, martwe. – Ja nie chciałam. Naprawdę nie chciałam. Musisz mi uwierzyć.

– Mów, Lilu. Powiedz mi wszystko.

– Chwyciłam nóż i... ugodziłam ją. Raz, potem drugi. Nie wiem, ile ciosów zadałam... aż zobaczyłam... krew. Wszędzie pełno krwi.

Avery cofnęła się, oparła o szafkę.

– A Buddy zrobił resztę – szepnęła.

– Tak. Nie prosiłam go o to, ale powiedział, że wszystkim się zajmie, że mam być cicho. Nie rozumiałam, co to może znaczyć... co zamierza. Dopiero następnego dnia...

Sprokurował dowody. Uczynił z Pruittów winnych morderstwa. Wybrał ich na kozły ofiarne. Wszystko po to, by osłonić żonę. I ratować siebie.

Wciągnął w to swojego najlepszego przyjaciela, a przy okazji także Pata Greene'a i Kevina Gallaghera.

– Musiałam z tym żyć przez te wszystkie lata. Poczucie winy. Wyrzuty sumienia. Ci chłopcy... Co ja najlepszego... – Ogarnęła ramiona dłońmi. – Buddy ubłagał twojego ojca, żeby skłamał. Żeby nie zarządził autopsji. Pruittowie nie żyli. To było takie proste...

– Wiedzieliście, że nie dojdzie do procesu.

– Tak. Twój ojciec nie potrafił tego znieść. Wyrzuty sumienia... Dlatego popełnił samobójstwo. Żałuję, że nie miałam dość odwagi, by zrobić to samo! Moje dzieci... moi przyjaciele. Zniszczyłam życie tylu ludzi.

Drzwi do kuchni otworzyły się pchnięte gwałtownie i do kuchni wpadł siny na twarzy Buddy, za nim Cherry.

– Dość! – ryknął.

Cherry podbiegła do matki, otoczyła ją ramionami.

– Za późno, Buddy – powiedziała Avery. – Jak mogłeś?

– Nie chciałem, żebyś się dowiedziała – powiedział z żalem. – Twój ojciec też nie chciał.

– Skąd wiesz, czego chciał mój ojciec? – wybuchnęła. – Zmusiłeś go do kłamstwa! Przez wzgląd na przyjaźń.

Buddy pokręcił głową.

– Chciałem tylko chronić swoją rodzinę. Potrafisz to chyba zrozumieć? Lila nie była niczemu winna. Nie mogłem dopuścić, żeby poszła do więzienia za moje błędy. Za moje grzechy. Twój ojciec to rozumiał.

– Zostaw mojego ojca... Kazałeś skłamać Greene'owi, że widział Pruittów?

– Tak. Prosiłem, żeby mi pomógł. Powiedziałem mu, że miałem romans z Sallie. Tylko tyle. Był moim przyjacielem. Ufał mi.

– A narzędzie zbrodni? – spytała Avery z jadowitym sarkazmem.

– Ja je podrzuciłem. Pat o niczym nie wiedział. Gallagher przygotowywał Sallie do pochówku. Poprosiłem go, by nie rozgłaszał, że dziewczyna była w ciąży. Po co? Najtrudniej było przekonać twojego ojca. W końcu uległ, ale tylko przez wzgląd na Lilę i dzieci.

– Ci dwaj chłopcy... – szepnęła Avery zdjeta zgrozą i wstrętem. – Oni byli...

– To męty. Ludzki śmieć. Jeden dziewiętnaście lat, drugi dwadzieścia, i obaj po kilka razy zatrzymywani. Za narkotyki, usiłowanie gwałtu, zakłócanie porządku, pijackie burdy. Nic by z nich nie było, takie szumowiny... Poświęcenie kogoś takiego dla ratowania rodziny nie było wcale trudną decyzją.

– Nikt cię nie zatrudniał na stanowisku Pana Boga, Buddy.

Przez jego twarz przebiegł grymas złości.

– Twój ojciec mówił to samo. Widać rzeczywiście niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– A Sal? Dlaczego on? Potrzebowałeś „Gazette”, żeby urobić opinię publiczną?

– Sal nie miał z tym nic wspólnego. Był przekonany, że wszystko było tak jak w oficjalnym raporcie, ale dzięki „Gazette” mogłem uczulić ludzi na kontekst zbrodni. Wywołać poczucie zagrożenia narastającą falą przestępczości płynącej z innego świata, z wielkich miast. Nastawić przeciwko zdemoralizowanej młodzieży. Krzyczeć o pladze narkotyków. I w ten sposób odwrócić uwagę od samej zbrodni.

– Spodobało ci się, prawda? – Avery najchętniej plunęłaby mu w twarz. – Założyłeś stowarzyszenie. Uznałeś, że masz prawo, przy wsparciu sześciu sobie podobnych drani, decydować, jak powinni żyć inni. Zmuszać ludzi, by tańczyli, jak zagracie, bo inaczej... Staliście się sędziami i egzekutorami. Z wiadomym skutkiem.

– To nie tak. Kochaliśmy to miasteczko. Chcieliśmy strzec ładu. Obserwowaliśmy ludzi. Czasami trzeba było komuś złożyć przyjacielską wizytę. Użyć siły perswazji, jeśli zaszła

konieczność.

– Siły perswazji? Co za piękne określenie. Co to było, ta wasza perswazja? Tłuczenie okien? Niszczenie dobytku? Pogrożki? Doprowadzanie ludzi do bankructwa przez bojkotowanie ich sklepów? Dlaczego niepłonące krzyże przed domami napiętnowanych? W końcu niczym się nie różniliście od morderców z Ku-Klux-Klanu. Jakimi kryteriami kierowaliście się, wydając wyroki śmierci?

Buddy był najwyraźniej zaszokowany oskarżeniami Avery.

– Na Boga, nie byliśmy mordercami. Namawialiśmy tylko nieposłusznym, by zmienili swoje postępowanie. Albo miejsce pobytu – dodał po chwili.

– Nieposłusznym? Inaczej mówiąc, żądaliście od mieszkańców Cypress bezwzględnego posłuszeństwa. Jakim prawem? Niedobrze mi się robi, kiedy cię słucham.

– Nie rozumiesz. Nam zależało na dobru mieszkańców Cypress. Nasze akcje wynikały z troski. Nikogo nie skrzywdziliśmy.

– Rozumiem aż nazbyt dobrze. – Avery spojrzała na Cherry. Dziewczyna płakała, tuliła matkę do siebie i płakała. – Jesteś nędznym hipokrytą. Uzurpowałeś sobie prawo do pouczenia i karania wszystkich dookoła, a sam miałeś więcej na sumieniu niż ktokolwiek inny.

W oczach Buddy'ego zaślniły łzy.

– Myślisz, że nie cierpię z powodu moich grzechów? Gdyby można było cofnąć czas, nigdy nie zbliżyłbym się do Sallie Waguespack. Nie doszłoby do nieszczęścia. – Wyciągnął dłoń do Avery. – Nie patrz na mnie tak, jakbym był potworem. To ja, Buddy. A ty ciągle jesteś moją dziewczyną.

– Nie. – Avery cofnęła się ze wstrętem. – Nigdy więcej mnie nie dotkniesz.

– Zrozum, Avery. Bałem się o swoją rodzinę. Musiałem chronić Lilę, dzieci...

– Chroniłeś przede wszystkim własną skórę. Za każdą cenę. Za cenę ukrycia zbrodni. Za cenę kolejnych morderstw.

– Nigdy nikogo nie zamordowałem!

– Czyżby? Wszyscy, którzy byli w jakikolwiek sposób uwikłani w sprawę Sallie Waguespack, już nie żyją. Wszyscy z wyjątkiem ciebie. Jak mam to rozumieć, Buddy?

– O czym ona mówi, tato? – szepnęła Cherry. Buddy zerknął niespokojnie na córkę.

– To nieprawda. Nie słuchaj jej, kochanie. Ona jest w szoku, nie wie, co mówi. Wszystko jej się płacze w głowie.

– Nic mi się nie płacze. Zamordowałeś swoich przyjaciół. Dlaczego? Bo chcieli ujawnić prawdę? Bo nie mogli żyć dłużej z poczuciem winy? Dlatego zabiłeś swojego najserdeczniejszego przyjaciela? Obezwładniłeś paralizatorem, przeciągnąłeś do garażu, oblałeś olejem napędowym...

– Nie! – krzyknęła Lila. – Nie.

– Nieprawda. – Buddy zrobił się blady jak kreda. – Nie miałem z tym nic wspólnego. Nie mógłbym...

– Nie wierzę ci. Nie wierzę ani jednemu twojemu słowu. Nigdy już nie uwierzę.

Teraz wszystko było przeraźliwie jasne: depresja Lily, jej alkoholizm, wyjazd Huntera, wysiłki Cherry, żeby rodzina do końca się nie rozpadła.

– Nikt nie musi o niczym wiedzieć. – Buddy zniżył głos. – Wszystko zostanie w rodzinie, bo jesteśmy jedną rodziną. Kochamy cię, Avery.

Kiedyś mu wierzyła, ufała mu. Teraz już nie potrafiła.

– To koniec, Buddy.

– Tylko my ci zostaliśmy. – Gdy zrobił krok w jej kierunku, Avery cofnęła się odruchowo. – Cypress jest twoim domem.

Kolejny krok i znowu się cofnęła. Za plecami miała ścianę, przed sobą Buddy'ego. Nie mogła wykonać żadnego ruchu. Zdjęła ją panika. Była w potrzasku.

– Oddaj mi dzienniki. Laurie do mnie dzwoniła. Powiedziała mi, że byłaś w pensjonacie, że zostawiłaś list dla Gwen. Martwi się o ciebie.

– Wszyscy się martwimy – wtrąciła Lila. – Kochamy cię, Avery. Jesteś jedną z nas.

– Tak – wsparła matkę Cherry. – Oddaj tatusiowi te dzienniki i wszystko będzie OK.

Avery próbowała ocenić sytuację. Troje przeciwko niej. Buddy, góra mięśni z pistoletem za pazuchą. Lila, krucha niczym porcelanowa figurka, która zaraz rozpadnie się na drobiny.

Zamieniona w słup soli Cherry, reagująca na to, co się wokół niej dzieje, z dziesięciominutowym opóźnieniem.

Jedyne realne zagrożenie stanowił Buddy.

Gaz! Ma przecież pojemnik z gazem!

– No, dziecinko – przemawiał do niej Buddy. – Jesteśmy przecież jedną wielką, kochającą się rodziną.

– Tak, tak – przytaknęła drżącym głosem, sięgając jednocześnie do przewieszanej przez ramię torebki. – Jesteśmy rodziną. – Zacisnęła palce na pojemniczku, wyrwała go szybkim ruchem z torebki i prysnęła Buddy'emu gazem prosto w oczy.

Z krzykiem zatoczył się do tyłu, zaś Avery jednym susem dopadła drzwi, goniona nawoływaniami Lili i Cherry. Nie wiedziała nawet, kiedy znalazła się na ganku.

Tu uświadomiła sobie, że nie ma samochodu.

Za plecami usłyszała tupot stóp. Buddy zaraz ją dopadnie.

Wieczorny mrok przecięły światła samochodu. Pod domem z piskiem opon zatrzymał się biały sedan Matta, otworzyły się drzwi od strony pasażera.

– Wsiadaj, szybko. To nie Hunter, to tata. Uciekamy.

Zerknęła przez ramię. Buddy coś krzyczał, próbował wyciągnąć pistolet z kabury.

Nie mieli czasu do stracenia. Gdy wskoczyła do samochodu, Matt ruszył z piskiem opon. Obejrzała się. Buddy biegł jeszcze chwilę za nimi. W końcu zrezygnowany stanął na środku jezdni.

Ukryła twarz w dłoniach. Miała wrażenie, że za chwilę straci resztki kontroli nad rozedrganymi nerwami, rozpadnie się w gwiazdny pył.

– Nic ci nie zrobił? Skinęła głową.

– Kiedy... jak do tego doszedłeś?

– Że to tata? Kocham go, ale jest słabym człowiekiem. Bezwolna kupa mięsa.

Nic z tego nie rozumiała.

– Chyba nie chcesz go usprawiedliwiać? To morderca, Matt.

Uśmiechnął się... tak jakos dziwne. Avery nagle zrobiło się zbyt ciasno w pędzącym wozie. Kątem oka zauważyła, że Matt ma pistolet na siedzeniu, tuż koło uda. Znow znalazła się w potrzasku, zakolatała gdzieś w tyle głowy ledwie uchwytna myśl.

Poczuła gęsią skórę na całym ciele.

– Miałaś rację, że mi zaufałaś – ciągnął Matt. – Tata miał dobre zamiary, ale za bardzo ulega emocjom i to czyni go słabym.

Matt jest współnikiem Buddy'ego. Należy do Siedmiu.

A ona, idiotka, wsiadła do jego samochodu.

Pistolet na siedzeniu...

Gdy dojeżdżali do światła, Avery przesunęła się nieznacznie, gotowa wyskoczyć. Kiedy Matt zahamował na czerwonym, ukradkiem nacisnęła kławkę. Zablokowana.

Śmiech Matta.

– Naprawdę myślisz, że jestem aż taki głupi, Avery?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Dobranoc, Avery.

Zanim zrozumiała, co się dzieje, zdzielił ją kolbą pistoletu w skroń. Poczuła rozrywający ból w czaszce, a potem już nic.

Rozdział 52

Avery powoli dochodziła do siebie. Ból rozsadzał czaszkę. Otworzyła oczy i jęknęła cicho.

Leżała na jakimś łóżku, na gołym materacu. Spróbowała usiąść, ale nie mogła się poruszyć.

Ręce i nogi miała przywiązane do prętów łóżka.

Wyznania Buddy'ego. Zjawiający się nagle Matt superman. A potem cios kolbą w głowę.

Przerażona i wściekła zagryzła wargę.

Nie, nie pokonają jej. Nie ujdzie im na sucho.

Musi się skupić. Myśleć trzeźwo. To teraz najważniejsze.

Rozejrzała się. Niewielkie, przesycone wonią wilgoci pomieszczenie, na prawo od łóżka otwarte drzwi, jedno, też otwarte, okno. Cisza i świergot ptaków.

Wywiózł ją za miasto.

Surowe wnętrza z drewnianych bali.

Chata myśliwska? Ta sama, w której była Gwen? Avery usiłowała sobie przypomnieć, gdzie była położona tamta chata. Przy Drugiej Bocznej, w bok szosy 421. Tak chyba mówiła Gwen. Co oznaczałoby, że znalazła się kilkanaście kilometrów na południe od Cypress, gdzieś w pobliżu wypalonych hal zakładów Old Dixie.

– Uśmiechnij się. Zaczął się nowy dzień.

– W progu pojawił się Matt.

– Nie mam powodów do uśmiechu.

– Powiedziałbym, że wstałaś lewą nogą, ale w twoim położeniu trudno mówić o wstawaniu – zdobył się na dowcip wątpliwej jakości.

– Sukinsyn.

– Złośnica. – Podeszedł do łóżka, stanął tuż nad Avery. – Bardzo mi przykro, że musiałem się uciec do tak radykalnych środków. Naprawdę mi przykro.

– Skoro tak ci przykro, to mnie uwolnij, psycholu.

– Zawiodłaś mnie, Avery. Zdradziłaś. Mnie, nas wszystkich.

– Zabiłaś mojego ojca!

– Zawsze byłaś trochę za bystra. Lepiej jak człowiek mniej wie, mniej widzi, mniej rozumie.

Żyje spokojniej i bezpieczniej.

Nachylił się i pocałował ją w usta.

Kiedy w końcu odchylił głowę, plunęła mu w twarz.

Rozwścieczony, wymierzył jej siarczasty policzek. Uderzył tak mocno, że poczuła krew na wargach.

– Miałas być moja. Wybrałem cię. Dwa razy. A ty zламаłaś mi serce. Pierwszy raz, wyjeżdżając. Drugi, oddając się mojemu bratu. – Zaśmiał się głośno. – Nie rób takiej zdziwionej

miny. Masz mnie za głupca? Już wtedy, przy stawie Tiller, zacząłem coś podejrzewać. Ale jeszcze nie chciałem wierzyć. Kiedy zobaczyłem cię u niego w domu, rano, miałem już całkowitą pewność.

Avery jęknęła cicho na myśl o Hunterze, o tym, w co go wplątała, na jakie ryzyko naraziła.

Jak mogła podejrzewać go o najgorsze?

Matt uklęknął na łóżku, nachylił się nad Avery, zaczął ją pieścić.

– Pamiętasz, jak to było między nami? Ile to czasu minęło... – szeptał. – Nikt nigdy nie potrafił mi dać tego, co ty mi dawałaś.

Lepki dotyk Matta.

Dławiła się. Było jej niedobrze. Miała wrażenie, że jeszcze chwila, a zwymiotuje.

– Było nam dobrze razem. Jesteśmy stworzeni dla siebie.

Graj, Avery. Użyj sprytu. Zawsze jest jakaś szansa. Nie ma sytuacji bez wyjścia.

– Tak – przytaknęła ledwie słyszalnie. – Wszystko pamiętam.

– Dlaczego mnie zostawiłaś? Dlaczego?

– Była młoda. Głupia. Nie wiedziałam, jaki jesteś silny. Jaki potężny.

W oczach Matta błysnęła furia.

– Nie pieprz. Wyjechałaś. Miałas mnie gdzieś. A potem... a potem pierdoliłaś się z moim bratem. Ty...

– Nie! – Nie pozwoliła mu dokończyć. Spróbowała użyć innej taktyki: – Dopiero teraz rozumiem, dlaczego wyjechałam. Zostawiłam cię, bo myślałam, że będziesz taki sam jak twój ojciec. Słaby, cofający się przed prawdziwymi wyzwaniem. Kocham go, ale... on jest słabym człowiekiem.

Matt znieruchomiał. Słuchał.

Avery brnęła dalej:

– Byłeś zdolny. Zawsze najlepszy w klasie. Świetne stopnie. I nagle mówisz, że nie wyjedziesz z Cypress, że zostaniesz policjantem. Jak twój ojciec. Byłam zawiedziona. Rozumiesz?

Przyglądał się jej uważnie, w końcu nieznacznie skinął głową.

– Musiałem zostać. Miałem misję do spełnienia.

– Teraz już to wiem. Wtedy nie wiedziałam.

– Tata jest za słaby.

– Cofa się przed tym, co musi być zrobione – strzeliła na oślep.

– Właśnie. – Spojrzał na Avery z dumą, że taka bystra, domyślna. – Zbyt często słucha własnego serca. – Pokiwał smutno głową. – Przywódca nie może kierować się uczuciami. Bo wtedy wszystko się rozsypuje, staje się własną karykaturą. Przywódca ani na chwilę nie może tracić z oczu swojego celu, zapominać o swojej wizji.

– O sprawie. A twoją sprawą jest dobro Cypress Springs.

– Tak. Tata stał na czele pierwszej Siódemki. Był jej założycielem. Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Okazał się zbyt słaby. Ulegał naciskom pozostałych członków grupy. Przede wszystkim naciskom twojego ojca.

– Mojego ojca? – Avery udała zdumienie i coś jakby rozgoryczenie fatalnym wpływem, jaki jej rodzic miał na Buddy'ego.

– Owszem, twojego ojca. Dobrego doktora Chauvina. – Każde słowo Matta zdawało się wprost ociekać żywą antypatią. – Groził, że powiadomi o wszystkim federalnych. Mówił, że przekroczyli dopuszczalne granice. – Matt nachylił się, jakby zawierzał Avery najcenniejszą z prawd. – Tam, gdzie toczy się wojna, nie ma czegoś takiego jak dopuszczalne granice. Rozumiesz? Życie albo śmieć. Czarne albo białe. Wygrana albo klęska.

– Żadnych kompromisów.

– Właśnie. – Poglądził ją czule po policzku. – Są tacy, których trzeba poświęcić dla dobra większości. Prawa jednostki zostają pogwałcone, ale w imię wyższych, wznioślejszych ideałów.

– Mój ojciec nie godził się na to?

– No właśnie, nie godził się. Wolał być Dobrym Doktorem. – W ustach Matta zabrzmiało to jak najgorsza obelga. – Omal wszystkiego nie zaprzepaścił ten przyjaciel wszystkich słabych i ułomnych... Buddy opowiedział ci o Sallie Waguespack? Na pewno nie opowiedział. Skądże by. – Matt zaśmiał się. – Tamtego wieczoru pokłóciliśmy się o tego nowego chłopaka, Mike'a Horna. Pamiętasz go? Był synem dyrektora zakładów Old Dixie. – Mówił dalej, nie czekając na odpowiedź: – Mike zachowywał się, jakby całe Cypress do niego należało. Nie podobało mi się to. To było moje miasto, nie miał prawa się tu rządzić. Pomyślałem, że damy mu nauczkę, ja, Hunter, jeszcze kilku chłopaków. Hunter nie chciał nawet o tym słyszeć. Powiedział, że lubi Mike'a. Zrobił mi wykład, że to, co chcę zrobić, jest wstrętne. Tak to określił, wstrętne. – Matt skrzywił się. – Całe lato się stawiał. Na każdym kroku. Nic mu się nie podobało. Wygarnąłem mu prosto w oczy, co o nim myślę. O tobie też. Chciał się z tobą pieprzyć, widziałem, że go aż skręca. Wszyscy widzieli. No i powiedziałem mu. Pobiliśmy się i wyszedł z domu. Poszedł do Karla.

– Do Karla Wrighta?

– Tak. Nie mogłem usnąć. Usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi frontowe. Myślałem, że Hunter zmienił zdanie i wrócił. To była mama. Zapłakana, rozhisteryzowana. Cała we krwi: twarz, ręce, ubranie... Przeraziłem się. Myślałem, że coś się jej stało, że jest ranna. Wreszcie zrozumiałem z jej nieskładnych słów, że kogoś zabiła. Kochankę ojca. Nie chciała zabić, ale zabiła i zupełnie straciła głowę.

Avery mogła to sobie wyobrazić. Rozhisteryzowana Lila, przerażony szesnastoletni Matt.

– Ja też straciłem głowę. Ojca nie było w domu, nie wiedziałem, gdzie go szukać. Poszedłem do mieszkania Sallie. Wszystko było, jak opisała mama, z jednym wyjątkiem. Ona jeszcze żyła. Doczołgała się do drzwi, ale nie mogła już ich otworzyć. W pierwszej chwili chciałem jej pomóc. Przekonać ją, żeby siedziała cicho. Ani słowa nikomu o mamie, o romansie z tatą. – Zaciął ze złości zęby. – Kpiła ze mnie. Szydła. Pytała, czy się ucieszę z braciszka. Mówiła, że zrobi z nas pośmiewisko. Wyzwała mnie od głupców. Mnie, Avery. Od głupców. Możesz sobie wyobrazić? Broczyła krwią i śmiała się. Jakby chciała mi udowodnić, że panuje nad sytuacją. – Przymknął na chwilę oczy. – Prosiłem, żeby się wreszcie zamknęła. Płakałem. A ona się śmiała. Mówiła wstrętne... obłe rzeczy. Więc ją uciszyłem. Położyłem jej dłoń na twarzy, zasłoniłem usta, nos i tak długo trzymałem, że wreszcie ucichła. Jak ja się wtedy poczułem... – Matt uśmiechnął się nieznacznie na tamto wspomnienie. – Byłem potężny. Nie do pokonania. – Nachylił się do Avery. – To jest władza. Miałem władzę nad życiem i śmiercią. Zawsze wiedziałem, że jestem kimś wyjątkowym. Dostrzegam rzeczy, których inni nie widzą. Patrzyłem, jak ta kobieta umiera, i wiedziałem, że jestem stworzony na przywódcę.

Avery słuchała go w przerażeniu.

Tamtego lata... Spotykali się codziennie. Byli ze sobą, spali ze sobą. Układali wspólne plany na przyszłość.

Wtedy byłaby gotowa przysiąc, że wie o nim wszystko.

W ogóle go nie znała.

– A więc mój tata wiedział... – zaczęła, z trudem dobywając głos z gardła.

– Że ją zabiłem? Nie. Mój ojciec znalazł mnie w jej mieszkaniu. Obiecał, że wszystkim się zajmie. Powiedział, żebym się nie bał, o nic nie martwił. Kazał mi wracać do domu i trzymać buzię na kłódkę. On mnie uratuje, tak to określił.

– Matt znowu się uśmiechnął. – On mnie. Zabawne. Ale pomimo wszystko był przydatny, to muszę mu przyznać. Podzielał moją wizję. Do pewnego stopnia, ma się rozumieć. Na swój ograniczony sposób. – Twarz Matta zmieniła się raptownie, w oczach pojawiły się łzy, rozrzewnił się ni stąd, ni zowąd. – Mogliśmy się pobrać – westchnął. – Mogliśmy mieć dzieci. Zestarzeć się razem.

Na myśl, że jeszcze niedawno sama się zastanawiała nad taką ewentualnością, żołądek podszedł jej do gardła. Oczywiście roztropnie nie podzieliła się z Mattem swoim odczuciami natury, powiedzmy, psychosomatycznej.

– Wszystko przed nami, Matt – powiedziała, starając się, żeby jej słowa brzmiały w miarę szczerze i przekonująco. – Będziemy razem.

Chyba go jednak nie przekonała.

– Przepraszam, Avery. – Matt na chwilę odwrócił wzrok. – Naprawdę tego nie chciałem, ale tak już jest, że człowiek musi poświęcać własne pragnienia i własne dobro dla dobra ogółu.

Nie mógł już chyba jaśniej wyłożyć swoich intencji.

– Jeszcze nie jest za późno. – Avery miała świadomość, że walczy o życie. – Ja się zmienię, zobaczysz. Teraz już rozumiem, o co ci chodzi, jakie cele ci przyświecają.

Nachylił się i złożył na jej ustach pocałunek. Ostatni, pożegnalny pocałunek.

– Nie mam już nic do powiedzenia, Avery. Generałowie wezwali mnie do działania. Odbyło się głosowanie. Decyzja zapadła.

– Jesteś ich przywódcą. Zrobią, co...

– Jestem przywódcą i nie mogę tracić z oczu naszej wizji. – Ujął twarz Avery w dłoń. – Nawet gdybym bardzo pragnął czegoś innego.

– Co zamierzasz? Chcesz mnie zabić? Jak Elaine St. Claire? Jak Trudy Pruitt? – Głos jej zadrżał. – Jak zabiłeś Gwen?

Matt nie zaprzeczył.

– Zabijanie nie sprawia mi żadnej przyjemności. Zabijam, bo muszę. Bo tak...

Przerwał mu odgłos odbezpieczanej broni.

– Nie ruszaj się, bo zginiesz.

– Ty też. – Matt sięgnął po pistolet. – I biedna Avery będzie tu konała całymi tygodniami.

– Rzuć broń – rozkazał Buddy. – Rzuć pistolet na podłogę. Natychmiast.

Matt zawahał się, ale w końcu odrzucił pistolet.

– Dobry chłopiec. Teraz podnieś się i stań pod ścianą. Ręce do góry.

Matt wstał posłusznie.

– Zastanów się dobrze, tato, co robisz.

– Pod ścianę. Już. – Buddy pochylił się, podniósł z podłogi pistolet Matta i podeszedł do Avery. – Już wszystko w porządku, dziecino.

Uwolnił ją z więzów, po czym zwrócił się do swojej udanej latorośli:

– To musi się skończyć, synu. Dość zabijania. Matt spojrzał na ojca błagalnie.

– Wszystko co robiłem, robiłem dla nas. Dla naszej rodziny, dla naszego miasta.

– Jesteś chory, synu. – Po policzkach Buddy'ego spływały łzy. – Dawno powinienem był sobie to powiedzieć, ale wzbraniałem się przed okrutną prawdą. Tamtej nocy... kiedy zginęła Sallie Waguespack... myślałem, że czynię słusznie. Myliłem się. Zatuszowałem zbrodnię, a potem przez całe lata szukałem dla siebie usprawiedliwień. W ostatnich miesiącach też udawałem, że nie dostrzegam, co się dzieje.

– To nie ja, tato. To ona. Musimy ją uciszyć. Musimy chronić naszą rodzinę. Ona jest taka sama jak Sallie.

– Nie wiedziałem, dziecino. – Buddy zwrócił się do Avery. – Nie wiedziałem o twoim ojcu. O pozostałych. Myślałem... Nie chciałem dostrzec prawdy.

– Co miałem robić? – bronił się Matt. – Phillip chciał zawiadomić prokuratora. Reszta

powiedziała, że go poprze. Że wyznają wszystko o Siedmiu, o Sallie Waguespack. Musiałem nas chronić.

– Wiem, synu. Wybacz. Muszę założyć ci kajdanki.

– Nie, tato. Proszę. Nie rób tego.

– Muszę, synu. Matt wyciągnął ręce.

– Trudno. Skuj mnie, jeśli musisz. Poddaję się.

– Nie chcę twojej krzywdy, ale prawo jest prawem. – Buddy podszedł do syna.

Avery zorientowała się wcześniej niż on. Wcześniej dostrzegła nóż w dłoni Matta.

– Uwważaj, Buddy! – krzyknęła. – To podstęp! Matt runął na ojca. Zatopił ostrze w jego szyi.

– Nie! – Z piersi Avery wyrwał się histeryczny krzyk.

Trysnęła krew. Buddy kilka razy poruszył ustami i z zastygłym na twarzy zdziwieniem osunął się na podłogę.

Avery chciała uciekać, ale Matt złapał ją wpół, przyciągnął do siebie, przystawił nóż do gardła.

– Widzisz, Avery – szepnął. – Głupi, słaby człowiek. – Spojrzał na znieruchomiałego ojca. – W dodatku zdrajca – podsumował spokojnie.

– Ty sukinsynu! Morderco! Psychopato! – wybuchnęła. – Jesteś chory! Chory!

– Jestem żołnierzem – sprostował Matt. – Walczę o sprawę. Mali ludzie, jak ty i mój ojciec, nigdy tego nie zrozumieją. – Nachylił się, podniósł kajdanki, wykręcił Avery ręce do tyłu i skuł ją.

– Zostałaś osądzona i uznana za winną, Avery Chauvin – wyrecytował wypranym z emocji głosem. – Generałowie zadecydują o twoim losie.

Rozdział 53

Zawiózł ją na teren dawnych zakładów spożywczych Old Dixie. Część hal spłonęła doszczętnie w pożarze, który przed laty doprowadził do upadku spółki, część zabudowań zachowała się niemal nietknięta.

Długo szli w ciemnościach. Matt musiał dobrze znać drogę, bo prowadził Avery pewnie, ani razu nie zawahał się, jaki wybrać kierunek, dokąd kierować kroki. W pewnym momencie szepnął jej do ucha:

– Uważaj, teraz będziemy musieli wejść na górę. Stąpaj ostrożnie i pamiętaj, że idziesz na spotkanie z moimi generałami.

– Niech cię piekło pochłonie! Matt zaśmiał się niemal radośnie.

– Już pochłonęło. I mnie, i ciebie, nie sądzisz? Owszem, sądziła, ale nie zamierzała dzielić się z nim tą myślą.

Dotarli na piętro, pokonali długi korytarz, jeden, potem drugi, wreszcie zatrzymali się przed zamkniętymi na kłódkę drzwiami.

– Wchodź. – Otworzył drzwi i pchnął ją do środka tak mocno, że upadła na podłogę jak kłoda, ręce miała wszak skute za plecami, uderzając brodą o beton.

Z jakiegoś powodu rozśmieszyło to bardzo Matta.

– Ty sukinsynu! – warknęła, podnosząc się z trudem. – Zapłacisz za wszystko, co zrobiłeś. Skończysz w więzieniu albo w zakładzie dla psychicznie chorych!

Matt ze śmiechem zatrzasnął drzwi.

– Nie marnuj energii – doszedł ją szept gdzieś zza pleców.

– Gwen?

– Tak, to ja.

Avery rozejrzała się niepewnie po mrocznym wnętrzu.

– Gdzie jesteś?

– Tutaj.

Teraz ją dostrzegła, skuloną w kącie na podłodze. Podbiegła do niej, uklękła obok.

– Bogu dzięki. Tak bardzo się bałam. Myślałam, że ty...

– Że nie żyję – dokończyła za nią Gwen. – Też tak myślałam.

Dopiero teraz, kiedy oczy przywykły do mroku, Avery zobaczyła zaschniętą w strup krew na skroni Gwen, skrwawione włosy... Nie miała nawet siły pytać, jak i kiedy Matt ją zranił. Zresztą z góry znała odpowiedź. Poszedł po Gwen do pensjonatu. Dostał się do jej pokoju...

– Wydostaniemy się stąd – szepnęła. – Powiedział mi, że Siedmiu ma zdecydować o moim losie. Pewnie spotykają się tu dzisiaj.

– On nas zabije.

– Nie myśl o tym, Gwen. – Avery omiotła spojrzeniem wewnątrz, kiedyś zapewne służące za magazyn, sądząc po zachowanych rzędach regałów. – Sprawdziałaś, czy nie ma stąd jakiejś drogi ucieczki?

– Żadnej.

– Jesteś pewna?

– Tak... Nie chcę umierać, Avery. Nie teraz. Nie tak.

– Nie wolno się poddawać. Za nic. Wtedy na pewno zginiemy. Możesz wstać?

Gwen kiwnęła głową i opierając się o ścianę, dźwignęła się z podłogi.

– Mamy tylko jedną szansę – zaczęła Avery, z góry wiedząc, że jej plan zabrzmi żałośnie. – Obezwładnić go, kiedy po nas przyjdzie. Jedna rzuci się na niego, druga odbierze mu broń.

Jasne. Jakie to proste. Obezwładnić. Jedna się rzuci. Druga zabierze broń. Jedna z rękami skutymi na plecach, druga z raną w głowie.

Spojrzała na metalowy regał pod ścianą.

– Gwen, spróbujmy, może uda nam się ruszyć ten regał.

Jakoś wspólnymi siłami, Gwen używając dłoni, Avery ramion, odsunęły ciężki regał na tyle, że mogły się za nim schować niczym w norze. Było tu ciasno, zupełnie ciemno. I bezpiecznie.

Nawet jeśli poczucie bezpieczeństwa było tylko złudzeniem.

Rozdział 54

Hunter chodził niespokojnie w tę i z powrotem po pokoju przesłuchań.

Nie, nie został aresztowany, nie został zatrzymany. Po prostu czekał. W każdym razie z formalnego punktu widzenia.

Rano przyszło po niego dwóch ludzi Buddy'ego. Powiedzieli, że mają go odstawić na przesłuchanie. Polecenie szefa. Przywieźli go na posterunek, zaprowadzili do pokoju przesłuchań, powiedzieli, że ma czekać na szefa Stevensa, i poszli sobie.

Od tamtej chwili minęło, dzięki Bogu, dwanaście godzin.

Omiótł spojrzeniem ciasne wnętrze, po którym, spędziwszy tu tyle czasu, mógłby już poruszać się po omacku: drewniany stół, trzy drewniane krzesła, stare, wysłużone, obite blachą, zamknięte na klucz drzwi, ani jednego okna.

Wpadł w pułapkę. Czuł to od samego początku, kiedy go tu tylko przywieźli. Podobno chodziło o Avery. Podobno znalazła się w tarapatach. Tak kazał powiedzieć mu Buddy przez swoich funkcjonariuszy.

Dał się tu zwabić jak ostatni dureń, zostawiając Avery na łasce Buddy'ego. I Matta.

Odwrócił się na pięcie, podszedł do drzwi i zaczął w nie walić.

– Albo mnie aresztujcie, jak się należy, albo wypuście!

Przyłożył ucho do blachy. Nic. Cisza. Zaklął pod nosem.

Musi się stąd wydostać za wszelką cenę. Musi. Avery jest w opałach. On to wie.

Znowu zaczął bębnić pięściami w drzwi.

– Hej tam! Muszę do toalety. Ruszcie tyłki, do cholery, chyba że chcecie po mnie sprzą...

Drzwi otworzyły się gwałtownie. W progu stał młodziutki policjant ze śladami trądziku na twarzy, a za jego plecami...

– Cherry? – zdumiał się Hunter. – Co ty tutaj robisz?

– Tata potrzebuje pomocy. Wchodź – popchnęła młodzika i Hunter dopiero teraz zobaczył, że jego siostra ściska w dłoni potężne magnum 357.

– Wiesz aby, do czego to służy? – zapytał na wszelki wypadek.

– Twoje pytanie nie zasługuje na odpowiedź – oznajmiła wyniośle i chwyciła go za rękę.

– Chodź, nie ma czasu do stracenia.

Wyciągnęła Huntera na korytarz, zamknęła drzwi, klucz schowała do kieszeni. W bezpardonowy sposób pozbawiony swobody ruchów krostowaty policjant natychmiast, oczywiście, wszczął raban.

– Co się dzieje?

– Porozmawiamy w samochodzie. Sammy był sam na posterunku, ale lada chwila mogą pojawić się chłopcy z patrolu.

– Która to właściwie godzina?

– Wpół do dziewiątej.

– Trzymali mnie w tym cholernym pokoju przesłuchań od rana. Muszę iść do klopa.

– Pospiesz się.

Kiedy wyszedł z toalety, bez słowa ruszyli do samochodu. Na tylnym siedzeniu siedziała Lila. Zapłakana. Czerwone, zapuchnięte oczy. Wypieki na policzkach.

Była na krawędzi załamania nerwowego.

Hunter zerknął groźnie na Cherry.

– Niech ktoś wreszcie otworzy usta. Im szybciej, tym lepiej.

Cherry przekreśliła kluczyk i ruszyła.

– Tata powiedział, że mamy cię zabrać z posterunku, jeśli nie odezwie się do ósmej.

– Zabrać? Dziękuję. A po kiego tam tkwiłem tyle godzin?

– Tata chciał, żebyś był bezpieczny. Chronił cię. Uznał, że posterunek będzie najbezpieczniejszym miejscem.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– To Matt – stwierdziła Cherry lakonicznie. – Ma Avery.

Rozdział 55

– Matt? – powtórzył Hunter. – Wszystko jasne – mruknął z głębokim zrozumieniem. – A teraz wytłumaczcie, co Matt.

– To Matt zabił Elaine St. Claire i Trudy Pruitt. I doktora Chauvina – wyliczała Cherry.

– W każdym razie myślimy, że to on.

– Ja nie wiedziałam – szeptała Lila. – Tyle lat... że to ja... że ja zabiłam Sallie, a tu nagle... dlaczego to nie ja... – Głos zupełnie odmówił jej posłuszeństwa.

– Nikt z nas nie domyślał się, co z niego wyrosło – rzuciła Cherry przez zęby.

Hunter słuchał tych bezładnych słów i ogarniała go coraz większa panika.

– Co z niego wyrosło? Co wy wygadujecie? Nic nie rozumiem. Co ty miałaś wspólnego ze śmiercią Sallie Waguespack?

– Już mówię.

Lila opowiedziała Hunterowi o romansie Buddy’ego. O ciąży Sallie. O swojej wizycie u kochanki męża.

O tym, co zrobiła.

– Do dzisiaj myślałam, że to ja ją zabiłam. Buddy nikomu nie zdradził prawdy. A kiedy w zeszłym roku zaczęła się seria nagłych zgonów, udawał, że nie dostrzega w tym nic podejrzanego. Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że jego syn...

– Dopiero Avery otworzyła mu oczy – ciągnęła Cherry. – Zaczęła zadawać niewygodne pytania. Z uporem powtarzała, że jej ojciec nie mógł popełnić samobójstwa. Kiedy została zamordowana Trudy Pruitt...

– Nie mógł już dłużej okłamywać samego siebie – dokończył Hunter. – Zginęli wszyscy tak czy inaczej uwikłani w śmierć Sallie Waguespack. Wszyscy z wyjątkiem niego.

– Dzisiaj, kiedy usłyszał o dziennikach matki Avery, już nie wątpił, że to Matt jest mordercą i że to on podpalił dom Chauwinów. A teraz... porwał Avery. Tata pojechał go szukać.

Hunter poczuł, że drętwieje z przerażenia na myśl o tym, co w tej chwili dzieje się z Avery. W dalszym ciągu niewiele rozumiał z relacji Lili i Cherry, wiedział tylko, że muszą się spieszyć, jeśli chcą powstrzymać Matta.

– A Tom Lancaster i McDougal? – zapytał, próbując złożyć w całość elementy łamigłówki. – Jaką oni odgrywali w tym wszystkim rolę?

– Tego tata jeszcze nie wie na pewno. – Cherry jechała teraz szosą 421. – Lancaster za bardzo się interesował grupą Siedmiu, natomiast trudno powiedzieć, dlaczego Mattowi miałyby zależeć na śmierci McDougala.

– Gdzie jest teraz Avery? Dokąd jedziemy? – pytał dalej.

– Tata mówił, że Matt musiał ją zabrać do domku myśliwskiego dziadka.

– Zawiadomiłyście oczywiście policję stanową? Biuro szeryfa?

– Nie. Tata nie chciał. Powiedział, że wszystko ma zostać w rodzinie.

– Drań. Mamy jakąś komórkę? – Lila i Cherry pokręciły głowami. – Broń? Oprócz rewolweru, którym wymachiwałaś na posterunku, Cherry?

– Tylko ten rewolwer.

– Niech to. Wspaniale.

– Buddy już tam jest – powiedziała Lila. – On na pewno...

– Wpadł jak śliwka w kompot – sarknął Hunter wściekły na bezmyślność matki i siostry.

– Inaczej dawno by się do was odezwał.

W samochodzie zapadła grobowa cisza. Resztę drogi przebyli w milczeniu.

Kiedy dojechali na miejsce, zobaczyli przed chatą dwa samochody: wóz patrolowy Matta i nieoznakowany sedan Buddy'ego.

– Są. – Cherry drżał głos. – Co teraz? Hunter długo się nie zastanawiał.

– Jedno z nas zostanie w aucie. Nie będziemy gasić silnika na wypadek, gdybyśmy musieli natychmiast uciekać.

Cherry spojrzała na ledwie przytomną matkę. Było dla niej jasne, że pomysł Huntera jest do niczego.

– Ja zostanę w samochodzie z mamą, ty idź do chaty – zakomenderowała i podała bratu rewolwer. – Wiesz, jak się tym posługiwać?

Hunter sprawdził magazynek. Pełny.

– Aha – mruknął. – Trzeba wycelować i nacisnąć na spust – zrewanżował się siostrzyczce za złośliwość i ruszył ostrożnie w kierunku chaty.

Drzwi były otwarte. Pchnął je lekko, wszedł i zatrzymał się zaraz za progiem, nasłuchując.

Cisza. Złowroga, martwa cisza. Wszedł dalej. Wszędzie pusto. Okno w kuchni otwarte. Zajrzał do łazienki. Też pusto.

Pozostała do sprawdzenia tylko sypialnia. Zajrzał tam z bijącym sercem. Pierwsze, co zobaczył, to łóżko, linki u wezglowia i w nogach.

Ktoś musiał być przywiązany do łóżka.

Nie ktoś. Avery.

Oparł się ciężko o framugę drzwi.

Dopiero teraz zobaczył but wystający zza łóżka. Stopę w bucie, mówiąc ściśle. Znał te buty. Buty ze skóry krokodyla, którego Buddy własnoręcznie upolował, potem kazał zrobić sobie z gada buty. Nosił je od dwudziestu lat.

Podszedł powoli do łóżka, jeszcze powtarzając sobie, że to zły sen, że niemożliwe.

Ojciec leżał twarzą do podłogi w kałuży krwi, z głową przekrzywioną pod nienaturalnym

kątem.

Hunter odwrócił się gwałtownie i wybiegł na ganek.

– Cherry! – zawołał. – Idź do samochodu ojca i wezwij przez radio karetkę. Powiedz, że chodzi o policjanta.

Cherry wyskoczyła z samochodu.

– O policjanta? To tata czy...

– Wezwij natychmiast karetkę – zawołał jeszcze raz i nie czekając, wrócił do chaty. Ukłękł koło ojca, sprawdził puls. Nic.

Usłyszał za plecami zdławiony krzyk, obejrzał się. W progu stała Lila z szeroko otwartymi ustami. Po chwili obok niej pojawiła się Cherry.

– Tata? – Cała krew odpłynęła jej z twarzy. – Nie! Nie!

Lila zrobiła krok, chciała podejść do męża, ale Hunter przyskoczył do niej, zatrzymał. Próbowwała uwolnić się z objęć syna, zaczęła się szarpać, okładać go pięściami, złorzeczyć.

Hunter przeczekał, aż pierwszy szok minie, potem zwrócił się do Cherry:

– Pomóż mi wyprowadzić ją stąd.

Jednak do Cherry nic nie docierało. Stała niczym wrośnięta w ziemię i tylko bezgłośnie poruszała ustami.

– Cherry – przynaglił ją łagodnie. – To jest miejsce zbrodni. Policja...

– Matt... – szepnęła schrypniętym głosem. – Matt zabił tatę.

Jego brat, dopowiedział Hunter w myślach. Morderca zdolny zabić własnego ojca. Porwał Avery.

– Gdzie oni są? – zapytał bezradnie. – Gdzie Matt i Avery?

Cherry spojrzała na niego pustym wzrokiem.

– Ja... nie wiem. Ja...

– Pomyśl, Cherry. Matt zostawił samochód przed domkiem. Gdzie mógł ją zaprowadzić?

Pokręciła głową.

– Tu nic nie ma. Nic, poza...

– Starymi zakładami Old Dixie – dokończył za nią. – Wezwij policję. Zawiadom biuro szeryfa. Zajmij się mamą, Cherry. Idę tam.

Rozdział 56

Avery i Gwen wyszły ze swojej kryjówki. Były gotowe walczyć, stawiać opór. Czekwały przy drzwiach, nie wiedząc, kto po nie przyjdzie, sam Matt czy wszyscy, cała grupa Siedmiu.

Miały plan, mizerny, niedający wielkich szans, ale jedyny, jaki były w stanie obmyślić w tej rozpaczliwej sytuacji.

– Myślisz, że się uda? – W głosie Gwen zabrzmiało powątpienie. Powątpiewanie i przerażenie. Nuta hysterii.

Dwie przeciwko siedmiu. Jakie miały szanse? Prawie żadnych.

– Nie mamy nic do stracenia – szepnęła Avery. – Tak czy inaczej nas zabiją.

Zza drzwi doszedł odgłos kroków. Avery spojrzała na śmiertelnie bladą Gwen. Cała krew odpłynęła jej z twarzy, już wyglądała jak trup.

Avery stanęła na wprost wejścia. Była gotowa.

Usłyszała szcęk otwieranej kłódki i drzwi się uchyliły. Wstrzymała oddech, czekając na właściwy moment. Modłać się, by potrafiła ten moment wykorzystać.

Zaszarżowała. Głową do przodu. Mierząc prosto w pierś.

Zaskoczyła go. Nie spodziewał się ataku, nie przewidział oporu.

Zachwiał się. Pistolet wypadł mu z dłoni, poleciał na podłogę.

– Uciekaj! – zawołała do Gwen. – Uciekaj! Gwen rzuciła się ku schodom.

Avery była niemal pewna, że zaraz pojawi się reszta wielkiej Siódemki. Że pospieszą za Mattem.

Nie pojawił się nikt.

Widać wyszli już z Old Dixie, pozostawiając szefowi brudną robotę.

Avery zaatakowała ponownie. Tym razem z taką siłą, że Matt upadł na podłogę z głośnym stęknięciem.

– Suka!

Zerwał się na równe nogi i zdzielił ją pięścią prosto w twarz. Poczula potworny, przeszywający czaszkę ból. Nie mogła złapać tchu. Nagle zdała sobie sprawę, że płacze. Z bólu. Z wściekłości.

Matt zacisnął dłonie na jej gardle, zaczął ją dusić. Szarpała się, kopała, walczyła z całych sił.

Żeby tylko Gwen się udało, modliła się w duchu. Żeby tylko zdołała uciec.

Gdzieś zza drzwi doszedł głuchy łoskot, jakby coś ciężkiego upadło na podłogę. Matt rozluźnił trochę palce, znieruchomiał.

– Błkitny? Sokół? Co tam się dzieje? – zawołał. – Macie ją?

Odpowiedziała mu cisza. Puścił Avery, nasłuchując w napięciu.

Osunęła się bez sił na podłogę, wciągnęła głęboko powietrze, krztusząc się i kaszląc.

– Sokół! – zawołał Matt raz jeszcze. Kątem oka dostrzegła pistolet Matta. Leżał blisko, tuż, tuż. Na wyciągnięcie ręki.

Na wyciągnięcie ręki. Jeśli ktoś może wyciągnąć rękę, pomyślała ze złością. Łzy napłynęły jej do oczu.

Z gardła wyrwało się łkanie.

Matt odwrócił się, spojrzał na Avery, na pistolet. Uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Chciałabyś, co? – zakpił. – Nic z tego. Próbowала się podnieść, ale nie starczyło jej sił.

Odczołgała się tylko, byle dalej od Matta. Nie podda się. O nie. Będzie walczyła do końca.

– Dzielna mała Avery – kpił Matt. – Podziwiam cię. Naprawdę podziwiam. Szkoda, że się nam nie udało. Mój umysł, twoja determinacja. Cóż za dzieci moglibyśmy wspólnie spłodzić.

Stanął nad nią, zagradzając drogę. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Hardo, wyzywająco.

Matt wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, po czym schylił się po pistolet.

– To koniec, skarbie.

Rozdział 57

Jeszcze nie koniec.

Ocknęła się przywiązana do krzesła. Poczowała lepkość na czole, Krople spływające po policzku. Krew. To Matt ogłuszył ją kolbą pistoletu.

Dlaczego nie zabił od razu?

Otworzyła oczy.

Stół, jacyś ludzie wokół stołu.

Siedmiu. Matt i jego generałowie.

Ktoś się podniósł z krzesła. Matt. Podszedł do niej, oświetlił jej twarz kempingową lampą karbidową. Uśmiechnął się.

– Bywało, że lepiej wyglądałaś – stwierdził. – Gdybyś zaś chciała wiedzieć, to powiem ci, że Gwen się nie udało – dodał z triumfalną nutą w głosie i zwrócił się do zebranych: – Panowie, mam dobrą wiadomość. Avery Chauvin powróciła do świata żywych. Na jak długo, to już zależy tylko od niej.

Podniósł wysoko lampę, oświetlając siedzących. Avery zamrugła, wszystko pływało przed oczami, rozmazywało się, obraz zdawał się pulsować, raz ostry, to znowu niewyraźny.

Niemożliwe, jęknęła w duchu.

Trupy. Sześć trupów w różnym stanie rozkładu.

– Znasz Karla Wrighta, Avery. – Wskazał najdalej od niej usadzone zwłoki. – To generał Sokół.

Karl Wright. Przyjaciel Matta. Człowiek, za którego Cherry chciała wyjść za mąż.

Ale on wyjechał przecież do Kalifornii.

Nie odzywał się do nikogo poza Mattem. Tak mówiła Cherry.

Karl. Matt zabił swojego najlepszego przyjaciela.

Następny trup. Młody człowiek, jeśli mogła rozpoznać. Koszulka Tulane University.

– Tom Lancaster – przedstawił zwłoki Matt. Znaleźli porzucony na poboczu drogi samochód Toma. Ciała nie znaleziono nigdy.

Spojrzenie Avery spoczęło na kolejnym, całkiem jeszcze świeżym, no, stosunkowo świeżym, denacie.

Luke McDougal. Samochód w stawie Tillera.

Zaczęła szczękać zębami. Nie zniesie tego dłużej. Zaraz zwariuje. Matt stworzył sobie stowarzyszenie umarłych generałów. Mordował i tak pozyskiwał nowych członków grupy.

Spojrzał na to, co kiedyś było McDougalem, i pokiwał z uśmiechem głową.

– W pełni się zgadzam, Błękitny.

Ten obłąkany człowiek wierzył, że jego generałowie są żywymi ludźmi.

Zwrócił się do Avery:

– Z Błękitnym zawsze się zgadzamy. Spotkałem go na poboczu drogi. Zepsuł mu się samochód. Zaproponowałem, że go podwiozę, i od razu znalazłem z nim nić porozumienia. Natomiast generała Lancastera trochę trudniej było zwerbować. Nie od razu zrozumiał, o co walczymy, ale bardzo się starał. Chciał być z nami. W końcu całym sercem oddał się sprawie. Gwen byłaby z niego dumna.

Avery wyobraziła sobie, jak Lancaster musiał błagać Matta. Jak przysięgał, że uczyni wszystko, co Matt każe. Do końca nie wiedział, że przystanie do Siedmiu równa się wyrokowi śmierci.

– Oto Sal. Znacie się oczywiście – mówił Matt.

– Sal?

Przecież został pochowany. Odbyła się ceremonia czuwania. Pogrzeb...

Matt zamienił ciała. Czyje zwłoki wykorzystał?

– A więc to jest twoich Siedmiu? – wybuchnęła bliska hysterii. – Sześć trupów i ty. Tak walczyłeś o ład i spokój w Cypress?

– Jesteś jak twój ojciec. Był mazgajem. Słabeuszem. Chciał zniszczyć Siedmiu. Nie mogłem mu na to pozwolić. Nie mogłem pozwolić na żadne słabości. Człowiek nie może być słaby. Nie może sobie pobłażać. W naszej sprawie nie ma miejsca na prywatność, na uczucia. To wszystko słabości – bełkotał. – Roznoszą się jak najgorsza zaraza. Niszczą zbiorowość. Trzeba ich likwidować. Usuwać ze zdrowego organizmu społeczeństwa. Elaine St. Claire, rozwiązłość – wyliczał z satysfakcją. – Pete Trimble, opilstwo. Trudy Pruitt, za długi język. Każde z nich zginęło tak jak żyło. Zabiły ich własne przywary.

– A mój ojciec, dlaczego zginął? – Avery próbowała panować nad drżeniem głosu.

– Zdrada – oznajmił Matt z niejakim żalem.

– Chciał zniszczyć stowarzyszenie. Niepotrzebnie wracał do sprawy Sallie Waguespack. Myślał, że tata nadal należy do Siedmiu. Poszedł do Lili, rozmawiał z nią, mówił, że złoży doniesienie do prokuratora okręgowego. Lila wszystko mi powtórzyła.

– Tych siedmiu mężczyzn, na czuwaniu przy moim ojcu... Kim oni byli, jeśli to jest twoja grupa?

– Nikim. – Matt wzruszył ramionami. – Jacyś przypadkowi ludzie. Nie zadawaj więcej pytań.

– Zmienił ton, jakby sobie przypomniał o czekającej Avery procedurze. – Czas płynie. Moi generałowie czekają. Rozpatrzyliśmy twoją sprawę i jesteśmy gotowi przyjąć cię do stowarzyszenia.

– Spojrzał na zegarek. – Masz trzy minuty.

Rozdział 58

Hunter przycaił się za częściowo wypaloną ścianą i słuchał wynurzeń Matta oraz pytań Avery.

Trzy minuty. Jasna cholera.

Zamknął oczy, gotując się na spotkanie z tym, co miał zastać w „sali narad”. Trupy. Pomordowani ludzie.

Dla Matta ciągle żywi.

Nie, nie wolno mu o tym myśleć, bo przegra, poniesie klęskę. Co robić? Przemawiać Mattowi do rozsądku? Absurd. Jego brat nie miał rozsądku. Był chory, szalony. Zaatakować z bronią w ręku? Nic innego mu nie pozostawało.

– Czas upłynął, Avery. Jesteś z nami czy przeciwko nam?

Hunter przygotował się. Czekał na odpowiedni moment.

– Matt, proszę – usłyszał głos Avery. – Masz omamy. To nie wojna. A twoi generałowie to rozkładające się trupy. Musisz się leczyć. Jesteś chory i potrze...

Matt nie słuchał.

– A więc zdecydowałaś.

Hunter stanął w progu z rewolwerem gotowym do strzału.

– Rzuć broń, Matt!

Avery krzyknęła, Matt się zaśmiał.

– Oto na ratunek ukochanej przybywa dzielny rycerz pełen cnót wszelakich.

– Rzuć broń! – zawołał Hunter ponownie.

– Niby dlaczego?

– Bo to koniec. Bo cię zabiję, jeśli tego nie zrobisz. Cherry wezwała już policję. Zaraz tu będą. Zabiłeś ojca. Nie wymkniesz się. Zbyt wiele osób zginęło z twojej ręki. Nie zatrzęs śladów.

– Już zatarłem – oznajmił dumny ze swojej przebiegłości Matt. – To ty jesteś mordercą. Nienawidzisz własnej rodziny, nienawidzisz tego miasta. Wszyscy to wiedzą. Policja znajdzie w twoim mieszkaniu legitymację studencką Toma Lancastera. Sygnet Luke’a McDougala, krzyżyk Elaine St. Claire.

– Bardzo sprytnie, Matt. Tak jak z Sallie Waguespack.

– Jak z Sallie Waguespack – przytaknął Matt skwapliwie.

Hunter spróbował innej taktyki:

– Teraz rozumiem, dlaczego wstąpiłeś do policji. Jesteś tchórzem. Chowasz się za swoim pistoletem, wykorzystujesz blachę.

– Jeśli to pomaga...

– Kiepski jesteś, braciszku, skoro potrzebujesz rekwizytów. Spróbuj się ze mną. Zawsze byłem silniejszy od ciebie. Jestem gotów, a ty?

– Hunter położył rewolwer na podłodze. – No dalej. Strach cię obleciał?

Matt spojrzał na swoich generałów, jakby pytał ich o zgodę, po czym i on odłożył broń.

– Niech i tak będzie.

Przez chwilę krążyli wokół siebie, spięci, gotowi do skoku. Matt zaatakował pierwszy.

W jego dłoni błysnął nóż.

Avery krzyknęła głośno. Hunter odchylił się w prawo, ale nie zdążył uchronić się przed ciosem. Matt całym impetem wbił ostrze w jego ramię.

Rozległ się strzał.

Obaj przeciwnicy padli na podłogę.

W drzwiach stała Cherry. Trzymała strzelbę wycelowaną w braci i płakała. Łzy spływały jej po policzkach.

Hunter zaklął pod nosem. Jego siostra nie zawiadomiła policji. Przeklęta lojalność rodzinna, lojalność za wszelką cenę, znowu wzięła górę.

– Zabiłeś tatę, Matt – zaczęła łamiącym się głosem. – Jak mogłeś? Nie wolno robić takich rzeczy – bredziła. – Rodzina musi się trzymać razem. Rodzina zawsze powinna trzymać się razem.

– To prawda. Ja cię tego nauczyłem. – Matt podniósł się powoli, na jego twarzy pojawił się przymilny uśmiech. – Moja mała siostrzyczka. Zawsze opiekowałaś się nami wszystkimi. – Zrobił krok w kierunku Cherry.

– Uważaj, to podstęp – ostrzegł ją Hunter.

– On jest obłąkany.

– Obaj jesteście – powiedziała Cherry. – Zawsze się bałam, jak zaczynaliście ze sobą walczyć. Bałam się Matta. Tamtej nocy... też się pobiliście. – Spojrzała na Huntera. – Mama cały dzień była zdenerwowana. Tata w pracy. Poszłam spać, ale nie mogłam usnąć. Wszystko było nie tak. – Wzięła głęboki oddech. – I wtedy usłyszałam mamę. Wyślizgnęłam się ze swojego pokoju. Słyszałam, jak płacze. Widziałam krew. Wszystko słyszałam – powtarzała jak w transie. – Matt mówił, żebym się nie martwiła, że on się wszystkim zajmie. Ale ja się denerwowałam, dlatego wymknęłam się za nim z domu. Ukryłam się na skrzyni jego furgonetki. Potem... poszłam za nim. Widziałam, co zrobił.

Hunter zaczynał rozumieć, dlaczego został odsunięty, wykluczony. Wszyscy poza nim należeli do tego samego klubu. Łączyła ich wspólna tajemnica. Gdyby wtedy nie uciekł do Karla, gdyby został w domu, wszystko może potoczyłoby się inaczej.

– Milczałam – ciągnęła Cherry. – Bałam się ci powiedzieć. Bałam się, że nas rozdzieli. Zabiorą mamę i Matta. To nie była jego wina, Hunter.

– Skierowała lufę na Huntera. – Nie gniewaj się na niego. Ja tam byłam. Widziałam. On musiał...

– Słowa przeszły w szloch. – Ta okropna kobieta. Dziwka. Chciała ukraść nam tatę. Ale nie ukradła.

– Znów zaszlochała. – Ucieszyłam się, że Avery wróciła. Myślałam, że znowu będą razem, ona i Matt. I wszystko będzie dobrze, jeśli tylko będzie go mocno kochała. Wszystko będzie jak dawniej. Taką miałam nadzieję... że wróci to co najlepsze. Ale teraz... żałuję, że przyjechała. To ty wszystko popsukałaś!

– Obydwoje popsuli – wtrącił Matt. – To obcy. Zdrajcy.

– Zapytaj go o Karla! – zawołała Avery w ostatecznej desperacji. – Nie pojechał do Kalifornii. Jest tutaj, w tym pokoju. Zapytaj Matta, czy to prawda.

Cherry spojrzała na brata.

– O czym ona mówi?

– Potrzebuję cię, siostrzyczko. Ty się mną zaopiekujesz. Wszystkimi się zaopiekujesz. Nie opuszczaj mnie.

– On zabił Karla, Cherry! – Avery chwyciła się ostatniej deski ratunku. – Zabije nas wszystkich. On oszalał, zawsze był szalony. Zapytaj o Karla. Zapytaj go o sprawę.

– Matt? – szepnęła Cherry.

– Karl przedłożył sprawę nad miłość. Nie możesz mieć o to do niego pretensji. Sprawa ponad wszystko.

Matt spojrzał w kierunku stołu, szukając potwierdzenia u swoich generałów.

Cherry poszła za jego wzrokiem. Na jej twarzy odmalowała się zgroza. Bliska szaleństwa, cofnęła się o krok.

– Nie! – zawołała. – Nie!

Matt wykorzystał moment, rzucił się ku niej. Hunter błyskawicznie schylił się po rewolwer. Avery głośno krzyknęła.

Rozległ się ogłuszający strzał. Matt zachwiał się, przez chwilę kołysał, jak na filmie w zwolnionym tempie, po czym runął na podłogę.

Cherry wypuściła strzelbę z rąk i z płaczem przypadła do brata.

Rozdział 59

Niemal w tym samym momencie rozległo się wycie policyjnych syren i w wypalanej fabryce zaroilo się od ludzi w mundurach.

Cherry i Lila wezwały jednak policję. Potem Cherry przypomniała sobie, że ojciec zawsze woził w bagażniku swoją strzelbę. Znalazła ją i ruszyła na pomoc Hunterowi.

Avery i Hunter zostali zabrani do parafialnego szpitala w St. Francisville. Założono jej kilkanaście szwów, zrobiono tomograf i położono w separacie.

– Cześć, piękna.

Odwróciła głowę. W drzwiach sali stał Hunter.

– A ty co? – zdziwiła się.

– Nie chcę mnie tutaj. – Uśmiechnął się.

– Wychodzę.

– To niesprawiedliwe. – Też się uśmiechnęła.

– Dobrze się czujesz?

– Powierzchnowa rana. Mnóstwo krwi, ale tak naprawdę głupstwo.

– Nie to miałam na myśli.

– Wiem. – W jego oczach zamigotał tragiczny refleks tego, przez co przeszli. – Policja już cię przepytowała?

– Tak. – Przepytawali ją ludzie z policji stanowej i z biura szeryfa. Przez wiele godzin. W końcu musiał interweniować lekarz. Zabronił dłużej męczyć pacjentkę, więc dali jej spokój.

– Masz ochotę na przejażdżkę?

– Porywasz mnie stąd?

– Niezły pomysł, ale jeszcze nie teraz. – Podsunął wózek do łóżka. – Siadaj.

– Wiesz, że mogę się obejść bez tego sprzętu – naburmuszyła się.

– Wiem, że ledwie udało mi się zdobyć od siostry oddziałowej pozwolenie na tę przejażdżkę.

Hunter pchnął wózek. Długim korytarzem, koło recepcji, dotarli do OIOM-u. Tu Hunter zatrzymał wózek koło łóżka, na którym leżała przeraźliwie blada kobieta. Cała w bandażach i rurkach, podłączona do monitorów.

Ale żywa. Żywa.

– Gwen?

Kobieta uniosła powieki. Spojrzała na Avery pustym wzrokiem, lecz po chwili na jej ustach pojawił się ledwie widoczny uśmiech.

– Avery... To naprawdę ty...?

– To naprawdę ja. – Chwyciła Gwen za rękę, łązy zakreśliły się jej w oczach. – Matt powiedział mi, że nie żyjesz.

– Myślał, że nie żyję.

Gwen na powrót zamknęła oczy. Ranna, z postrzałem, zbiegała znów ze schodów w fabryce... znów uciekała... potem już nic, obraz się zacierał, ginął w białej mgle.

Avery spojrzała na Huntera i spytała:

– Skąd wiedziałeś, że ona tu jest?

– Usłyszałem, jak pielęgniarki rozmawiają o jakiejś pacjentce z postrzałem. Doszła do szosy 421, gdzie znalazł ją przypadkowy kierowca i przywiózł tutaj.

– Kierowca na 421? W środku nocy?

– Cud. Opatrzność boska – mruknął Hunter. Tak, cud prawdziwy.

Avery spojrzała na Gwen. Znowu miała otwarte oczy.

– Czy Matt...

– Nie żyje? – Avery pokiwała głową. – Nie żyje. Ale ty żyjesz. To najważniejsze.

W progu pojawiła się siostra i oznajmiła stanowczo:

– Koniec rozmów. Pani Lancaster musi odpocząć.

– Nie mogłabym z nią zostać? – zapytała Avery błagalnym tonem. – Będę cichutko.

– Pani też musi odpoczywać. Rano się z nią pani zobaczy.

Rano. Najśłodsze słowo na świecie. Będzie jeszcze jakieś rano.

EPILOG

Poniedziałek

31 marca 2003

9.00

Hunter wsunął do przyczepy ostatni karton z książkami, zamknął ją starannie i spojrzał na Avery.

– Gotowa?

Skinęła głową i wsiadła do samochodu. Gwen wyjechała dwa dni przed nimi, byle szybciej opuścić Cypress Springs. Obiecali, że po drodze zatrzymają się u niej na chwilę.

Dosłownie na chwilę. Nie mogli sobie pozwolić na dłuższy pobyt w Nowym Orleanie. Szef Avery czekał niecierpliwie, kiedy jego najlepsza reporterka pojawi się wreszcie w redakcji. Jeszcze bardziej niecierpliwiał się, kiedy dostanie do ręki jej najnowszy reportaż.

Sara ułożyła się wygodnie na tylnym siedzeniu tuż nad zamkniętym wiklinowym koszem z maluchami. Avery podrapała ją czule za uchem, odwróciła się i skrzywiła na widok własnego odbicia w lusterku wstecznym.

– Widziałem – mruknął Hunter, włączając się do ruchu.

– Wyglądam jak narzeczona Frankensteina. W dodatku cały czas mnie to szycie swędzi.

– Wyglądasz ślicznie.

– Nie słyszałeś, że niewidomi nie powinni siadać za kierownicą?

Hunter zaśmiał się i położył dłoń na jej dłoni.

– Bardzo miło, że żyjesz.

Avery poczuła ucisk w gardle, łzy zakręciły się jej w oczach. Miło? Miło.

Skręcili w Główną, przejechali koło placu miejskiego. Przechodnie zatrzymywali się na ich widok. Kilka osób pomachało im na pożegnanie, inni po prostu odprowadzali ich wzrokiem.

Wszyscy już znali przebieg wypadków, wszak takiej sensacji Cypress nie miało od śmierci Sallie Waguespack. Reakcje były różne: szok, zdumienie, oburzenie. Ale też głęboki żal, czasem zakłopotanie: dlaczego, jak mogło do tego dojść? U nas? Cypress to takie urocze, spokojne miasteczko. FBI prowadziło cały czas przesłuchania, ale na razie nikogo nie aresztowano. Jeszcze.

Cypress, urocze, spokojne Cypress, pogrzyżyło się w żałobie. Opłakiwano zmarłych. Posypywano głowy popiołem i mówiono ze skrucą: żyliśmy w kłamstwie. Przyszła pora, by dokonać radykalnej zmiany w najdoskonalszym z miasteczek.

Kiedy przejeżdżali koło sklepu starego Raucha, Avery poprosiła Huntera, żeby się zatrzymał.

Wysiadła z samochodu, ogarnęła spojrzeniem Główną z jej staroświecką zabudową, z jej

pieczołowicie zakonserwowanymi elewacjami.

Słodki widok i straszny, pomyślała. Cypress przypominało doskonale zabalsamowane, opierające się upływowi czasu zwłoki. A przecież czas płynie, nie sposób go zatrzymać, wszystko podlega zmianie, na lepsze czy gorsze, ale zmienia się. Nie da się zabalsamować życia, tak jak nie ma eliksiru, który pozwalałby zachować wieczną młodość.

Hunter też wysiadł z samochodu i podszedł do Avery.

– Wszystko w porządku?

– Musi być w porządku. A jak z tobą?

– Jak ze mną? Budzę się w nocy i pytam sam siebie, dlaczego akurat on, a nie ja. Byliśmy bliźniakami, równie dobrze mogło to spaść na mnie.

Biegli psychiatry powołani przez FBI skłaniali się ku twierdzeniu, że Matt cierpiał na zespół maniakalno-urojeniowy, jednak ostatecznej diagnozy nie potrafili postawić. Zamordowanie Sallie Waguespack, rodzinne kłamstwa, panująca w Cypress obsesja „zacnego” życia, służba w policji, wszystko to w jakimś stopniu przyczyniało się do rozwoju choroby.

Avery ścisnęła mocno dłoń Huntera.

– Nie, nie mogło.

– Pomyśl, przez tyle lat czułem się wykluczony, odrzucony przez nich. Nikt nie powiedział mi złego słowa, ale czułem, że jestem poza nawiasem. Tamta noc przesądziła o wszystkim. Teraz już to wiem.

– Tak mi przykro, Hunter.

– Mnie też, ale jestem szczęśliwy, bo mam ciebie. Pomogę mamie i Cherry. Mogą na mnie liczyć.

Prokurator nie wniósł oskarżeń ani przeciwko Lili, ani przeciwko Cherry, orzekł, że nie ma ku temu podstaw. Niemniej, chociaż oczyszczone z zarzutów, postanowiły wynieść się z Cypress Springs i zamieszkać w Baton Rouge. Cherry chciała otworzyć firmę cateringową. Od dawna nosiła się z tym zamiarem, teraz wreszcie miała go zrealizować.

Obie w końcu uwolniły się od sekretu, który przez kilkanaście lat powoli zabijał całą rodzinę.

– Wiem już, jak będzie się kończyła moja powieść – mruknął Hunter pod nosem.

– Jak?

– Dobrze. Będzie się kończyła dobrze. Avery zrozumiała, o co mu chodziło. Czują to samo. Wiedziała, że jest w stanie sprostać przyszłości, cokolwiek miałyby przynieść.

Pocałowała Huntera i pociągnęła go do samochodu.

– Wynośmy się stąd w jasną cholerę.